

FABRYCZNAZONA.PL

ŁOWCA Z LASU



**EDYCJA
LIMITOWANA**

**KSIĄŻKA Z KODEM
DO GRY!**

WIĘCEJ NA
WWW.FABRYCZNAZONA.PL



SURVARIUM

ANDRIEJ LEWICKI



ANDRIEJ LEWICKI
Ł O W C A
Z L A S U



TŁUMACZYŁ
MICHAŁ GOŁKOWSKI

SCAN
RAW

fabryka słów®

LUBLIN 2014

Seria Fabryczna Zona:

Michał Gołkowski – *Otowiany świt*

Michał Gotkowski – *Drugi Brzeg*

Michał Gotkowski – *Droga donikąd*

Wiktor Noczkin – *Ślepa plama*

Wiktor Noczkin – *Czerep mutanta*

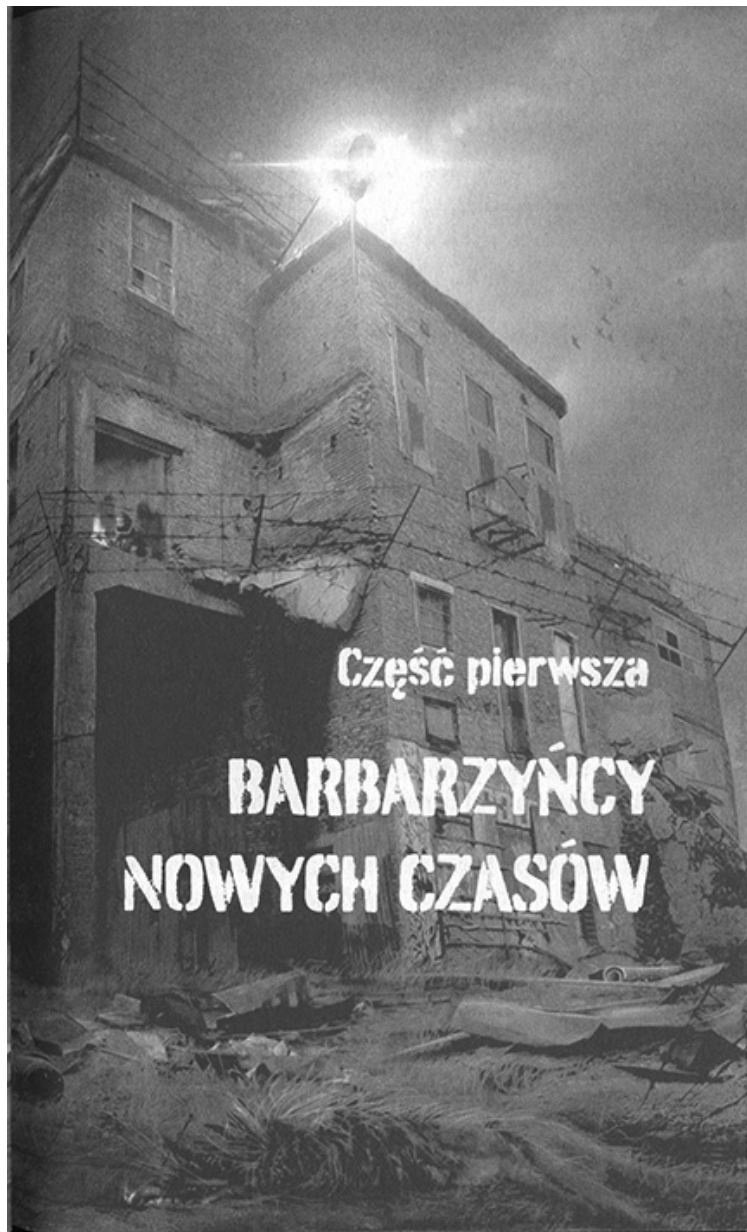
Wiktor Noczkin – *Wektor zagrożenia (w przygotowaniu)*

Bartek Biedrzycki – *Kompleks 7215*

Andrzej Lewicki – *Łowca z Lasu*

Nawet jeśli wszyscy są przeciwko
tobie – nie znaczy to, że nie masz racji.

Hugh Laurie



Część pierwsza

**BARBARZYŃCY
NOWYCH CZASÓW**

Rozdział pierwszy

O ludziach i mutantach



Tylko u ludzi bywa, że im głośniej ktoś krzyczy, tym słabiej bije. U zwierząt przeważnie jest na odwrót – im głośniej ryczą, tym mocniej gryzą. Dziki ryczą wyjątkowo głośno, a już

ten to mnie prawie że ogłuszył. Akurat zdążyłem wbić w dno wilczego dołu trzeci zaostrzony pal, gdy zwierz zwałił się do jamy, niemalże prosto na moją głowę.

Dziki mutanty nazywa się u nas garbusami – wielkie stwory, o garbach twardych jak kamień i łbach upstrzonych ostrymi kościanymi naroślami. W sumie to czysty fart,

że dzik spadł nie na mnie, a właśnie na pal. Niefartem było to, że nie zdążyłem go porządnie umocować – od uderzenia zaostrzony kół pochylił się i przewrócił.

Ale swoje zadanie zdążył wypełnić, bo brzuszysko garbusowi rozdarł jak się patrzy... co nie przeszkodziło mutantowi rzucić się do ataku. Dzikie są wyjątkowo wredne, z reguły starają się stratować i rozszarpać wszystko, co tylko się porusza i oddycha, a dowolną istotę innego gatunku postrzegają jako natychmiastowe zagrożenie, które należy wdeptać w glebę po same uszy. Cisnąwszy mu w ryj nożem, rzuciłem się ku ścianie jamy, będącej w zasadzie głębokim, szerokim leśnym zapadliskiem. Nieco podcięliśmy jego brzegi za pomocą łopaty, z dna wybraliśmy liście i suche gałęzie. Przede mną wisiała przywiązana do drzewa na górze lina. Podskoczyłem, złapałem za nią, zacząłem się wspinać – i w tym momencie szabla odyńca wbiła mi się w nogę.

Dzika twoja rogata mać, za jakie grzechy?! Ja tu przecież nic złego nie chciałem robić, tylko zwabić go do dziury, poczekać, aż się wykrwawi, odrąbać mu głowę i obdrzeć ze

skóry! Czysty biznes, nic osobistego!

Świat zawirował z bólu, palce ześliznęły się po linie. Aj, trzeba było założyć swoje specjalne rękawiczki!

Na górze ukazała się siwa głowa.

– Trzym się! – Michaił złapał mnie za rękę.

Garbus szalał, rzucał łbem i ryczał. Podkurczyłem nogi, czując, jak krew strużką ścieka mi do lewego buta.

Michaił chwycił mnie drugą ręką, zawisł wychylony za krawędź jamy. Spod rozchełstanej koszuli wysunął się jego wisior – płaskie metalowe puzderko wielkości pudełka zapalek, dyndające na tytanowym łańcuszku. Mój partner natężył się i sapiąc głośno, powoli wciągnął mnie na górę. W dole odyniec prychał, chrumkał i kręcił się w kółko, zachlapując ściółkę krwią.

– W dupę mutanta z takim życiem! – wydyszałem, siadając pod drzewem i ostrożnie podwijając nogawkę. – Skąd się ten palant wziął?! Miał tu przyleżeć za minimum pół godziny, nie wcześniej! Przecież jeszcze nawet zanęty nie położyliśmy!

Rolę zanęty pełnić miało pół worka zgniłych jabłek, w których się lubują dziki garbusy.

One to w ogóle zeżrą wszystko jak leci: żołędzie, orzechy, nasiona, owoce, mięcho... Nawet człowieka bez większego problemu opierdzielą. Ale z jakiegoś powodu zgniłe jabłka są dla nich wyjątkowym delikatesem.

Jamę mieliśmy jeszcze przykryć uprzednio przyszykowanymi długimi żerdziami, potem narzucać na to chrustu i liści, a na wierzchu tego wszystkiego ułożyć jabłka. Zlecenie na dzika dostaliśmy od mieszkańców Oriechowki. Od jakiegoś czasu nękał ich, ryjąc po polach, strasząc kobiety i dzieci, a niedawno zabił pastucha i rozegnał stado chuderławych wiejskich kóz.

Michaił schował wisior za pazuchę. Pochodzenie tej błyskotki było jego zazdrośnie strzeżoną tajemnicą. Nieraz już próbowałem go o to wypytać – co to za wisior, co takiego oznacza, ale partner był nieugięty i nawet po pijaku nie puszczał pary z gęby, aż w końcu odpuściłem. Coś tam ukrywa – jego prywatna sprawa. Już dawno zrozumiałem, że w przeszłości Michaiła były rozdziały, o których nie miał zamiaru nikomu opowiadać.

Mój towarzysz dawno już przekroczył półwiecze, ale trzymał się naprawdę porządnie

i w ogóle był z niego silny chłop. Solidne bary, umięśniony, żylasty, zupełnie jak atleta na emeryturze. No i czuć było w nim wojskową szkołę. Przywykł do dyscypliny, codziennie urządzał gimnastykę, a co drugi dzień sparing ze mną: a to boks, a to zapasy, to znów na noże. Byłem od niego o pół głowy wyższy, dobre dziesięć kilo szczuplejszy i ze dwa razy młodszy, a mimo to zdarzało się, że z trudem nadążałem za nim podczas długich marszy przełajowych.

Marsze takie urządzamy sobie dość często, dzięki czemu zdążyliśmy zwiedzić już prawie całe dostępne terytorium. Las okrążał zabójczym zielonym oceanem stosunkowo niedużą wysepkę, na której wypadło nam mieszkać. A czy gdzieś na Ziemi były inne, podobne wysepki...? Byłem pewien, że muszą być, ale stąd nie było szans do nich dotrzeć. Ja w każdym razie nie słyszałem o ekspedycji, która wróciłaby z głębin Lasu.

– Ranę trzeba szybko opatrzyć – powiedział Michaił.

– Opatrzę, tylko najpierw zatłukę tę świnię rogatą.

Sięgnąłem po mój krótkolufowy „ogryzek”,

czyli TOZ-106. Strzelba leżała na kurtce, narzuconej na przygotowane do ułożenia na pułapce żerdzie. Mój TOZ miał samorobny magazynek na pięć nabojów, a w składaną kolbę wspawane mocowanie, w którym można było trzymać drugi, zapasowy.

– Nie wygłupiaj się – odparł mój partner. – Idź ty swoim burżujskim obrzynem wróble straszyć. To zwykłego dzika strzelać trzeba pod łopatkę albo w szyję, a żeby ubić garbusa, to tylko jak w oko albo w brzuch trafisz. W oko stąd nie strzelisz, a w brzuch to już w ogóle.

– Takiś mądry? To daj swojego karabinka.

Na ramieniu Michaiła wisiał sztucer Tigr, który mój towarzysz ładował wzmocnioną wojskową amunicją. Do strzelania garbusów jak znalazł.

– Nie-a. – Pokręcił głową. – Tygryska ci nie dam. Nie ma sensu przeciwpancernych marnować na dzika, on i tak sam się zaraz zawinie. I w ogóle to przestań mi tu się emocjonować jak baba. Nauczysz się wreszcie kiedyś...?

Zatrzymaliśmy krwawienie, przemyliśmy ranę wodą utlenioną, założyliśmy opatrunek.

W tym samym czasie garbusowi zdecydowanie zaczynało już brakować sił – w końcu jemu nie miał kto zatamować walącej z brzucha juchy, więc słabł z minuty na minutę. Usiedliśmy na skraju jamy, żeby chwilę odetchnąć, ale wtedy Michał trącił mnie w bok, uśmiechnął się, od czego na policzkach zrobiły mu się nieduże dołeczki, i zagaił:

– Dowcip mi się przypomniał. Wpadły raz do jamy cztery mutanty: lis mutant, wilk mutant, zając mutant i Świnia. No i Świnia się odzywa... Co, opowiadałem już? – Musiał domyślić się po mojej minie.

Niekiedy nie mogę się mojemu partnerowi i zarazem przyjacielowi nadziwić. Spokojnie mógłby być moim ojcem – kawał chłopca, dorosły, w latach już, były żołnierz, doświadczony w boju, z niejednego chleba piec jadł. Nauczył mnie całej masy przydatnych rzeczy: sztuki przeżycia w głuszy, taktyki walki, planowania, walki wręcz, strzelania, przekazał mnóstwo zwykłej, praktycznej mądrości życiowej... A przecież od czasu do czasu łapie go taka dziecinada, żeby nie powiedzieć, że zdziecinnienie: dowcipy zaczyna opowiadać, żartować sobie i w ogóle...

Ale ostatecznie świat dziesięć lat po Pandemii, która pochłonęła większość rodzaju ludzkiego, jest krwawy, brutalny, niebezpieczny i mroczny; każdy radzi sobie z tym po swojemu, więc Michaił bierze się za dowcipy i krotochwile, jak dzieciak. Nasze stosunki też zresztą są mocno nietypowe: ani nauczyciel i uczeń, ani partnerzy, ani przyjaciele... Nie trafisz za tym.

Wyciągnąłem kapciuch z resztką machorki, skręciłem cygaretkę. W ogóle to nie palę dużo, chyba że w stresie albo po kielichu. Michaił kopci nałogowo, więc chronicznie brakuje mu deficytowego tytoniu, co przekłada się na ciągły głód nikotynowy. Podpaliłem, zaciągnąłem się i od razu podałem papierosa towarzyszowi. Ten złapał kilka głębokich machów, powiedział:

– A ja się przespaceruję.

Odebrałem skręta, zaciągnąłem się ze smakiem i też się podniosłem. Ostrożnie przeniósłszy ciężar ciała na ranną nogę, zastanowiłem się nad odczuciami. Zrobiłem krok, drugi... Nie jest źle. To znaczy oczywiście, że jest źle, w końcu jak mogłoby być dobrze z taką dziurą, ale da się

wytrzymać. Mogło być gorzej.

Garbus w jamie nagle zaryczał wielkim głosem i rzucił się do ataku na ścianę. Dziabnął ją centralnym rogiem, sterczącym spod dolnej szczęki, rzucił łbem, prując gliniastą ziemię, podskoczył, obrócił się w miejscu i znów zaczął się miotać.

Michaił wyprostował się, poruszył ramionami. Był ubrany dokładnie w takie same, jak ja, kamuflażowe spodnie, wpuszczone w cholewy wysokich butów, i szarą kurtkę myśliwską. Moja, zielona, leżała na żerdziach. Te dwie kurtki razem ze spodniami, butami, namiotem i trzystugramową sztabką srebra dostaliśmy rok temu w zamian za to, że pod Białą Cerkwią pomogliśmy grupie nieszczęśników odbić ich schron z artefaktami z łap bandy, która nadciągnęła z południa.

– No dobra, nasza robota skończona – oświadczył Michaił. – Idź do obozu, bo jeszcze ktoś się napatoczy i nam zwinie namiot, przygotuj kolację. Ja tu poczekam, aż nasz garbus wyzionie ducha, urżnę mu łeb i przyciągnę.

– Mnie przecież dziabnął! – zaproponowałem.

– Ja go chcę zabić. Mało, że chcę, marzę o tym!

Partner podrapał się po plasterku naklejonym na prawym policzku – wczoraj wieczorem zaciął się po ciemku podczas golenia.

– Ależ ty czasem namolny jesteś, Stas. Mówię ci, żebyś do obozu poszedł, bo bez namiotu zostaniemy.

– Zemścić się chcę – naciskałem. – Tam przy komórkach i tak nikt nie chodzi, tylko my. Zemsta jest dobra i przyjemna.

– Zemsta dobrze robi na zdrowie psychiczne, nie przeczę. Ale w tym wypadku masz do czynienia nie z człowiekiem, a z nierozumną bestią. Wiesz, jak to powiedział kiedyś ktoś mądry? Że wybaczać należy tylko tym, którzy zemsty są niegodni. Ot, i ten rogaty prosiak właśnie nie jest godny. Przecież on nawet nic nie rozumie.

– Sam mówiłeś, że garbusy mają załączki intelektu.

– Otóż to: tylko załączki.

Nie odpuszczałem:

– Łeb takiego samca musi ważyć ze trzydzieści kilo, jak nie więcej. Plus do tego

trzeba go oprawić, mięso może i łykowate, ale co, chyba nie chcesz go tutaj zostawić? Straszne marnotrawstwo by było. Uwędzić, zasolić...

Może część Sigizmundowi przerzucić albo sprzedać tutejszym. No i co, jak to wszystko sam przeniesiesz? Mieliśmy przecież zrobić włóki. Sam nie dasz rady.

– A ty już tym bardziej z twoją nogą.

Michaił popatrzył w zadumie na niebo. Południe dawno już minęło, w koronach drzew szumiał wiatr, szeleszcząc liśćmi. Była wczesna jesień – robiło się chłodno, ale jeszcze nie przyszły przymrozki, nocami spaliśmy bez ogniska. Od niedużej dąbrowy, gdzie rozłożyliśmy pułapkę, były jakieś trzy kilometry na południowy zachód do Oriechowki. A na wschodzie rozciągała się duża połać Lasu. Właśnie stamtąd, z zabójczego dla ludzi zmutowanego matecznika, wyłaził ten odyniec garbus, który tak dał się we znaki tutejszym.

Miałem swój pomysł na rozwiązanie tej sytuacji, ale mój towarzysz obwieścił go pierwszy:

– Trzeba będzie obóz przenieść tutaj.

Komórki, jasna rzecz, lepsze, ale... Dobra, to ty zostań tutaj, poczekaj, aż garbus zdechnie. Ja wezmę płachtę, plecak i jedzenie. Weź no popatrz na mnie...

Popatrzyłem. On przypatrzył mi się uważnie i zapytał:

– W głowie ci się nie kręci? Rzygać się nie chce?

– Gdzie tam, wszystko gra. Rana jak rana, nie pierwszy raz przecież, dobrze jest.

– Dobra, to czekaj, a ja niezadługo będę.

Michaił wziął ode mnie cygaretkę, zaciągnął się ostatni raz, oddał mi i poszedł.

Dopaliłem, naciągnąłem kurtkę. Pogroziłem garbusowi kułakiem. Tamten prychnął, tupnął ciężko na dnie jamy, od czasu do czasu stawał i rzucał łbem. Szyi jako takiej te stwory praktycznie nie mają, korpus przechodzi od razu w kanciasty łeb ze sterczącymi na wszystkie strony rogami. Oczu nie widać, tylko ciemne szczelinki w fałdach twardej, szczeciniastej skóry.



– Zastrzelić by cię, brzydalu! – warknąłem wściekle, nadal zły na siebie i dzika za to, że w tak prostej operacji dorobiłem się dziury w łydce i bólu dupy... znaczy się nogi, na dobre półtora tygodnia.

Garbus w odpowiedzi zahuczał i przewrócił się na bok; zobaczyłem, że całe brzucho ma utyłane krwią. Podniósł się z wysiłkiem, znów zaczął łązić dokoła jamy. Nie było mi go szkoda ani na gram – litościwi w naszych czasach żyją krótko. Mutant przyczynił się do śmierci co najmniej jednej osoby, przez niego mieszkańcy Oriechowki stracili kilka kóz, co dla mieszkańców chutoru mogło oznaczać perspektywę rychłego głodu i kolejnych śmierci. Krótko mówiąc: w wilczym dole pod mną kręcił się pomiot Lasu, który należało bez wahania tępić. Tyle, i ani słowa więcej. Za tę robotę przyobiecano nam dwadzieścia nabojów do tigra, trzy dziesiątki do mojego obrzyna, dużą paczkę zapalek sztormówek i pięć sporych puszek konserw. W naszych czasach podstawową i powszechnie akceptowaną walutą stały się stare monety jedno i dziesięciorublowe oraz sztabki srebra i złota. Walutą równoległą można było nazwać

różnego kalibru amunicję. Michaił twierdził, że podczas Pandemii zginęło około dziewięćdziesięciu-dziewięćdziesięciu pięciu procent ludności, a zatem procentowy stosunek ilości nabojów w magazynach wojskowych na jednego żywego człowieka zdecydowanie wzrósł. Tylko i wyłącznie dlatego mogliśmy jeszcze strzelać z broni palnej, a nie popylać po lasach z lukami i procami.

Spieszyło mi się do rychłego powrotu na Oriechówkę z jeszcze jednego powodu. Otóż gdy wychodziliśmy na łowy, Lerka – córka starszego wioski – bardzo wieloznacznie na mnie popatrywała, a na moją propozycję zawarcia bliższej znajomości dała mi do zrozumienia, że jeśli wrócimy z głową upolowanego odyńca, na to i owo będę mógł liczyć.

I właśnie wtedy garbus zdechł. To znaczy, słowami Michaiła – zawinął się do lepszego świata. Wyciągnął kopyta. Zaliczył zgon. Swoją drogą, o wiele wcześniej, niż się spodziewałem. Ni z tego, ni z owego nagle posępnie, dojmująco zaryczał i zaczął się cofać. Pierwszy raz w życiu coś takiego widziałem,

żeby się samiec garbusa cofał. Normalnie się przed nikim ani niczym nie cofają, nawet przed ciemnymi leszymi, nawet przed niedźwiedziami samotnikami. Najwyraźniej teraz dzik musiał ujrzeć przed sobą straszliwe lico nieuchronnej zwierzęcej śmierci. Potem znów przewrócił się na bok, wierzgnął racicami – i oddał ducha Lasowi.

Odczekałem kilka minut, żeby mieć pewność. Mutant nie poruszał się. Rzuciłem w niego kilka kamyków, przy czym dwa trafiły prosto w rozpruty brzuch – no, tego by żaden garbus nie zniósł. Wziąłem długą żerdź, dźgnąłem truchło raz i drugi. No dobra, to by było na tyle. Świnka gotowa.

Uzbroiwszy się w siekiere, zszedłem na dół, podniosłem z ziemi nóż, którym zacinałem wcześniej pale, podsunąłem się od strony brzucha i dźgnąłem garbusa w ranę. Nic, nawet nie drgnął. Trup aż miło.

Wyciągnąłem zza pasa siekiere. Takie karczycho rąbać to zupełnie jakby drzewo ścinać. Tam przecież są kręgi szyjne jak pnie, a skóra niczym dębowa decha... No ale trudno, nie pierwszy raz i nie ostatni. Splunąłem w dłonie, złapałem mocniej

trzonek, podniosłem nad głową... I zamarłem.

Opuściłem siekierę. Zmarszczyłem czoło. Wsłuchałem w ciszę. Zdawało mi się – czy padł strzał? Jak gdyby za lasem...

Jeszcze dwa kolejne! Ki czort, kto tam strzela?

Z dna jamy nie można było określić, skąd dobiega dźwięk. Ot, do diabła, a jeśli to Michaił się tam na kogoś natknął?! Czasu minęło niemało, przecież powinien już albo kończyć zwijanie obozu, albo wracać.

Kolejny strzał. Oj, niedobrze, niedobrze... Wylazłem z jamy.

Za dąbrówką rozciągała się nizinka, a za nią wznosił nieduży pagórek. No, nawet nie tyle pagórek, a taki płaski, niewysoki garb. Trzymając policzek oparty o obciążoną wiewiórczym futerkiem kolbę śrutówki, wspiałem się na górę – i usłyszałem w oddali szum silnika. Sądząc po dźwięku, zbliżały się motocykle.

Na szczycie pagórka stała sobie przechylona na bok szopa, obrośnięta rozłożystymi łopianami. Krzywe ściany, w dachu więcej dziur niż klepek – ot, właśnie tam rozłożyliśmy się obozem. Nikt nigdy tutaj

poza nami nie zaglądał, ile razy byśmy tu nie przychodzili, w życiu nikogo nie widzieliśmy, ani nawet śladów.

Mój obrzynek jest leciutki, raptem dwa i pół kilo. Ma nieco krótki spust, ale idzie się przyzwyczaić. Palec trzymałem gotowy w kabłąku... Wystawiwszy przed siebie lufę, ruszyłem ku dziurze w ścianie szopy. Zajrzałem do środka.

Ścisnęło mnie w żołądku, zimna struga potu poleciała między łopatkami. W szopie było pusto. To jest – zupełnie pusto. Ani naszych rzeczy, ani zawiniątka z namiotem, ani plecaka. Przez dziury w dachu wpadały promienie światła, rysując jaśniejsze plamy na drewnianej podłodze. W szczelinach między deskami powyrastała trawa, w rogach zalegały hałdy ziemi, pośrodku pomieszczenia leżał kawał pordzewiałej blachy pod ognisko, teraz pokryty tylko warstwą popiołu i wypalonych węgla.

Niech to Las pochłonie, gdzie się podział mój towarzysz?! Od razu przez głowę pogalopowały nefajne myśli, przypomniały mi się opowieści o znikających ludziach, których jakieś dziwne stwory porrywały rzekomo w

głębiny Lasu. Było takie miasteczko pod Kijowem – Bojarka bodajże... Pewnego pięknego dnia zniknęli z niego wszyscy mieszkańcy, i to bez śladu – ani krwi, ani śladów walki, nic nie zostało. Nic.

Ale zaraz – tutaj jest krew! O, ciemne, wilgotne plamy na ścianie przy dziurze w przeciwległej ścianie szopy. Wodząc z lewa na prawo moją śrutówką, podszedłem bliżej, wyjrzałem na zewnątrz.

Łopiany były połamane i zdeptane. Przedarłszy się przez zarośla, zauważyłem, że hen, daleko pośród pustki, ktoś jedzie, oddalając się od dąbrowy. Co my tam mamy...? Chyba para motocykli i coś większego, jak gdyby quad? Lornetka by się przydała, ale nie miałem ani lornetki, ani nawet celownika optycznego. No nie miałem, do diaska, a tak by się teraz przydał! Nie było szans, żeby dojrzeć cokolwiek bardziej szczegółowo z tej odległości, tym bardziej że za maszynami ciągnął się błękitny obłoczek spalin. Tak mi się tylko wydawało, że na jednym z motorów mignęło coś czerwonego – jak gdyby pasażer w jaskrawej kurtce albo koszuli.

Na skraju łąki znalazłem koleiny ze śladami opon, a przypatrzwszy się, doszedłem do wniosku, że poza dwoma motocyklami musiał tu być też trójkołowiec. Sprzętu jeżdżącego w okolicy nie było wcale tak dużo – w sensie kołowego, ale faktycznie jeżdżącego. Problemy z benzyną – bo skąd ją brać? Przecież w przeciągu kilku lat traci właściwości, lżejsze frakcje po prostu odparowują, choćbyś kanister nawet zaspawał. Dłużej da się przechować tylko niskooktanową, ale tyle lat po Pandemii nawet jej ze świeczką szukać... Chociaż benzynę jakoś tam wzbogacają tymi specdodatkami, ale też weź je i znajdź. Rzecz jasna, jest jeszcze diesel, ten dłużej postoi, tylko znów – skąd go brać? Tak więc transportu pod dostatkiem, a jeździć nie ma czym.

Motocyklami najczęściej jeżdżą koczownicy Czarnego Rynku. Bajkerzy... Chociaż trójkołowców jakoś wcześniej w ich autoparku nie widywałem. Nietypowy pojazd, tym łatwiej będzie tę bandę znaleźć. Chyba. O ile się nie pomyliłem przy odczytywaniu śladów.

Od tego biegania rozbolała mnie noga. Kulejąc, wróciłem do szopy i usiadłem ciężko

przy ognisku.

Całkiem możliwe, że to właśnie brygada bajkerów przypadkiem natknęła się na nasze obozowisko i połakomiła na sprzęt i zapasy. Ale wtedy by zabili Michaiła. Albo zostawili rannego tutaj. Chociaż raczej by zabili, bo po co zostawiać za plecami potencjalnego wroga?

Koczownicy nie mieliby powodu, żeby porywać mojego partnera – ani żywego, ani martwego. No więc po co go zabrali? Chyba że leży gdzieś tu martwy w krzakach. Zacząłem podnosić się, żeby znów wyjść na dwór i poszperać w zaroślach, ale zauważyłem coś błyszczącego pod krawędzią stalowej płyty. Pogmerałem pod nią palcami i wyciągnąłem wisior na tytanowym łańcuszku.

Spochmurniałem, obracając znalezisko w rękach. Do tej pory ani razu nie miałem szansy nawet dotknąć tej błyskotki... A przecież niemożliwe, żeby wisior tak po prostu zsunął się Michaiłowi z szyi – chyba że sam go ściągnął, gdy rzucili się na niego koczownicy, i wcisnął pod płytę. Schował, żeby nie wpadło tamtym w łapy. I pewnie, żeby ja znalazł. Przecież wiedział, że będę tu węszyć, próbując zrozumieć, co i jak się

wydarzyło.

Podrapałem się po głowie. Wystrzały padły cztery, a ile ze strony Michaiła – nie wiadomo. Musieli go postrzelić, rannego pewnie związali, bo sam by raczej nie poszedł z koczownikami. Złapali, związali i wywieźli. Ale on zostawił mi ten medalion.

Raz jeszcze popatrzyłem na świecidełko. Metalowa blaszka z uszkiem, przez które przewleczono cienki łańcuszek. Czort wie, do czego to może być...

I wtedy zauważyłem szkic na stalowej płycie – przy resztkach ogniska wyrysowany był węglem drzewnym nierówny okrąg, a w nim litera V, przekreślona zygzakiem podobnym do błyskawicy. Michaił to rysował czy jak? Jakaś wiadomość dla mnie...? Tylko że patrzę na ten rysunek i nic mi to nie mówi, z niczym się nie kojarzy.

Jednym słowem, jest niewesoło. A co gorsza, zupełnie nie rozumiem: po jakiego radioaktywnego grzyba zabrali go ze sobą bajkerzy-koczownicy? A to przecież niebezpieczni chłopcy, z nimi trzeba ostrożnie. Skórzane kurtki, ćwieki, kolce, dopalacze, karty, broń i benzyna, nieogolone mordy,

czarne rękawiczki, rewolwery, obrzyny, skrócone kałasze i pistolety maszynowe, strzelby-pompki... Taaak. Piękne, malownicze połączenie ogromnego paramilitarnego klubu motorowego i dzikiej tatarskiej ordy – oto Czarny Rynek w dwóch zdaniach. Ale przecież nijak im na odcisk nie nadepnęliśmy, żadnemu z ugrupowań, band i organizacji nie pchaliśmy się przed oczy. A może porwanie ma jakiś związek z przeszłością Michaiła? Przecież on sam dziwnie mało o tym mówił, a o ostatnich latach przed Pandemią nie wspominał nawet po kielichu. Z jakiegoś powodu pięć lat jego życia skrywała zasłona milczenia, której ani myślał uchylać. Z rodziną ani krewnymi nie miał kontaktu, nie wiem nawet, czy jakichś miał. Żadnych znajomych, towarzyszy broni... Nic. O nikim nie słyszałem ani słowa. No, wyjątkiem był tylko Sigizmund, były szef zaopatrzenia z bazy wojskowej, z którym Michaił znał się jeszcze przed Pandemią, a do którego nie raz i nie dwa zaglądaliśmy. Sigizmund miał na Czarnym Rynku swoją namiotową knajpę. Zdarzało nam się przywozić na jego grilla mięso rzadkich mutantów.

Tak, Czarny Rynek to dopiero miejsce. Jego centrum, całe pachnące dymem ognisk, oparami spalin, potem, prochowym dymem i krwią, nazywane jest po prostu Kwaterą. Tam gnieździ się Chan i jakiś tuzin band, stanowiących podstawę bajkerskiej ordy. W najbliższej okolicy stoją obozami pozostałe brygady, najemnicy, myśliwi, handlarze, kłębiący się tam jak trutnie wokół ula – to odlatując dalej, to znów przybliżając się ku centrum, okazjonalnie rozkładając się na pograniczu Kwatery albo przenosząc dalej od niej.

No i co miałem począć? Zrobiłem kółko po szopie, przerzucając wisior z ręki do ręki. Ech... Jak ktoś ma wielu przyjaciół, to nie ma ani jednego. Przyjaciel – to zawsze ten jedyny, prawdziwy, a cała reszta to zwykli, pospolici znajomi i koledzy. Niezależnie od dzielącej nas przepaści wieku, Michaił już dawno przestał być moim nauczycielem, a stał się przyjacielem. Jedynym, jakiego miałem przez całe życie.

Wyszedłem na zewnątrz, popatrzyłem w kierunku, gdzie zniknęli porywacze. Stąd do jądra ciemności Czarnego Rynku miałem

jakieś dwanaście kilometrów. Dojdę tam jeszcze za dnia.

Zawiesiłem medalion na szyi, przerzuciłem strzelbę na plecy. Kulejąc, ruszyłem przez łąkę.

Rozdział drugi

Czarny Rynek



Każdaś usłyszałem już na skraju miasta. Chociaż, jakie tam miasto, ruiny jak okiem sięgnąć. Pośród morza gruzów i hałd wielkiej płyty stał relatywnie jeszcze cały kilku piętrowy blok, za

którym coś się działo. Dolatywał do mnie gwar głosów, okrzyki... Chyba nikt się tam nie bił, ale i tak należało uważać.

Po drodze wyjąłem i naciągnąłem rękawiczki. Skórzane, z materiałowymi wstawkami i poobcinanymi opuszkami palców. Rękawiczki miały swoją małą tajemnicę – malutką, ale znaczą. Kto wie co się może wydarzyć na Czarnym Rynku...?

Noga bolała mnie nie na żarty, ale i tak

staralem się maszerować zwawo. Obszedłem blok łukiem przez zarośnięty burzanem ugór – i zobaczyłem tłum ludzi w dzinsach, czarnych ramoneskach i innych skórach. Na poboczu stały motory – głównie crossy i choppery, pomiędzy nimi kilka rozchwierutanych ciężarówek, orurowany dzip z uciętym dachem i jakiś sedan z drzwiami obitymi skórą zwierząt.

Sporo się ich zjechało, sądząc po bogactwie auto-parku. Chyba większość okolicznych band ściągnęła... Tylko po co?

Tłum hałasował i przelewał się to tu, to tam. Słysząc było, jak ktoś gardłuje przez megafon. Głowy ludzi zasłaniały mi widok, więc rozejrzałem się i wdrapałem na pobliski balkon. Poprzez wyłamane drzwi widać było wewnątrz dawno już rozszabrowanego mieszkania. Pod ścianą pobłyskiwały bladozieloną iluminacją trzy nierówne krystaliczne kolumny, podobne do zrobionych ze szkła drzew. Powykrzywiane, z odgałęzieniami i naroślami, świeciły delikatnie w rytmie to rozbłyskujących, to gasnących wewnątrz nich szmaragdowych plamek. Geody, tak się nazywały te cosie. A całość

razem – to anomalia „kryształ”. Radioaktywna, najczęściej pojawiała się w budynkach. W starszej anomalii geody świecą niebieskawo, a skoro te były bladozielone, to znaczyło, że „kryształ” jeszcze niedojrzały i na razie nie promieniuje. Ale i korzyści z niego żadnej, bo jeszcze nie rodzi artefaktów.

W ogóle wszelkie dziwne rzeczy na planecie zaczęły się niezadługo przed Pandemią, kiedy ludzie po raz pierwszy zwrócili uwagę na rozrastający się Las. Ja tych czasów prawie nie pamiętam, ale Michaił opowiadał, że zaczęły się wtedy pojawiać nowe szczepy bakterii, potem owadów, przyspieszyły mutacje, więc nagle zaczęły mnożyć się najróżniejsze wcześniej nieznanne zwierzaki. No a potem uczeni ogłosili coś takiego, że cały świat aż wstrzymał dech: okazało się, że na terytorium zajęтым przez Las – a wtedy to był jeszcze zwykły las, z małej litery, i ludzie mogli po nim chodzić – znacząco przyspieszyła degradacja i przetwarzanie substancji toksycznych. To znaczy Las rozpuszczał w sobie cały ten syf, wszystkie odpady, śmieci i chemikalia, które wtedy w ogromnych ilościach produkowaliśmy, zamieniając je w

przedziwne anomalie, czasami pojawiające się nawet w miejscach, do których pozornie jeszcze nie dotarł. Wyjaśnień dla tej zadziwiającej własności Lasu naprodukowano bez liku. Niektórzy twierdzili, że jego korzenie i grzybnia dały radę przeniknąć pod ziemią na dziesiątki kilometrów pod „czystymi” terytoriami. Inni z kolei uważali, że Las może poprzez pole elektromagnetyczne Ziemi wpływać z dystansu na warunki geograficzne, szykując nowe regiony dla swej ekspansji.

Michaił uwielbiał prowadzić wieczorne rozmowy przy ognisku na takie właśnie tematy. Zresztą to właśnie on zmusił mnie do przeczytania kilku podręczników, które wygrzebaliśmy w porzuconej szkole. Ale jeśli odłożyć na bok te wszystkie wymądrzania się, to stwierdzić z całą pewnością można było tylko jedno: dowolny typ anomalii był co najmniej nieprzyjemny, a przeważnie śmiertcionośny.

Jakkolwiek niespecjalnie się czułem, stercząc tak zaraz obok „kryształu”, ten nie był na razie niebezpieczny, o ile tylko unikało się chwytania za geody. Kontuzjowana noga bolała jak diabli, więc nie myślałem nawet o

przełożeniu na drugi balkon, tylko usiadłem sobie na barierce, przysłaniając dłonią oczy od słońca.

Tłum zgromadził się wokół dawno wyschłej okrągłej fontanny, w której centrum postawiono zbite z desek podwyższenie. Na szczycie konstrukcji ułożono stos chrustu i gałęzi, na którym z kolei spoczywał ubrany wyłącznie w spodnie czarnobrody mężczyzna. Jego ogromny, błydy brzuch sterczał ku górze. Obok niego na platformie podskakiwał kudłaty konus w dżinsowych bryczesach i wysokich kowbojkach, wrzeszcząc do megafonu:

– Żołnierzem jest się z zawodu! Walczy się z potrzeby chwili! Ale wojownikiem jest się z głębi duszy! Wielkim wojownikiem był Boszka Chmiel! Przedwcześnie odebrano go naszej Wielkiej Ordzie, i teraz płaczą nasze serca! Kula podłego włóczęgi przerwała nić życia Boszki! I mało nam tego, że włóczęgę przybito gwoździami do drzewa! Nic nie wróci nam towarzysza i druha naszego! Wieczna pamięć ci i sława, Boszko Chmielu, respekty i szacun po wiek wieków!

Tłum zaszumiał głośniejsz. Kudłaty wzniósł

nad głową usiany kropkami nitów czarny pasek, z którego zwieszały się pochewki noży i kabura.

– A oto i pas naszego przedwcześnie zgasłego towarzysza Boszki, który zaraz po pogrzebie pójdzie pod młotek! Tak jak i ramoneska niepowstrzymanego Boszki, zszyta ze skóry cętkowanego knura, oraz jego glany i bandana! I najważniejsze: obrzyn potężnego Boszki Chmielą, wielkiego wojownika, masakratora mutantów!

Z tymi słowami mistrz ceremonii rzucił pasek długonogiej panience w szorcikach i futrzanej kurteczce założonej na gołe ciało, która kręciła się nieopodal platformy. Zaraz obok, pod ochroną trzech uzbrojonych siepaczy w czarnych kaskach, stał stolik z rzeczami po zmarłym. Paniusia złapała pasek w locie, pomachała nim wyzywająco, zakręciła biodrami, jak gdyby do paska dorzucając w bonusie też nieliczne co nieco, i odłożyła go na stół.

Michał zawsze nazywał koczowników barbarzyńcami nowych czasów właśnie z powodu iście paleolitycznych zwyczajów Czarnego Rynku. Ludzie mówili, że co

poniektóre bandy składają nawet ofiary. Wolałem nie wnikać, czy na chwałę swoich pogańskich bóstw rzezają ludzi, czy mutanty. Bajkerzy uważali też, że siła wojownika przechodzi w jego wyposażenie – niby że skóra albo bandana po jakkolwiek potężnym, ale teraz niezaprzeczalnie martwym lokalnym fajterze miała uratować człowieka przed kulką. Kto by w coś takiego uwierzył? A wśród koczowników nie wierzył mało kto. Ubrania i wyposażenie zmarłych albo palono razem z nimi, żeby służyły właścicielowi dalej w życiu pozagrobowym, albo od razu po pogrzebie sprzedawano chętnym. Decyzja zależała pół na pół od życzeń zmarłego i tego, co sobie postanowili jego popiecznicy i bliscy.

Kudłaty prowadzący w dzinsowych bryczesach teatralnym gestem wyszarpnął z kieszeni wielką, połączoną zapalniczkę. Pojawił się płomyczek.

– Nadeszła pora podpalania! – wrzasnął, a tłum zawył. – Niech stanie się ogień!!!

Setka karabinów i pistoletów podniosła się ku górze, huk wystrzałów zadudnił pomiędzy ruinami, zabłysnęły iskry z prochu nienadążającego spalać się w oberżniętych

lufach.

Płomienie strzeliły ku górze, kłęby ciemnego dymu zasłoniły fontannę. Kudłaty zeskoczył pospiesznie z platformy, żeby przypadkiem z rozpędu samemu nie dołączyć w Krainie Wiecznych Łowów do przedwcześnie odebranego wszystkim Boszki Chmielą, megawojownika i masakratora wszystkiego, co się rusza. Musiało im się tam mocno ciepło zrobić od ognia, bo prowadzący krzyknął do ochroniarzy, którzy podnieśli i przesunęli stół nieco dalej od pałającego żarem stosu pogrzebowego.

Podniosłem się, zauważywszy, że na ocembrowaniu fontanny siedzi jeszcze kilku koleś w czarnych kaskach – więcej ochroniarzy, pewnie, żeby tłum nie zaczął przedwcześnie dzielić majątku zmarłego. Ludzie tymczasem wściekali się, darli i strzelali, wielu wymachiwało wyblakłymi flagami, bo koczownicy mieli do nich upodobanie. Jakiś inteligent podrzucił w powietrze butelkę, sieknął do niej z pistoletu. Szkło posypało się na głowy sąsiadów, a ci jak jeden mąż zaczęli okładać go pięściami.

A może faktycznie ten cały Boszka był na

tyle sławnym wojownikiem, że to na jego pogrzeb się zjechały wszystkie okoliczne bandy, teraz stojące obozem w okolicy? No, oczywiście ten i ów mógł się nie zjawić, ale coś takiego klan Boszki uzna za zniewagę. Na pogrzebach zresztą co i rusz wybuchała jakaś wendeta albo po naszymu „wróżda” – nie zjawić się na ceremonii to jak plunąć w twarz rodzinie nieboszczyka.

Czyli co – porywacze Michaiła też tu będą? Albo może chociażby ktoś od nich, jakiś reprezentant bandy?

Oparłem się o ścianę ręką, wyprostowałem na tyle, na ile pozwalała obolała noga. Zmrużyłem oczy, próbując wypatrzeć cokolwiek konkretnego w tym tłumie.

O ile widziałem, to pomiędzy stojącymi wszędzie dokoła maszynami nie było ani jednego trójkołowca.

Pytanie: na ile mogli mnie wyprzedzić porywacze? Oni jechali, ja szedłem, starałem się podbiegać, ale kulałem, więc tempo miałem słabe... Ale i oni nie po asfalcie pruli, bo przecież normalnych dróg teraz ze świecą szukaj, a po polach i bezdrożach. Rozpędzić się nie mieli gdzie, bo od razu człowieka wyrzuca

z siodełka i kraksa gotowa. Zatem pewnie mieli ze trzy godziny przewagi.

Platforma w centrum fontanny płonęła, zapach spalenizny niósł się po okolicy. Trzeba iść, pomyślałem sobie. Namiot Sigizmunda będzie jakiś kilometr stąd, na skraju placu miasteczka. Pogadam z nim, potem pokombinuję, co robić dalej.

Już, już chciałem schodzić, kiedy po lewej od fontanny mignęła mi jaskrawa plama – ktoś w czerwonej koszuli odłączył się od tłumu. Czy to przypadkiem nie ten sam, co wtedy? Sążnistymi krokami ruszył w głąb ruin osiedla, więc i ja zeskoczyłem na dół, żeby pójść za tym gościem.

Noga trafiła na jakąś nierówność, ból walnął mnie w ranę jak młotem. Krzyknąłem, upadłem na bok, kolba strzelby wbiła mi się pod zębra.

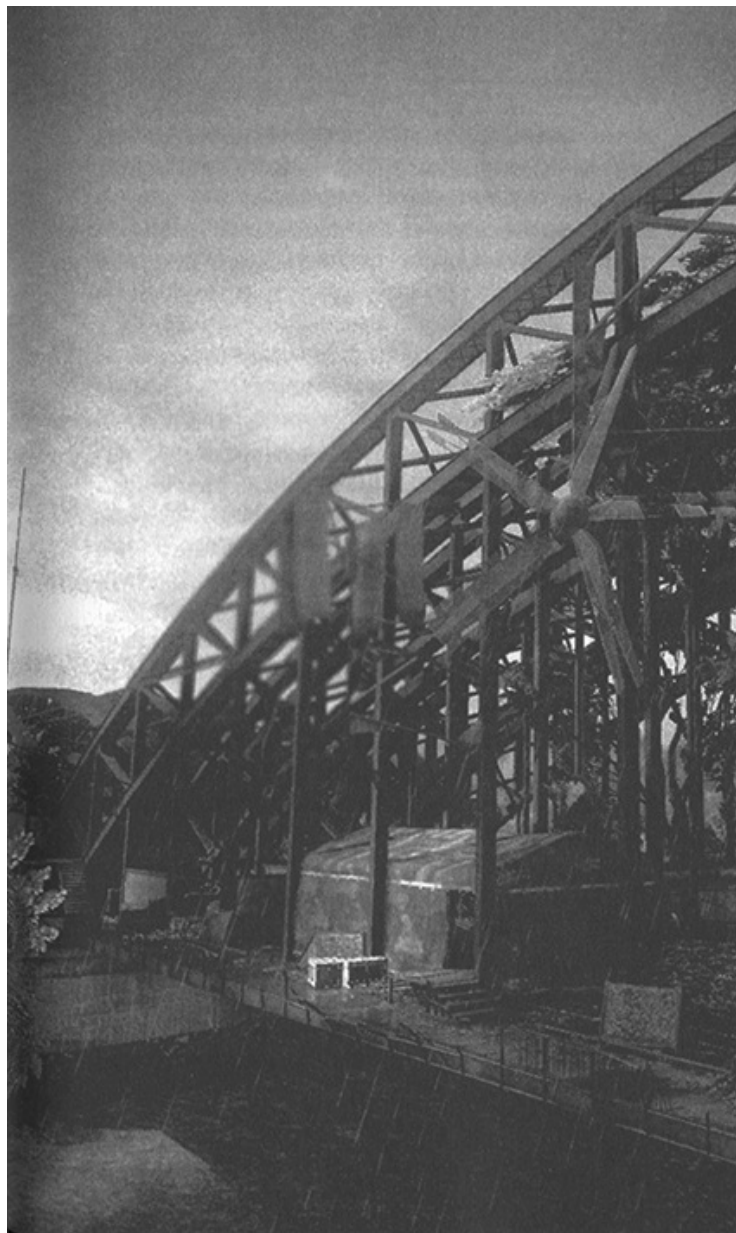
Zgrzytając zębami, przekręciłem się na plecy, podciągnąłem kolano do piersi, zacząłem obmacywać kostkę. Wrażenie miałem takie, jakbym spadł z dziesiątego piętra, z tym że zamiast kulturalnie rozmaszować się na betonie, przeżyłem. Kiedy ból nieco odpuścił, usiadłem, potem jakoś podniosłem

się do pionu. Poprawilem śrutówkę na ramieniu, bardzo ostrożnie przenieśliem ciężar ciała na zranioną nogę, zrobiłem na próbę krok, potem drugi... No, chyba już trochę lepiej. No dobra, czas leczyć rany, podstawa to w trakcie kuracji nie zdechnąć.

Kulejąc, puściłem się śladem czerwonej koszuli. Szerokim łukiem wyminąłem zgromadzenie, żeby przypadkiem nie wplątać się w jakąś drakę – było tu pełno pijanych koczowników, a każdy jeden mógł o byle co się przyczepić: a to nie tak spojrzę, a to nie tak ubrany jestem... Jak na tutejsze standardy, moje łaszki były trochę zbyt – no, były zbyt wsiowe. Ubogie. Dla bajkerów-koczowników liczy się status, który podkreśla się właśnie ubiorem. Ilość i wielkość ponaszywanych na kurtki i wydzianych na przedramionach trupich czaszek, jebitność sprzączek, grubość kajdana na szyi... Wszystko to podobno ma swój sens. Michaił twierdził, że ta biżuteria i tatuaże są dla czarnorynkowców tym, czym barwy wojenne i pióropusze dla Indian, a ja w mojej myśliwskiej kurtałce, spodniach w kamo i brudnych butach wyglądałem jak jakiś rolnik oderwany granatem od pługa. No, nie znaczy

to, że każdy obowiązkowo będzie mnie tu gnębić – w końcu myśliwych i handlarzy na Czarnym Rynku też nie brakowało, więc tu nie takie ciuchy i mordy widywali – ale w pijany, nabuzowany tłum lepiej się nie pchać.

A czerwona koszula zniknęła. Próbowałem przyspieszyć kroku, ale zyskałem tylko tyle, że noga zaczęła boleć mocniej. Minąłem ulicę porytą jak po ogniu artylerii, potem szereg namiotów, w których mieszkali handlarze, były warsztat samochodowy... Kiedyś było tu pusto, teraz na wyasfaltowanym placu z kanałem remontowym i budyneczkiem garażu rozłożyła się jakaś banda. Dostrzegłem ciężarówkę z żelazną krypą bez okienek, na której siedziało dwóch bajkerów pod bronią, obok kanału stały dwa motocykle. Jeden nawet z przyczepą, ale co z tego – to nie był trójkołowiec.



Zmierzchało, słońce chowało się za ruinami. Placyk też usiany był lejami i dziurami, wszędzie wysepki połamanego asfaltu, wyrwy i pagórki pozarastane burzanem. Po przeciwległej stronie, nieco mniej nadgryzionej zębem czasu i wojny, stała Jurta.

Już gdy wyszedłem na plac i rozejrzałem się, uświadomiłem sobie, że koczownika w czerwonym zgubiłem. Chociaż mógł to być zupełnie nie ten... Ale mógł być ten! I gdzie, jak go teraz szukać?

Po placyku ciągnęły się długie cienie, robiło się chłodnawo. Tylko patrzeć, jak zapadnie noc. Rozglądając się na boki, czy gdzieś nie mignie mi czerwona plama, ruszyłem ku Jurcie.

Ruchoma nieruchomość Sigizmunda była konstrukcją – delikatnie mówiąc – złożoną. Jurta składała się z grubego wojskowego brezentu, skór, futer, desek, blachy falistej i eternitu; od jej centralnej części odchodziło kilka korytarzy, a w dodatku do niej dostawiono jeszcze cztery inne namioty, przy czym dwa były pełnowymiarowymi sztabówkami z oddzielną konstrukcją i

planem przestrzennym. Wszystko to, poprzegradzane drewnianymi słupami, linkami naciągów, ściankami działowymi z desek i blachy, tworzyło istny labirynt, w którym mieściły się dwie przytulne sypialnie do wynajęcia za stosunkowo niewygórowaną cenę, dwie przestronne sale gościnne i składy. W samym centrum konstrukcji ukryta była betonowa budka dawnej podstacji transformatorowej, której drzwi Sigizmund wzmocnił ryglami i zamkami, używając jako składu rzeczy szczególnie cennych. A do tego pod Jurtą znajdowała się jeszcze spora piwnica-ziemianka, w której przechowywano żywność.

Od czasu do czasu Chan podejmował decyzję o zmianie miejsca, a wtedy Czarny Rynek przekoczowywał gdzie indziej – ale tu stał już długo, więc i Sigizmund zdążył się okopać. Swoją drogą: ciekawe, co z Jurtą zrobi, kiedy Chanowi znudzi się to miejsce?

Noga nadal nie dawała spokoju. Powlócząc nią, podszedłem ku wejściu, przy którym na niedużym taboreciku siedziało wielkie chłopisko w dżinsach ze skórzanymi łatami na kolanach, ubrane w rozpiętą po sam czarny

pępek koszulę z oderwanymi rękawami. Drab już dłuższy czas się na mnie gapił, więc gdy podszedłem, zmierzył mnie leniwie sceptycznym spojrzeniem i rzucił:

– Co, pewnie z Lasu?

– Sig u siebie? – Zrobiłem krok do środka.

– Stać! Gdzie leziesz, kmiecie leśny?

Odwróciłem się do niego, a ten wyciągnął przed siebie nogę, zagradzając nią wejście niczym kłodą. Wielki jak brzoza, głupi jak koza... Oparty o taboret stał sobie czarny gumowy młotek na długim trzonku. No tak, lokalny wykidajło.

– Co, zaschło w pysku? Tutaj za darmo to tylko w ryj dostaniesz.

– Nudzisz się? – zapytałem grzecznie. – Taką masz zabawę, że odstraszasz klientów od lokalu?

– A jaki tam z ciebie klient, mutant cię jechał? Nawet na normalne ubranie grosza nie masz... Patrzcie go, klient się znalazł!

Wielkolud na prawym bicepsie – grubym jak trzy moje – wytatuowany miał byczy czerep. Wykidajło skrzywił się, splunął mi pod nogi, trafiając prosto na but.

– Bujaj worki do swojego Lasu, dziadu.

– Najgłośniej szczekają kundle, a już najbardziej te bezzębne – rzuciłem mimochodem.

Zatrybił nie od razu. Dobre trzy sekundy rozważał ukrytą w moich słowach wielką tajemnicę, a dopiero potem zstąpiło na niego... nie, nie olśnienie. Raczej złość. Zaczął się podnosić, wyszczerzył zęby – i wtedy zza moich pleców rozległ się kobiecy głos:

– Cegła, czyś ty zgłupiał? Na co ty sobie pozwalasz?

Obejrzałem się przez ramię – i przegapiłem cios.

Wykidajło o przydomku Cegła złapał swój młotek i rąbnął mnie nim prosto w piersi.

Nogi się pode mną ugięły, upadłem na plecy, spróbowałem usiąść, ale on kopnął mnie butem na płask w twarz, rozbijając wargi i odrzucając w tył.

– Waruj, suko mutancka! Kiedy człowiek ci mówi „waruj!”, to robisz waruj! Jak człowiek powie „czołgaj się!”, to się czołgasz! Rozumiesz?!

– Cegła, dość!

W polu widzenia pojawiła się ciemnowłosa dziewczyna z wiadrem. Wolną ręką złapała

draba za ramię, ten odepchnął ją, zatoczyła się i prawie upadła.

Oj, nie powinien był tego robić... Co prawda jechał mutant dziewczynę, co mi po niej? Ale bysio nie powinien się dekoncentrować, powtarzać mojego błędu, tym bardziej że stał dokładnie obok mnie.

Podniosłem się na łokciu, a potem zrobiłem krótki prosty prawą, jak to nazywa Michaił. Tylko że uderzyłem nie w szczękę, jak by należało, a w opięte dżinsami krocze. Nie tak znów łatwo wyprowadzić cios w tak typowe miejsce, gdy uderza się nie od dołu, a na wprost... Ale przecież miałem rękawiczki. Sekret tkwił w rękawiczkach.

A właściwie nie tyle sekret, ile stalowe kolce pod materiałowymi wstawkami na kostkach i kłykciach. Prawa rękawiczka miała jeszcze jedną dodatkową niespodziankę, ale teraz nie pora na nią. Poza tym nie na darmo przecież ćwiczyłem latami, bijąc pięściami najpierw w zawieszane na ścianach worki z piaskiem, potem w same ściany, w pnie drzew podczas popasów, zbierając od Michaiła ciągi i potem oddając z nawiązką.

Na każdy palec przypadały po dwa kolce

plus wstawiona pomiędzy nie stalowa „tarka” z wystającymi piramidkami. To na wypadek normalnego uderzenia pięścią, bo przecież można jeszcze bić kłykciami, a wtedy górne kolce sterczą niczym małe tarany. Niezbyt zabawnie czymś takim oberwać, szczególnie w nos lub gardło.

Ale teraz ograniczyłem się do zwykłego ciosu bokserskiego, tyle że z całej siły plus bonus za irytację. Nie miałem absolutnie nic osobistego do tego byka, nie miałem ochoty się z nim bić, naprawdę mało mnie obchodził on i jego bajkerskie fochy! Chciałem tylko jak najszybciej mieć go z głowy i ruszyć dalej, a nie urządzać tutaj konkurs samczej siły i cwaniakowania.

Cegła krzyknął, zachwiał się, złapał jedną ręką za krocze, a drugą machnął swoim młotem.

Gdyby mnie trafił, to chybabym już nie wstał. Dlatego też skorzystałem z tego, że byłem od tego knura drobniejszy i szybszy. Mimo bolącej nogi poderwałem się, dopadłem wykidajły i też wziąłem zamach – dwiema otwartymi rękami. Dłonie pomknęły ku głowie Cegły i z absolutnie radosnym,

głośnym i donośnym „chlap!” walnęły go z obu stron po uszach.

Od takiego uderzenia potrafią popękać bębenki. Teraz co prawda raczej nie popękały, ale Cegle na pewno zakreśliło się we łbie, poza tym najwyraźniej chwilowo ogłuchł. I chyba coś mu jednak pękło, ciśnienie się musiało zmienić czy co – dość, że nie jest to typowe dla uderzenia po uszach – bo z nosa rzuciła mu się krew.

Cegła zajęczał, upadł na ziemię, rzucając głową i rozbryzgując dokoła szkarłatne krople. Otarłem wierzchem dłoni krew z rozbitych warg.

– No to teraz żeś dał do pieca! – odezwała się dziewczyna, o której szczerze mówiąc, zupełnie zapomniałem.

Przyjrzałem się jej. Nawet niczego sobie. Patrzcie no, i udało jej się nie rozlać wody, kiedy ją Cegła popchnął.

– Dobrze ci tak, palancie! – dodała, patrząc na osiłka.

Głos miała, jak by tu powiedzieć... miły. Jak dziewczyna ma taki głos, to od razu by się ją chciało przytulić.

Cegła buczał, chlipał i pełzał nam u stóp,

próbując trzymać się jednocześnie za krocze i oboje uszu.

– Nie mam ja na to czasu... – warknąłem, trąc nadal bolące po uderzeniu młotkiem zebra i przestępując nad wykidajłą. – Potrzebny mi Sig, i to już.

– No to chodź. – Dziewczyna weszła do Jurty.

– Pomogę ci z wiadrem – rzuciłem za nią.

Tylko fuknęła, ale odstawiła wiadro na klepisko.

– O, patrzcie, jaki się galant znalazł. No to pomóż.

Z marszu złapałem wiadro, zmełłem przekleństwo, gdy noga znów zaboląła. Dziewczyna zapytała:

– Znacie się z Sigiem?

– Mhm. Bywałem tu nieraz, ale ani ciebie, ani tego Cegłówki nie widziałem.

– Czyli bywałeś, ale dawno. Ja już miesiąc jak w Jurcie pracuję, a Cegła w ogóle jeszcze dłużej. Tak w ogóle, Ksańka jestem. To tak, rozumiesz, na wszelki wypadek mówię, jeszcze się zainteresujesz czy co...

– Stas jestem. I jak do Siga trafiłaś, Ksenia?

– Ksańka – poprawiła mnie. – Ojciec mój był garbarzem, na Rynku mieszkaliśmy. Byli z Sigizmundem kolegami, więc jak ojciec już umierał, to kazał tamtemu obiecać, że mnie przygarnie na służbę. No i teraz tu za roznoszącą robię.

– Kelnerkę znaczy się.

– Jasne. I jeszcze koktajle mieszam. Ten twój cały Sig...

Popatrzyła na mnie i nie dokończyła. Pewnie chciała powiedzieć, że Sigizmund to skąpy złamas i dokłada jej roboty, a płaci mało albo wcale, lecz zrezygnowała. Ostatecznie nie wiedziała, jakie mam z nim układy i czy potem nie rozpaplam o jej zwierzeniach.

Ale dziewczyny już nie słuchałem, bo w tej samej chwili zauważyłem gościa w czerwonej koszuli, z długimi włosami zebranymi w koński ogon. Był ubrany poza tym w skórzane spodnie z frędzlami, a na szyi miał zawiązaną jaskrawozieloną chustę w duże, czarne trupie czachy. Na prawym biodrze obrzyn w kaburze, a z wąskiej kieszonki na lewym udzie wystawał rozkładany nóż. Nóż, który znałem. Las mi świadkiem – ten sam wojskowy CQC-11, ze złamanym wave-

haczykiem na tylcu ostrza. Haczyk mądre ludzie wymyśliły, żeby się nóż wygodniej otwierał, jak go wyciągasz z kieszeni. Słowem – rozkładany nóż Michaiła. Albo może się mylę? Może koczownik miał w kieszeni inny nóż, tylko podobny? Żeby się upewnić, trzeba będzie go zmusić, żeby wyciągnął...

A on siedział sobie sam przy stoliku i pił z glinianego kubka. Gdy weszliśmy, ożywił się nagle, podciągnął nogi, wyprostował się. Chociaż nie. Ożywił się, jak weszła Ksańka, a nie „my”. Na mnie uwagi nawet nie zwrócił.

Roznosząca też go zauważyła i umilkła. Szedłem za nią, no bo przecież nie będę teraz do tego czerwonego startował. Nie mam żadnych dowodów, a zresztą co tu udowadniać? I przed kim? Niby dlaczego dowolna z band Czarnego Rynku nie miałyby sobie napaść i ograbić samotnego dziadka? Albo i sprzedać w niewolę. Mają za sobą prawo silniejszego, a za Michaiłem nikt się nie wstawi.

Dobrze, żeby ten czerwony wyciągnął nóż z kieszeni, a wtedy będę wiedział. Ale przecież nie urządzę burdy tu i teraz, bez powodu – chociażby dlatego, że na murbeton stanie za

nim jeszcze kilku siedzących w sali koczowników.

Dziewczyna zatrzymała się przy kontuarze zbudowanym ze skrzynek obitych na górze deskami, więc stanąłem obok, rozglądając się po okrągłej salce z niedużymi okienkami. Wysoki sufit opierał się na wkopanym w klepisko centralnym palu. Dokoła ustawiono ławki i stoły. Jakiś trzynastoletni łepek rozpalał ogień pod rożnem, na którym wisiała sobie świeżo sprawiona Świnia – zwykła, nawet nie mutant. Różowo-czerwone boczki prosiaka pobłyskiwały tłuszczem, nad paleniskiem zwisał blaszany okap z rurą, wychodzącą przez sufit.

Ludzi było tu sześciu – trzech koczowników różnących w karty i walących gorzałę, dwóch coś jadło, no i nasz czerwonoszulowiec... który akurat wstał i ruszył w naszą stronę.

Miał twarz z gatunku tych, które podobają się tępym idiotkom: wymuskaną i chamską zarazem. Idiotki chamstwo myślą z pewnością siebie, a wymuskanie z przystojnością.

– Ksaniuś, a ty wieczorem to będziesz, jak zwykle? – zagaił czerwony, ignorując mnie, jakbym był taboret.

– A tobie to po co, Gończy?

– A to ty się sama już domyśl! – zachichotał.
– Dokładnie po to. Pora, żeby się trochę bliżej poznać, zacieśnić znajomość, słyszysz? No, to zajrzę potem, pójdziemy gdzieś.

– Weź się, nigdzie z tobą nie idę!

Tamten tylko się uśmiechnął, uniósł jedną brew z bezczelną, wsiurską pewnością siebie na zasadzie „wszystkie gąski są moje”.

– A niby dokąd jeszcze pójdziesz? No, to na razie, mała, a wieczorem randeczka.

Z tymi słowy Gończy otaksował dziewczynę spojrzeniem od stóp do głów, jak gdyby już rozbierając ją w myślach, i poszedł sobie.

– Dupek żołądny z Lasu! – rzuciła, gdy tamten już wyszedł.

Spróbować pójść za nim czy jak? Nie jest jeszcze do końca ciemno, Gończy może mnie przyuważyć, a szkoda by było tak głupio ryzykować, dopóki nie wiem właściwie nic. Jeżeli Ksańka go zna, to ją powypytuję, ale to też później, żeby teraz nie zauważyła, że się tamtym podejrzenie interesuję. I wtedy zauważyłem, że stojąca nieco z boku dziewczyna mi się przygląda. Przygląda się tak z zupełnie nieskrywanym

zainteresowaniem, i jeszcze okręca na paluszku pukiel czarnych włosów. Ot, mowa ciała, jego mać. Tutaj nie oszukasz... No dobra, ale nie pora na to. Wszystko w moich rękach, więc nie ma co osłabiać chwytu. Michaił musi gdzieś tu być, miejmy nadzieję, że wciąż żywy – najpierw jego znajdę, a dziewczynki potem.

– Ksańka, a ty się gdzie szlajasz?

Z przejścia do sąsiedniego pomieszczenia, skąd już wcześniej donosił się brzęk talerzy, wynurzył się gospodarz Jurty z tacą pełną żarcia. Sig był łyrawy, niski, krępy, brzuchaty, z krótkimi, pulchnymi rączkami. I w fartuchu. A poza tym cały czas czymś zajęty i zmartwiony. No, nie tyle „czymś”, ile tym, jak tu najwięcej zarobić, samemu się nie narobić i jeszcze umocnić własną pozycję. Bardziej przyziemnego i interesownego człowieka w życiu nie widziałem.

– Po wodę byłam – odparowała dziewczyna.

– Sam mnie pan posłał.

– Po wodę to pięć minut, a ciebie już kwadrans jak nie ma. Masz! – Podał jej tacę. – I nieś tam, widzisz? Wagan i jego ekipa tam siedzą. Czekają, a ja co, sam mam jedzenie

roznosić?

Ksańka zabrała tacę, ruszyła w stronę szulerów. Odstawiłem wiadro na podłogę, uściśnałem podaną rękę.

– Ciągłe się obijają. – Sig pokręcił głową. – Pogrzeb widziałeś? Boszka był jednym z brygadzystów Chana.

Część ludzi tam zostanie na pochlej, a część zwali się tutaj. A ty co, też na pogrzeb pewnie? Chociaż nie, ty nie koczownik, po co ci to... A gdzie Miszka?

– A gdzieś tutaj – odpowiedziałem wymijająco.

– To znaczy...? – Mina Siga zmieniła się na silnie zaniepokojoną. Oj, do kłopotów ma nasz grubasek niesamowitego nosa! Przecież nic jeszcze nie powiedziałem, a ten już gotów do biegu. Dokładnie to pomagało mu przeżyć na Czarnym Rynku, i to nie tylko przeżyć, ale wręcz – wedle lokalnych standardów – doskonale prosperować.

– Sig, słuchaj, jest sprawa... – zacząłem.

I w tej samej chwili do sali wpadł wykidajło Cegła z obrzynem w rękach. Latająca z lewa na prawo lufa skierowała się prosto na nas.

Czasem lepiej od razu strzelać, a potem

gadać. Bez słowa popchnąłem Siga za kontuar, jednocześnie kopnąwszy go gładko pod kolano, a sam padłem prosto na krawędź najbliższego stołu, który z hukiem wywalił się na podłogę – a ja zaraz za nim. Mojego „ogryzka” miałem już w rękach. Huknął strzał, blat aż zadudnił, poleciały drzazgi, ale na szczęście śrut uwiązał w drewnie. Rozległy się ciężkie kroki – to Cegła leciał po mnie.

– Zdychaj, ścierwo leśne! – wrzasnął jak obłąkany.

Taaak, bezmyślnej radości zatrzymać się nie da... ale spróbować można. Jest tuż-tuż, kawał byka. Spudłować się nie da. Nawet nie wstając, kopnąłem jeden ze stołków przy barze, przewracając go na ziemię – powinno to na ułamek sekundy zająć Cegłę – a sam wystawiłem nad krawędzią blatu lufę i dałem ognia.

Huk, krzyk. Łomot upadającego ciała.

TOZ-106 to w zasadzie broń ochrony osobistej, dla myśliwego taka krótka lufa się nie nadaje, chociaż na zwierza da się z nim pójść, szczególnie niedużego. Cegła może do niedużych się nie zaliczał, ale zwierz z niego był po całości, więc wystarczyło mu aż nadto –

w końcu „ogryzek” miałem załadowany nie śrutem i nie kartaczem, a pełną kulą. Oberwać kalibrem dwadzieścia to niezła trauma.

Przeładowawszy w rekordowym tempie, wyskoczyłem z za stołu. Kula trafiła w udo – wykidajło wił się na podłodze, chrypiał i przewracał oczami.

– Debilu ty jeden! – warknąłem z wyrzutem, podchodząc bliżej. – Tylko pięć nabołów mi zostało!

Czubek mojego buta z pełnym impetem huknął Cegłę w czerep. Ten tylko chrząknął i ucichł. Z przestrzelonego uda sączyła się krew, rozlewając ciemną kałużą na twardo ubitej polepie.

Karciarze poderwali się i teraz szli ku mnie, a ich miny nie wróżyły nic dobrego. Odsunąłem się o krok, patrząc to na jednego, to na drugiego, ale wtedy z za kontuaru wychynął Sigizmund i szybko załagodził sytuację. Z początku uspokoił koczowników, usadził z powrotem za stołem, potem z jego polecenia blada jak płótno Ksańka przyniosła butelkę siwuchy i polała wszystkim obecnym „na koszt firmy”.

Z kuchni przybiegło dwóch chłopaków, jeden młodszy, Igor – to ten, który dopiero co rozpałał ogień, i nieco starszy Borka. Wyrżał wąsaty kucharz, popatrzył, pokręcił głową i schował się. Sig przykazał młodemu wynieść i opatrzyć Cegłę, potem popatrzył na mnie wściekle.

– No i...? Co znów, panie myśliwy? Po cholere mi zatłukłeś wykidajkę?

– Przecież żyje, tylko nieprzytomny. – Splunąłem na ziemię, wciąż zły z powodu straty naboju. I na dodatek wszystkiego dopiero teraz, w Jurcie, uświadomiłem sobie, że siekiera, którą zamierzałem odrąbać łeb odyńcowi, nadal pewnie leży na dnie jamy w lesie. Jestem teraz na dobrą sprawę jak żebrak jakiś: strzelba i pięć nabojów, trzy żelazne ruble, nóż i tylko to, co na sobie. I jak niby mam jeszcze ratować towarzysza z takim sprzętem i bronią?

– Sam widziałeś przecież, pierwszy się rzucił – dodałem jeszcze.

– No przecież nie sam z siebie! Znaczy, że go potargałeś już wcześniej!

– Sigizmundzie Pietrowiczu, jego Cegła nie chciał do środka wpuścić i młotkiem uderzył –

wtrąciła się Ksańka, ale gospodarz tak na nią spojrział, że tylko wcisnęła głowę w ramiona i zmyła się do kuchni.

– Chciałem wejść, pytałem o ciebie – wyjaśniłem, gdy Sigizmund znów popatrzył na mnie. – A ten cwaniak nie puszczał, zaczął się pultać.

– I co, ciebie to rusza?

– A w dupie mam jego pultanie, są ważniejsze sprawy, słuchaj...

– Ważniejsze?! – wściekł się Sig. – Nowego wykidajkę mi załatwiłeś! Paszoł won, gówniarzu jeden, żeby mi tu twoja noga więcej...

Złapałem go za fraki, szarpnięciem przyciągnąłem ku sobie, wysyczałem, patrząc prosto w oczy:

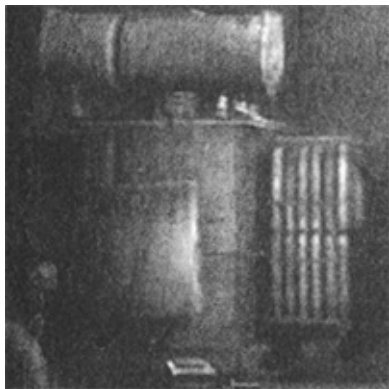
– Michaiła porwali koczownicy. Po niego przyszedłem. Sram na twoich wykidajłów i ich problemy, więc albo się uspokoisz i pogadamy jak ludzie, albo tu i teraz mordę ci skuję!

Zastygł. Wytrzeszczył oczy, potem oderwał moją rękę od kołnierza i poprawił fartuch. Ruszył korytarzykiem w głąb Jurty, odwrócił się tylko i rzucił:

– Chodź ze mną.

Rozdział trzeci

Niespokojna noc



Będą kłopoty z klanem Cegły? – zapytałem, siadając na ławce pod ścianą.

– Samotnik – burknął Sig, wyciągając z regału butlę bursztynowego koloru i dwie szklanki. – Jakby był klanowy, to do mnie na wykidajkę by nie poszedł.

– No i dobrze, nikt nie będzie pytać. Wywal go na zbity ryj.

– A kto mi lokal będzie ochraniać?

Machnąłem ręką.

– Kogoś sobie znajdziesz, a z Cegły taki zawodnik, jak... no, z cegły. Słuchaj, nie masz czegoś do żarcia?

– Żarcie potem, tu nie mam. Pić będziesz?

– Zawsze.

W położonym głęboko w labiryncie Jurty pokoiku Siga stała zapadnięta kanapa, dwa krzesła, stół i regał. Gospodarz napełnił szklanki do połowy, usiadł przy stole naprzeciwko mnie. W butelce była jego firmowa, samorobna jęczmienna whisky, którą Sig częstował wyłącznie wybranych klientów, a i to nie za byle jakie pieniądze. Wziąłem z talerzyka rodzynek, uniosłem szklankę, opróżniłem na raz. Na chwilę straciłem dech, potem żołądek zaburczał dojmująco, a po ciele rozeszła się przyjemna fala ciepła. Sigizmund upił malutkiego łyeczka i kiwnął głową.

– No to opowiadaj.

Opowiedziałem. Gospodarz słuchał z ponurą miną, spięty; widać było, że mu się to wszystko ani trochę nie podoba. Historia wyszła cokolwiek krótka, bo i nie było nad czym się rozwodzić. Skończyłem, popatrzyłem na niego uważnie.

Potrzebowałem punktu zaczepienia na Czarnym Rynku. Miejsca, gdzie mógłbym czuć się chociażby stosunkowo bezpiecznie. Jurta by tu była jak znalazł... Ale musiałem mieć

Siga po swojej stronie, powinien być tym zainteresowany, wiedzieć, że jeśli znajde Michaila, to on coś z tego będzie miał. Tylko co? Pięć nabożów i trzy ruble przy duszy... W końcu rzuciłem:

– Dziczyznę do kuchni masz u nas dwa miesiące za darmo.

– Cztery – odparował. – Co tydzień.

– Dużo chcesz...

– A ty partnera chcesz uratować? Czy może nie? Przecież się targujemy...

– A bo ja wiem, czy ty mi coś pomożesz... No dobra, cztery miesiące, ale raz na dwa tygodnie, bo inaczej się nie uda, tylko do was i z powrotem byśmy musieli chodzić. To co, przybijemy?

– Zgoda.

– Znasz tutaj niejakiego Gończego?

– Takiego frajera w czerwonej koszuli?

– Tego samego.

Sig pokiwał głową.

– Znam, ale nic nie wiem. Jakiś nowy. Wcześniej go nie widywałem, niedawno się zjawiał.

– Która banda i jak ich znaleźć?

– Stas, serio – nie mam pojęcia. Ale ten

Gończy do naszej Ksańki gania, widać, że ręce go świerzbią, a pewnie nie tylko one... Może ona coś więcej o nim wie, ją by trzeba zapytać.

Sig nalał mi jeszcze, zaczął kiwać się na krześle, przekładając szklanekę z ręki do ręki i patrząc w nią ponuro. Widać było, że w głowie gospodarza kłębiły się same najczarniejsze myśli. Pociągnąłem whisky, zagryzłem rodzynką i rzuciłem kolejne pytanie:

– A jak się zaczniemy dopytywać, dziewczyna mu nie wygada? Temu całemu Gończemu?

– No, ona chyba do niego nie ten teges... – Sigizmund popatrzył na mnie powątpiewająco.

– A to jeszcze nic nie znaczy. Może faktycznie ją ten Gończy odrzuca, a może tylko dla zasady nosem kręci.

Sig upił łyżka.

– Może i tak być. Nie tak znów długo u mnie pracuje, to córka znajomego... Ogólnie niby dziewczyna w porządku, ale głowy bym za nią przecież nie dał.

– No dobra, czyli nie ma co jej otwarcie za język ciągnąć. Po co ma się dziewczyna wystraszyć? Ale ja u ciebie na noc zostaję i krucho będzie, jeśli tutaj po mnie przylezie

reszta tych, co razem z Gończym porwali Michaiła.

– Ale on na pewno jest jednym z nich?

– Jestem prawie pewien. Prawie.

– No, sam w końcu mówiłeś, że tylko z daleka ich widziałeś. A czerwoną koszulę albo sweter nie tylko Gończy może założyć.

– Ale już tutaj, w Jurcie, zdawało mi się, że on miał przy sobie nóż Michaiła. Co prawda widziałem tylko rękojeść... A tamten obiecał Ksańce, że wieczorem ma jeszcze zajrzeć.

– A, no właśnie! – przerwał mi Sig. – Ty mi przecież Cegłę wyłączyłeś z akcji. To na razie będziesz za niego zastępstwo robić.

Zdziwiłem się mocno:

– Jaki ze mnie niby wykidajło? Mnie wszystko w nogi poszło, w mięśniach ani wzroście nie ma czego pokazać.

– A mnie bez różnicy. Łać się umiesz? Cegle włomotaleś? Czyli umiesz.

– No i co z tego? Wykidajło powinien przede wszystkim wyglądać jak należy, a nie ludzi bić. No a ja z wyglądu to tak... średnio. Poniżej przeciętnej.

– Tak jak mówiłem, bez różnicy. I tak innej opcji nie ma, tutaj zaraz się tłum zwali,

wszyscy się uchleją, i wtedy się zacznie... jazda. Musimy cię tylko ubrać jakoś porządniej, żeby się wszyscy ciebie nie czepiali za wygląd. Coś ci znajdzie. Jasne?

Dopiłem whisky, odstawiłem szklanekę.

– Dobra, parę wieczorów dla ciebie popracuję, od razu się rozejrzę. Pogadam sobie z Ksańką, jak już się poznamy bliżej.

– No i słusznie, będziesz miał przykrywkę jak znalazł. Pytań nikt nie będzie miał, no bo i co – ot, wziąłem kogoś nowego do roboty, co to ich obchodzi? To chodź, pójdziemy teraz na magazyn, wciągniesz na tyłek porządne portki, a potem Ksańce każę, żeby ci nogę opatrzyła, niech zaszyje czy jak... No i potem coś do żarcia – i tak już wieczór, tutaj zaraz się zabawa zacznie po całości. Posłanie dostaniesz w pokoiku na tyłach, masz tam wejście i z głównego korytarza, i oddzielne, od ruin. I karabin będziesz miał gdzie schować. Dobra, starczy pogaduszek, robota wzywa. – Sig wstał.

– Ej, poczekaj jeszcze. – Machnąłem ręką. – Mam jeszcze jedno pytanie. Istotne.

– No co tam?

Zawahałem się, próbując znaleźć

odpowiednie słowa. Nie miałem ochoty opowiadać Sigowi o wisiorze i rysunku węglem, więc te dwa elementy pominąłem, opisując mu sytuację.

– Kiedy ostatni raz widziałeś się z Michałem przed Pandemią? Ile lat?

– A po co ci to akurat teraz? – zdziwił się.

– Oj, potrzebne. Odpowiedz.

– Bo ja wiem... jakieś cztery, może pięć lat, zanim wszystko pieprzęło.

– I potem już ani razu?

– Nie. Dopiero teraz jak się spotkaliśmy, przypadkiem... Sam zresztą pamiętasz, jak pierwszy raz zawitaliście na Czarny Rynek.

– A kim on był przed Pandemią?

– Wojskowym. Pułkownikował jako szef ochrony transportów wojskowych w Uralskim Okręgu.

– Nieliche stanowisko... A jak myślisz, co potem mógł robić?

– Noo... Może właśnie szefował na transportach? – Sig ruszył do wyjścia, ale zatrzymał się, pogładził w zadumie fartuch. – Chociaż, wiesz co, tak myślę... Jakby faktycznie tam był, to jeszcze parę razy bym się z nim widział. A on jakby pod ziemię się

zapadł. To znaczy w zasadzie to nie mam pojęcia, co porabiał przed samą Pandemią. Może odszedł z armii albo właśnie na odwrót, trafił w jakiś utajniony projekt... A co, nie mówił ci?

– O tym ani słowa. A weź mi powiedz jeszcze, taki znak: duże V przekreślone gzyzakiem. Mówi ci to coś?

– Nie. – Pokręcił głową. – Nigdy nie widziałem. A co to?

– A nic, nieistotne – odparłem, idąc za nim korytarzykiem i czując na piersi ciężar medalionu.



Bandaż i kompres pomogły, rana nie bolała już tak strasznie. Ubrany w wytarte, czarne dżinsy z dziurą na kolanie i skórzaną koszulę, siedziałem na wysokiej skrzyni przy kontuarze, pociągając kwaśnawe piwo z kufła, i niespiesznie rozglądałem się po sali. Dawno już zapadł zmierzch, ludzi do Jurty zwały się faktycznie niemało; z piekącego się na różnie prosiaka została niespełna połówka. Ksańka i biegający razem z nią Igor i Borka uwijali się pomiędzy kuchnią a stołami, roznosząc

jedzenie i napoje. Dwa razy musiałem podnosić tyłek z krzesła – to jest ze skrzyni – żeby uspokoić co bardziej wyrywanych koczowników, ale póki co żadnych poważnych incydentów nie było.



Nieco po północy towarzystwo zaczęło się rozchodzić. W sali pozostało jeszcze sporo klientów, ale nowi już nie napływali, więc pokiwałem na przechodzącą nieopodal Ksańkę. Dziewczyna podeszła, i to dość ochoczo – z rumieńcem na twarzy, błyszczącymi oczami i piersią falującą pod bluzką.

– Dolewkę piwa, Stas?

– Nie, na razie nie. Chciałbym pogadać, możemy?

Dziewczyna popatrzyła na mnie wyczekująco, uśmiechając się z lekka, więc zapytałem:

– Jak ci się tu wiedzie?

– No... – Ksańka wzruszyła ramionami. – Niby w porządku.

– Niby?

– No a co tu ciekawego może być? Biegasz to tam, to siam z tacą...

– Sig chociaż płaci?

– Tak jakbyś sam nie wiedział. Ot, wczoraj rubla dał... No, jeszcze wikt i opierunek, ale i tak przecież liczykrupa z niego.

– Co prawda, to prawda. – Nie mogłem się nie zgodzić. – Ale klientom chyba zdarzy się

coś podrzucić?

– Podrzucają, ale toby trzeba – pokazała podbródkiem w stronę brezentowego korytarza, prowadzącego w głąb Jurty – tam się z nimi przejść.

W tamtym właśnie kierunku niedawno poszło dwóch lekko wciętych bajkerów, obejmując z dwóch stron podchmieloną paniusię – tę samą, która na pogrzebie niepowstrzymanego Boszki Chmielą stała przy stoliku z rzeczami nieboszczyka. Po co ją tam prowadzili, w kierunku oddzielnych pokoików z posłaniami, mógł się domyślić nawet szczeniak najgłupszego mutanta.

– A ty, jak rozumiem, z klientami w takie sprawy się nie mieszasz? – uściśliłem.

Ksańka wbrew moim oczekiwaniom nawet się nie obraziła.

– Ze mnie jest grzeczna, porządna dziewczynka, ja szukam faceta poważnego i stałego, tak żeby z nim...

Zająknęła się, zagryzła wargi.

– Żeby z nim stąd uciec? – domyśliłem się.

Popatrzyła gdzieś ponad moim ramieniem. Obejrzałem się... No wreszcie! Do pomieszczenia wchodziła właśnie nieduża

grupka, a w niej niejaki Gończy.

Owa grupka od samego początku mi się nie spodobała. Jeden z nich, taki w cętkowanym kamuflażu, był jakby śnięty – miał puste, zupełnie obojętne oczy. Już takich z Michałem spotykaliśmy. Zabójcy, sto na sto. Cisi, nieobecni, wyalienowani, bardzo często skryci sadyści. Dla takiego poderznąć gardło to sama przyjemność, chociaż wątpię, żeby właśnie tak to odczuł albo pokazał, bo zwyczajnie nie potrafi. Drugi z kolei – żyłasty facet pod sześćdziesiątkę, z siwą brodą, w kierzowych butach, spodniach z grubego płótna i wełnianej fufajce. Taki ni to łowczy, ni to chłopiek, ale twarz miał wyjątkowo prymitywną, brutalną wręcz.

Gończy wszedł, rozejrzał się i od razu wypatrzył Ksańkę. Przesunął po mnie wzrokiem, zasalutował dziewczynie, pokazał kciukiem za siebie, jak gdyby dając jej do zrozumienia, że już teraz może ją zabrać na obiecany spacer, uśmiechnął się obleśnie.

– Przyłazł, baran... – Ksańka spochmurniała.

– Często się do ciebie sady?

– A cały czas! Mam już dość.

– Co tak od razu niemiła jesteś? Tak sobie patrzę, niczego sobie kolega, aktywny.

– Po prostu nie lubię takich. Nachalny jak niewybiegany kogut.

– To baran, to znów kogut. – Uśmiechnąłem się. – Zdecyduj się, dziewczyno... A ci jego kumple to kto?

– Ten spokojniejszy to Ryba, a ten drugi chyba Kuźma... Chyba.

– Jest w którymś klanie? W bandzie?

– A nawet nie wiem, niedawno się zjawili. Borka, hej, Borka! – zawołała, gdy tamtych trzech usiadło przy wolnym stoliku. – Weź tamtych, o, obsłuż! Widzisz?

– Może sama byś się ruszyła, co? – mruknął niezadowolony chłopak, mijając nas z tacą pełną brudnych naczyń.

– A bo co, ty go nie znasz? Obsłuż, powiedziałam! Stas, może ci jednak piwa przyniosę? Sig mówił, że ty masz na koszt firmy.

Pokiwałem głową, więc Ksańka zawinęła się do kuchni.

Wkrótce piwo dało o sobie znać. Obrzuciwszy salę wzrokiem, doszedłem do wniosku, że po pierwsze w najbliższym czasie

nikt nie ma zamiaru rozpętać bójki, a po drugie Gończy i jego kumple siedzą, gdzie siedzieli, i nigdzie się nie wybierają. Dopilem piwo i wyszedłem przez wyjście za kontuarem. Minąłem kuchnię, korytarz, skręciłem; stanąłem przed brezentową klapą zamkniętą na suwak szepiony kłódeczką. Wyciągnąłem kółeczko z dwoma kluczami, które dał mi Sig, otworzyłem i przeszedłem do wydzielonego na moją kwaterę pomieszczenia.

Izdebka była malutka, z mebli tylko wieszak i niziutki tapczanik – w zasadzie to deski na kamieniach, na nich wypchany słomą siennik, zasłany skórą.

Jedna ze ścian pokoiku była nie brezentowa, a drewniana, z drzwiami. Niski, pochyły sufit, po którym prawie szorowałem głową... Dobrze, że chociaż na podłodze nie goła ziemia, a dywanik ze skór. W rogu można było go odwinąć, odkrywając podłużny sejf. Sig mówił mi, że pod nim była półmetrowa wylewka, w którą wchodziły dospawane do żelaznego pudła pręty.

Sejf zamknięty był na zamek szyfrowy. Kombinację dostałem razem z kluczami. Otworzyłem, zajrzałem – TOZ i całe pięć moich

nabojów leżały na miejscu. Pełnowymiarowa strzelba by się nie zmieściła do tego pudła, ale mój króciutki „ogryzek” wszedł akuratnie. Nie miałem zamiaru go teraz wyciągać, tylko sprawdzałem, czy jest; ostatecznie broń była w tej chwili najcenniejszym elementem mojego skądinąd skromniutkiego majątku.

Zamknąłem sejf, odwróciłem się do wiszącego na ścianie odłamka lusterka. Poprawiłem kołnierzyk skórzanej koszuli, popatrzyłem na siebie krytycznie. Każdy widzi w lustrze to, na co zasługuje, i każdy uważa, że zasługuje na coś więcej. A ja widziałem faceta z pociągłą twarzą i ciemnymi, obciętymi na języka włosami, przez które prześwitywała wąska blizna na prawej skroni. Jeszcze jedną, ledwo widoczną, miałem pod lewym okiem. Przy lewym uchu brakowało koniuszka płatka, ale to też było prawie niewidoczne.

Narzuciłem kurtkę i przygłodziłem włosy dłonią. Wyszedłem na dwór przez drewniane drzwi, zamykając je za sobą na klucz.

Było już zupełnie ciemno, chłodno i mokro. Okazało się, że jakoś w międzyczasie spadł deszcz, więc pachniało wilgotną ziemią, ale

wszystko i tak zabijał zapach wszechobecnych ognisk – światło elektryczne było chyba tylko w Kwaterze, bo tam podobno Chan ma przenośne wiatraki, a nawet panele słoneczne.

Na tyłach Jurty było zupełnie pusto, słyszałem przytłumiony gwar głosów, dobiegających z sali jadalnej. Na tle rozgwieżdżonego nieba widać było kształt pobliskiej wieżyczki na dachu dyspozytorni, będącej częścią niegdysiejszej stacji autobusów. Odląłem się bez zbędnego pośpiechu i spokojnym krokiem ruszyłem w tamtą stronę.

Wspiąłem się na piętro po zardzewiałych schodach pożarowych. Przed Pandemią była tam przeszklona budka pod żelaznym dachem, coś w rodzaju punktu sterowania ruchem na lotnisku, tylko że w tym wypadku dla autobusów. Teraz został po niej tylko żelazny szkielet bez okien. Przeszedłem po zasłanej potłuczonym szkłem podłodze, stanąłem na krawędzi platformy.

Czarny Rynek nie spał. Płoneły ognie, czekały psy, pachniało dymem... Ruiny tworzyły zagmatwany, ciemny labirynt. Od czasu do czasu przepływały nad nim światła

reflektorów, wyciągające z ciemności kawałki ścian, resztki ceglanych murków, krzaki, hałdy gruzu i ziemi. Kwatera lśniła skupiskiem jaśniejszych punktów, widać było wiatraki, rzucające leniwie przesuwane się cienie wirników.

Nagle po plecach przebiegł mi zimny dreszcz, a w głowie jak gdyby coś przeskoczyło. Niech to Las pochłonie, czyżby znów...? Tak! Przykucnąłem, odczekałem chwilę, ale dziwne wrażenia nie ustępowały, a tylko nasilały się. W końcu usiadłem, skrzyżowałem nogi, przymknąłem oczy...

I od razu w ciemności pod powiekami pojawiła się jaśniejsza linia – nierówna granica daleko stąd, na wschodzie. Granica Lasu. W rzeczywistości nie mógłbym jej widzieć stąd, z podwyższenia wieżyczki dla kierującego ruchem, ale widziałem – oczyma duszy.

Nie tylko Michaił miał swoje mroczne tajemnice. Czasami odnosiłem wrażenie, że domyślał się, czuł, że coś jest ze mną nie tak, ale nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Nigdy i z nikim nie rozmawiałem o moich widzeniach. Migotaniu, jak sam je nazywałem.

Gdzieś tam, w oddali, był Las – ciemny, dziwny, straszny. Obcy i rozumny zarazem. Patrzyłem w niego, a On patrzył we mnie.

I widziałem jeszcze tamtych.

Tamci wyglądali jak migotliwe, blade cienie. Pełzali za granicą Lasu, kłębili się, zmieniając kształty, czasami przemieniając się w coś znajomego. Przyjmowali postacie zwierząt albo ludzi o nienaturalnie długich i cienkich kończynach, ale bez głów i stóp. Najczęściej jednak byli po prostu przelewającymi się amebami, wegetującymi swoją własną egzystencją pośród leśnych porostów, w ostępach nietkniętych stopą człowieka.

A może po prostu zwariowałem?

Czasami te istoty – nazywałem je migoczącymi – podpełzały blisko ku granicy, gromadziły się w jakimś miejscu, nie wiadomo czym przyciągnięte – może zapachem? Wonią ludzkich myśli? A co, jeśli wyczuwały mnie i wiedziały, że je widzę? Albo tak naprawdę nie ma żadnych migoczących, a to wszystko tylko moje halucynacje? Może mam po prostu nie po kolei w głowie, może powinienem się leczyć, tylko nie mam ani jak, ani gdzie?!

Ta myśl była najbardziej przerażająca.

Kilka minut siedziałem bez ruchu, z zamkniętymi oczami, patrząc tylko na migoczących. Istoty zbierały się i kłębiły przy granicy Lasu, wiły i kręciły, zlewając w niejednolitą, świecąca masę... I słyszałem jeszcze cichy szepc – niezrozumiały, głuchy i daleki.

Potem zaczęły odpęłzać, blednąć i rozplýwać się w bezgranicznej ciemności Lasu, żeby wkrótce zniknąć bez śladu. Przygasła nierówna, lśniaca granica, wszystko pochłonał szary mrok.

Otworzyłem oczy, wyprostowałem się, rozmasowując skronie. W głowie trochę mi się kręciło, nogi miałem jak z waty... Ciekawe, czy kiedykolwiek zdarzy mi się trafić do Lasu? Przecież tam się nie da przeżyć. Mówią, że podobno niektórzy ze Skraju potrafią wejść do Lasu. Skrajowcy to w ogóle dziwne typy. Ponoć mają jakieś specjalne wywary, że łykniesz takiego i możesz jakiś czas chodzić po Lesie, nie bać się jego reakcji, erupcji zarodników z ula, ataku zwierza, Sztormu czy innych nieprzyjemności, które Las potrafi nasłać na człowieka. Tylko kto niby je robi, te wywary? Ja osobiście o żadnym takim magiku

nie słyszałem.

Nie jest źle, jak ma się swoją wielką tajemnicę, która cię odróżnia od innych ludzi. Gorzej, jeśli taka tajemnica przeraża nawet ciebie. Jeśli nie możesz nawet w przybliżeniu zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. A ja po prostu nie wiedziałem, co mam począć z tymi moimi atakami migotania.

Ręce mi się trzęsły. Zszedłem na dół,ostałem jakiś czas oparty czołem o zimny mur, potem ruszyłem z powrotem do Jurty – ale nie tą samą drogą, a dużym łukiem.

Było już bardzo późno – tak późno, że w zasadzie już zaraz zrobi się „wczesnie”. Obszedłem lokal Sigizmunda dookoła, potem zanurkowałem do środka. Przy kontuarze stał akurat Gończy, trzymający Ksańkę za ramię. Wziąłem na nich kurs, po drodze poprawiając rękawiczki. Rzuciłem jeszcze okiem w bok – dwóch kumpli naszego koczownika już nie było, ich miejsca świeciły pustką. Poszli spać albo na poprawiny do swojego obozu, a on nie odpuścił i został, żeby sobie przygruchać dziewczynę.

W sali pozostał niespełna tuzin bajkerów, przy czym większość ledwo trzymała się na

nogach. Siga nie było nigdzie widać, Borka polerował szklanki za barem, a młody Igor ścigał rożen znad dopalających się węgli.

Gończy trzymał Ksańkę mocno, nie pozwalając jej się wyrwać. Stałem tuż za jego plecami.

– Dość już wymówek – mówił koczownik. – Znudziło mi się to przekonywanie. No już, idziemy!

Złapał ją mocno za rękę, pociągnął... a ja równie mocno złapałem go i pociągnąłem za kité włosów, najpierw ostro w dół, potem w bok, odwracając ku sobie. Gończy wrzasnął z bólu, próbując z półobrotu trafić mnie łokciem. Odstąpiłem o krok, teraz staliśmy twarzą w twarz, bokiem do kontuaru, zza którego patrzył na nas wielkimi oczami Borka.

– Ach ty... wykidajło! – zacharczał Gończy. – Odpiąłeś, cwelu tępy?! Uszy ci oderznę!

– Siedem... – powiedziałem, otaksowując spojrzeniem jego jaskrawoczerwoną koszulę, spodnie z frędzlami, bandanę i złoty kajdan na nadgarstku.

– Że co?!

Wyjaśniłem:

– Najpierw myślałem, że dziesięć. Ale teraz

jak patrzę, to raczej siedem.

– Co ty pieprzysz?!

Lewą ręką wyszarpnął z kieszeni nóż. Wiedziałem, że walczyć nim nie ma zamiaru – przynajmniej nie z kimś, kto jeszcze może się bronić. Zwykły manewr pozorujący, mający odciągnąć moją uwagę od prawej ręki, która w tym czasie zacisnęła się na glinianym kubku stojącym na kontuarze. Tym samym, z którego popijałem, jeszcze zanim wyszedłem z Sigowego przybytku. Tym samym, którym nasz bandyta zamierzał walnąć mnie znieńacka w łeb. Nawet specjalnie poruszył tą ręką, w której trzymał nóż, żeby mnie jeszcze bardziej rozkojarzyć... I bez ostrzeżenia uderzył kubkiem.

Raz! – i leżę. Nie, nie tak dosłownie, ale po prostu rozluźniłem nogi, niemalże bezwładnie osuwając się w dół i przysiadając w kucki, prawa ręka wystrzeliła do przodu – i stalowe kolce wbiły się w rzepkę kolanową Gończego, podczas gdy kubek przelatywał mi gdzieś wysoko nad głową.

Dwa! – lewą ręką na skos ku górze, drugie uderzenie – kolcami w łokieć – Gończy wyje z bólu. Dopiero teraz do niego dotarło, że dwa

razy już dostał...

A teraz trzy wyjątkowo bolesne ciosy. Wyprostowuję się, noga do góry, kolano dociśnięte do przepony, szybki wyprost kolana, podkuty obcas prosto w udo – cztery! – uderzenie trafia z boku, bo Gończy obraca się jeszcze impetem chybionego ciosu. Pięć! – koczownik upada na podłogę z gracją worka kartofli – sześć! – pochylam się, wyrywam mu nóż, którego nie zdążył do końca wyciągnąć, otwieram ostrze, podstawiam mu pod gardło, zaglądam w oczy.

– Siedem. Masz dziesięć sekund, żeby stąd wypierdalać. Jak nie, to zarżnę cię jak prosiaka.

Wyprostowałem się, krzywiąc z bólu, bo noga znów się odezwała. Koniec koncertu, dziękujemy.

Michaił mi powtarzał: siłacza z ciebie nigdy nie będzie. Żyłasty – tak, ale nie odporny. Elastyczny, ale nie silny. Nie miej złudzeń co do samego siebie. Każdy, kto da radę trafić, połamie ci żebra gołą pięścią. Chodzi jednak o to, żeby zrobić użytek z taktycznej nierównowagi sił i nie pozwolić wrogowi skorzystać z jego przewag. Po pierwsze –

zawsze pracuj ze stawów, bij krótkimi, szybki uderzeniami. Po drugie – działaj szybko i z zaskoczenia. Zaskoczenie, rozumiesz? Tylko to pomoże ci przetrwać bójkę. Szybko wchodzić w kontakt, od razu odskakiwać. Jak się dasz złapać, to już po tobie. I na potwierdzenie tych słów przy kolejnym sparingu, jeśli nie nadażalem się wywijając, łapał mnie w swój niedźwiedzi uścisk i gniótł tak, że aż żebra trzeszczały. Ćwiczył mnie bezlitośnie w tym „pracowaniu ze stawów”, więc bolały mnie kolana i łokcie, pięści ledwo rozginałem, chodziłem bezustannie posiniaczony i opuchnięty, ale po trochu, stopniowo kostki palców i miękkie tkanki zaczynały twardnieć, przystosowując się do obciążenia, a ja biłem coraz szybciej, coraz krótszymi ciosami – „kindżałami”, jak nazywał je Michaił.

Gończy podniósł się na czworaki, przepęłzył przez pół sali, dopiero potem wstał na nogi. Kulejąc i trzymając się za dyndającą u boku prawą rękę, wytoczył się z Jurty.

Zamknąłem ostrze noża – Michaiłowego! – i szepnąłem gapiącej się na mnie wielkimi oczami Ksańce: „Nie uciekaj, jeszcze wrócę”, po czym zanurkowałem w korytarzyk za

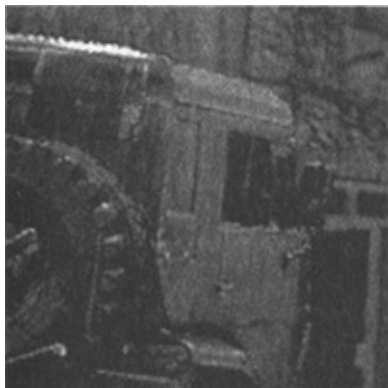
kontuarem. Dobięgam do mojej izdebki, prędko otworzyłem zamek, wyciągnąłem strzelbę z sejfii i wyleciałem na zewnątrz.

Rozejrzałem się i zdążyłem dostrzec, jak kulejąca postać w czerwonej koszuli znika pomiędzy ruinami. Niewiele myśląc, schyliłem się i pobiegłem śladem Gończego. Będzie moim przewodnikiem do obozowiska bandy.

Pora się z gnojami policzyć.

Rozdział czwarty

O ludziach i bydłakach



Gość szybko dotarło do mnie, dokąd naprawdę szedł

Gończy.

Kiedy tylko zrozumiałem, pokiwałem głową. A to takie buty! Dobrze, że obozowisko było

niedaleko, ale nawet jeśli Michaił żyje, to gdzie go trzymają?

Na terenie dawnego zakładu naprawczego płonęło ognisko, wokół którego siedziały trzy postacie. Kolejnego bajkera zauważyłem na pace ciężarówki, piąty ulokował się na dachu warsztatu – przy czym ci dwaj ostatni nie siedzieli ot, tak sobie, a ewidentnie stali na czatach, i to pod bronią. Rozglądali się, podnosili i przysiadali, chodzili tam i siam... A

ciekawe, swoją drogą, po co i przed kim ochraniać obóz stojący praktycznie przy samej Kwaterze? Naprawdę nie wiem, kto miałby ich tu atakować. No, chyba że jakaś konkurencyjna banda – ale niezależnie od wszystkiego widać było, że chłopcy są w pogotowiu i czegoś się boją. Niedobrze.

Kiedy upewniłem się, że Gończy idzie prościutko ku ognisku, przypadłem do ziemi i klucząc od drzewa do drzewa i chowając się za krzakami, przebiegłem ku zaroślom, a stamtąd ku leżącemu na skraju obozowiska dużemu fragmentowi betonowej płyty. Przykucnąłem, wyjrzałem ostrożnie.

No tak, dalej ani kroku: ognisko płonie aż miło, pełno światła. Albo z ciężarówki, albo z dachu przyuważą mnie i odstrzelą. No dobra, to w takim razie jak...? Tutaj prostokąt asfaltu, na nim podłużny budynek warsztatu z wyrwanymi wrotami, przez które widać dużą salę. Przed warsztatem ciężarówka, po lewej od samochodu kanał remontowy, po prawej ognisko. A ja patrzę na wszystko od frontu, czyli mam przed sobą wyłupiaste ślepie starej ciężarowy.

Na dachu furgonetki siedział sobie wielki

jak cholera facet – no bite dwa metry wzrostu, albo i więcej. Nie byłem w stanie rozpoznać karabinu, ale coś mi się zdawało, że paradował z erkaemem. Strażnika na dachu warsztatu praktycznie nie było widać – tylko fragmenty sylwetki, ledwo-ledwo podświetlonej od dołu.

Wokół ogniska leżały rozłożone futra, na których usadowiło się trzech bandytów. Pachniało pieczonym mięsem i podłą machorką. Dwóch rozpoznałem bez pudła: Ryba i Kuźma. Brodaty łowczy palił, zaciągając się niespiesznie, króciutki skręt to rozjarzał się, to przygasał. Trzeci siedział do mnie plecami – średniego wzrostu, wygolona na łyso głaca, szeroki w barach. Trudno powiedzieć cokolwiek więcej.

No dobra, a gdzie Michaił? Zamknięty w którymś z pomieszczeń przy warsztacie? Czy też leży związany na dnie betonowego kanału? Chociaż nie, to byłaby przesada.

Gdy Gończy podszedł do ogniska, Ryba nawet nie drgnął. Kuźma i ten trzeci unieśli głowy, olbrzym z ciężarówki poruszył się, zaskrzypiało żelazo. Strażnik na dachu siedział nieruchomo – zasnął?

– Mówiłem ci, że masz nie chlać po nocy? – zadudnił ponuro ten siedzący do mnie plecami.
– Co ty, kulejesz? Co ci się stało w rękę?

Jasna rzecz, starszy. Szef.

– Ano, bo ja... – odezwał się Gończy. – Taki jeden tam... palant leśny! W sensie szczepiliśmy się...

– Szczepiliście, powiadasz? Jak psy w rui? – Na огоłonej głowie zatańczyły odblaski płomieni, herszt odwrócił się całym korpusem ku Gończemu, przestępującemu z nogi na nogę.

– No, tak wyszło, no bo...

– A czego się sadzisz do ludzi, debilu? I jeszcze patrząc po twojej mordzie, to obciągnąłeś jak panienka przy drodze.

– To nie tak. Posłuchaj, Rzeźnik, powaga...

– Posłuchaj, tak? I co mi powiesz? Przykazane miałeś: zaraz poważna robota będzie, nie wychylać się. A ty co?

– A no ja... Bo ta dziewczyna, rozumiesz? Wypisz, wymaluj, kurwa – a nie chce dać! A ja do niej i tak, i owak... A tamten... No, mają nowego wykidajkę. Chodźcie, chłopaki, załatwimy frajera...! – szeptał Gończy gorączkowo, nachylając się do herszta. – Jakiś

ćwok skończony, granatem od Lasu oderwany... Ryj tępy, chłopski! Sprzątniemy frajera, niech go Las zabiera!

– Nie wychylać się, było powiedziane, słyszałeś – powtórzył, dzieląc słowa, facet zwany Rzeźnikiem.

– A jakie to wychylanie! Po cichutku, nóż pod żebro i koniec, był człowiek, nie ma człowieka!

– Znaczy się sam nie dasz rady? – zapytał Kuźma, wydmuchując na Gończego obłoczek dymu.

– A kto ciebie pyta, brodaty?! – odgryzł się Gończy. – Się znalazł mądrała, wujek dobra rada! No weź, Rzeźnik, pójdziemy...

Gończy jeszcze niżej pochylił się nad hersztem. Nie wiem, co stało się potem, nawet nie zarejestrowałem ruchu ręki, ale koczownik w czerwonej koszuli nagle poleciał w tył i huknął potylicą o asfalt. Podniósł się, zajęczał:

– Rzeeeźnik, no coś ty...?

– Powiedziałem, debil jesteś. – Tamten jak gdyby nawet się nie poruszył. – Raz jeszcze zrób inaczej, niż mówię, a zatłukę jak psa. Dotarło? Dotarło do ciebie, debilu?

– No dotarło, dotarło. – Gończy przekręcił się na brzuch, podczołgał do ogniska, usiadł z trudem.

– A teraz spać wszyscy – zakomenderował Rzeźnik, potem rzucił nieco głośniejsze: – Wieprzu, Koks, wy dalej na warcie. Za dwie godziny Kuźma i Ryba was zmieniają. Koniec gadek, wszyscy morda w kubel.

I tak jak siedział, tak ułożył się na ziemi. Widać było, że mores w bandzie panował surowy, bo nikt nawet słowem się nie odezwał. Pozostała trójka też porozkładała się na posłaniach, pozawijała w skóry. Kuźma pstryknął niedopałkiem, który puknął o asfalt, sygnął iskrami i zgasł.

Obserwowałem, nie ruszając się z miejsca. Po kilku minutach Gończy podniósł się, popatrzył po pozostałych, ukradkiem wyciągnął spod skór flaszkę, odszpuntował i pociągnął długiego łyka. Otarł usta dłonią, wyciągnął papierosy, wytrząsnął jednego i odpalił od tłącej się gałązki.

W uszach dzwoniła cisza. Wielkolud na ciężarówce przeciągnął się, ziewnął rozziewając. Faktycznie, kawał bydlaka, chyba jeszcze większy od Cegły. Takiego już

na raz-dwa-trzy nie położysz... Wieprzu – byłem pewien, że przezwisko odnosiło się właśnie do tego na ciężarówce – przeszedł się w tę i we w tę po skrzyni ładunkowej, a ja uświadomiłem sobie, że faktycznie paraduje z erkaemem, w który wpięty ma wystający ku górze długi łukowy magazynek. Daje gościu, niczego sobie! Przecież takie coś musi ważyć od cholery. Wieprzu stanął plecami do mnie na przeciwległym skraju samochodu, pomachał ręką strażnikowi na dachu, tamten zasalutował. Ot, znaczy, że nie śpi. Wielkolud odwrócił się do mnie bokiem, usiadł i zamarł w bezruchu.

Przyjrzałem się uważnie ciężarówce. Furgon obity blachą, drzwiczek nie widać, musiały być z tyłu, od strony warsztatu. Z boku dwa okienka z żelaznymi prętami.

I okiennice od zewnątrz. Po co?

Ano po to, że tam w środku siedzi Michaił.

Rzecz jasna, wiedzieć na pewno nie mogłem, ale czułem, że tam jest. Bynajmniej nie w jakiejś komórce w warsztacie ani na dnie kanału. Tam, na pace więźniarki.

Teraz i tak tam nie wejść. No, czysto teoretycznie mógłbym obejść od drugiej strony

warsztat, wleźć na dach po oknach od tyłu, po cichu podkraść się do wartownika – tego całego Kokska – zdjąć go bez hałasu, potem równie bez hałasu ześliznąć na dół. Potem odczekać, żeby Wieprzu patrzył w inną stronę, podpełznąć bliżej, wdrapać się na furgon, poderżnąć mu gardło... To w teorii, a praktycznie – nie do zrobienia. Nie jestem wojownikiem ninja, czapki niewidki też z domu akurat nie wziąłem. Na dachu murbeton coś skrzypnie albo brzęknie, wtedy któryś z wartowników albo jeden z leżących przy ognisku usłyszy i witaj, smutku. Nie tylko nie uratuję Michaiła, a jeszcze sam zginę bez sensu.

A najgorsze było to, że nadal mało co wiedziałem. Nie miałem nawet pomysłu, po co ci tutaj mieliby porywać mojego partnera. Trzeba by wrócić, jeszcze raz wszystko przemyśleć, spróbować podpytać kogoś, dowiedzieć się więcej, a działać dopiero jutro. No, w zasadzie już dziś, zaraz będzie świtać.

Był jeszcze inny powód, dla którego nie spieszyłem się do rozpoczynania jakiejkolwiek akcji już teraz, zaraz – potwornie chciało mi się spać. Na nogach od samego świtu, rana w

nodze, wspinanie się po linie, nerwy, potem kawał drogi od byłego obozu do Czarnego Rynku, strzelanie, dwa razy bicie po mordzie... A tutaj mamy dwóch wartowników na różnej wysokości, daleko od siebie, i jeszcze trzech bandziorów przy ogniu. W moim stanie wszystkim naraz nie dam rady.



Lokal był już oczywiście zamknięty. Na taborecie przysypiał zawinięty w pled Borka z kałaszem na kolanach, kłapa wejściowa była zasunięta, więc obszedłem Jurtę dookoła i wśliznąłem się przez moje drzwiczki.

Jeszcze za dnia w korytarzu przy kuchni zauważyłem dużą balię z wodą, więc umyśliłem sobie, że teraz z niej skorzystam. Rozebrałem się, ruszyłem w samych spodniach, po drodze biorąc tylko z haka ledwo mżącą światłem lampę gazową. Oplukałem się naprędce, wróciłem do siebie. Dobrze, że chociaż posłanie było czyste, bez robactwa... Postawiłem lampkę na klepisku, „ogryzka” ułożyłem na skraju tapczaniku i z niekłamana przyjemnością wyciągnąłem się na sienniku. Zauważyłem jeszcze, że

zapomniałem szepić suwaków przy wejściu kłódeczką, ale chyba nie miałem już ani siły, ani ochoty, żeby po to wstawać.

Brezent zafalował, cichusieńko zgrzytnął suwak... Lufa mojej strzelby spojrzała prosto w twarz intruza.

A w zasadzie intruzki.

– Do kobiety będziesz strzelał? – zapytała z przekąsem.

Oho, już się wyspałem. Westchnąłem cicho. No, z drugiej strony to się miło składa, w końcu też miałem pewien pomysł po drodze z obozowiska bandytów, a dziewczyna w realizacji planu nie zawadzi.

Gończy dopalił, położył się w końcu. Po cichutku, nie wstając, wycofałem się od obozowiska, dopiero wtedy wyprostowałem i ruszyłem w kierunku Jurty.

– Strzelać nie będę, ale ponegocjować możemy. – Uśmiechnąłem się.

Podeszła bliżej. Ubrana była tylko w za dużą męską koszulę, zapiętą na dwa dolne guziki, i nic więcej... Moja strzelba wciąż patrzyła prosto na Ksańkę, która szła powoli, krok za krokiem, spoglądając prosto na mnie, zbliżając się, aż wylot lufy oparł się o

zasłonięte koszulą podbrzusze. Jak gdyby nie czując tego, dziewczyna zapytała:

– Dokąd chodziłeś?

– Przewietrzyć głowę.

Opuściłem broń, zaczepiłem lufą poję koszuli i powoli uniosłem. Ksańka westchnęła, odsunęła strzelbę, weszła na posłanie kolanami, a potem powoli przesunęła się naprzód, miękko padając na mnie całym ciałem.



Cichutko dyszała mi w ucho, leżąc na boku od ściany, wtulając się we mnie i obejmując rękami i nogami. Lampa zgasła, ale przez szczeliny w drewnianych drzwiczkach sączyło się blade światło poranka.

– No i już mamy jutro – westchnąłem. – Tyle ze snu na tę noc.

– A co, żałujesz? – zapytała. – Wolałbyś być sam?

– Nie, nie ma co żałować. Ale spać się i tak chce.

– No to śpij. Rano i tak nikt do Jurty nie przychodzi. Ja mam co robić, a ty nawet i do południa nie wstawaj.

– Nie da rady, też mam swoje...

– A co ty porabiasz w ogóle? Polujesz... ale co jeszcze?

– A nic. – Wzruszyłem ramionami. – Po prostu polujemy.

– „My”? To jest ktoś jeszcze?

No tak... Wyjaśniłem od razu:

– Partnera mam, Michaiła. Ale on teraz jest... no, gdzie indziej.

Ksańka przejechała mi ręką po ramieniu, paznokciem dotknęła dołka pod jabłkiem Adama, odezwała się z namysłem:

– Widziałam, jak się bijesz. I z Cegłą, i potem z Gończym. W ogóle się nie boisz. Takie oczy miałeś... obojętne jakby. Tu się cały czas biją, przecież widzę, że albo w oczach mają złość, albo strach, a przeważnie jedno i drugie. A u ciebie nic. Coś ty, w ogóle się nie boisz?

Westchnąłem, patrząc na pochyły brezentowy sufit.

– Swoje już się wystrachałem.

– Jak to?

– Już dawno mi było pisane umrzeć. W zasadzie to umarłem... Więc czego mam się bać?

Podniosła głowę, przyjrzała mi się uważnie.

– Jak to – umarłeś? Podczas Pandemii?

– Jakiś czas później. Dobra, zapomnij. Nieistotne.

– Nie, właśnie że nie. Opowiedz.

– Nawet nie za bardzo jest co opowiadać. Wtedy się poznaliśmy z Michailem, z moim partnerem. On jest ode mnie starszy, i to pewnie ze trzydzieści lat, więc tak naprawdę to bardziej mentor, a nie partner. Przez te ostatnie kilka lat jakoś tak dystans zmałał, bo wcześniej... No, więc było tak: miałem dwanaście lat, nikogo na całym świecie, wszyscy albo umarli, albo zaginęli. Wtedy po raz pierwszy zabiłem człowieka. Menel jeden sobie legowisko urządził w podziemiu kotłowni, naściągał tam masę towarów ze sklepu niedaleko – tam był taki, co prawie od razu potem go szabrownicy ograbili. Miał jeszcze dwururkę i całą skrzynię noży, co je zabrał z działu mięsnego, siedział w tej kotłowni, znaczy się chował tam, i tylko ja o nim wiedziałem. Miałem chyba początki zapalenia płuc, a z głodu to już w ogóle ledwo się trzymałem na nogach.

I wlałem na dach tej kotłowni z takim wielkim kamieniem, i zacząłem się na niego.

Długo czekałem, prawie cały dzień. W końcu menel wyszedł na dwór, a potem, jak już wracał, to mu ten kamień na głowę zepchnąłem. Potem dobiłem, ciało odciągnąłem, odepchnąłem gdzieś... Już na ostatnim oddechu. Wlazłem na dół, do kotłowni, zamknąłem od środka, coś tam zjadłem i potem zemdlałem. Dostałem gorączki, miałem najróżniejsze omamy... Tam w środku, w kotłowni, rury całe mazutem wysmarowane, smród taki jak w piwnicy, ściany z cegły gołej, głucho, ciemno, a ja za tymi rurami leżę, zawinąłem się w jakieś szmaty i nie wiedziałem, czy już umarłem, czy jeszcze żyję. To ojciec do mnie przychodził, to znów mamę widziałem, mimo że jej wcale nie pamiętam... To znów jakieś diabły, stwory. Mutanty. A potem nagle po raz pierwszy zobaczyłem La... Las... – zająknąłem się.

– Że co? – zdziwiła się Ksańka. – Jak to Las?

– Mówię przecież, że zwidy miałem. Prawie już umarłem, nawet pamiętam ciemny tunel i światełko na końcu. No, bo tak mówią, nie? Że przed śmiercią takie coś widzisz. I to światło już było zupełnie blisko, już prawie w nie

wpadłem, a tu z tyłu ktoś jakby zawołał, oglądam się – a tam twarz. Tak jakby ktoś do studni zajrzał, ręce do mnie wyciągnął, złapał i stamtąd wyratował. Potem się okazało, że to był Michaił, akurat włamał się do tej kotłowni, bo szukał miejsca na nocleg. Ot tak, czystym przypadkiem... I mnie uratował. Już zza grobu w zasadzie wyciągnął. Został przy mnie, na ludzi wyprowadził. No i nauczył, jak przeżyć.



– A ty...

Przerwałem jej:

– A ja od tamtej pory się nie boję. Nie dlatego, że taki jestem oho-ho i twardy, a po prostu już nie umiem. Jak gdyby wtedy się we mnie coś wypaliło... Dobra, nieważne, zapomnij. Więcej nie pytaj. Powiedz mi lepiej, ten Gończy jaki jest, hę? Podoba ci się?

– No chyba że jak oczy zamknę! – obruszyła się Ksańka. – To przecież tchórz! Przez skórę czuć i widać.

– Bardzo natarczywy?

– No, dosyć – westchnęła ciężko i powoli, powolusieńku zjechała palcem w dół po moim brzuchu. – Ale teraz ty mnie obronisz, prawda?

– Nie zawsze akurat będę gdzieś pod ręką. A ten Gończy to typek bez zahamowań, jak na niego popatrzeć.

Ja mówiłem, a jej paluszek pełził coraz niżej i niżej, zrobił rundkę wokół pępka i powędrował dalej.

– Trzeba z nim tę sprawę załatwić raz na zawsze – podsumowałem, przekładając rękę Ksańki z powrotem na brzuch.

– Ale jak to załatwić? Zabijesz go?

– A co za różnica, co z nim zrobię albo nie? Dla ciebie istotne jest to, że więcej nie będzie się czepiać, prawda? A najlepiej, żeby się w ogóle nie pokazywał, niezależnie od tego, czy będę przy tobie, czy nie.



Tartak otaczało wysokie, betonowe ogrodzenie, zaraz obok płynęła po dnie kamienistego jaru żwawa rzeczulka. Było tu kilka budynków, wśród nich wielkością wyróżniała się hala traków. W jej centrum wciąż wznosiła się rama machinerii do rozcinania bierwion z szerokim stołem, pośrodku którego sterczało zębate półkole tarczy.

Okręciwszy kawałkami futra gumowy młotek, który odziedziczyłem w spadku po swoim poprzedniku-wykidajle, siedziałem sobie w środku na żelaznej rurze nad wejściem. Wrota wisiały krzywo na wyłamanych zawiasach, wiatr hulał i świszczął, kołysząc kępkami przerosłej przez podłogę trawy.

– Ksaan-kaa! – rozległ się aż nazbyt dobrze znany głos, a w drzwiach pojawił się cień. –

Gdzie jeesteś? Halo... Sama mówiłaś, żeby przyjść, a teraz się chowasz!

Kroki, odbijające się echem od ścian.

– No... no tak – zgodziła się dziewczyna. – Pewnie, że tak by było najlepiej. Ale co możesz zrobić?

– Co będę mógł, to zrobię. Ale i ty będziesz musiała mi pomóc. Dasz radę?

– A jak?

– Znasz stary tartak? Jakiś kilometr stąd na południe?

– No pewnie, każdy wie, gdzie to jest. Taka ruina, rzeczka tam płynie.

– Otóż to. Najpierw będę musiał się wreszcie wyspać, a po południu... Tylko uważnie słuchaj...

– Dobra, weź już wyłaź – burknął z niezadowoleniem wchodzący do środka Gończy.

Poczekalem, aż podejdzie pode mnie, ugiętymi w kolanach nogami zaczepilem się o rurę i bujnałem głową w dół, biorąc zamach młotkiem.

Bęc! – i Gończy bez jednego nawet dźwięku zwałił się na ziemię jak rażony gromem. Złapałem za rurę, zeskoczyłem na ziemię,

wyrwałem z futerału na udzie koczownika obrzyna i poprawiłem młotkiem, tym razem w ciemię.

Noga znów zaczęła pobolewać, ale teraz to było nieistotne. Chwilkę później Gończy leżał sobie kulturalnie przywiązany do stołu z piłą. Jak się ocknie, to powinien ją zobaczyć dokładnie pomiędzy swoimi szeroko rozsuniętymi nogami. Szkoda, że tarcza nie robi nawet ćwierć obrotu, bo prądu nie ma tu już nie wiem ile lat, ale w roli straszaka całkowicie wystarczy.

Oczywiście wcześniej obszukałem go skrupulatnie. W torbie na pasku miał trzydzieści żelaznych rubli, niedużą złotą sztabkę, tuzin śrutowych nabojów do obrzynka, napoczętą paczkę cameli i pudełko zapalek.

Gdy Gończy w końcu doszedł do siebie, dopalałem właśnie jego papierosa, przechadzając się w tę i we w tę wzdłuż stołu, trzymając w jednej ręce młotek, a w drugiej nóż Michaiła. Koczownik poderwał głowę, popatrzył na mnie, na zębatą tarczę, znów na mnie. Wrzasnął:

– To znowu ty, suko bura?! Czego chcesz?!

Ty fiucie, moi cię na kawałki rozszarpia!

– Nie zgrywaj odważnego – doradziłem mu.
– Bo nie jesteś odważny, obydwaj to wiemy. Mam mało czasu, więc jeśli szybko mi odpowiesz na kilka pytań, to puszcze cię wolno.

To ostatnie było kłamstwem, ale nie miałem zamiaru grać z nim delikatnie.

– Srał ci pies na mordę! – wydarł się znów Gończy. – A ty wiesz, co nasi z tobą zrobią? Rzeźnik co ci zrobi?! Żywcem skórę zedrze! Gały wydłubie, jajca odetnie i w oczodoły wsadzi! Rozwiążuj mnie, ale to już...!

Znów przeszedłem się wzdłuż stołu, złapałem macha, wypuściłem dym nosem. Od niechcenia machnąłem ręką...

– Łaaaa-haaa!!! – zaskowyczał Gończy, gdy młotek huknął go prosto w kostkę. – Co ty robisz, bydlaku jeden?! Przestaaań, nieee!!!

Walnąłem jeszcze raz, dokładnie w to samo miejsce. Gończy zawył idiotycznie wysokim głosem. Radości mi to nie dawało żadnej, ale właśnie dlatego sprawę trzeba było zakończyć jak najszybciej. Kręcąc młotkiem w dłoni i uśmiechając się jak obłąkany, obszedłem go dookoła. Nachyliłem się. W jego oczach

widziałem złość i strach. Dokładnie tak, jak mówiła Ksańka. Pokazałem mu otwarty nóż.

– To własność mojego partnera. Tego, którego wczoraj porwaliście.

– A więc ty... – sapnął, zdumiony. – Myślałem, że o tę suczkę! A ty myśliwy jesteś?! Mutancie ty jeden, gnoju! Bydlaku pierdolnięty! Na strzępy cię rozszarpiemy, suko ty parchata, ty...

Szybki ruch nożem – na szyi i podbródku Gończego wykwitła czerwona kreska. Pojawiła się strużka krwi.

– Dość! – Rzucił się w więzach.

– Odpowiadaj na pytania. Nie odpowiadasz – na zmianę cię biję i kroję. Kroję – i biję po ranie. Ból taki, że zesrać się można. Więc lepiej bądź grzeczny i odpowiadaj, Gończy. Michaił żyje czy nie?

– Bujaj wory, kurwi synu! – ryknął koczownik i zachłysnął się własnym krzykiem, gdy młotek uderzył go od dołu w podbródek. Krew chlusnęła z rany, jak pod ciśnieniem pociekła po szyi.

– Nie będziesz brał imienia matki nadaremno. – Pokręciłem głową. – Powtarzam pytanie: żyje?

– Żyje, tak! Żyje!

– Nie krzycz, dobrze? Mów cicho, ale wyraźnie, żebym nie musiał dwa razy pytać. I weź się w garść, dobrze? Masz być mężczyzną, a nie kurą na pieńku. I odpowiadaj. Rozumiesz?

– Rozumiem... – zachrypiał.

– Michaił. Gdzie go trzymacie?

– Ciężarówka. W naszym obozie jest ciężarówka...

– Wiem. Po co go braliście?

– Po-potrzebny. Rzeźnik go do czegoś chce.

– Niby po co? My, rozumiesz, jesteśmy prości myśliwi. A wy po niego piętnaście kilosów jechaliście. Po co?

Mrugał tylko i patrzył na mnie. W końcu wyjąkał:

– Nie wiem... Nie, nie bij! Naprawdę nie wiem. Rzeźnik nigdy nie mówi, co sobie wymyślił...

Żrenice Gończego rozszerzyły się gwałtownie, gdy ostrze noża oparło się o jego policzek i zbliżyło ku oku, tak że niemalże dotknęło rogówki.

– A teraz zrobię ci operację wymiany siatkówki. – Uśmiechnąłem się. – Mów! Po co

porwaliście mojego przyjaciela?

– Och, ty bydlaku, suko ty... – wysyczał. – Ty wynaturzeńcu zezwierzęcony!

– Albo mówisz, albo oczko robi baj-baj. Po co wam potrzebny?

– Bo go Kuźma rozpoznał.

– Co to znaczy, że go rozpoznał?

– Kuźma był kimś tam... Mundurzakiem, mundurowym... No, tym, ochroniarzem. Psem, razem z glinami konwoje ochraniał. Więźniów transportował. A twój, ten, kolega niedawno na Czarnym Rynek przyjechał, sam...

– Amunicję kupował. – Kiwnąłem głową.

– A nie wiem, może i tak. No i Kuźma go tam zobaczył i rozpoznał.

– No i co? Co ci Kuźma mówił?

– A nic mi nie mówił, nic! Oni tylko z Rzeźnikiem gadają, nasz szef nikomu nic nie mówi! A ja tylko tak... urywki... Część się usłyszało, a część się domyśliłem. Kuźma tego twojego ziomka jeszcze przed tą, no, Pandanią...

– Pandemią.

– No, jeszcze przed Pandemią widział. Oni wtedy gdzieś więźniów przywieźli, ale nie

wiem gdzie. Jakieś miejsce... No, tego, nie za bardzo jakieś. No i ten twój Michaił, on tam był. Nie wiem, pracował czy co? Nie wiem...

– Dawaj dalej.

– A ja nic więcej nie wiem! Rzeźnik powiedział, że twojego kolegę bierzemy, a on nam coś tam powie, to będzie z tego kasa. A jak znajdziemy to miejsce, gdzie go Kuźma widział, to w ogóle jeszcze lepiej...

Papieros dopalił się do samego filtra. Wyplułem go na ziemię, poklepałem więźnia płazem noża po policzku.

– Oj, oj, oj. Coś mi się widzi, że nie wszystko mówisz.

– Wszystko, wszyściutko przecież! Rzeźnik myśli, że jak się uda, to on nawet samego Chana da radę wygryźć! Zostać szefem całego Czarnego Rynku!

– Że niby obalić Chana? – zdziwiłem się. – Nie przesadzasz trochę? A co to za miejscówka, co tam ma być takiego, że dzięki temu można przejąć władzę na Rynku?

– Nie wiem, nie wiem! Rzeźnika się pytaj, to on wymyślił, a ja nie wiem!

– No dobrze – powiedziałem z namysłem, odsuwając nóż od jego twarzy. – W takim

razie jeszcze raz, żeby mieć jasność. Przed Pandemią Kuźma był konwojentem w służbie więziennej. Kolejną grupę zawieźli... gdzieś. Nie wiadomo gdzie, ale był tam Michaił. Nie wiesz, ani kim był, ani co tam porabiał, ale miejsce ciekawe i nietypowe. Kuźma tam Michaiła widział i zapamiętał. Na razie wszystko jasne, ale dalej coś nie gra: po co wam Michaił teraz, jeżeli Kuźma już tam był? Dlaczego sam nie zaprowadzi tam Rzeźnika?

– Nie mam pojęcia. A może tam się wejść nie da, tylko twój partner wie jak? Albo Kuźma nic nie wie, nie ma pojęcia, jak trafić. No, siedział w tym... w furgonie, nie widział drogi. Nie wiem, nie wiem!

– A ja tak myślę, że wiesz, tylko ściemniasz. Podniosłem z podłogi obrzyna Gończego i przyłożyłem do jego stopy. Bandyta zawył:

– Nie, nienienie! Błagam, nie, powiedziałem przecież!

– Z tej odległości śrut przerobi ci nogę na mielonkę, zostanie tylko mięcho i kawałki kosteczek. Tego się nawet nie leczy, wiesz.

– Przestaaań!!!

– Mów, jak było, gnido.

– Nie wiem, nie mówili mi! Nie było mnie

przy tym!

– Mów, tylko szczerze. Torturowaliście go?
Zamilkł.

– No więc? – Nacisnąłem lufą jego staw
skokowy.

– My... nie...

– Mów prawdę! – Szczęknęły odwodzone
kurki, Gończy szarpnął się w panice.

– Tak, tak! Torturowali go, ale nic nie
powiedział... Rzeźnik powiedział potem, że
trzeba będzie do Aptekarza zagadać, jest na
Rynku taki jeden...

– Niby że ten, co różne kompoty kręci z ziół,
co na skraju Lasu rosną? A co tu ma do rzeczy
Aptekarz?

– On podobno umie takie coś zrobić, nazywa
się, eee... esencja prawidłności czy coś....

– Serum prawdy? Skopolamina? Czytałem o
tym...

– No, no, coś w ten deseń! Może nie tak się
nazywało, ale to samo robi. No i, rozumiesz,
ze swoich grzybków potrafi takie coś
ugotować, że wstrzykniesz to frajerowi, a on
ci wszystko opowiada, jak na spowiedzi. Tylko
że podobno niebezpieczne, jak dawka za duża,
to może bokiem wyjść. No i... no i Rzeźnik

powiedział, że temu twojemu koledze też to poda...

– Kiedy?!

– No, niby że dzisiaj. Pewnie już zresztą podał. Ja nie wiem, ale Aptekarz obiecał przed obiadem skończyć, a przecież zaraz już wieczór. Koksu do niego poszedł, miał przynieść. Słuchaj, ja ci przysięgam, na korzenie Lasu się klnę, nie wiem nic więcej!

Jego oczy błyszczały przerażeniem. Opuściłem strzelbę.

– Teraz się zamknij i nie ruszaj.

Dokładnie tak zrobił. Zarzuciłem na plecy mojego „ogryzka”, przeciąłem sznurki – najpierw przy nogach, potem krępujące ręce.

– Siadaj – przykazałem. – Teraz wstań. Twarzą do bramy. Naprzód.

Gdy ruszyłem za nim, powiedział:

– Zastrzelisz mnie.

– Nie, nie zastrzelę. Życiem daruję.

– Aha, już to widzę, że mnie wypuścisz. – Koczownik potknął się. – Zabijesz. Ja przecież do moich wrócę, wszystko opowiem... Nie możesz mnie teraz puścić, wiem.

– Ruszaj się! – Dźgnąłem go lufą pomiędzy łopatki, popchnąłem na dwór. – Oczywiście, że

nie puszczę, żebyś sobie biegał. Zwiążę cię, poleżysz tu w szopie, a ja Sigowi w swoim czasie powiem, żeby cię uwolnił. Idź, idź naprzód! I teraz przed ogrodzeniem skręć na prawo...

Minęliśmy placyk przed tartakiem, ruszyliśmy wzdłuż ogrodzenia, kiedy nagle Gończy wrzasnął przeraźliwie, skoczył w bok i dał nura przez dziurę w płocie.

– Stój! – Rzuciłem się za nim.

Zaraz za płotem zaczynało się zbocze parowu z rzeczką na dnie, a na przeciwległym brzegu rosły rozłożyste krzaki, w których mój uciekinier mógłby się bez trudu skryć. On skoczył z rozbiegu, ja wypaliłem z obrzyna – ładunek śrutu trafił Gończego w plecy, ten zaskowyczał i poleciał w dół. Plusnęła woda. Cisnąłem obrzyna w diabły, zerwałem z ramienia strzelbę, skoczyłem ku stromemu brzegowi.

Nurt ciągnął koczownika po płyciźnie. Widziałem, jak ciało zatrzymuje się i przetacza po kamieniach, woda wokół barwiła się krwią na różowo. Nie miałem pojęcia, czy jeszcze żyje, czy już nie... Wziąłem go na cel, dałem ognia jeszcze raz, trafiłem, zdaje się, w

ramię. Ciałem w wodzie mocno szarpnęło. Prąd przeniósł go nad zwaliskiem kamieni, w miejsce, gdzie było głębiej. Patrzyłem jeszcze, jak czerwona koszula wzdyma się powietrzem, potem idzie pod wodę... i koniec, znikła zupełnie.

Przerzuciłem pas nośny strzelby przez głowę, wyłuskałem z trawy obrzyna i popędziłem co tchu w kierunku Jurty.

Rozdział piąty

Sam przeciw wszystkim



Eżysz ty zgłupiał? – syknął Sigizmund. – Robić najazd na Aptekarza? Przecież on ma swój dom w samej Kwaterze! Swoje wywary dostarcza połowie Ordy i całej Kwaterze, cały czas ma

do dyspozycji tuzin ochroniarzy pod bronią, drugie tyle w gotowości!

Siedzieliśmy przy barze, konfidencjonalnie nachylając się ku sobie. Koczownicy odpoczywali po wczorajszym pochleju, salka była pusta, tylko Igor i Borka stukali i pukali młotkami, naprawiając połamany stół.

– Ta ochrona, co to za jedni? – westchnąłem.

– Janczarzy, tak ich nazywają. Oddział

szturmowy samego Chana, część z nich wynajmuje tym, co mogą sobie na to pozwolić. Aptekarz jest tu największym handlarzem narkotyków, hurtownikiem w zasadzie. Rób, jak chcesz, Stas, ale na mnie w tym nie licz. Aptekarz to dla mnie za duża ryba – i ciebie, i mnie pod wodę wciągnie.

– Słuchaj, jeżeli on im przekaze to serum...

– Posłuchaj sam siebie: już przecież przekazał. Spóźniłeś się. – Sigizmund podłubał paznokciem skrzynkę i nagle chyba zdecydował: – Słuchaj, chcę, żebyś się w ogóle stąd zawiął. Zbyt niebezpieczne się to robi.

– Jutro.

– Żadne jutro, dziś. Już, zaraz! – Walnął pięścią w drewniany kontuar.

– Bez wykidajły zostaniesz.

– Mutant z tym, poradzę sobie bez wykidajły. Za to głowę ocale.

Chciał już wstawać, ale położyłem mu rękę na ramieniu, powiedziałem cicho:

– Sig, ty się nie powinieneś bać tamtych, tylko mnie. Sam wiesz, jak u mnie było z Michailem. Ja tego płazem nie puszcze nikomu. Nawet tobie, jeśli będzie trzeba.

Gospodarz Jurty spochmurniał. Posiedział

chwilę w milczeniu, w końcu rzucił:

– Dobrze, na noc możesz zostać. Ale na tym moja pomoc się kończy.

– Granatnik mi potrzebny.

– Nie mam.

– Masz na pewno. W piwnicy leży, w twoim składziku. Dobrze schowany.

– Mówię, że nie mam!

– Trzydzieści rubli żelazem i sto gram złota.

– Że co, za granatnik?! I pięć razy tyle by było mało. A poza tym mówiłem, że nie mam.

– To znaczy, że teraz ty też jesteś przeciwko mnie – skonstatowałem. – Wszyscy przeciwko mnie.

– Ja nie jestem przeciw. Ja po prostu nie jestem za. Sam się ogarnij ze swoimi problemami. Granatnik, jeszcze czego! Chcesz napadać na obóz tych tam, koło samej Kwatery? Proszę bardzo! Albo od razu kulkę obciągniesz, albo Chan przyśle swoich janczarów. Słuchaj, jeżeli ktokolwiek robi zamieszanie koło Kwatery, to od razu wchodzi janczarzy i czyszczą całą okolicę do zera. Rozumiesz? Do zera! Tutaj prawo takie, kto nie zdąży nóg za pas wziąć, to tylko wybór: nóż albo kulka. Jurtę mi spalą...!

Żadnych granatników, Stas, żadnej pomocy! Ostatnią noc u mnie śpisz, a potem wypad dokąd oczy poniosą!

– Dobra, nie płacz już. Pytanie mam jeszcze jedno: słyszałeś o jakimś Rzeźniku? Nie mówiłem ci jeszcze, ale to szef tej bandy, co zabrała Michaiła.

Sig zbladł, a nawet poszarzał. Odsunął się ode mnie, obejrzał nerwowo przez ramię, zaszeptał:

– Rzeźnik był kiedyś porucznikiem u samego Chana, brygadzystą oddziału janczarskiego do szczególnie ostrych akcji, kiedy potrzebna była szczególnie brutalność... Ale za dużo krwi się pod nim lało, źle o nim mówili. Był za ostry, nawet jak na tutejsze standardy, więc Chan go odsunął. No, w zasadzie to wygnał. Ej, czekaj, czekaj – to co, Rzeźnik się zainteresował Michaiłem? Ten Gończy, co go w rzece twarzą w dół zostawiłeś, to ktoś z jego brygady?

– Chyba jakiś krewny – wyjaśniłem.

– Coś ty, zastrześliłeś krewniaka Rzeźnikowi?! Stas, żadnych noclegów! Paszół won, ale to już, na jednej nodze! Już!!!

Sig mimo woli podniósł głos. Borka i Igor

popatrzyli na nas spłoszeni. Z kuchni wyjrzała Ksańka... A ona co, cały czas tam była? Czyli na pewno słyszała wszystko, w końcu brezent nie beton. Właściciel Jurty miał taką minę, że po prostu wstałem bez słowa i ruszyłem do siebie. Jeszcze na korytarzu usłyszałem kroki, odwróciłem się – Sigizmund szedł za mną. Nie patrząc mi w oczy, rzucił:

– Słuchaj, tego... Pospieszyłem się. Tę noc jeszcze zostań, rano się zbierzesz. Z samego rana, jak tylko słońce wstanie.

Skręcił w boczne przejście, rzucił na odchodnym:

– Na razie z Jurty nawet nosa nie wysuwaj, i do sali wieczorem nie chodź. Albo najlepiej od razu idź do siebie i tam siedź. Jedzenie ci przyniosą.

Siedzieć w Jurcie, rzecz jasna, nie miałem najmniejszego zamiaru, ale też nie wiedziałem, co robić dalej. Sig miał rację w jednej kwestii: na wyprawę do Aptekarza było mocno za późno, bo Rzeźnik miał już serum w rękę. Całkiem możliwe, że i Michaiła już zdążyli przepytwać. Najpierw go męczyli, a potem podali mu ten syf...

Usiadłem na posłaniu. No już, człowieku,

weź się w garść, skoncentruj! Jak wyciągnąć partnera z tej więźniarki? Gończy odpadł, czyli zostało pięciu: Rzeźnik, Kuźma, Ryba, Wieprzu i Koks. Ja mam mojego TOZ-a, obrzyn po Gończym i trzy noże: mój, Miszki i niedawno zdobyty. No i oczywiście gumowy młotek, a co. Pieniądze chociaż wpadły, jest za co sprzęt kupić. Wyciągnąłem z kieszeni sztabkę złota i jednego rubla, podrzuciłem monetę na dłoni. Trzydzieści trzy ruble powinny starczyć na mocno przechodzony karabin, i to jeśli się potargować. Na granatnik – bez szans. Czyli ewentualnie ak, strzelba i obrzyn... Nawieszać na siebie broni, może jeszcze ze dwa granaty do kieszeni włożyć. Na janczarów na razie kicham, niech potem sobie przychodzą, to będzie już nie mój problem. Szybkie wejście na obóz bandytów jest moją jedyną szansą, innych opcji po prostu nie ma. Ech, żeby tak granatnik...! Sig na pewno ma gdzieś przybunkrowany. I granatów więcej by się przydało. Sprzedać nie sprzeda, ale może inaczej spróbować – złapać go, lufę do głowy przystawić, zmusić, żeby do magazynu zaprowadził...

Za prowadzącymi na podwórze drzwiczkami

rozległy się pospieszne kroki. Poderwałem się z bronią w gotowości, ale ktoś po drugiej stronie szepnął:

– Stas!

Podszedłem, uchyliłem drzwi, stojąc plecami do ściany.

– To ja – szepnęła Ksańka, łapiąc ciężko powietrze, jak po szybkim biegu.

– Wchodź.

Dziewczyna wśliznęła się do środka, złapała mnie za rękę, wyszeptała:

– Sig cię sprzedał!

– Że jak? – Nie zrozumiałem.

– Aptekarzowi. Wszystko słyszałam z kuchni, o czym mówiliście, a jak ty potem tu poszedłeś, to Sig od razu do niego popędził. A ja za nim! Poszedł do domu do Aptekarza, a ja czekałam na zewnątrz. Potem jak wyszli już we dwóch, to ten Aptekarz od razu zaczął swoim dawać rozkazy. Tam się już zbiera grupa bojowa!

I ja przybiegłam od razu do ciebie...

– Pewnie powiedział Aptekarzowi, że nowy wykidajło chce go okraść. – Pokiwałem głową.

– Pewnie wykombinował, że tak najprościej wszystko załatwi za jednym zamachem.

– Ale ty przecież możesz im powiedzieć prawdę...

– Niby jaką? A komu potrzebna moja prawda i ja sam, kula w łeb i do piachu, tyle!

– No to uciekaj!

– A ciebie nikt nie widział? Kiedy proponowałaś Gończemu tę randkę na tartaku, ani teraz?

– Nie, na pewno nie!

– Dobrze. – Pogłaskałem ją po policzku. – Dzięki, dziewczyno. A teraz leć.

Nie czekając nawet na jej reakcję, zebrałem swój skromny dobytek i ruszyłem do wyjścia. Rzuciłem jeszcze Ksańce, która stała tak, jak ją zostawiłem:

– No leć! Idź po prostu do kuchni i rób to, co masz tam robić. Nic nie wiesz, nikogo nie widziałaś. Leć.

Gdy przebiegałem przez pusty plac na tyłach Jurty, z drugiej strony rozległy się głosy i tupot ciężkich butów.



Naciągnąwszy kaptur głęboko na twarz i z rękami w kieszeniach, szedłem zwawym krokiem pomiędzy stoiskami handlarzy

raptem dwie ulice dalej od Jurty.

Na pewno już szukający mnie janczarzy albo jeszcze w te rejony nie dotarli, albo w ogóle nie zamierzali tu się wciskać. Tak czy inaczej, szedłem ze wzrokiem wbitym we własne buty, zerkając tylko na boki i starając się nie przyciągać niczyjej uwagi.

Sprzedawano tu w większości najprzeróżniejszy chłam. Stawałem przy kilku stoiskach, brałem do ręki, oglądałem – najpierw as wał z urwaną rączką zamka, potem ak bez muszki, w końcu prababcie tetetkę... Zdążyłem już z ciężkim sercem zdecydować, że za te pieniądze kupię chyba tylko amunicję i będą nią rzucał – gdy w końcu zobaczyłem na szarym końcu uliczki handlarza artefaktów.

Ubrany w łachy dziadulo siedział pod kawałkiem folii bąbelkowej rozpiętej na wbitych w ziemię kijkach, przed nim rozłożona była niegdyś biała koszula, a na niej leżały dwa artefakty.

Znajdowacz. Tak nazywają tych, co ryzykując zdrowie i życie, zdobywają artefakty. Znajdowacze albo z większym szacunkiem – stalkerzy, tyle tylko, że ten

konkretny żulik koło stalkera nawet nie stał. Z brudnej brody sterczały mu kawałki siana, oczy miał czerwone od przepicia, nos jak pomidor, trzęsące się ręce... Przykucnąłem, patrząc na arty: ledwo dostrzegalnie opalizujący błękitem kwiatek, a obok kanciasty, dziwny twór wielkości pięści – coś jakby kamień częściowo porośnięty włochatą skorupą, niczym kokos.

„Zywokost” i „grzechotka”. Pierwszy przyspieszał gojenie się ran, drugi był jeszcze ciekawszy, jako że zupełnie wyciszał wszelkie dźwięki na pewnym określonym dystansie. „Grzechotka” w dodatku nie erodowała z upływem czasu, można ją reaktywować i używać ponownie.

Pomiędzy artefaktami wbity był w ziemię prosto przez brudną koszulę kijek, a na nim, niczym żagiel, zatknięto kawałek aluminiowej folii. Ot, jaki cwaniak!

Widzieliście, jak ekranuje artefakty od interferencji promieniowania? Tak naprawdę to nikt nie miał bladego pojęcia, czym konkretnie emanują artefakty, ale wiadomo było, że lepiej ich nie trzymać razem, bo potrafiło to zaszkodzić zdrowiu. Co

poniektórzy stalkerzy uważali, że artefakty wypalają mózg, więc żeby ochronić się od zabójczego promieniowania, chodzili w czapkach wyłożonych od spodu alufolią. Jak idioci w cyrku.

– Bierz, bierz, dzieciaku – zachrypiał znajdowacz. – Bierz, dobra okazja.

Nachyliłem się niżej. „Żywokost” był zupełnie zmętniały, ledwo się świecił.

– Stary – zauważyłem.

– Co ty opowiadasz! – zachnął się żulik, dźgnął mnie pomarszczonym, sękatym paluchem w ramię. – Patrzcie, towar ludziom obrzydza! Arcik nówka sztuka, nieśmigany!

Trzepnąłem go po łapie.

– Takim „żywokostem” to se krosty z dupy wyciągaj. Ile za „grzechotkę” chcesz?

– Sto rubelków.

– Ile?! Dziadu, ocipiałeś chyba!

– Dobra cena! – zachrypiał. – Paczaj sam, o, jaka jędrna, nabita, jak dupka...

Znajdowacz podniósł artefakt, przekreślił, demonstrując w pełnej krasie. Napęczniałe pęcherzyki, pokrywające część „grzechotki”, miały kolor bladawej pomarańczy. No faktycznie, pewnie co mogła, to już dźwięku

wchłonęła... Pokiwałem głową.

– Nabita, rzeczywiście. Po kolorze widać...
Ćwiartaka ci dam.

– „Grzechotkę” da się wyczyścić!

– No to ją wyczyść.

– Pisiont, pisiont daj – zacharczał, wionąc na mnie zapachem przetrawionego samogonu.

Rozległy się przytłumione głosy. Strzeliłem oczami w bok – w dalszym rogu placyku, przy namiotach przekupniów, pojawił się oddział ubranych na czarno ludzi. Daleko, nie wiadomo, czy już janczarzy, czy po prostu jakaś banda.

– Za trzy dychy wezmę – powiedziałem, wyciągając rękę.

On potrząsnął głową, nakrył artefakt dłonią.

– Mało!

Wyciągnąłem z kieszeni i pokazałem mu garść monet.

– Tylko tyle mam. Trzydzieści i przybijamy albo siedź tu ze swoim starzywem do jutra.

Znajdowacz milczał, mrugając tylko przekrwionymi oczami.

– Ależ potwornie zamulacie, ojczulku. – Wysypałem monety na szmatę, odsunąłem

jego dłoń na bok, ostrożnie podniosłem „grzechotkę”.

Ludzie zbliżali się, widać było czarne hełmy. Janczarzy od Chana jak nic.

– Mało... – zaczął znajdowacz.

– Zawrzyj paszczę! – rozeźliłem się. – I tak ci jeszcze przepłacam, jakbyś sam nie wiedział. Jeszcze mi torbę dorzucasz, i jesteśmy kwita!

Artefakt był ciepły pod dotykiem i zdawał się ledwo odczuwalnie buczeć. Złapałem leżącą na ziemi sakwę z zajęczej skóry, wrzuciłem do niej „grzechotkę”.



W zaroślach nad brzegiem rzeczki, która wcześniej tego dnia zabrała ze sobą ciało Gończego, było cicho i spokojnie. Wsunąłem magazynek w gniazdo strzelby, po czym zacząłem szybko pociągać za rączkę zamka, po kolei dosyłając naboje do komory. Wyrzutnik i deflektor działały jak należy, ze szczękiem wyrzucając je przez okienko na bok. Wypiąłem magazynek, przełożyłem do gniazda wspawanego w rozkładaną kolbę; załadowałem drugi, zapiąłem, sprawdziłem,

czy podaje wszystkie naboje bez problemu. Potem powtórzyłem czynności raz jeszcze, w końcu pokiwałem głową, zadowolony z siebie. Wszystko gra.

Robiło się już ciemno, gdy usłyszałem głosy. Podniosłem się, zajrzałem przez wyłamany segment płotu wokół tartaku: na podwórku pojawił się oddział janczarów. Pogratulowałem sam sobie, że nie przyszło mi do głowy rozłożyć się gdzieś w środku, chociaż i o tym myślałem. Całe szczęście, że zdecydowałem się zapaść tu, w krzakach!

Żołnierze roztasowali się po podwórku, zaglądając do budynków, potem wszyscy weszli do hali, gdzie miałem pogadankę z Gończym. A tam przecież zostały ślady, krew na stole... Chociaż z samej krwi przecież nie wywróżysz, co się działo.

Janczarzy nie pojawili się już w polu widzenia, musieli wyjść z drugiej strony. A mogli też zostawić kogoś rozejrzałem się i ruszyłem szybkim krokiem, wciskając głowę w ramiona. na straży. I teraz wartownicy być może przyczaili się na poddaszu i przez wąskie, niskie okienka lustrowali całe podejście do budynku. A może to bzdura,

nikogo tam nie było. Tak czy inaczej, w tartaku nie miałem czego szukać.

Poczekalem, aż zrobi się zupełnie ciemno, i wpełzłem głębiej w zarośla, zawinąłem się w kurtkę i zamknąłem oczy. Trzy godziny snu, potem pobudka – tak ustawiłem biologiczny budzik. Nawyk budzenia się na życzenie wyrobiłem już dawno temu, działało bez pudła.

Gdy się ocknąłem, sierp księżyca stał już wysoko na niebie, a budynki tartaczne były zupełnie głuche i ciemne. Na szczęście do pełni daleko, bo wtedy byłoby zbyt jasno na realizację mojego planu. Woda szumiała i chlupotała na dnie jaru, więc wstałem, wyprostowałem się, pomachałem ramionami i zrobiłem kilkanaście przysiadów, żeby się rozgrzać. Rozebrałem się do pasa, zszedłem do rzeki, wymazałem błotem twarz, tors, ramiona, szyję i ręce. Odczekałem, żeby brud trochę przesechł, i naciągnąłem rękawiczki. Teraz jedynymi jaśniejszymi punktami mojego ciała były oczy, całą resztę kryły albo kamuflażowe spodnie, albo nierówne placie i pasy błota.

Wypačkany błotem, czający się po ciemku w

krzakach, poczułem się jak dzik garbus. W końcu mutanty także lubią się wytarzać w błocku. Michaił twierdził, że też się tak maskują. No i dobrze, będę teraz leśnym mutantem. Samotnikiem z Lasu. Jak cały Czarny Rynek długi i szeroki, nikt się za mną nie wstawi. No dobrze, jest Ksańka, ale jaki może być pożytek z kobiety?

Wsunąłem nóż Michaiła do kieszeni, dwa pozostałe – mój i Gończego – zawiesiłem na pasku. Obrzyn po koczowniku zostawiłem – nie byłem przyzwyczajony do takich zabawek, poza tym kaburę szlag trafił razem z właścicielem.

Mocno wątpliwe, żeby to moja skromna osoba zmusiła ich tam, na Rynku, do wprowadzenia nocnych patroli; to by już była przesada. Po pierwsze nie sądziłem, żeby Aptekarz na śmierć przestraszył się niepotwierdzonych doniesień o tym, że jakiś cieć znikąd chce go obrabować. No dobra, janczarów ściągnął, niech przeczeszą okolicę. Nic nie znaleźli? Ojej, no jaka szkoda. Ochronę na jedną noc wzmocnią, i tyle. Ale pewnie im Sig opisał, jak wyglądam, więc ludziom nie ma się co pchać przed oczy.

Poprawiłem wiszącą przy pasie torbę z „grzechotką” i ruszyłem najpierw wzdłuż parowu, potem lukiem obszedłem tartak i skierowałem się do byłego warsztatu samochodowego. Minąłem blok, z którego podziwiałem ceremonię pogrzebową Boszki Chmielą, okrągłą fontannę pokrytą teraz popiołem i sadzą, a dalej poszedłem nie po ulicy, a przez ruiny, wymijając obozowiska, skupiska namiotów czy po prostu śpiących tu i tam bajkerów. Była już czarna, głucha noc, ogniska ledwo pełgały, koczownicy w większości spali, tylko skądś z daleka niosła się muzyka – grał samotny magnetofon, pewnie podpięty na krótko pod samochodowy akumulator.

Na warsztat wyszedłem od drugiej strony, z tyłu, więc przekradłem się zaroślami ku asfaltowemu placykowi. Niewiele się zmieniło: tym razem na dachu dyżurował Wieprzu, na ciężarówce siedział ktoś inny – może Koksu? W odróżnieniu od wielkoluda z zeszłej nocy nie stał na krypie, a rozsiadł się na kabinie, oparty plecami o żelazną budę więźniarki. Samochód stał tyłem do warsztatu, czyli tylko Wieprzu widział Koksa od góry No,

przynajmniej do chwili, dopóki Koksę się nie obejrzy.



Zapadłem w krzaki z boku od ciężarówki, wsunąłem rękę do torby i dwoma palcami mocno ścisnąłem artefakt. Ledwo dosłyszalne klaśnięcie – i spowiała mnie sfera ciszy, w uszach aż zadzwoniło. Dalsze dźwięki dobiegały do mnie zupełnie wyraźnie, ale wszystkie z najbliższego otoczenia jakby ktoś po prostu wyłączył. Zawsze mnie niepomrotnie dziwiła ta zdolność „grzechotki” do wybiórczego tłumienia fal dźwiękowych. Pewnie była to kwestia kierunku rozchodzenia się fali. Artefakt nie wyłapywał tych idących ku niemu, a wszelkie rozchodzące się na zewnątrz dosłownie połykał.

Dziurę kanału remontowego miałem na wprost, za nią samochód, dalej ognisko. Dla patrzącego z góry Wieprza kanał był tylko czarnym prostokątem, mnie na pewno też nie widział – wymazany błotem od pasa po czubek głowy, rozpląszczony na asfalcie, byłem tylko kolejną szarą plamą.

Kurtkę zostawiłem w wysokiej trawie na obrzeżach placyku – niewykluczone, że nie będzie szansy po nią wrócić, trochę szkoda, ale teraz wygodniej bez niej. Wyasygnowane przez Siga dzinsy cisnąłem do rzeki przy

tartaku. Nie podeszły mi, tak w ogóle dzinsów nie lubię, są twarde i obcierają tam, gdzie nie powinny.

Przewieszony na skos przez ramię pas mocno dociskał mój „ogryzek” do pleców, w prawym ręku ścisakałem nóż. Serce uderzało mocno i równo, w ustach zaschło... Przełknąłem raz i drugi, poczołgałem się dalej.

Powoli, niespiesznie przepętląłem obok kanału, od czasu do czasu ostrożnie unosząc głowę i rozglądając się. Hm, zasnął nasz Koks czy co...? Cicho siedzi, nie rusza się; za to Wieprzu na dachu od czasu do czasu wstaje, robi rundkę spacerkiem. Za każdym razem gdy stał przodem do mnie, zamierałem bez ruchu, a potem czołgałem się dalej. Z drugiej strony ciężarówka donosiło się trzaskanie płomieni i przytłumione głosy.

Odezwał się Rzeźnik:

- Kuźma, kierownicę w kabinie zrobiłeś?
- Nie zdążyłem, ciemno było. W kabinie w ogóle nic nie widać.
- Skoro świt ruszamy.
- No więc rano dokończę. Dwie minuty muzyki i gotowe.
- No, tylko żebyś zdążył. Do cholery, a

gdzie Gończy?

Ryba coś odpowiedział płaskim głosem, potem znów cisza. Podczołgałem się jeszcze kawałek, wpełzłem pod burzę ciężarówki pod samą kabiną. Wieprzu już mnie nie zobaczy na pewno, za to gdyby Koks się teraz wychylił i spojrzał w dół, to ma mnie na talerzu...

Podniosłem się na kolana, zadarłem głowę. Dokładnie przede mną był stopień, dalej drzwi do kabiny, zamontowane na długim wysięgniku lustro boczne... No więc dalej tak: wyprostować się, nóż w zębach, krok, stopień, złapać się uchwytu, przykucnąć. Koks będzie na wprost przede mną, na wyciągnięcie ręki. „Grzechotka” w kieszeni, więc całość uda się zrobić bezgłośnie. O ile tylko stopień nie skrzypnie zbyt głośno – tego już artefakt może nie wyłapać – to bandyta mnie nawet nie usłyszy.

No a dalej to już na dwoje babka wróżyła. Jeśli wskoczę na kabinę akurat wtedy, kiedy Wieprzu będzie odwrócony przodem, to nie ma szans, żeby mnie nie zauważył. Jeśli bokiem – może kątem oka dostrzec. Jeśli wielkolud będzie odwrócony tyłem – to znaczy, że mam

farta.

Od chwili, gdy szczyt warsztatu zasłoniła mi ciężarówka, w myślach nadal odtwarzałem sobie obrazek chodzącego po dachu Wieprza. Jeżeli bandyta nie zmienił rytmu, prędkości albo nie przystanął po drodze, to teraz powinien odwracać się do mnie przodem. Zacisnąłem zęby na nożu, zgarbiłem się, podniosłem na nogach tak, żeby czubek głowy nie wystawał ponad obrys ciężarówki. Postawiłem nogę na stopniu, powoli, baaardzo powoli zacząłem przenosić ciężar ciała... Noga znów boli, ale nic nie poradzę, trzeba to znieść. Metal pod butem zaskrzypiał, ale „grzechotka” zrobiła swoje, dźwięk był ledwo słyszalny.

Gdy już stałem na stopniu, Wieprzu powinien akurat obracać się do ciężarówki plecami. Oparłem się podeszwą o wysięgnik z lusterkiem, złapałem za solidną klamkę, wczekałem jeszcze chwilę, chwyciłem nóż wolną ręką – i podskoczyłem.

Koksu siedział może pół metra ode mnie z przymkniętymi oczami. Oczywiście, że teraz mnie już usłyszał, rozkleił powieki, odwrócił głowę...

Wbiłem mu sztych w gardło, gorąca krew chlusnęła na rękę. Jedną dłonią złapałem gościa za włosy, drugą puściłem nóż i zatkałem mu usta, żeby zagłuszyć przedśmiertny charkot. Obejrzałem się za siebie – Wieprzu powoli szedł po krawędzi dachu, odwrócony do nas plecami.

Koksu umilkł. Jasne, skąd ta ksywa: gęba jak kartofel, mięśnie napompowane sterydami jak piłki... Strach pomyśleć, czym się szprycował. Krew lała mu się po szyi, przesiąkając fufajkę. Wyciągnąłem klingę z gardła, ciało zaczęło przechylać się na bok, więc złapałem trupa za ramię i przytrzymałem. Wieprzu na dachu zaczął się odwracać, popchnąłem Koksa z powrotem, jego głowa odskoczyła w tył, huknąwszy potylicą o żelazną pakę.

Na ułamek sekundy przed tym, jak Wieprzu odwrócił się do nas, zeskokczyłem na stopień, przykucnąłem i zamarłem bez ruchu. Bandyta z dachu widział teraz koleżkę jak na dłoni, w tej samej pozycji, tyle tylko, że tamten miał głowę odrzuconą do tyłu. Wielkolud może pomyśleć, że towarzysz zasnął, wtedy go zawoła... albo i nie. A może w ogóle nie

zauważy, że coś się zmieniło.

Ognisko trzaskało z cicha. Przytuliłem się do drzwi kabiny, słuchając i wyczekując.

– Wkurwia mnie ten mój pociotek – rozległo się zza ciężarówki. – Przyjdzie, to wpierdol ma. Dwa dni będzie leżał i jęczał.

– A robota? Jak wtedy jechać? – zaproponował Kuźma.

– Do środka się go wrzuci, do gajowego. Niech z nim jedzie.

– Gajowy pewnie już tam zdechł. Sprawdzić by trzeba.

– No to idź sprawdzić. Co cię to obchodzi? I tak go zabierać nie będziemy, za dużo zachodu – zarechotał Rzeźnik.

Zacisnąłem zęby. I co dalej? Drugi etap będzie jeszcze bardziej ryzykowny. Trzeba obejść ciężarówkę, dostać się do środka. Drzwi były od strony warsztatu, po którym łązi Wieprzu, a jeżeli drzwi mają nie tylko rygiel, ale i kłódkę...? Na taki wypadek miałem na podorędziu wytrych, zmajstrowany z drutu, który znalazłem w tartaku, ale jak mam w półmroku sforsować zamek, otworzyć drzwi i wejść do środka, nie alarmując nikogo z pozostałej czwórki? W tym jednego, który łązi

mi tuż nad głową, a w zasadzie za plecami, co i rusz zerkając w tę stronę?

Gotów już byłem zejść na ziemię, gdy do głowy przyszła nowa myśl. A może do środka da się wejść inaczej? Uchyliłem drzwiczki i zanurkowałem do wnętrza szoferki.

W środku pachniało benzyną i gumą, kolumna kierownicy była rozkręcona, samo koło leżało na siedzeniu pasażera, z gniazda sterczały przewody. A w tylnej ścianie kabiny, zaraz za skrzynią wału – były wążutkie drzwiczki. Bez rygla, bez kłódki czy zamka. No proszę, ale miałem nosa! Ostrożnie uchyliłem, zawiasy skrzypnęły zupełnie wyraźnie: chyba artefakt już się zapełnił, teraz by go trzeba wyczyścić... Zrobiłem krok do środka, potrąciłem nieduży kanister, który zabulgotał głucho. Jeszcze kilka stało po lewej przy niskiej ławeczce, pośrodku więźniarki widać było nieduży żelazny właz.

Przez okienko wpadał blask ogniska, rzucając szare, nierówne cienie. A na ścianie po prawej... Zastygłem w pół ruchu, serce zabiło jak szalone.

Michaił wisiał na deskach krypy z szeroko rozłożonymi rękami, przybity grubymi,

sześciocalowymi gwoździami. Siwa głowa zwieszała mu się na piersi.

– Misza! – Rzuciłem się ku niemu.

Michaił powoli podniósł głowę.

– Stas... Przyszedłeś.

– Ćśśś!

Chciałem złapać za gwóźdź, ale pomyślałem, że jeśli Michaił zawisnie tylko na jednym, to przecież jego ciężar przetnie mu rękę na pół... A może i nie? Do diabła, nigdy nie widziałem ukrzyżowanego człowieka...

– Stas... Stas, słyszysz? – zarządził Michaił.

– Poligon. Rozumiesz? To bardzo ważne...

– Już, już, zaraz cię wyciągnę.

– Nie. Serce... Wali, jakby prądem razili.

Wektor. Wektor!

Rozejrzałem się bezsilnie, nie wiedząc, co zrobić. Było ciemno, w środku tylko ławka, pod nią kanistry, jakieś szmaty w rogu i tyle...

– Poligon – powtórzył Michaił z naciskiem.

– Poligon Śmierci!

– Że co? – Popatrzyłem na niego.

– Wektor...

Chyba bredził... Nachyliłem się, szepnąłem:

– Michaił, wytrzymaj, błagam. Zaraz cię z

tych gwoździ ściągnę, poceruję, jak nowy będziesz... Tylko nie hałasuj, mam „grzechotkę”, ale starą, mało co już tłumi.

– Podali mi zastrzyk – ciągnął Michaił, nie słuchając mnie. – Taka dawka... niedźwiedzia by zmogło. Wszystko im powiedziałem. Nie mogłem milczeć. Tylko... o kluczu tylko nie. A teraz serce skacze, rzuca się, zaraz pęknie. Zielarz by uratował, a tak... Daj dłoń, przyłóż, sam zobacz.

Dotknąłem jego piersi – i niemalże odskoczyłem, czując obłąkane, przerażone kołatanie serca.

– Koniec – wychrypiał Michaił. – Już po mnie. Minuta, pięć... a ty słuchaj. Słuchaj...

Doszedłem do wniosku, że inaczej się nie da, złapałem za szeroką główkę gwoździa sterczącego z prawego nadgarstka, ale on znów zaszeptał:

– Stas, zostaw! Zostaw. Posłuchaj. Posłuchaj mnie, mówię!

Zajrzałem mu w twarz – szarą, bladą, jak u trupa, tylko białka błyszczały w podkrążonych głębokimi cieniami oczach.

– Ja umieram, Stas. Zaraz po mnie będzie, a ty mnie... Ogień. – Głos znów zaczął mu się

rwać. – Spal, rozumiesz? Ostatnie życzenie. Nie chcę do robaków. Do ziemi... Nienawidzę. Ogień, żeby z dymem... W niebo. Rozumiesz?

– Michaił... – zacząłem, ale on nagle zatrząsł się cały, zacharczał urywanymi oddechami:

– Kuźma przywoził. Na eksperymenty, ale nie wiedział gdzie. Utajnione. Mnie widział. Ja tam w jednostce. Tam... potworności. Klucz, Stas! Gdzie klucz?

– Jaki klucz?

– Schowałem dla ciebie. W obozie.

– Ten, no... twój wisior? Znalazłem! Michaił, ty lepiej milcz, nie marnuj sił.

– To jest klucz – wychrypiął. – Klucz. Otworzy, tam na dole. Ja wcześniej wiedziałem, przed tą... kotłownią. Pamiętasz? O tobie wiedziałem. Twój ojciec i ja... A potem Zielarz. On też, znajdź go. Porozmawiaj. Ja tam przyszedłem, żeby ci pomóc. Ty możesz chodzić po Lesie. Taki... taki dar. Po ojcu odziedziczyłeś. Widzisz przecież migotanie? A teraz Rzeźnik tam pójdzie...

Wektor. Nie dopuść Rzeźnika! Jeżeli on weźmie... Zabij. Zabij koniecznie, tajemnicę ukryj przed wszystkimi! Nawet Zielarzem!

Zaparłem się nogą o ścianę, chcąc szarpnąć za gwóźdź – i w tej samej chwili na drzwiach z tyłu skrzyni ładunkowej szczęknął rygiel.

Żeby sięgnąć do strzelby – mało tego, żeby ją złapać i wycelować – potrzeba by było za dużo czasu. Wyszarpnąłem nóż z pochwy i rzuciłem się szczupakiem przez więźniarkę, drzwi zaczęły odjeżdżać na bok, na jaśniejszym tle pojawił się Kuźma. Zauważył mnie, sięgnął po karabin... A ja wpadłem prosto na niego, wbiłem nóż między żebra, odepchnąłem kopniakiem.

Rozległ się łomot, krzyk. Szarpnąłem na siebie drzwi, zasunąłem wewnętrzny zamek, przełożyłem przez ucho haczyk, podskoczyłem do drzwiczek od strony kabiny kierowcy, przesunąłem krótki rygielek – to chuchro zupełne, byle kto wyłamie...

Z zewnątrz rozległy się kroki, głosy, wołanie, przytłumione przekleństwa... Kuźma! Jednak go nie zabiłem, ajj, szkoda...

Podskoczyłem znów do Michaiła. Głowa wisiała mu bezwładnie, podbródek opierał się o mostek.

– Michaił! Uwaga! – Sięgnąłem do gwóźdźnia.

Ręce mi opadły. Czarna, głucha wściekłość przesłoniła świat, gdy dotarło do mnie, że Michaił już mnie nie słyszy. Koniec, już go nie ma. Przede mną tylko gruda stygnącego mięsa. Przyłożyłem rękę do jego piersi... nic.

Ktoś uderzył pięścią w tylne drzwi, rozległ się głos Rzeźnika:

– Kto tam w środku, ilu?

– Jeden – jęknął Kuźma. – Nie wiem, nie widziałem.

– Tylko jeden? Koks, do jasnej cholery, coś ty tam...

– Koks już nie licz – padła obojętna uwaga. Zapewne odezwał się Ryba, sądząc po głosie. – Stąd widzę, że po nim. Zobacz, krew po kabinnie ścieka.

– Sam jest – powtórzył Kuźma.

Złapałem za strzelbę, rozejrzałem się po furgonie. Tak, ja jeden, ich czterech. Wszystkich nie zastrzelę, maksimum dwóch. Jeżeli szarpnę drzwi, wyskoczę, dam ognia... to do ziemi doleczę już martwy. Nawet Michaiła nie pomszczę!

Drzwi zadudniły od uderzeń. Rzeźnik już na pewno wie, jak wejść do środka.

– Wieprzu! – zawołał. – Na dół, migiem!

Nawet nie muszą wyważyć, wystarczy, że Wieprzu wejdzie do szoferki i puści w ruch swój kaem – posieka na strzepy i drzwiczki, i wszystko za nimi. Obróciłem się w jedną, w drugą stronę, cofnąłem o krok – pod nogami coś skrzypnęło. Właz. Przykucnąłem, pomacałem ręką – był zamknięty na zasuwę z kłódką.

Pod ławeczką przy ścianie stała drewniana skrzynka, z rodzaju tych, w których przeważnie trzymają narzędzia. Wyciągnąłem, odrzuciłem wieko – jest, a jakże! Wyciągnąłem krótki łom, wsunąłem pod kłódkę i szarpnąłem, wrywając skobel. Uchyliłem właz... Pod spodem był ciemny asfalt. Można zeskoczyć, przeczołgać się w kierunku kanału remontowego, potem poderwać się, dać ognia i w krzaki. W ten sposób powinno się udać uciec... raczej.

– Wieprzu, przebieraj kopytami! – Teraz głos herszta donosił się od strony burty, zza pleców Michaiła.

Towarzysz prosił, żeby z ogniem...

Złapałem kanister z benzyną, odkręciłem, chlusnąłem na podłogę i na ciało Michaiła, odrzuciłem na bok, paliwo zaczęło wylewać się

bulgoczącą strugą – i wtedy dotarło do mnie, że nie mam zapalek, zostały w kurtce!

Zadudniły ciężkie kroki – tak, to Wieprzu w końcu się zjawił. Znów głosy, z dwóch stron... Nie, już z trzech. Wysunąłem głowę przez właz w podłodze. W świetle ogniska po bokach widać było nogi: jedna para za ciężarówką, przy prawej burcie, i jeszcze jedne idące ku kabynie, pewnie Wieprzu, sądząc po kalibrze. Od strony kanału remontowego na razie nie było nikogo.

Wyciągnąłem ze skrzynki narzędziowej żelazne pudełeczko z przeróżną drobnicą – śrubkami, nakrętkami, wkrętami i gwoździami, postawiłem w kałuży benzyny. Otworzyłem właz na całą szerokość, zeskoczyłem po cichutku na dół; podłogę ciężarówki miałem teraz na wysokości piersi.

Podniosłem strzelbę, spojrzałem na Michaiła:

– Żegnaj, przyjacielu.

A potem strzeliłem w bok pudełka.

Kula brzęknęła o ściankę, przesunęła je do tyłu, krzesząc iskry o żelazo. Po benzynie popłynął błękitny płomyczek, ale ja wtedy już toczyłem się ku wolnej przestrzeni,

poderwałem się i skoczyłem.

Wpadłem do kanału na ułamek sekundy przed tym, jak z tyłu huknęło, ryk kuli ognia zagłuszył krzyki. Nade mną przetoczyła się fala gorąca, liżąc ognistym jęzorem potylicę i gołe plecy. Wprostowałem się, wyskoczyłem na górę, odwracając do samochodu i podrywając strzelbę. Ogień oślepił, czarny dym walił kłębami w rozgwieżdżone niebo, w purpurowym świetle poruszały się sylwetki. Dałem ognia, szarpnąłem rączkę przeładowania, w odpowiedzi zadudnił wystrzał, kula świsnęła mi koło ucha. Drugi wystrzał z kabiny – a mnie jakby ktoś młotkiem walnął w żołądek. Cholera, postrzał!

Ale okazało się, że kula trafiła nie w ciało – a w torbę z zajęczej skóry, wiszącą na pasku.

Przebiła artefakt, a ten z kolei po prostu wybuchł – ale nie ogniem, nie gorącem, lecz falą dźwięków. Nie mam pojęcia, kto i jak długo użytkował wcześniej tę „grzechotkę”, ale pierdyknęła chyba na pół miasteczka. Dzika, niepowstrzymana fala huku, jęków, krzyków, zwierzęcego wycia, trzasku gałęzi, skowytu wiatru, śpiewu leśnych ptaków, rozmów, strzałów, terkotu silników... Oj, to

była stara, niejedno mająca za sobą „grzechotka-nestor”, nieczyszczona chyba od samej jeszcze Pandemii. Obląkana kakofonia rozprzestrzeniła się po okolicy, a ja padłem jak długi na asfalt, próbując zatkać uszy rękami. Po kilku sekundach chaos dźwięków zastąpiło kipiące bulgotanie, przeciągnąłem dłonią po brzuchu – torbę rozerwało na strzępy. I po niej, i po artefakcie zostały tylko jakieś smętne kawałki. Nie słysząc dokumentnie nic, wymacałem leżącą gdzieś obok strzelbę, podniosłem się na kolana, celując w stronę płonącej ciężarówki. Ręce trzęsły mi się jak w febrze, lufa latała na wszystkie strony... Przez ciszę, jak przez puchową kołdrę, przebijały się pojedyncze dźwięki: huk ognia... trzask... potem krzyk...

Zadudnił karabin. Zza kabiny, w której szalał ogień, wyskoczyła masywna postać, przypadła na jedno kolano. Kule szerokim wachlarzem poleciały nad asfaltem, znów rozpląszczyłem się na ziemi, leżąc na boku, dałem ognia dwa razy, ale nie miałem pojęcia, czy trafiam, czy kule lecą władcom Lasu w okno. Przekręciłem się na brzuch, zacząłem czołgać byle dalej od kanału. Gdy dotarłem do

krzaków, podniosłem się, skuliłem i pobiegłem przed siebie.

I dopiero gdy płonąca ciężarówka zniknęła gdzieś za ruinami, dotarło do mnie, że żaden z bandytów nie widział mnie z bliska. Nadal nie mieli pojęcia, jak wyglądam.

Rozdział szósty

Na tropie



A ty skąd się tu
wzię... –
dokończyć

Sigizmundowi
przeszkodziła kolba
mojej strzelby, która
prawie wyrwała mu
szczękę z zawiasów.
Właściciel Jurty

wykonał półpiruet i upadł na krzesło –
trzasnęła drewniana nóżka, jak długi rozłożył
się na podłodze.

– Sprzedałeś mnie! – warknąłem.

– Nie, nie... – zaczął. – No co ty, ja bym...

– Sprzedałeś. Wszystko wiem.

– Wiesz... I co ty niby wiesz? – Sig nagle
poderwał się, pąsowiejąc i zaciskając pięści. –
Co ty niby możesz wiedzieć?!

– Wiem, że wczoraj poszedłem za tobą do

domu Aptekarza. Widziałem, jak tam się siepacze zakręcili... Powiedziałeś mu, że cię chcę obrobić albo i zabić, żeby się mnie pozbyć. Świnia z ciebie, Sig. Handlarz, i więcej nie ma co mówić. Gdybyś jeszcze wczoraj był łaskaw mi pomóc, to Michaił mógłby nadal żyć. A teraz jest martwy. I ty też wkrótce do niego dołączysz.

Odstąpił krok, zachwiał się, osunął na stary fotel. Zgarbił się, patrząc gdzieś w jeden nieistniejący punkt. Potem nagle wyprostował i popatrzył na mnie pogardliwie.

– A niby z jakiej racji miałbym ci pomagać? Tobie albo Michaiłowi?

– Z jakiej racji? – powtórzyłem.

– Przecież żadni z was przyjaciele! Ot, znajomi, dostawcy. Nic więcej. No tak, Michaiła znałem przed Pandemią, ale... ale co z tego? Każdy ma swoje życie, zawsze własna koszula bliższa ciału. Niby co, ty o mnie myślałeś, jak prosiłeś, żebym ci pomógł? He? O tym, jak to się dla mnie może skończyć? Dla Jurty, dla moich pracowników? Ot, nie myślałeś – bo ciebie to też gównu obchodzi. I spróbuj jeszcze zaprzeczyć, panie myśliwy! Gównu! Swoje sprawy tylko chciałeś

pozałatwiać, i koniec. A jednocześnie spodziewasz się, że każdy będzie razem z tobą rozwiązywać twoje problemy. I kto tu z nas jest Świnia, co?

– Ty. Ty, bo mnie zdradziłeś, a ja ciebie nie.

Oczy Siga błysnęły chytrze. Tak jak mówiłem – handlarz przede wszystkim. I tak samo jak jemu podobni, zawsze uważa, że pozostali kierują się wyłącznie zyskiem i własnym interesem w życiu. Nieważny honor, sprawiedliwość, zemsta – wyłącznie zysk.

– Czego chcesz? – rzucił pytanie.

Uśmiechnąłem się półgębkiem, bawiąc się spustem strzelby.

– Rzeźnik ze swoimi był u ciebie? Już po tym, jak im się ciężarówka spaliła?

– Znaczy, że ciężarówkę ty spaliłeś?

– Nie twoja sprawa, ty odpowiadaj. Żeby nie musiał tu z tobą... jak z Gończym. Jasne?

– Byli, byli u mnie, przed świtem przyszli. Już myślałem, że po ciebie, a oni nawet się nie zająknęli.

Prawda była taka, że o wizycie bandytów w Jurcie powiedziała mi już Ksańka, która potem w mroku przedświtku przeprowadziła mnie ukradkiem przez tylne wejście i

pokazała drogę do gabinetu Siga. Zamek otworzyłem swoim wytrychem, a potem po prostu usiadłem i czekałem na niego; zawsze wstawał skoro świt, tym razem też mnie nie zawiódł.

– Przyszli po żarcie? – dopytałem.

– Tak, po zapasy na drogę. Okazało się, że muszą ruszać szybko, więc tylko kupili i poszli. Pojechali znaczy, na motocyklach.

– W jakim kierunku?

– A ja skąd mam wiedzieć? Widziałem tylko, jak nawrzucaли zapasów do kosza. Mieli jeszcze jeden motocykl bez kosza i trójkołowiec.

– Aż dziwne, że go nie zauważyłem – mruknąłem. – Pewnie stał schowany głębiej w warsztacie... Dobra, teraz już nieważne. Zapasów dużo wzięli?

– Sporo. Trzecią część magazynu wybrali, Rzeźnik dał dwie sztabki złota i sto rubli.

– Czyli gdzieś daleko się wybierają. Więc w którym kierunku pojechali?

Zrobił bliżej nieokreślony gest ręką.

– Na wschód chyba.

– Chyba?

– Chusteczką im na odjezdne nie machałem.

Północny wschód, tak będzie bliżej.

– Co jeszcze mi powiesz? Tylko nie kręć, Sig, naprawdę szkoda twojego zdrowia.

Wzruszył ramionami.

– Jedno mogę jeszcze dodać: tak z rozmowy to by wynikało, że ktoś jeszcze po drodze na nich czeka. No, jacyś wspólnicy. I ten taki wielki się zapytał brodacza, czy tamten na pewno wie, jak jechać na Miczurińsk-2. A to na wschód stąd, jeśli odbijesz wcześniej na północ.

Zaciekawiłem się:

– A ten z brodą jak się trzymał?

– Ledwo stał na nogach. Podpierał się o ściany, zabandażowana pierś, cały czas się krzywił z bólu. Dobra, Stas, między nami kwita. Odpowiedziałem na twoje pytania.

– Kwita? No chyba coś ci się pomyliło, handlarzyno! Teraz idziemy do twojego magazynu, dajesz mi wszystko, na co pokażę palcem, a potem może, może uznam, że jesteście kwita, a ja nie muszę ci rozwalić łba tylko za to, że jesteś Świnia, bydlę i zdrajca. Dotarło?

Półowa piwnicy pod Jurtą była wydzielona pod zapasy żywności, a druga, odgradzona

ścianką z blachy falistej, stanowiła skład broni, sprzętu i ciuchów. Przesiedzieliśmy tam raptem pół godzinki, ale widać było, jak z minuty na minutę Sigowi coraz bardziej wyciąga się mordą. Oj, szkoda mu było rozstawać się z towarem. Ja za to stałem się szczęśliwym posiadaczem karabinu as Wał, metalowej puszką z nabojami, pięciu granatów, plecaka, śpiwora, surwiwalowego toporka, trzech par wełnianych skarpet, czterech kompletów bielizny – termicznej i zwykłej – i całej masy drobnicy, typu zapalek, zapalniczki, puszeczki z paliwem do niej, zwoju linki, ostrzałki, zapasowych wkładek i reszty temu podobnych gadżetów.

Wziąłem jeszcze duży połącz solonej słoniny, dwie butelki – z wodą i wódką, tuzin kukurydzianych placków, suszoną rybę, kilka główek cebuli, czosnek, dwie puszkę tuszonki i paczkę chińskiego makaronu. Część włożyłem do plecaka razem z niedużą apteczką, część porozwieszałem na nim lub poupychałem po kieszeniach.

– A teraz mów, skąd mogę wziąć transport?
– rzuciłem przy wyjściu z magazynku. –
Najlepiej jakiegoś crossa. I kanisterek z

benzyną do niego.

– Kupić możesz – odpowiedział Sig. – Autobazar jest niedaleko. Ale dobry motor, i to jeszcze z paliwem, to niemały pieniądź.

– Kupić mogę, a mogę i po prostu wziąć. Powiedz mi jeszcze, gdzie najłatwiej?

Wyjaśnił. Potem musiał zauważyć, że zbieram się do odejścia, bo zapytał z ulgą:

– Słuchaj, Stas, to między nami znów okej? Przyjaciele?

– Przyjaciele? – Uniosłem brew. – Przyjaciół to ja już nie mam. Ale ty się o życie obawiać nie musisz, chociaż pewnie i tak raczej prędzej niż później ktoś cię stuknie. Ot tak, dla zasady.

Sig spochmurniał, odwrócił się i więcej na mnie nie patrzył. Przeszedłem korytarzem, minąłem salę – Igor i Borka rozstawiali akurat krzesła, popatrzyli na mnie jak na ducha – i wyszedłem w blade światło wczesnego poranka. Słońce jeszcze nie wstało, było zimno i mokro.

Nie zdążyłem odejść daleko, gdy rozległy się za mną kroki. Zatrzymałem się, bo brzmiały znajomo. Oj, niedobrze. Miałem nadzieję, że obejdzie się bez tej rozmowy.

– Stas!

Odwrociłem się; Ksańka podeszła bliżej, zajrzała mi w oczy.

– Ja z tobą.

– Co? Po co?

– Nie chcę tu zostawać. Idę z tobą.

Odsunąłem się o krok, otaksowałem spojrzeniem.

W sumie to niegłupia dziewczyna. Przyjemna, niewredna. Miła. Tyle że... Do łóżka ją wpuściłem, a stamtąd do serca jeszcze daleko. Nie ma sensu żądać czegoś, czego się nie ma – jak chociażby uczuć, których w sobie nie znajdziesz. A ja nie czułem do niej nic. No, może wdzięczność, że ostrzegła mnie przed janczarami.

– Nie. – Pokręciłem głową. – Przy mnie jest niebezpiecznie.

– No i co? A ja się nie boję! Przyzwyczaiałam się. Niby gdzie teraz bezpiecznie...?

– Jurta Siga jest w sumie spokojna. A ja cały czas się w takie rzeczy ładuję, że...

– Stas, proszę...! – Znów podeszła bliżej.

– Posłuchaj, Ksania, ja jestem myśliwym. Włóczęgą. Łażę po lasach, mutanty strzelam. Śpię przy ognisku, czasem w jarach, wieczny

koczownik. To nie życie dla kobiet. Ty powinnaś mieć dom, swoje gniazdo, żeby mieć kwiatki na oknie i swój kąt, dzieciaka i psa... No co, niby nie? A ja ci takiego życia nie dam.



– A ty skąd wiesz, czego ja chcę? Czego w ogóle chcą kobiety?! – wybuchnęła, czerwieniejąc. Widziałem, jak zacisnęła pięści, ale nie pozwoliłem jej podnieść głosu – zrobiłem krok naprzód, złapałem ją za głowę, przyciągnąłem do siebie i pocałowałem. Ksańka umilkła, zmiękła mi w ramionach... Pocałunek był mocny, ale niedługi; gdy cofnąłem się o krok, miała łzy w oczach. Już wiedziała, że rozstajemy się na zawsze.

– Wybacz – powiedziałem tylko.

A potem odwróciłem się i odszedłem, całą siłą woli próbując się nie odwrócić.

Zdobycie motocykla zajęło mi niespełna godzinę – trzy kwadranse obserwacji parkingu bandy z różnych punktów i raptem pięć minut samej akcji. Chłopcy musieli ostro zachlać poprzedniego wieczora, więc nie byli w stanie upilnować własności, która dosłownie odjechała im sprzed nosa. Motocykl okazał się nawet niezły, z powiększonym bakiem, więc chociaż zapasowego kanistra nie zdobyłem, byłem przekonany, że to, co mam, powinno spokojnie wystarczyć.

Odjechawszy kilka kilometrów od Czarnego Rynku, zatrzymałem się na szczycie pagórka.

Było rześko, wiatr szarpał połami kurtki, gnając chmury po niebie. Nie wiem, dokąd mogła trafić później, ale ku temu właśnie błękitnemu, chłodnemu niebu poniosła się wraz z dymem płonącej ciężarówki dusza Michaiła Topola, jedyne przyjaciela, jakiego miałem w tym życiu.

Wyciągnąłem spod koszuli wisior na tytanowym łańcuszku, popatrzyłem na niego uważnie. No i po co Michaił tyle lat to ze sobą nosił, strzegł tak zazdrośnie?

Co on powiedział? „Wiedziałem wcześniej, przed tą kotłownią. O tobie. O twoim ojcu”.

„Czy widzisz migotanie?”

Od chwili, gdy mój świętej już pamięci partner wyszeptał te słowa, starałem się to odsuwać od siebie. Musiałem załatwić sprawy, rozprawić się z Sigiem. Celowo starałem się o tym nie myśleć. A teraz jakoś tak wyszło, że zacząłem.

I zrozumiałem, że pytań nie ubyło, a wręcz przeciwnie. No bo na co wychodzi? Że przed laty Michaił zjawił się w kotłowni wcale nie przypadkiem, jak zawsze uważałem, a przyszedł tam po mnie? Szukał mnie? Znał mojego ojca? Ale – ale przecież to ja mało co

go pamiętam! Jakieś urywki, fragmenty – poważna twarz, wysokie czoło... okulary... beżowe ściany, białe fartuchy... Zaraz, stop! Jakie znów fartuchy? Ale wydaje mi się, że ojciec mnie gdzieś woził... Jakiś zakład, laboratorium? Nie byłem w stanie przypomnieć sobie żadnych szczegółów. Przecież minęło ponad dziesięć lat, a życie nie szczydziło nam wrażeń... Pełno obcych ludzi, ran, mutantów, niebezpieczeństw i nieszczęść. Przez długie lata nie miałem czasu ani ochoty na sentymenty i tęsknotę do dzieciństwa, które stopniowo blakło i zacierało się w pamięci. A jaki niby związek miał z tym wszystkim Michaił? I co za wektor wspominał w ostatnich chwilach? Jeszcze jakiś poligon... Poligon Śmierci, tak chyba powiedział.

No i migotanie. Michaił pytał, czy widzę migotanie. Ale przecież ja przenigdy nie mówiłem mu o moich widzeniach! Kilka razy niby dałem do zrozumienia, że coś jest, ale bez żadnych konkretów. I przecież nie używałem tej nazwy! Więc skąd mógł wiedzieć...?

Palce machinalnie biegały po wisiorze, w pewnej chwili musiałem zupełnie przypadkiem nacisnąć na uszko, przez które przewleczony

był łańcuszek. Z miękkim szcęknięciem ze środka wysunęła się zalana twardym, przezroczystym plastikiem płytka, pokryta srebrzystymi ścieżkami obwodów, kropkami maluszkich dysków, zielonych i żółtych kwadracików... Układ scalony. Odwróciłem wisior, po drugiej stronie płytki widniał rysunek: litera V przekreślona zygzakiem błyskawicy.

„V” jak pisany łaciną „wektor”?

Klucz – tak powiedział mój partner. Miałem w rękach elektroniczny klucz. Gdyby jeszcze tylko wiedzieć, do czego?

A wszystko to było jakoś między sobą powiązane. Michaił, moje dawno zapomniane życie przed Pandemią, moje widzenia, migoczące istoty, elektroniczny klucz, przeszłość mojego przyjaciela i ten tajemniczy „wektor”...

No i Las.

Podniosłem oczy, patrząc w dal. Las, schronienie migoczących – oto była główna zagadka. Dziesiątki, setki, tysiące kilometrów nieodwołalnie przejętych przez dziwaczną roślinność i osobliwe stwory. Tonący w półmroku zielonkawy świat, obcy i

niezrozumiały. Świat rozporządzający swą własną bronią: wichrami niosącymi jadowite zarodniki, migracjami potężnych zwierząt, nagłymi atakami drapieżnych mutantów i zabójczym Sztorem. Stąd nie było widać granicy, ale czułem, że tam, za linią horyzontu, czai się ogromne, milczące coś, patrzące na mnie tysiącami par ślepi. Patrzące i czekające na coś.

Część odpowiedzi na moje pytania znać będą bandyci, którzy pojechali na wschód. Poza tym gdzieś tam był człowiek o przezwisku Zielarz. Michaił o nim wspominał, tamten też podobno miał znać mojego ojca, a mieszka w Miczurińsku-2, o którym mówili bandyci kupujący zapasy od Siga. I wszystko to jest powiązane, a ja powinienem rozplątać ten węzeł.

I do tego muszę jeszcze pomścić Michaiła. Jak to on wtedy powiedział... że wybacza się tylko niegodnym zemsty? Nie wiem, czy są tego godni, czy nie, ale pozabijam ich co do jednego. Własnymi rękami albo zrobię tak, że zginą – ale zabiję.

Wsunąłem układ scalony z powrotem do wisiora, zawiesiłem na szyi. Sprawdziłem

paski trzymające plecak na bagażniku, poprawiłem wiszącego na plecach wałka. Odpaliłem motocykl i ruszyłem na spotkanie wschodzącego słońca.

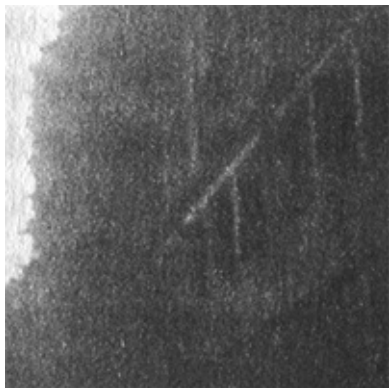


Część druga

**TRZY MIKSTURY
DLA GŁUSZOLESIA**

Rozdział siódmy

Miasto i Las



Nie ma czegoś takiego, jak mało mutantów.

Nawet jeden pojawiający się nie w porę to już o jednego za dużo. Co zresztą odczułem na własnej skórze, a w zasadzie na własnym motorze, gdy młody dzik garbus z rykiem wypadł z przydrożnych krzaków. Nie wiem, może jakiś krewny tego, którego z Michałem ubiliśmy w naszej jamie? Kum, swat albo inny świek...?

Najwyraźniej wpadł we wściekłość, widząc zbyt szybko przemieszczającego się i nieporuszającego nogami człowieka. Skręciłem kierownicę, motocyklem zarzuciło, chciałem złapać za broń – nie zdążyłem. Bitą

dróżka była wąska, z jednej strony krzaki, a z drugiej pagórki, więc jedyne, co mogłem zrobić, to dodać gazu i wyskoczyć przed dzika. Wyłącznie dlatego nie trafił w motocykl centralnie i nie zmiądzzył mi nogi, a przywalił w tył.

Czyli w bak.

Zgrzyt, huk... Motocykl bujnęło w bok, z trudem utrzymałem kierownicę, ale kierunku utrzymać już nie mogłem. Maszyna ostro zakręciła, przeskoczyła przez nieduży rów, potoczyła się po zboczu niedużego pagórka. Droga do równych nie należała, a tu już w ogóle same dziury i wądoły. Sekunda, dwie – wyleciałem z siedzenia i z wyciem runąłem twarzą w dół na miękką ziemię.

Pół biedy, że na miękką, bo gdyby była kamienista, to niewesoło by było moim kolanom, zębrom, łokciom i wciąż bolącej nodze. I dobrze jeszcze, że wał został w ręku. Motocykl przewrócił się kilka metrów dalej, a ja przetoczyłem się na plecy i usiadłem. Dzik walił prosto na mnie, opuściwszy nisko łeb i wystawiwszy przed siebie zagięte szable. Spod racic leciała trawa i grudy ziemi, zwierz chrypiał przeraźliwie... Dałem ognia.

Żeby ukatrupić garbusa, nawet niedużego i młodego, potrzeba było dobrych dziesięciu kul. Pierwsze poszły w ryj, skontrolowałem, seria zawinęła w dół, wzdłuż szyi, wgrzyzła się w zwisający ku ziemi brzuch i dopiero to spowolniło potwora. Przetoczyłem się na prawo, przepuszczając go bokiem; dzik przeleciał mimo i padł na ziemię obok motocykla. Znaczący wyciągnął kopyta. Gdy upewniłem się, że już nie wstanie, poderwałem się i podskoczyłem do maszyny, kulejąc i klnąc jak szewc. Ból w nodze uderzył z nową siłą.

Zapach benzyny wwiercał się w nos. Popatrzawszy na motocykl, zrozumiałem, że pojechać jeszcze pojedzie, ale większość paliwa już wyciekła. Skręcona, namoczona w oleju szmatka wsadzona w dziurę częściowo rozwiąże problem – ale tylko częściowo, a potem baj, baj, bajker. Kilometr, może dwa pociągnie, a później już pozostaną tylko opary.

Otrząsnąłem się, rozejrzałem. Bandydzi byli teraz za wzgórzem, wokół którego szła droga. Na razie są nawet blisko, ale oddalają się z każdą chwilą w stronę rzeki i mostu, na którym będą za dziesięć minut, a ja jeśli

wyciągnę nogi, to za godzinę. I co tu robić?

Podniosłem motocykl, przepchnąłem na szczyt pagórka i ułożyłem zatkaną dziurą ku górze. Stałem na skraju gliniastego zbocza, zwróciłem się w stronę rzeki.

Dobrze, że z magazynu Sigizmunda podebrałem też lornetkę – może nieszczególnie mocną, ale teraz i taka się przyda. Przedemną siną wstęgą wiła się rzeka, droga przebiegała przez mostek i ciągnęła się dalej. Daleko po lewej stronie na rzece widać było jaśniejsze pasmo płytkiej wody – bród – za nim leżała nizinka, a w niej miasteczko o kuriozalne nazwie Miczurińsk-2. Stąd nie było go jeszcze co prawda widać, co zresztą pasowało do historii, jaką mi niegdyś o nim opowiadał Michaił: podobno kiedyś było to jakieś zamknięte, utajnione miasteczko naukowców – z tych, co nawet na mapach ich nie ma.

Ze szczytu wzgórza widziałem bandytów, którzy zjechali właśnie z drogi i zatrzymali się na postój. Do rzeki i mostu mieli jeszcze jakiś kilometr... może półtora. Opuściłem lornetkę, przetałem szkła czystą szmatką z futerału, spojrziałem raz jeszcze. Taaak... Wieprzu i

Ryba rozstawiali namiot, Rzeźnik w towarzystwie Kuźmy wdrapywali się na najbliższy pagórek.

Przyklęknąłem, żeby niepotrzebnie nie rzucać się w oczy. Herszt bandy też wyciągnął lornetkę, ale stanął do mnie bokiem; podążyłem za jego wzrokiem i zobaczyłem półciężarówkę z odkrytą paką, toczącą się wzdłuż rzeki ku miejscu, gdzie stała banda. Pokręciłem nastawami ostrości – na pace jechało pięciu ludzi w jednakowych strojach, czymś jak półwojskowe ciuchy; czterech stało za szoferką i patrzyło ponad nią przed siebie, a piąty siedział z tyłu. Hej, zaraz, a może był przykuty do burty? I tak w ogóle on czy może ona? Włosy krótkie, ale jakoś tak mi się wydało, że to młoda kobieta, choć co prawda twarzy nie było widać.

I czy to przypadkiem nie żołnierze Armii Odrodzenia zasuwali tą ciężarówką? Spojrzałem znów na Rzeźnika, ale ten zdawał się nie denerwować – jakiś czas obserwował samochód, a potem ruszył z powrotem ku obozowi, zostawiając Kuźmę na wzgórzu. Szedł spokojnie, bez pośpiechu. Czyli co, oczekiwał wizyty odrodzeńców? Sigizmund

mówił, że bandyci wspomnieli, biorąc od niego zapasy, że po drodze spotykają się ze współnikami. Czyżby Armia i koczownicy zdecydowali się na jakąś wspólną operację? Mocno niespodziewany i niepokojący sojusz, który może mi wszystko nieźle skomplikować.

– Taak... – mruknąłem sam do siebie, patrząc na obóz. – Jeżeli macie się tylko spotkać i zaraz potem jechać dalej, to po co wam namiot?

Namiotu nikt nie rozbija, jeśli nie ma zamiaru gdzieś nocować. Wieprzu i Ryba skończyli robotę, zajęli się ogniskiem. Poobserwowałem ich jeszcze jakiś czas, a potem schowałem lornetkę i wróciłem do motocykla.

Kiedy skończy się paliwo (a skończy się) i nie dam rady znaleźć nowego (bo nie dam), to będę mógł co najwyżej pomachać na odjezdne i bandytom, i ich nowym kolegom. Zgubię ich, ślad ostygnie – i koniec, przepadło. Więc żeby temu zapobiec, muszę... No właśnie, co?

Muszę pozbawić ich pojazdów. Czego za założenia zrobić nie dam rady, bo sam przeciwko tuzinowi uzbrojonych ludzi nie podskoczę. Czyli trzeba zrobić tak, żeby sami

chcieli zostawić swoje bryki. Ale jak można zmusić ludzi wyruszających – wedle wszelkich znaków – w długą podróż do porzucenia transportu kołowego?

Dzięki „wabikowi”. Aż się sam zdziwiłem, gdy ten pomysł wskoczył mi do głowy. Przecież pod bokiem miałem Miczurińsk, a tam mieszkał Zielarz, o którym w dodatku mówił przed śmiercią Michaił; ten sam Zielarz, który w jakiś sposób powiązany był z ostatnimi wypadkami, a teraz miałem dodatkowy powód, żeby do niego zajrzeć. Facet był specem od wszelkiego rodzaju kombinacji wiązanych z nietypowych artefaktów i anomalnych roślin, przy czym nie tylko tych szerzej dostępnych, ale i naprawdę dziwnych, pojawiających się jedynie w Lesie. Leśne anomalie to w ogóle odrębny temat, trafiają się niezmiernie rzadko, są nieodmiennie dziwne, nawet jak na anomalne standardy, i w ogóle mało kto je widział i przeżył. Zielarz potrafił wejść do Lasu, może i niezbyt głęboko, penetrując go przy samej granicy, ale potrafił nie sprowokować reakcji swoją obecnością. Co więcej – Zielarz miał składniki do sporządzenia „wabika”.

A zatem plan działań był prosty: wyminąć bandytów, przejść przez bród na rzece, dotrzeć do Miczurińska-2, znaleźć mieszkającego w stróżówce starego parku Zielarza, ubłagać go, żeby zrobił dla mnie „wabika”, którego on sam nazywa o wiele mądrzej „pułapką feromonową”. I postawić ją na moście, zanim dojdą do niego bandyci, co powinno skutecznie zamknąć im tę drogę – o ile nie są naprawdę mocno chorzy na głowę. A innej drogi przez rzekę nie ma, chyba że przez piaszczysty bród, ale tam ich motocykle na sto procent ugrzęzną.

Utarta na ziołach maść, którą Ksańka wysmarowała moją ranę, nawet pomagała: nadal kulałem, ale iść mogłem całkiem różnym krokiem. Poza tym kawałek jeszcze dam radę ujechać. Zepchnąłem motocykl ze wzgórza, odpaliłem i pojechałem na skos wzdłuż drogi, żeby po drugiej stronie wzniesień ominąć bandycki obóz i dotrzeć do rzeki w okolicy brodu.



Jak na zamówienie, motor zdechł przy samym brzegu – zakaszłał, zachrypiał gaźnikiem,

parsknął i zgasł.

W tym akurat miejscu było zupełnie płytko, z wody wystawały duże, płaskie kamienie, a na drugim brzegu rosły rozłożyste drzewa, za którymi leżał Miczurińsk-2. Michaił nazywał go miasteczkiem naukowym, ale tak na moje oko było to raczej osiedle: kilkadziesiąt niedużych domków stojących w karnych rzędkach wokół idealnego kwadratu parku eksperymentalnego, w którym stał budynek instytutu. Kiedyś nawet tam zaglądaliśmy, ale nie znaleźliśmy nic ciekawego – puste sale, po których niosło się echo, korytarze, laboratoria dawno już rozszabrowane ze wszystkiego, co mogło choćby teoretycznie przedstawiać jakąkolwiek wartość. O wiele bardziej interesujący był sam park, gdzie przed Pandemią naukowcy z instytutu uprawiali nowe gatunki roślin.

Ściągnąłem z bagażnika plecak, zarzuciłem na ramiona, zawiesiłem wała na ramieniu, a do pasa przytroczyłem mój „ogryzek”. Motocykla wolałem nie zostawiać na brzegu, bo jeśli wszystko pójdzie, jak powinno, to niedługo z tej przeprawy będą korzystać bandyci, więc po co zostawiać im jakiegokolwiek

ślady, nawet jeśli najprawdopodobniej nie rozumieją ich znaczenia?

Odtoczyłem motocykl na bok, ku głębinie, po czym zepchnąłem go z brzegu. Wróciłem do brodu, ściągnąłem buty, podkasałem nogawki i ostrożnie wszedłem na pierwszy z kamieni. Woda przelewała się, bulgotała i chlapała mi na boscie nogi. Gdy byłem już bliżej środka nurtu, coś plusnęło głośno nieopodal, ku kamieniom przesunął się pod wodą długi, wijący się kształt. Złapałem za karabin. Stwór przypominał dużą rybę, ale coś za mocno się kręcił i wił – węgorz jakiś? Nie, za długi... Bardziej przypominał mackę. Ale jeśli to ma być macka, to gdzie reszta cielska? Na dnie czy co? Wyobraźnia zaczęła usłużnie podsuwać obrazy przyssanego do kamieni gąbczastego pniaka, wysuwającego ku powierzchni pęki wijących się macek. Kolana mi zmiękły, poczułem, jak serce skacze mocniej. Tylko spokojnie! Śmiały, pewnym i zdecydowanym krokiem spadamy stąd jak najdalej!

Kicnąłem z kamienia na kamień, przeskoczyłem na kolejny i następny. O mutantach wodnych nic do tej pory nie

słyszałem, żadnego nie widziałem – i chętnie pozostanę w tej słodkiej niewiedzy. Byłem już niemalże na brzegu, gdy za mną coś zachrobotło i w plecy uderzyła mnie twarda struga wody, wypuszczona pod sporym ciśnieniem. Noga pośliznęła mi się na omszałym kamieniu, ale jakoś utrzymałem równowagę, skoczyłem dalej, dopadłem do brzegu i odwróciłem się z wałem w gotowości, ale zauważyłem tylko, jak coś ciemnofioletowego, oślizgłego, podobnego do długiego jelita z pluskiem wpełzło z powrotem pod wodę.

Och, cholerne mutanty! I skąd się to bierze w takiej ilości i różnorodności? Przecież coś takiego nie powinno istnieć, bo żeby wykształcił się nowy gatunek, potrzebna jest masa czasu...! Michaił ciągle o tym mówił, a ja wyczytałem w książkach, które mi kiedyś wciskał. Z drugiej strony przecież Zielaarz kiedyś marudził coś wykształciuchowego o czynnikach onkowirusologicznych, które rzekomo przyspieszały tempo mutacji, o wektorze biologicznym cywilizacji i... stop! Wektor. A czy nie wiąże się to jakoś z tym wektorem, o którym wspominał Michaił? Ręka

sama powędrowała do piersi, namacała wisior-klucz. V przekreślone zygzakiem... V mogące być pierwszą literą słowa „wektor”, ale co z tym zygzakiem? A może to też litera, takie stylizowane Z? W sumie to możliwe...

Las go brał, nie pora teraz o tym myśleć. Zdecydowałem się nie strzelać na ślepo do rzecznego stwora, głównie po to, żeby nie hałasować. Włożyłem buty i zarzuciłem karabin na plecy, szybkim krokiem odchodząc od rzeki.

Zatrzymałem się na skraju łagodnego wzgórza, patrząc na otwierającą się przede mną panoramę miasteczka. Już od wielu lat niedaleko Miczurińska zieleniała plama Lasu – ot, taka oaza grozy pośrodku czystego terytorium. Podobne kolonie czasami pojawiały się na poza tym bezpiecznych ziemiach. Oczywiście żaden z mieszkańców Miczurińska nigdy tam nie chadzał. No chyba że Zielaarz, który potrafił w poszukiwaniu artefaktów i rzadkich gatunków flory zapuszczać się w przeróżne niebezpieczne miejsca – a teraz widziałem, że jedna z takich intruzji Lasu wyciągnęła się w kierunku miasteczka, wąskim pasem przecinając

Miczurińsk na pół, przechodząc przez park i kończąc się mniej więcej tam, gdzie stał domek stróża, w którym osiedlił się Zielarz. Od góry przejęty przez Las fragment zieleni nieco różnił się od reszty drzew odcieniem, był trochę ciemniejszy, jak gdyby przysypany popiołem. Wydawało mi się, że widzę stąd malutkie, szare pudełko stróżówki. Ciężko było orzec, czy Las już do niej doszedł, czy nie.

Obejrzałem się ku rzece, ale mostu nie było stąd widać. Żeby tylko nie zgubić Rzeźnika i jego siepaczy! W końcu i oni mogą iść na ten sam Poligon Śmierci, o którym mówił Michaił. Jeśli dam radę iść za nimi, zdołam rozwiązać wszystkie zagadki: kim był mój ojciec, skąd znał się z Michaiłem, dlaczego porwano mojego towarzysza, do czego pasuje elektroniczny klucz, co to za V i zygzak...? No i zemsta. Ostra, paląca chęć – niemalże konieczność – pomordowania tych, którzy przybili Michaiła gwoździami do ściany, nie opuszczała mnie ani na chwilę. Nie wybaczę sobie, jeśli jednego po drugim nie pošlę do piachu, za tortury i za kaźń, za śmierć!

Ale jeżeli Las doszedł aż do stróżówki, to mogło być już po Zielarzu. Albo mógł nie

zginać, tylko się wyprowadzić. Albo... A zresztą, co tu głowę łamać po próżnicy – trzeba iść do Miczurińska i sprawdzić na miejscu.

Zszedłem po zboczu, kierując się w stronę ruin miasteczka. Po niektórych budynkach nie zostało prawie nic, inne jeszcze stały, ale w mniejszym lub większym stopniu zniszczone: powybijane okna, dziurawe dachy... W co poniektórych jeszcze gnieździł się miejscowi, więc stanąłem koło domku, gdzie przemieszkiwał stary dziad-pijaczyna Jegor. Zawołałem na niego, potem zajrzałem do środka – cicho, pusto... Ruszyłem dalej.

Miczurińsk zamieszkiwało jakieś dwa tuziny ludzi, wegetujących na plonach niedużych ogródków i tym, co dali radę upolować. Ot, malutka, spokojna społeczność – zbyt biedna, żeby zainteresować koczowników z Czarnego Rynku albo wolne bandy, i zbyt słaba, by próbować łupić innych. Zielarz był tu kimś na pograniczu znachora i szamana – takiego szamana-alchemika ze skrzywieniem naukowym. Czasami zdarzało nam się przynosić mu artefakty, które wpadły nam akurat w ręce i z którymi żaden z nas

nie miał pomysłu co zrobić. Trafiają się czasem takie cuda – unikatowe, endemiczne artefakty, przeważnie rodzące się w anomaliach na skraju Lasu, albo hybrydy bardziej znanych, albo czort w ogóle wie co. Jeśli sami nie potrafiliśmy ich rozgryźć – podrzucaliśmy Zielaarzowi, jak byliśmy w okolicy Miczurińska. Miał w swojej stróżówce całe laboratorium z retortami, kolbami, tygielkami i innymi utensyliami w tym duchu.

Przede mną rozciągał się nieduży placyk, a dalej już żelazny parkan. Rozejrzałem się – nadal pusto, ani żywego ducha, cisza tylko w uszach dzwoni. Wystawiwszy przed siebie lufę karabinu, ruszyłem ku wyrwie w ogrodzeniu parku. Chromając, przeszedłem przez placyk, precyzyjnie się przemieszczając, przeczesałem się przez dziurę, minąłem gęstwinę starych akacji i zatrzymałem na skraju polany, pośrodku której stał domek Zielaarza.

A otóż był i Las. Przedziwnie powyginane pnie drzew, na sam widok których człowieka ogarnia strach. Długie, wijące się i przeplatające, jak w tańcu, czasami pełzające po ziemi, potem znów krzywymi wieżami wystrzeliwujące ku niebu. Kłębowisko

konarów i gałęzi, gęstwina ciemnozielonych, bladożółtych i rudych liści. Ziejąca mrokiem i chłodem przestrzeń pomiędzy pniami, tajemnicze ciemne zaułki, tańczące na ziemi cienie. Na pasie szerokości kilkudziesięciu metrów Las dosłownie zadusił, zmiażdżył zwykłą roślinność. Pomiędzy zmutowanymi drzewami widniały pojedyncze parkowe akacje i orzechy – porozszczepiane, połamane albo powyginane przez obcą roślinność.

Nieduży, niski budynek z parą małych okien zasłoniętych blachą stał szczytem do mnie. Drzwi były na wpół otwarte, obok stał oparty o ceglana ścianę rower Zielarza. Stąd nie było widać, czy jęzor Lasu dotarł do budynku, czy też zatrzymał się wcześniej.

– Hej, hej, gopodarzu! – zawołałem półgłosem, idąc ku stróżówce. Skręciłem, chcąc obejść ją bokiem i zerknąć, dokąd...

A gdy zerknąłem, to uświadomiłem sobie, że do środka wchodzić wcale nie mam ochoty, bo Las był tam pierwszy.

Wyrosłe na skraju drzewo było mocno nachylone, przypominając rękę, którą sam Las wyciągał ku domkowi. Pozbawiona liści

korona z pięciu wykrzywionych konarów niczym wygięte palce trzymała w uścisku fasadę budynku. W kilku miejscach cegły już się kruszyły i sypały, jak gdyby Las stukał i skrobał po murze, zostawiając po sobie głębokie bruzdy.

Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że wszystko to przypomina celowy, rozmyślny atak. Bo niby dlaczego Las nagle, bez ostrzeżenia, zrobił coś takiego? Co spowodowało jego reakcję, czemu przesunął się na Miczurińsk? I wszystko wskazywało na to, że celem był właśnie dom Zielarza.

Zatopiony w myślach cofnąłem się ku drzwiom wejściowym. Jak to możliwe, że Las najwyraźniej widział to, co działo się w świecie ludzi, śledził wydarzenia? Michaił swego czasu miał teorię, że system korzeniowy i grzybnia, te cienkie, organiczne nitki, mogące rozciągać się na dziesiątki kilometrów pod ziemią, są czymś na kształt włókien nerwowych w mózgu człowieka. To by znaczyło, że gdzieś tam, w trzewiach samej Ziemi, znajduje się ogromny, rozciągnięty na dziesiątki tysięcy kilometrów system świadomości Lasu. Na ile głęboko sięgały

korzenie roślin, czy i jak bardzo mogło to wpływać na całą planetę i jej właściwości – nie wiedział nikt. W każdym razie ani ja, ani Michaił nie spotkaliśmy nigdy człowieka na tyle uczonego i bezczelnego zarazem, by twierdzić, że ma jakiegokolwiek rozeznanie w tym temacie.

Odwróciłem się, słysząc wysoki trel i świergot. Zza akacji wyjrzał drozd, poruszył główką, poderwał się do lotu i śmignął obok budynku stróżówki, lecąc ku ścianie Lasu. Zatrzymałem się, patrząc, jak ptaszek wlatuje pomiędzy drzewa. Tam nawet powietrze było inne, ciemne i matowe, wręcz gęste, cierpkie. Ptak zanurkował w nie – i zmienił się. Aż mrugnąłem, zaskoczony.



Nie, zaraz... Drozd był ten sam, ale z jakiegoś powodu miałem wrażenie, że barwy jego upierzenia stały się ciemniejsze, a on sam jakby urósł... Ptak leciał dalej, radośnie machając skrzydełkami, a potem Las jak gdyby westchnął – i drozd zniknął.

Ułamek sekundy wcześniej zza poskręcane go pnia skoczyło ku niemu coś. Rozmazany, ledwo widoczny kształt... Nie wiem, może mi się wydawało, ale drozd przepadł – w mgnieniu oka, bez jednego dźwięku, jak gdyby ktoś wyciął go z naszej rzeczywistości.

Powoli wypuściwszy powietrze z płuc, odwróciłem się i podszedłem ku drzwiom stróżówki. Mogłem się tylko modlić, żeby podczas mojego pobytu w budynku Las nie rzucił się w tę stronę i nie połknął go w całości.

– Zielarz, otwórz drzwi dobremu człowiekowi! – Popchnąłem skrzydło, zajrzałem. Zawołałem raz jeszcze: – Heej! Ważna sprawa jest!

Cisza. Przecież ma tu swoje artefakty i masę innych rzeczy, na które nie zabraknie chętnych. Ze mnie żaden szabrownik, ale to

rzecz oczywista: jeśli Zielaarz nie żyje, to jemu się nic już nie przyda. A ja jestem jeszcze żywy, więc mogę skorzystać. Ot i tak.

Zielaarz pobudował w swoim legowisku kilka przepierzeń, dzięki czemu uzyskał trzy maciupcie pomieszczenia: przedpokoik, w którym właśnie stałem, sypialnio-kuchnię i laboratorium. Kulejąc coraz mocniej – noga znów narywała – przeszedłem do drugiego pomieszczenia, gdzie Zielaarz spał i gotował. W rogu stała żeliwna koza przystawiona rurą do dziury w ścianie, obok stół i szafka z naczyniami; na ścianie wisiało kilka pęt kiełbasy, wianuszek czosnku i pleciona torba z paroma pomarszczonymi jabłkami, w rogu rezydowała wypłowiała kanapa ze skotłowaną pościelą i poduszką. Tutaj artefaktów nie będzie, idziemy dalej... Rozumiałem już, że w stróżówce nikogo nie ma, więc śmieiej popchnąłem drugie drzwi, wchodząc do laboratorium.

Gospodarz preferował nie wpuszczać tu gości, więc nawet z Michaiłem byłem tu raptem kilka razy. Pierwszą rzeczą, jaka zwróciła moją uwagę, był wielki plakat na ścianie. Płachta kartonu, a na niej

wymalowane kolorową kredą trzy butelki. Jedna zamalowana na zielono, druga na czerwono, trzecia na czarno. Zielona przekreślona grubą kreską, pod nią koślawy napis. Podszedłem, odcyfrowałem litery: „Mam ją! Wkrótce znajdę Szamana!”.

Na każdej butelce widniało po jednym słowie: CIEMNOWID, MUTAGON, AnTYLAS

A na samej górze plakatu wysmarowane było wielkimi literami, niczym tytuł:

TRZY MIKSTURY DLA GŁUSZOLESIA

Hm, no i co to ma niby znaczyć? Obejrzałem plakat ze wszystkich stron, ale nie stałem się dzięki temu ani trochę mądrzejszy, więc w końcu przeszedłem do długiego stołu, na którym znajdowało się szkło wszelkich form i rozmiarów. Na skraju stał tygiel, dotknąłem go ręką – no proszę, jeszcze minimalnie ciepły... Czyli gospodarz wyszedł nie tak znów dawno. Postukałem palcami w blat, zamyśliłem się.

Po pierwsze: z rozmowy nici, Zielarz zniknął razem z powierzonymi mu tajemnicami i tym, co mógł wiedzieć o moim

ojcu. Dlaczego akurat na niego wskazał Misza przed śmiercią? Teraz nie dojdiesz. To znaczy wszystko da się wyjaśnić, o ile kiedykolwiek znajdę Zielarza i jeżeli ten jeszcze w ogóle żyje.

Po drugie: nie mam pojęcia, co stało się w miasteczku, gdzie się wszyscy podzieli i co spowodowało inwazję Lasu.

I po trzecie: nadal potrzebne są mi składniki do pułapki feromonowej. Bandyci na razie postoją na przeciwległym brzegu, ale prędzej czy później przeprawią się przez rzekę i odjadą w siną dań, o ile nie zmuszę ich do zrezygnowania z transportu. Jeśli się uda, to pójdą powoli i w bólach, a wtedy bez problemu udam się za nimi. A zatem na razie odłożmy na bok tajemnice Zielarza, zapomnijmy o jego plakatach i miksturach. Zajmijmy się pułapką.

Pod ścianą stał stelaż, na górnych półkach leżały równiutko powiązane wiechcie ziół i zasuszonych kwiatów, do każdego przyczepiony był świstek z nazwą. Hm, co będzie mi potrzebne...? Szcwól mutaronium... Zielarz miał kuriozalny zwyczaj zapisywania łacińskich nazw ruskimi

bukwami, więc gdzie jest nasze mutaronium? A jest, na trzeciej od lewej. Hops, do kieszeni – początek dobry, ale tylko początek. Potrzebna jeszcze „gąbka”.

Na dolnej półce stały metalowe pudełka po angielskiej herbacie Twinings – te duże, trzystugramowe, we wszystkich kolorach tęczy: czerwone, zielone, żółte, niebieskie – herbatka z bergamotką, zielona, biała, zwykła czarna... Nie mam pojęcia, skąd je Zielarz wytrzasnął. Teraz, rzecz jasna, po herbacie nie było w nich śladu.

Zacząłem jedno po drugim otwierać pudełka, od środka wyklejone folią aluminiową. Większość była pusta, ale w co poniektórych leżały artefakty. Dwie „szpule”, obydwie rozładowane, sądząc po bladej poświacie, do tego „sprężyna” – ech, zepsuta, nie działa, zaraz obok „grzechotka”, też nabita pod dekiel... A to co takiego? Oho! A nawet oho-ho-ho! Wewnątrz pudełka, które z początku wydało mi się puste, wisiał w powietrzu, nie dotykając ścianek, kanciasty, błyszczący kryształ. Gdy poruszyłem pudełkiem, kryształ puknął o dno i zaczął powoli lecieć ku górze, więc od razu

przykryłem go wieczkiem. Lewitujący „onyks”! No, Las mi świadkiem, ma się to szczęście! W stanie pasywnym „onyks” wytwarzał pole, które reaguje na szybko poruszające się przedmioty i spowalnia ich ruch. Aktywowany „onyks” potrafił zatrzymać w powietrzu nawet kulę karabinową, ale to przeważnie prowadziło do jego zniszczenia. Niczego sobie!

Zamknąłem pudełeczko. „Onyks” to już coś, ale teraz akurat nie jego potrzebowałem, a „gąbki”. Ta z kolei podobna jest do mokrego zmywaka do naczyń albo dużej kępy mchu. Na co dzień żywi się trującymi gazami i pyłem radioaktywnym, a aktywowana zamienia się w biologiczną bombę, wypluwającą z siebie chmurę śmiertelnie toksycznych zarodników. No i do tego ma jeszcze jedną właściwość, dość nietypową i ciekawą oraz, zdaje się, nieudokumentowaną. Nie wiem, czy ktoś jeszcze poza nami o tym wiedział. Michaił i ja dowiedzieliśmy się od Zielarza, który odkrył to przypadkiem. Ale żeby aktywować tę właściwość, potrzebny był zmutowany szczwół.

No to szczwół już mam, a „gąbki” nie. Bez

niej nie zmontuję pułapki, bez pułapki nie zatrzymam bandytów. Jeśli przejadą przez most na swoich motocyklach, to przecież nie będę ich ścigał na rowerze...! Przykucnąłem, widząc dwa nieduże tobołki w kącie najniższej półki. Wziąłem jeden, rozwinąłem. W środku leżał fosforyzujący błękitem kwiatek. No proszę, „żywokost”! Tym lepiej, „żywokost” świetnie leczy i regeneruje tkanki. Ten był może nie pierwszej świeżości, ale nieważne – problem z dziurawą nogą mam w zasadzie z głowy. A co tam mamy w drugim...?

Szczęście naprawdę mi sprzyja, pomyślałem, widząc zawartość – nierówny kawałek czegoś, przypominający chyba tylko pumeks do ścierania pięt, ale jeszcze bardziej porowaty i nierówny. „Gąbka”.

Otworzyłem plecak, ale szybko zorientowałem się, że pudełka tam nie wleżą. A specjalnego pojemnika nie miałem – takiego, żeby chociaż przegródki do noszenia artów... Oczywiście mieliśmy taki z Michailem, ale zaiwanili go przy okazji bandyci czyszczący nasz obóz w szopie.

Zawinałem „żywokost” i „gąbkę” z powrotem w szmatki (zresztą też od środka

obszyte kawałkami alufolii) i wsunąłem do kieszeni kurtki. Noszenie artefaktów przy sobie jest przyczyną raka, chorób serca i masy innych zabawnych przypadłości, no ale co zrobić – nie będę przecież biegać z pudełkiem po herbacie w każdym ręku... Popatrzyłem na zepsutą „sprężynę”, „szpulę”, „onyks”... No nie, nie, nie! Nie zostawię przecież prawdziwego lewitującego „onyksu”, tak się nie robi!

Rozejrzałem się, wyciągnąłem spod stołu płachtę brudnego jak nieszczęście brezentu. Strząsnąłem z niej kurz, rozłożyłem koło regału, ustawiłem na niej pudełka z artefaktami, dorzuciłem kilka pęków co rzadszych roślin i liści. Zawinałem w tkaninę, związałem rogi, przytrzymałem do plecaka rzemiennym trokiem.

No to szczerwiec w kieszeni, „gąbka” w pudełku; czego jeszcze potrzeba? W zasadzie niczego. Trzeci składnik niezbędny do zbudowania pułapki feromonowej mam zawsze pod ręką. No, prawie zawsze. Raz jeszcze rozejrzałem się po laboratorium, stanąłem przed plakatem. Co to mogło znaczyć? Trzy mikstury... Jakże znów

mikstury? I co to za Głuszoleś? A może to jest to Głuszołe sie? Ale w życiu o takim miejscu nie słyszałem.

No dobra, na razie pora wrócić do mostu. Zrobiłem krok ku drzwiom – i w tej samej chwili podłoga zadrżała. Rozległ się głuchy trzask i chrzęst, cała stróżówka zatrzęsła się, po ścianie pobiegła ciemna linia pęknięcia, skręciła gwałtownie, potem raz jeszcze, kreśląc nierówny trójkąt. Odkoczyłem w tył, gdy fragment ściany z hukiem wypadł z muru, rozlatując się po podłodze kawałkami cegieł. Z powstałej dziury wystrzeliła sprężyną gałąź – najpierw miałem wrażenie, że do pomieszczenia wpełza ogromna żmija... Gałąź bynajmniej nie wiła się, ale po prostu nacisk zgiętego konaru musiał w końcu pokonać zwietrzały mur, który zwyczajnie ustąpił, ale coś za bardzo wyglądało mi to nie na katastrofę budowlaną, a inwazję, jak gdyby rosnące na zewnątrz drzewo o wyglądzie ręki olbrzyma celowo przebiło ścianę. Nie wiem – chyba po to, żeby Las mógł zajrzeć do środka i zobaczyć, co też tam robię.

A za dziurą był mroczny, zielony świat Lasu. Z cichym szelestem wychynęło stamtąd

coś włochatego i siadło na skraju muru. Leśna twoja dzika mać! To... to ten sam drozd?! Ale co się z nim stało?! Skołtunione pióra pociemniały, pomiędzy nimi pobłyskiwały wilgotne place skóry, szyję miał skreconą na bok, jak paragraf, łepiek przechylony, zamiast jednego oka jakieś czarne, napęczniałe coś... A drugie oczko nieruchomo gapiło się wprost na mnie.

Cofnąłem się ku drzwiom. Oj, pora wziąć nogi za pas... Karabin miałem już w rękach, wbudowany tłumik patrzył prosto na groteskowego drozda. Tylko spokojnie, Stas, nie daj się paranoi! Do ptaków strzelać zabrania Greenpeace... Tak, tak, była taka organizacja, Michaił mi opowiadał, jak strasznie trzęśli się o środowisko naturalne, broniąc przyrody przed ludźmi. Tymczasem okazuje się, że lepiej by bronili ludzi przed przyrodą. Ot, co nasza przyroda wyczynia, jak tylko poczuła wolność, weź ją teraz zatrzymaj! A ten drozd to oddzielna bajka, co mu się stało? No normalnie zombi. Drozd zombi, jak z głupiego dowcipu!

Drozd cichutko i wyjątkowo złowieszczo kłasknął dzióbkiem. A ja, cofając się rakiem

ku drzwiom, nagle pomyślałem zupełnie o czym innym: przecież ten domek jest większy z zewnątrz niż wewnątrz. Ta ściana, na której wisi kartonowy plakat – to przez nią. Z zewnątrz domek stróża wydaje się niski i szeroki, a tutaj w laboratorium i sąsiednim pomieszczeniu, o przedpokoju nie mówiąc, miejsca jest... no, w najlepszym razie mniej. Jak gdyby tam, za ścianką z plakatem, coś było schowane.

Drozd znów cyknął, przeskoczył ciężko na stół laboratoryjny. Wstyd się przyznać, ale aż podskoczyłem ze strachu; w życiu bym nie pomyślał, że będę bać się jakiegoś ptaszora.

I tak nie miałem ochoty tu dłużej zostać, a do tego mózg usłużnie podszeptał: nie wiadomo, czy bandyci będą nocować na tamtym pagórku. Niby namiot coś tam sugeruje, ale mogą mieć masę powodów, by ruszyć wcześniej. A może nawet już zbliżają się do mostu? Mało prawdopodobne, ale możliwe. Trzeba się pospieszyć, wezmę rower Zielarza, skoro właściciel go porzucił, do mostu dopedałuję raz-dwa...

Z tą myślą odwróciłem się od drozdostwora i pospiesznie wyszedłem z laboratorium,

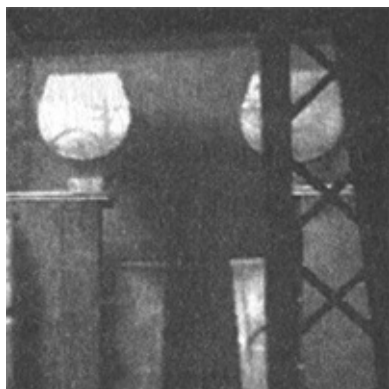
przeszedłem kuchnię, pchnąłem drzwi, zrobiłem krok na zewnątrz – i poderwałem do oka mój wał, widząc idącą prosto na mnie siwą kobietę.

Półprzezroczystą. Przez jej korpus widać było drzewa i plac.

Rozdział ósmy

O duchach

i tajnych przejściach



Wał zdążył
wypluć kilka
kul, zanim
wstrzymałem ogień;
widmowa kobieta
nawet nie zauważyła,
że strzeliłem, i szła
dalej. Zrobiłem krok w
tył, gapiąc się w

osłupieniu. W dzieciństwie ojciec zabrał mnie kiedyś na przedstawienie. A może do cyrku...? Najlepiej zapamiętałem z tego kobietę-hologram. To znaczy dopiero później wytłumaczył mi zasadę ukrytych w podłodze generatorów dymu i trójwymiarowego projektora, rzucającego na ledwo widoczną chmurę obraz. Ale wtedy widziałem śliczną

dziewczynę, fikającą salta z miejsca, tańczącą i wymachującą długą wstążką. Dziewczyna zdawała się być zupełnie żywa i realna – a jednocześnie mleczno-przezroczysta, niczym duch.

Teraz przed sobą widziałem coś podobnego. Ta kobieta w odróżnieniu od aktorki przemieszczała się, ale i tak miałem wrażenie, że znad ziemi podnosi się jakiś gęsty opar, na który jak gdyby padał tylko obraz.

A najdziwniejsze było to, że ja tę kobietę znałem. Nazywali ją w Miczurińsku-2 Ciotką Gusią – ot, taka babcia-wariatka. Żywiła się jagodami i korzonkami, pomieszkiwała Las jeden wie gdzie i przez większą część dnia łaziła bez wyraźnego celu po pustych ulicach. W każdym chyba miasteczku zawsze znajdzie się ktoś taki. I teraz ta sama Ciotka Gusia – ale nieożywiona, półprzezroczysta – płynęła obok stróżówki, niczym utkana z siwego dymu, bezdźwięcznie przebierając bosymi nogami cal nad ziemią.

Po drugiej stronie placu, za ogrodzeniem, stało kilka piętrowych domków. Na parterze jednego z nich mieścił się niegdyś sklep, po którym został teraz tylko przechylony szyld

„Towary” nad wejściem i pokrzywiony, zbity z desek stół i parę ławek. Ot, taka sobie niby kawiarnia dla tubylców. Kawy, rzecz jasna, nikt tu nawet nie widział, ale na samorobnym piecyku gotowali herbatę ziołową.

I teraz przy tym stole obok drzwi siedziała para duchów. Obydwu znałem: dziad Jegor, którego szukałem po drodze tutaj, i Włas, lokalny przywódca, samozwańczy wójt Miczurińska-2. Siedzieli tam – i rozmawiali.

Spojrzałem za powoli odpływającą Ciotką Gusią i zauważyłem czwartą zjawę: idącego ulicą chłopaka z dwururką na ramieniu. A dalej stał jeszcze ktoś – odległa, ledwo widoczna sylwetka. I chyba jeszcze jedna...

Duchy zajmowały się swoimi zwykłymi sprawami – to jest tym, czym zajmowały się za życia. I nie zauważały mnie. W ogóle w żaden sposób nie reagowały na moją obecność. Co to ma być? Nigdy wcześniej się z czymś takim nie zetknąłem, nie słyszałem, żeby ktokolwiek wspominał o podobnym zjawisku. A może jednak? Pamiętałem coś, kiedy w Bojarce zniknęli wszyscy mieszkańcy... No tak, to wtedy Magarycz opowiadał coś o upiorach, które tam widział dzień przed czy

może dzień po zaginięciu ludzi. Ale Magarycz to skończony pijaczyna, nikt nie wierzył w jego bajania. Facet opowie, co tylko ślina na język przyniesie, byle wydziadować jeszcze jedną kolejkę.

Rozejrzałem się wokoło, odszedłem kilka kroków od domku stróża – no i co dalej? Jeżeli zjawy są niematerialne, to nie jestem w stanie niczego z nimi zrobić. Mam nadzieję, że one ze mną też nie... A poza tym przecież mnie nie widzą. No więc co, iść do mostu, jak planowałem, i po prostu nie zwracać na nie uwagi? Zapomnieć? Nie, zapomnieć nie dam rady nijak, wrzucę gdzieś na dno bagażu wrażeń i dziwactw, jakie widziałem przez te wszystkie lata.

Gdzieś nade mną coś cicho zaszeleściło. Podskoczyłem, odwróciłem się na pięcie, lufa karabinu spojrzała w górę – a na skraju daszku ktoś stał. Kto – nie miałem pojęcia. Mutant? Zwierzę? Co za istota w ogóle? Miałem wrażenie, że mój wzrok nie jest w stanie uchwycić jego sylwetki, spływał na boki jak woda po natłuszczonym papierze. Gdy próbowałem patrzeć wprost na niego, widziałem tylko jakiś nieforemny kleks, jakby

skazę na szkłe, w której widać było zarys czworonożnego zwierza, coś pośredniego pomiędzy wilkiem a rysiem.

Stwór ledwo zauważalnie świecił... Hej, zaraz, czy to może być... świetlisty leszy? Istota bez żadnego dźwięku przemieściła się w bok – zrozumiałem to tylko dlatego, że nagle był zupełnie gdzie indziej, chociaż ruchu jako takiego nie zarejestrowałem. Ledwo powstrzymując palec na spuście, skoczyłem z powrotem do stróżówki, huknąłem drzwiami tak, że aż posypał się tynk, zasunąłem rygiel i oparłem się o ścianę, dysząc ciężko. Leśna wasza mać – świetlisty leszy! Przecież to, co o tych stworach opowiadają, to...! Zielaar żartobliwie nazywał je mutantami kwantowymi. Oczywiście niczego kwantowego w naukowym rozumieniu w mutancie być nie może, ale z jakiegoś powodu te istoty składały się z dwóch części: świetlistej i mrocznej. I nie chodziło o to, że świetlista była dobra i poczciwa, a mroczna to zło wcielone; różniła się przede wszystkim stopniem apetytu na krew, a co do intelektu, to obydwie są równie przebiegłe.

Ale o tym myślałem, już wróciwszy do

laboratorium Zielarza. Drozd odleciał, z dziury jak i wcześniej wystawała wygięta gałąź, ciągnęło chłodem. Leszy raczej nie powinien dać rady precyzyjnie się pomiędzy grubym konarem a krawędzią, ale dziura może się powiększyć. Ściągnąłem kilka koców z kanapy w sypialnio-kuchni, skręciłem jak najmocniej umiałem i upchałem w szczelinie. No cóż, przynajmniej nic mi nie będzie zaglądać z zewnątrz, chociaż jak się postara, to wyszarpnąć ten korek zdoła na pewno.

Wychodziło na to, że chwilowo byłem tu uwięziony. Na zewnątrz coś skrobało, zgrzytało i szeleściło... Łazi jak ten lew ryczący i patrzy, jak by mnie tu pożreć, bydlę niewyraźne. A może i ta druga, mroczniejsza połówka już przybyła? Ściągnąłem plecak, klapnąłem na stołek. Sytuacja zupełnie patowa. Leszy do środka raczej nie wejdzie, taką miałem nadzieję – ja na pewno nie wyjdę, bo mu zwyczajnie nie dam rady, to pewne. A bandyci Rzeźnika po prostu przejadą przez most... A może jednak zanocują? Jeżeli ruszą ranną zorzą, to mam około dwunastu godzin, przez ten czas leszy powinien się znudzić i pójść w cholerę.

Zdecydowałem, że jeśli mam tracić czas, to przynajmniej z jakąś korzyścią, więc ściągnąłem but, podkasałem nogawkę i zająłem się opatrunkiem. Stary bandaż razem z kompresem ziołowym od Ksańki zdjąłem, wyciągnąłem „żywokost”, a z zarekwirowanej Sigizmundowi apteczki wyłuskałem bandaż. Zawinałem artefakt, zmoczyłem samogonem z flaszki, okręciłem nogę tak, żeby niebieski kwiatek przylegał do rany. Artefakt zaczął działać, jeszcze zanim zawiązałem but, poczułem, jak po nodze rozlewa się falą ciepło... a ból zniknął. Potem jeszcze bez dwóch zdań wróci, ale na pewno już nie tak mocny.

Zgłodniałem. Przesiadłem się do stołu pod plakatem, zakąsiłem, zapiłem siwuchą. Na zewnątrz na zmianę to wszystko cichło, to znów coś szeleściło. Nasłuchiwałem czujnie, słysząc skrobanie, któremu towarzyszyło niegłośne poświstywanie. Ciche takie, cichusieńkie, i bardzo złowieszcze. I co, to też mój leszy takie dźwięki z siebie wydaje? Mało do niego podobne, ale z drugiej strony kto słyszał, jaki odgłos wydaje leszy paszczowo? A może to zjawy gadają? Chociaż nie, co jak co,

ale one raczej nie posiadają intelektu. Duch jest duchem: brak mózgu, brak uczuć, brak materialnej powłoki i myśli... Chyba że jest coś, czego nie wiem? Że to właśnie jakaś nowa forma życia?

Dźwięki ścichły, ale nadal nastawiałem ucha. Jasne, że o zjawach nic nie wiadomo, ale nagle mnie uderzyła myśl: a jeżeli tworzy je właśnie Las? Może wciągnął w siebie i przyswoił świadomości mieszkańców Miczurińska, którzy zginęli podczas jego intruzji, a teraz bada naszą psychikę, imitując zachowania ludzi? Ot, tworzy iluzję życia – i obserwuje. A ciała miejscowych leżą gdzieś po piwnicach i strychach, poszarpane pazurami mutantów albo opuchnięte od trujących zarodników.

Zajęty takimi myślami rozwinąłem płachtę brezentu, powyciągałem pudełka z artefaktami i zacząłem raz jeszcze oglądać. Co my tu mamy...? Na początek „szpula” – kryształ obrośnięty cienkimi, elastycznymi włókienkami, rzeczywiście przypominający uzwojenie obwodu indukcyjnego. Ot, tworzy sobie pole elektromagnetyczne, zakłóca działanie elektroniki, dobrze ukrywa

właściciela przed skanerami i detektorami. Gdy ścisnąć go w rękę z całej siły, to zamienia się w istny granat elektromagnetyczny, palący wszystkie jeszcze działające urządzenia w okolicy wybuchu.

„Sprężyna” – taki sobie nieduży kawałek... no, sprężyny. Albo raczej nici dna, bo świetnie stymuluje metabolizm i aktywność organizmu, poprawia pracę mięśni, przyspiesza reakcje, od razu człowiekowi przybywa odwagi, czujesz się jak geroj ze starych opowieści, co to mutanta zadusi gołymi rękami. A ja się czuję tak samo, jak zwykle – bo co? Ano, bo pęknięta jest ta moja „sprężyna”, nadłamana pośrodku i sypie się grudkami przy rysie. Szkoda, bo z taką „sprężyną” w rękę nawet leszemu mógłbym nieźle dać popalić. Urządzilibyśmy sobie epicki pojedynek myśliwego z mutantem, legendy by o nas układali... Znaczy gdybym to ja przeżył. Ciekawe, czy da się taką „sprężynę” połatać, skleić jakoś? W końcu nie bez kozery ją Zielarz trzymał, więc i ja ją na razie ponoszę ze sobą, chociaż chwilowo tylko zajmuje miejsce.

A tutaj kolejna „grzechotka”, też zapchana.

Wyczyszczę, reaktywuję i będzie jak nowa, poza tym wszystko w normie.

I na końcu „onyks”, cudowny „onyks”, co raniącą kulę spowolni, a śmiertelną zatrzyma. Nie wiem, jak to robi, ale wiem, że obojętnie obok niego nie przejdę. Chyba tylko debile noszą takie arty w ekranowanych pudełkach, a ja się do takich nie zaliczam. Ostrożnie wyciągnąłem go z pudła, okręciłem bandażem, obwiązałem rzemieniami i przywiązałem do pasa, żeby nie odleciał. O, teraz można iść na wojnę!

Podczas gdy bawiłem się artefaktami, upłynęło trochę czasu. Na zewnątrz panowała cisza – może leszy się wyniósł? Wyjść by trzeba, ale strach. O leszym krążyła masa paskudnych opowieści, głównie o tym, jak głowy odgryza. A najgorsze jest to, że patrzysz na niego i nie widzisz. Tu nawet „onyks” niewiele pomoże, ale przecież nie będę tu siedział, aż mi broda urośnie! Wyciągnąłem z dziury jeden koc, popatrzyłem w lewo, w prawo – niby pusto. Tylko Las na wyciągnięcie ręki. Przyszedł już wieczór, zrobiło się ciemno, w przesyconym wilgocią mroku pomiędzy drzewami przesuwają się cienie, zbyt

rozmazane, żeby cokolwiek konkretnego zobaczyć, ale i tak straszne. Na dachu panowała kompletna cisza. No i co? Zaryzykować, wyjść?

Znów zatkałem dziurę, odwróciłem się od ściany – i po raz kolejny spojrzałem na plakat, na którym były nabazgrane te całe „mikstury” i napis o Głuszolesiu. Szkoda, że Zielarz zniknął, przydałoby się go wypytać. Nigdy nie słyszałem o takim miejscu. Głuszolesie... Brzmi jakoś tak, mutant go wie, ale sennie trochę. Dziwny ten plakat. A wcześniej w tym samym miejscu – no właśnie! Wcześniej tu wisiał też do niczego niepasujący kawałek blachy, więc...

Od środka domek był mniejszy niż z zewnątrz! Dосkoczyłem do plakatu, szarpnięciem zerwałem ze ściany – a pod nim były drzwi. Raczej bardziej podobne do okrągłego luku, jako że dolna krawędź była dobre pół metra nad podłogą, nawet bez jakichkolwiek zamków czy kół zamykających, a ze zwykłym uchem, w które trzeba wsadzić dwa palce i pociągnąć.

Co zresztą zrobiłem, a luk otworzył się z przeciągłym zgrzytem – i w tej samej chwili

coś przeraźliwie zazgrzytało mi nad głową. Jakby coś wielkimi, ostrymi pazurami przejechało po blasze falistej na dachu.

Karabin stał oparty o ścianę, ale „ogryzek” miałem przy sobie, więc strzelba dosłownie sama wskoczyła mi w ręce, od razu wycelowałem w górę; zgrzyt powtórzył się, ale tym razem cichszy, z boku, a więc cokolwiek go wydawało, przemieściło się bliżej skraju dachu. Chwila ciszy, głuchy stuk – zeskoczyło. Szelest, trzask gałęzi... i cisza. Powoli, baaardzo powoli obróciłem się wokół własnej osi, nie opuszczając broni.

Koc wciśnięty w dziurę poruszył się z ledwo słyszalnym chrzęstem gruzu.

Las jeden wie, ile mnie kosztowało, żeby od razu nie palnąć w tamtą stronę ze śrutu. Odskoczyłem jak oparzony do tyłu, koc zaczął po trochu wciskać się do pomieszczenia, jakby napierał na niego ktoś – coś! – z zewnątrz. Zerknąłem przez luk – za nim widać było ciemne, wąskie pomieszczenie, półmetrowej szerokości niszę pomiędzy tą a następną ścianką działową. Więc tutaj się zgubiła przestrzeń!

A w klepisku podłogi ziała dziura.

Podskoczyłem do plecaka, wyszarpnąłem z bocznej kieszeni latarkę, już, już gotów byłem złapać sam plecak, ale koc wysunął się gwałtownie z dziury prawie w całości, niemalże wpadając do środka. Rzuciłem się z powrotem... Złapałem jeszcze tylko w biegu stojącego pod ścianą wała, schyliłem się, wpadłem w przejście. Zacząłem zamykać luk, kątem oka zauważyłem jeszcze, jak zwinięty koc wlatuje do środka. Co było za nim, nie dostrzegłem, zarejestrowałem tylko rozmazaną plamę w ruchu, a potem zatrzasałem za sobą żelazne drzwiczki.

Wstrzymałem oddech. Cisza... Powoli, krok za krokiem cofałem się, aż poczułem za plecami ceglany mur. Opuściłem latarkę ku podłodze, pstryknąłem przełącznikiem, pokręciłem reflektorkiem, żeby zmniejszyć jasność światła. Przykucnąłem, zajrzałem w dziurę przejścia.

Włazić nie miałem tam ochoty, ale też nie miałem innego wyboru. Poza tym pchała mnie ciekawość – dokąd może prowadzić taki tunel? Na początku szedł niemalże pionowo w dół, potem... Potem zobaczymy. Ześliznąłem się na dół, korytarzyk wyrównał bieg do poziomu,

rozszerzył się – i po kilkunastu krokach doczołgałem się do okrągłych, żelaznych drzwiczek. Dokładnie takich, jak te na górze, też z uchem na palce – tylko że ten właz się nie otworzył, gdy pociągnąłem. Hm... Cofnąłem się kawałek, usiadłem zgarbiony. Drzwiczki trzymały się na stalowej futrynie, a ta z kolei była częścią jakiejś większej żelbetowej całości. Od razu przypomniał mi się sejf w Jurcie – beton i półtora metra prętów zbrojeniowych, tak? Rękoma nie odkopiesz...

Ot, jaki ciekawy schron można znaleźć pod domkiem stróża. Jakie tajemnice skrywał tam Zielarz? Raz jeszcze popatrzyłem na właz, świecąc latarką – i moją uwagę zwróciła nazbyt regularna górką ziemi w rogu. Przegarnąłem ręką raz, drugi; palce zaczepiły o coś twardego, podważyłem... Okazało się, że ktoś zakopał tam nieduże drewniane puzderko, w którym leżał pomarszczony zeszyt i skórzana sakiewka z rzemykiem.

Wyciągnąłem zawartość skrytki, ustawiłem latarkę reflektorkiem ku górze, żeby coś w ogóle widzieć. Najpierw otworzyłem sakiewkę – w środku leżała szklana buteleczka, kubek

w kubek taka, jak na rysunku. A w niej przelewał się opalizujący, gęsty zielony płyn.

O proszę – zielona mikstura. Dokładnie ta, dzięki której Zielarz – jeśli wierzyć jego graffiti – chciał odnaleźć jakiegoś Szamana. Niby że to ma być ten Ciemnowid, a przynajmniej tak była podpisana zamalowana zieloną kredą buteleczka. Drugą miał być Mutylas, a trzecią Antygona... Albo odwrotnie, Mutagon i Antylas. Czyli coś od gonienia mutantów i... i czego? Antyle to podobno były jakieś wyspy, ale to bzdura. Niby taki przeciwLas? A znów Ciemnowid mi się tylko z Vibovitem kojarzył... Nie przypuszczałem, że z Zielarza taki konspirator, normalnie żyrafy wchodzą do szafy. Nie na darmo Michał go wspominał, na sto procent był zamieszany w coś większego!

Więc wychodzi na to, że miałem w rękę jedną z mikstur, które powinny trafić do tego całego Głuszolesia – ale po co? Jak? I co to robi? Próbować, nie wiedząc, co jest w środku – prościej w łeb sobie strzelić. Ostrożnie odkorkowałem butelkę, uniosłem przed twarzą i pomachałem dłonią nad wylotem szyjki. Hm, zapachu nie czuć... Gotów byłem

już przysunąć ją bliżej do nosa, ale poczułem, że pod palcami jest lekko ciepła, a nad powierzchnią cieczy unosi się delikatna mgiełka oparu, ledwo zauważalnie świecącego w ciemności. Poruszyłem buteleczką, a obłoczek uniósł się w górę, opalizując blaskiem. Hej, to znaczy co – że to paruje i może zupełnie wyparować? Nie ma głupich, zamykam.

No dobra, zamknąłem. No i o co w tym chodzi? Już sam zabezpieczony żelaznym włazem schron pod domkiem ciecia to rzecz mocno nietypowa, a mikstura i dziwny plakat w dodatku... Może przed swoim zniknięciem próbował stworzyć właśnie te mikstury? Ale jeżeli tak, to po co by odchodził, nie biorąc ze sobą tej zielonej, którą już miał? A jeśli schował, to czemu w tej dziadowskiej skrzyneczce, a nie za żelaznym włazem? Tam bym w życiu przypadkiem nie wszedł, a to samo w ręce wpadło...

Chyba że nie miał czasu na otwieranie drzwi. Albo jest tam wcale nie schron, a coś zupełnie innego. Albo sam Zielarz też nie mógł, nie umiał albo nie chciał tam chodzić. Zgaduj-zgadula, a i tak nic z tego nie

wyniknie. Schowałem miksturę z powrotem do sakiewki, zaciągnąłem sznurek, dowiązałem do wisiora na szyi. Zbieramy tajemnice... Dla odmiany wziąłem zeszytik; na mocno sfatygowanej i postrzępionej okładce ktoś wykaligrafował czarnym flamastrem: eźjęńńjl źjęłaszą.

Ot, zwykły zeszyt w linie. Połowy kartek brakuje, przy czym widać, że wyrywał je ktoś nierówno, w pośpiechu, a na tych, co zostały: rysunki artefaktów, dla mnie w większości nieznanymi, ze strzałkami, zaznaczonymi punktami i napisami. Do tego wykresy, diagramy... Napisy pewnie powinny coś mi mówić, ale... no nie, nie, czysty bełkot: „Czd nóżę Śżanąń ną sąćkf j Ślsak uó csóo Łąśv, kęhó rąśzxńą ócsóną”.

Przekartkowałem kilka stron, poruszając wargami i próbując sylabizować, ale mutant wie, o co w tym chodziło! A ze mnie żaden mutant, więc nie wiem. Zeszyt wyglądał na dziennik badawczy Zielarza, w którym notował swoje spostrzeżenia na temat natury ożywionej i nieożywionej. Mogła tu być masa rzeczy ciekawych, a wręcz bezcennych, ale jak to odczytać?

Na chwilę zostawiłem zeszyt na plecaku, poczołgałem się z powrotem na górę, przyłożyłem ucho do żelaznego włazu. Niby coś słyhać, ale ledwo-ledwo... Coś tam chyba było po drugiej stronie, nie ma co wychodzić. A najgorzej będzie, jeśli to coś zacznie dobierać się do włazu – chociaż jeśli nawet to stosunkowo inteligentny leszy, to raczej nie powinien dać rady.

Z zewnątrz nagle rozległo się skrobanie i ten sam świst, który słyshałem wcześniej. Już wtedy mnie to wystraszyło, a teraz wręcz przeraziło, aż fala zimna przeciągnęła po plecach. Oj nie, bratkuwie mutanci, nigdzie stąd nie wychodzę!

Opatrunek z artefaktem sobie założyłem, więc rana nie powinna mi zbytnio doskwierać, co nieco przekąsiłem, mam co pić, latarka działa... Słowem, na razie się stąd nie ruszam.

Wróciłem na dół, ułożyłem się na boku. Przekartkowałem zeszyt Zielarza, ale zrozumiałem dokładnie tyle samo, czyli nic. Ziewnąłem. Całkiem możliwe, że gospodarz stróżówki sprowokował atak Lasu swoimi kombinacjami w laboratorium; mimo że

warzył swoje eliksiry już od dawna, to może dotąd nie przekraczał pewnej linii, którą Las uważał za granicę bezpieczeństwa? Jeżeli przyszło mu do głowy urządzić tu coś wyjątkowo przebiegłego, to Las mógł zareagować nerwowo – wypuścił do Miczurińska mackę, pozabijał miejscowych, zamienił ich w zjawy. Ale samego Zielarza nie widziałem. Może jeszcze żyje? Uciekł?

I to była ostatnia myśl, jaką zdołałem dokończyć, a potem zmorzył mnie nieubłagany sen.



Obudziłem się w pełnej ciemności, zacząłem macać w poszukiwaniu „ogryzka”. Palce trafiły na nieznaną plastikową rękojeść. No tak, wał – przecież teraz chodzę z wałem. I nie jestem w naszym obozie w szopie, a obok mnie nie ma Miszy. W ogóle go już nie ma. A ja leżę w dziurze wykopanej pod domkiem stróża, w którym mieszkał kiedyś Zielarz.

Określiwszy swe położenie w czasie i przestrzeni, podniosłem się z ziemi. „Żywokost” ma taką właściwość, że jeżeli go używasz i zaczynasz się mocno ruszać, to on

cię jeszcze dodatkowo pompuje, wzmacnia i nakręca, a jak się położysz bez ruchu – to dosłownie usypia. Zielarz nazywał to bodajże „selektywnym oddziaływaniem neuromediacyjnym” czy jakoś tak. I mnie też uspiło jak dziecko. Przeleżałem plackiem Bóg wie jak długo, nawet nic mi się nie śniło, dosłownie jak po prochach.

Szkoda, że nie miałem zegarka. No, to znaczy – był, ale się popsuł, a nowego jakoś nie ma gdzie kupić. Dobrze, że chociaż latarkę wyłączyłem przed snem, inaczej baterie już by zdechły. Wymacałem, włączyłem światło. Nie miałem pojęcia, ile spałem, ale wnosząc po odczuciach organizmu, to dość długo. Na pewno, bo w końcu ubiegłej nocy w zasadzie oka nie zmrużyłem, potem cały dzień w drodze, a na koniec „żywokost”... No i ścięło mnie równo.

Przypominając sobie o wydarzeniach ubiegłego dnia, pomacałem wiszący na szyi łańcuszek – teraz miałem tam wisior po Michaile i skórzaną sakiewkę z buteleczką, a w niej tajemniczą miksturę o nie mniej tajemniczej nazwie Ciemnowid. Wsunąłem zaszyfrowany zeszyt za pazuchę, wziąłem

karabin do ręki, popęzłem na górę. Dłuższy czas wsłuchiwałem się w odgłosy zza żelaznych drzwiczek, ale nie było nic słyhać – zupełnie nic, martwa cisza. Uchyliłem drzwiczki, wyjrzałem ostrożnie. Przez dziurę w ścianie wpadał mdły poblask poranka.

Dość szybko zorientowałem się, że w laboratorium nie ma nikogo, chociaż niedawno ktoś musiał tu przebywać. Na stole, ścianie i podłodze widać było plamki świecącego śluzu, blat pokrywały głębokie ślady zadrapań – a przecież był pokryty metalem...

Zerwany ze ściany plakat leżał w strzępach, porwany jakby uderzeniem pazurzastej łapy, przy czym rozstaw szponów robił wrażenie, co najmniej pięć centymetrów od jednego do drugiego. Niezłe trzeba mieć grabie, żeby tak chlasnąć... I to jeszcze idealnie po rysunku mikstur i podpisach. O dziwo, plecak leżał nieruszony tam, gdzie go zostawiłem, podobnie jak pudełka z artefaktami.

Zebrałem cały swój majątek, zawiązałem w płachtę brezentu, przytroczyłem do plecaka. Zbierałem się już do wyjścia, podszedłem do drzwi – zamknięte. I niby w jaki sposób to coś, co zostawiło wszędzie swoje ślady, dało radę

wejść do środka? Chyba tylko przez dziurę w ścianie, ale tam wąsko, większość miejsca zajmuje gałąź... Gałąź?

Cofnąłem się do laboratorium – okazało się, że wygięty konar przesunął się. Wcześniej sterczał idealnie pośrodku wyłomu w murze, dzięki czemu mogłem dokoła upchnąć koce, a teraz przemieścił się na bok, zwalniając miejsce, jak gdyby celowo robiąc dla kogoś przejście. Pokręciłem głową.

W końcu odryglowałem drzwi wyjściowe. Najpierw wysunąłem na zewnątrz tłumik wała, potem wyrząłem... Wyszedłem na dwór. Słońce jeszcze nie wstało, ale zrobiło się już na tyle jasno, żebym miał pewność: dokoła nie było ani żywej duszy. Martwej też nie. Tylko drzewa, akacje, krzewy bzu, za nimi ogrodzenie parku, dalej ulica i domki. Sklep ze stolikami. I wszędzie pusto... Może mi się przywidziało? Halucynacje miałem? Nawdychałem się jakiegoś syfu w tym laboratorium albo Las mi w głowie namieszał...

Ale przecież rower przy ścianie mi się nie przywidział. Stoi sobie, w pełni materialny i namacalny, czyli odjechać stąd mogę.

Co zresztą zrobiłem. Zanim dotarłem do mostu, zrobiło się już zupełnie jasno. Niebo pokrywały szczelną zasłoną chmury, było wilgotno i paskudnie. Oj, w takiej chwili wolałby człowiek być w ciepłym domu, siedzieć przy piecyku, a jeszcze lepiej leżeć w łóżku. I najchętniej nie sam. Ha! Marzenia ściętej głowy... Wtoczyłem rower w krzaki, ściągnąłem plecak, położyłem na ziemi razem z brezentowym zawiniątkiem i wyjąłem lornetkę.

Drogą na drugim brzegu jechała kawalkada – z przodu trójkołowiec, za nim ciężarówka, kawałek za nią po bokach dwa motocykle. Obydwie ekipy połączyły siły i zasuwały prosto na mnie, będą tu nie dalej, jak za kilka minut!

Złapałem pudełko z „gąbką” i popędziłem w kierunku mostu – dziurawej, kombinowanej struktury składającej się z wbitych w dno żelbetowych główek, przerdzewiałego żelaznego rusztowania, pokrycia z desek i spawanych barierek. Musiałem biec zgięty jak paragraf, na wypadek gdyby któryś z bandytów zechciał spojrzeć na przeprawę przez lornetkę. Na skraju mostu wyciągnąłem

„gąbkę”, z kieszeni wyjąłem pęk szczwołu, rozwiązałem rzemyk i zacząłem szybko utykać łodygi w otworach artefaktu. Co i rusz zerkałem na drugi brzeg, silniki warczały coraz głośniej – bandyci byli tuż-tuż!

W końcu „gąbka” zmieniła się w coś podobnego do egzotycznej ikebany albo jeża z długimi, zielonymi igłami. Wepchnąłem ją z powrotem do pudełka po herbacie, które ustawiłem pod kątem na jednym ze wsporników mostu, przytwierdziłem rzemieniem – a potem rozsunąłem rozporek.



Tak! Mutancja jego mać, dokładnie tak! Żeby zainicjować proces, na artefakt połączony ze zmutowanym szczwołem trzeba się – no właśnie, wyszczać! Nie ja to wymyśliłem, nie mam pojęcia i mieć nie chcę, w jaki sposób Zielarz na to wpadł, jakie prowadził w tym kierunku eksperymenty, w ogóle jak mu strzelił do głowy tak zryty pomysł. No bo co – znaczy leje po kolei na każdy artefakt, jaki mu wpadnie w ręce? I osobno, i w kombinacjach z innymi artefaktami, i jeszcze w permutacjach w roślinami? Srogi, zaiste srogi z niego eksperymentator!

A silniki ryczały po całości, zaraz moja klientela się tu zwali! Skończyłem, strząchnąłem, pobiegłem z powrotem, po drodze zapinając rozporek. Brzęczenie i szum doleciały do mnie, jeszcze zanim wpadłem w krzaki. Feromony, hej, feromony... Są wśród nich podobno tak zwane „releasery” – te, które popychają do natychmiastowego działania. To one właśnie wywołują chęć kopulacji, ostrzegają albo wręcz odstraszaają; nie widać ich, w zasadzie nie czuć, a każdy wyczuwa, i to jeszcze jak! Ja w każdym razie nie czułem

nic, mój chamski myśliwski nos na takie subtelności nie był wrażliwy.

Czego nie można powiedzieć o leśnych osach.

Co poniektóre rodzaje feromonów są wyjątkowo lotne i błyskawicznie rozprzestrzeniają się na duże odległości. Paradoksalnie, gdyby nie atak Lasu na Miczurińsk-2, to pewnie wszystko wydarzyłoby się zbyt późno, bo nawet oaza, z której wyciągnęła się ku miasteczku macka, była dość daleko. Natomiast dzięki intruzji Lasu odległość od rzeki do jego najbliższego przyczółka znacznie zmalała, więc wszystko poszło jak należy.

Przysiadłem w krzakach, patrząc na szarobrazową chmurę, nadciągającą ku nam od strony Miczurińska. Proszę bardzo, otóż i osy... Wielkie, złe, jadowite osy mutanty. Przypomni mi się drozd, który wleciał do Lasu, i jego późniejsza przedziwna transformacja. A może ptak natknął się tam właśnie na osy? W ich jadzie jest jakaś toksyna, Zielaar mówił, że podobno od razu atakuje centralny układ nerwowy, paraliżuje działalność jakichś ośrodków mózgowych, coś

tam nieodwracalnie uszkadzając. Jedne obszary wygasza, nadmiernie pobudza inne... Pod wpływem jadu leśnych os do głosu dochodzą najbardziej atawistyczne instynkty, odziedziczone po naszych włochatych przodkach i kryjące się gdzieś głęboko na dnie umysłu każdego współczesnego człowieka, nawet tego, który nie chce się do tego przyznać. Efekt jest taki, że ofiara ukąszenia traci zdolność do racjonalnego myślenia i w zasadzie zamienia w coś, co w dużym przybliżeniu można nazwać zombi.

Oczywiście, tak naprawdę nie jest to zombi w klasycznym rozumieniu tego słowa, bo nie umiera i nie wstaje z grobu. Natomiast traci świadomość własnego istnienia, przestaje troszczyć się o spójność powłok cielesnych i kondycję ciała, rani się i owe rany ulegają zakażeniom, więc w niedługim czasie zaczyna de facto gnić za życia. A do tego jeszcze zre wszystko, co nawinie mu się pod rękę, gustując w mięsie – padlinie albo i ludzynie nawet. Pożądzeni przez osy w pierwszym stadium zatrucia stają się obłąkańczo agresywni, wściekli, nerwowi, wszystkiego się zarazem boją i nienawidzą... a potem powoli

zaczynają przypominać coś, co umarło za życia.

Przyczaiłem się w krzakach. Pobudzone osy to nie rój jętek jednodniówek. Nie wiem, na jakiej zasadzie przyciąga je utkana szczwołem i obsikana „gąbka” – Michaił wysunął kiedyś teorię, że samce postrzegają nasz wabik jako nową matkę, ale Zielaarz tę ideę wyśmiał. Tak naprawdę jest to zupełnie nieistotne, ważne było, że leśne osy będą się tu teraz kłębić przez trzy-cztery dni, dopóki działanie połączonych składników nie ustanie. Przez ten czas, oczywiście, przez most nikt nie przejdzie ani nie przejedzie, chyba że w hermetycznej kabinie. Dzikie osy same z siebie są wystarczająco agresywne, a jak jeszcze je, że tak powiem, przyprze feromonowa chętka...

No i pozostaje mieć nadzieję, że pośród ludzi Rzeźnika znajdzie się chociaż jeden, który w porę się zorientuje w sytuacji i zatrzyma cały konwój na tamtym brzegu. Warianty będą mieli tylko dwa: albo poczekać, aż osy się uspokoją, czyli Las jeden wie jak długo, albo nadłożyć drogi do najbliższej przeprawy – czyli do pobliskiego brodu, a tam na drugi brzeg to już tylko na własnych dwóch nogach.

No dobra, a co mam robić, jeśli bandyci mimo wszystko zdecydują się czekać? Wtedy pójdę sobie nowy transport ogarnąć, ot co. To oczywiście wariant pesymistyczny, bo mogę nic nie ogarnąć, ale przynajmniej pojawi się szansa. Natomiast jeśli ruszą na bród, to będę wiedział, że wszystko idzie zgodnie z planem.

Zatrzymali się, zaczęli wysiadać. Podniosłem do oczu lornetkę. Jest Rzeźnik, tak, Wieprzu... Kuźmy nie widzę. Aha, tu jest, siedzi na trójkołowcu. Ranny, biedaczysko, chodzić mu trudno, aj, aj... Bandyta zwany Rybą, ten o twarzy obojętnego sadysty, stanął z boku od grupy, oparł nogę o koło. Przy ciężarówce widać było czterech zbrojnych z oddziału, który wyjechał ludziom Rzeźnika na spotkanie. Piąty jest kierowca... Rękę dam uciąć – nie sobie, rzecz jasna, najchętniej komuś z tamtych – że to żołnierze z Armii Odrodzenia. O, a to kto jeszcze? Obok Rzeźnika stał wysoki, kędzierzawy mężczyzna, zachowujący się tak, jakby dowodził całą resztą. Pewnie starszy odrodzeńców.

Na ciężarówce została tylko jedna osoba. Ponad burtą krypy widziałem jej głowę –

rzeczywiście kobieta. Dlaczego nie wysiada? Może faktycznie jest tam przykuta...? A przecież sojusz jest mocno niecodzienny: odrodzeńcy i banda dzikusów z Czarnego Rynku. I to nie zwykłych koczowników, a odszczepieńców. Mówił mi Sig, że tego Rzeźnika Chan pogał od siebie na cztery wiatry. Co też mogło połączyć takie dwie kompanie, jaki ciemny interes? Na pewno jechali razem ku wspólnemu celowi, ale co to mogło być? Poligon Śmierci? Wektor, czymkolwiek on jest?

Na drugim brzegu tymczasem trwała narada. Jeden z odrodzeńców, niewysoki, zadziorny cwaniak, cały czas podchodził do brzegu, przykuczał, stawał na palcach i to tak, to owak patrzył na rój os. Kolega zakradł się do niego od tyłu, popchnął tak, że tamten poleciał na most. Żołnierz skoczył z powrotem, wydarł się na dowcipnisia, reszta zaczęła się śmiać – w końcu obsztorcował ich sam dowódca. Żołnierze spochmurnieli, ścichli, kędzierzawy odwrócił się do Rzeźnika, zaczęli dyskutować, ale sądząc z tego, jak obydwaj gestykulowali, jednak ten ostatni grał pierwsze skrzypce. Dwa razy pokazał w

kierunku brodu, którym przepравиłem się przez rzekę.



Nie jest wcale łatwo iść wzdłuż brzegu niespecjalnie szerokiej rzeczki, gdy w tym samym czasie po drugiej stronie przemieszcza się oddział, który lepiej, żeby człowieka nie zauważył. Samo przez się jest zrozumiałe, że rower odpadł w przedbiegach. Trzeba go było zostawić w krzakach, a szkoda – parafrazując popularne w pewnych kręgach powiedzonko, „był dobrym rowerem”.

Przebiegałem od kryjówki do kryjówki, chowając się za krzakami i wysoką trawą, czasami musiałem w ogóle kłaść się plackiem i czołgać... a wszystko to męczyło niepomieranie, tym bardziej że oddział na drugim brzegu przemieszczał się żwawo. Jeńca płci pięknej prowadził kędzierzawy dowódca odrodzeńców, od czasu do czasu popychając. Na czele sadyli sężnistymi krokami Rzeźnik, a na końcu włókł się Kuźma, kulejąc, krzywiąc i trzymając za pierś. No, iść mu na pewno niełatwo, z taką dziurą w żebrach musi boleć, a zgnąłem go porządnie... Nie dość, jak widać.

Przechodzili akurat przez rzekę po śliskich kamieniach, a mnie nagle stanął przed oczami Michaił przybity gwoździami do ściany ciężarówki, wiszący bezwładnie, żyjący tylko nadzieją, że zaraz, już za chwilę, po niego przyjdę, a mnie nie ma...

Pięści zacisnęły się.

W końcu coś ustalili, wrócili do pojazdów. Podniosłem się. Ciężarówka i motocykle zjechały na pobocze, bandyci zaczęli wyładowywać sprzęt. Tak! Udało się! Pociągnąłem z flaszki łyk samogonu za własne zdrowie. Plan zadziałał. same. Ach, rozwalić ich już, teraz, zaraz! Leżę schowany za kamieniami, mam ich jak na dłoni, pod ręką wał i toz, a tamtych już trzech na moim brzegu, w tym Rzeźnik! Dać ognia seria, przecież z tej odległości jedna kula – jeden trup!

Potrząsnąłem głową. Bardzo bym chciał, ale mi nie wolno. Część pewnie zabiję, ale wszystkich nie dam rady, sam zginę niepotrzebnie. Zemścić się – to tylko połowa roboty, jakkolwiek ważna, ale jest i druga: wyciągnąć z nich odpowiedzi na pytania. Zrozumieć, co działo się wcześniej, kim był

mój ojciec, co wiązało go z Michailem, czym jest Wektor i Poligon Śmierci. A może zdołam wyjaśnić tajemnicę migotania i moich widzeń? A niech mnie, i tajemnicę Lasu!

Jako ostatni przez bród przeprawiali się dziewczyna i dowódca odrodzeńców, przy czym ta pierwsza miała rozwiązane ręce. Dowódca nie przeszkadzało to co i rusz ją popychać, pośrodku nurtu zrobił to nazbyt mocno – dziewczyna pośliznęła się, niemalże upadła, zakląła szpetnie... I nagle odwróciła się i z zaskoczenia walnęła faceta pięścią w brzuch.

Solidnie, wcale nie po babsku. Mało brakowało, i by zleciał z kamienia w wodę, krzyknął: „Ach ty suko!” – i rąbnął ją w twarz. Przegiął znowu, bo dziewczyna poleciała do wody, poszła na dno jak kamień. Odrodzeniec rzucił się, chciał ją złapać, w końcu wyciągnął na kamienie, wlepił jeszcze kilka ciosów otwartą dłońią; głowa dziewczyny kiwała się na boki, w końcu zwisała bezwładnie – zemdląła. Kędzierzawy zarzucił ją sobie na ramię i poszedł dalej, zręcznie balansując na śliskich kamieniach. No tak, to nie jest kraj dla uprzejmych ludzi.

Na brzegu dziewczynę szybko i skutecznie ocucono, ale przebrać się jej nie pozwolili, tylko narzucili płaszcz na ramiona; w mokrych butach i spodniach ryzykowała ostre przeziębienie.

Gdy oddział ruszył dalej, przepuściłem ich niedaleko od siebie i ruszyłem po śladzie. A szli prosto na Miczurińsk-2... Czego szukał Rzeźnik w tej zabitej dechami dziurze?



Do sklepiku, przed którym stały stoliki i ławki, wśliznąłem się tylnym wejściem. W głównej salce było duże okno, rzecz jasna dawno już bez szyb, pod którym przykleknałem i oparłem lornetkę o parapet, żeby wygodniej było obserwować.

Placyk rozciągał się na wprost przede mną, dalej zaczynał się park; za parkanem i rzadkimi drzewami widać było domek stróża, a przed nim przechadzało się dwóch odrodzeńców. Rzeźnik, Ryba, Wieprzu i dowódca oddziału wchodzili właśnie do siedziby Zielarza.

Gdy wcześniej ekipa Rzeźnika ruszyła prosto na Miczurińsk-2, zdziwiłem się; potem,

gdy podeszli do parku, nieco spałem. A teraz patrzyłem na to wszystko w pełnym osłupieniu. Rzeźnik przyszedł do Zielarza! No czegoś takiego, szczerze mówiąc, zupełnie się nie spodziewałem.

Mieszkaniec starej stróżówki zawsze wydawał mi się mocno dziwny. Wspominał kiedyś, że przed Pandemią był biologiem, ale co o nim wiedziałem więcej? Mieszkał w Miczurińsku jakieś dwa, może trzy lata, ale co robił przedtem, gdzie go po świecie nosiło – nie miałem pojęcia. O kontaktach Zielarza z koczownikami wcześniej nie słyszałem, nikt nawet nie dawał do zrozumienia, że jakieś miał. Więc po kiego czorta zjawił się u niego Rzeźnik?

Pytań hurtem, a odpowiedzi ani jednej. I wciąż ich przybywało. Zielarz musiał być jakoś z tym wszystkim związany – ale co, był po stronie bandytów? Może czekał na nich... no, zabawnie by było, gdybym do niego wpadł i wypalił, że potrzebuję składników na pułapkę feromonową, żeby zatrzymać tamtych za mostem. He, a może dowiedział się o tym, że do niego jada, i właśnie dlatego zniknął?

A może to ja za dużo myślę?

Najprawdopodobniej wszystko to nie było nijak powiązane. Zielaarz był znany w okolicy, mało kto o nim nie słyszał; Rzeźnik i jego banda idą w niebezpieczne rejony, sama droga tam też może być niełatwa. Może zaszli do Zielaarza po zapasy? W końcu sam do niego przyszedłem po pomoc, więc dlaczego niby inni nie mieliby robić tego samego? Logiczne. Zrozumiałe. Nie trzeba imać się teorii spiskowych. A tak w ogóle to mogli tu przyjść po artefakt, żeby wyleczyć Kuźmę.

Zdecydowałem, że wypada podejść nieco bliżej, więc na kolanach przepełzłem za zniszczoną ladę, potem ściągnąłem plecak, ułożyłem w rogu sklepiku, zaraz obok strzelbę i lornetkę. Wał szedł ze mną, nie ma co. Wysunąwszy się ze sklepu, pobiegłem, chowając się za domkami, ściąłem róg placu i przez znaną mi już dziurę wszedłem do parku.

Wkrótce przyczaiłem się za rozłożystym krzewem bzu na skraju polany z domkiem stróża. Ze środka słyhać było głosy, zaś na schodach siedziała zakutana w płaszcz dziewczyna; obok niej leżał na rozłożonym śpiworze Kuźma, trzymając się za ranę i

patrząc w niebo. Nieopodal stało dwóch ludzi z oddziału odrodzeńców. Od razu ochrzciłem w myślach jednego z nich Pomidorem z powodu jego okrągłej, czerwonej facjaty, a drugiego Blondynem za czuprynę. Ten ostatni stał bokiem do mnie. Pomidor z początku przechadzał się w tę i w tę, a potem stanął przodem do parkanu. Zmrużyłem oczy, próbując przyjrzeć się Blondynowi – jakiś znajomy mi się wydawał, ale nie przypominałem sobie skąd.

Obydwaj mieli w rękach NATO-wskie karabinki, obok Kuźmy leżał na ziemi kałasz – a ja nagle zauważyłem, że dziewczyna co i rusz strzela oczami w kierunku broni. No tak, Kuźma niedaleko, broń zaraz koło niego... Czyżby miała zamiar złapać za giwerę, dać ognia i spróbować uciec? Po przejściu przez bród jej nie związali, więc mogłoby się udać... Chociaż nie, raczej nie. Pomidor i Blondyn stali za daleko od siebie, nie da rady położyć i Kuźmy, i tych dwóch. A jakby jej tak pomóc?

Oceeniłem sytuację, pokręciłem głową. Sorry, mała, ale jesteś dla mnie nikim, nawet cię nie znam, zupełnie mnie nie interesujesz – w odróżnieniu od twoich porywaczy i ich

zamiarów. Nie mogę się pchać w wasze zatargi, bo mam swój, o wiele większy i bardziej skomplikowany.

Ze stróżówki rozległo się niezadowolone dudnienie Wieprza:

– Maść, tak? I gdzie ta maziąja cholerna? Ile można szukać w jednym i tym samym miejscu, zabierajmy się stąd! Tu obok zaraz Las!

Zagłuszył go brzęk i łomot – chyba ktoś przewrócił żelazny stół laboratoryjny. Ciężkie kroki, stukot... Potem nowy głos, nieznamy:

– Rzeźnik, obiecywałeś mi maść. Ziellarza mieliśmy brać na przewodnika.

A czy to nie dowódca odrodzeńców? Głos pewny siebie, niemalże kategoriyczny. Zwykły szeregowy tak by się raczej do Rzeźnika nie odzywał.

Herszt bandytów odpowiedział jak zwykle, chłodno i ponuro:

– Nie jesteś dzieckiem, Halo, a maść to nie cukierek. Skoro nie ma, to znaczy, że nie ma.

Halo, tak? No i dobrze, niech będzie Halo. Odezwał się znów:

– W tej okolicy renegaci się kręcą, rozumiesz? Mogą się zjawić w dowolnej chwili!

A ty maść obiecałeś – jakby ją mieć, to można by się chociaż w Lesie ukryć, ślad zgubić. A teraz co?

Halo mówił z pewnym wyrzutem, ale bez szczególnego nacisku, jak gdyby bardziej prosił, niż żądał. Od razu dało się wyczuć, który realnie dowodzi, a który tylko wykonuje rozkazy.

– Pytanie: co robimy teraz?

– A teraz maści nie ma i nie będzie – uciał Rzeźnik. – Las tu podszedł, Zielarz się wyniósł. Zdarzenie losowe. Ty mi lepiej powiedz, po co tę dziewczynę brałeś?

– Mówiłem ci przecież: to siostra Szulgina, tego od renegatów.

– Co mówiłeś, to sam wiem. Po co ci ona?

– Jak to po co? Zabezpieczenie, żeby dali nam spokój. Już to przerabialiśmy, po co znów zaczynasz?

– Bo gównem z niej, a nie zabezpieczenie. Jej brat dowodzi renegatami, i co z tego? I tak się srasz, że mogą zaatakować. Obciążenie z niej tylko i tyle.

Matowym głosem odezwał się Ryba:

– W łeb babie, jak świniakowi. Mogę ja?

– A idź ty w cholere! – podniósł głos Halo. –

Od wczoraj w kółko to samo! Tego zastrzelić, tamtego zarznąć... Pojebało cię?

Kuźma podniósł głowę, zachrypiał:

– „Żywokost” mi znajdźcie! Ziellarz na pewno ma, przecież zdechnę tutaj!

– Nie ma artefaktów! – zadudnił Wieprzu. – Ani jednego, Ziellarza też nie ma!

– To chociaż opatrunki jakieś przynieście!

– Kuźma, nie ma nic! Ziellarz się zmył, towar musiał zabrać ze sobą. A co nie zabrał, to pewnie już ktoś się zaopiekował...

– Cholerna twoja twarz! – wydarł się Halo.

– Co to za glut jakiś świecący? Wdeplęm prosto... A tu rysunki jakieś, porwane na kawałki...

– Pokaż no tutaj – zarządził Rzeźnik. – Wieprzu, postaw stół z powrotem, chcę poskładać, co to było. A wy pogrzebcie jeszcze, sprawdźcie ten właz za ścianą. Co tam jest za tymi drzwiami na dole?

– Czort wie – odpowiedział Wieprzu. – Szkoda, że dynamitu nie ma, bez tego nie otworzysz. Solidne, dobra robota.

Przeszukanie domku stróża trwało, a ja obserwowałem, słuchałem i analizowałem. Szukali maści, dzięki której można wejść do

Lasu. Słyszy się o tego rodzaju wynalazkach, ale nie miałem pojęcia, że Zielarz potrafił je robić. Z drugiej strony, wchodził do tej oazy, z której podciągnęła się tu macka Lasu; niezbyt głęboko, ale łązić po skraju mu się zdarzało. Może właśnie dzięki jakiejś magicznej maści, której teraz szukają bandyci?

I czy nie oznaczało to, że Zielarz jest jednym z osadników Skraju?

Skraj to przedziwne miejsce, leżące daleko, daleko stąd. O skrajowcach wiadomo tylko tyle, że chodzą do Lasu. I potrafią przyrządzać podobne maści. Ale jeżeli Zielarz wywodzi się ze Skraju, to dlaczego stamtąd odszedł? Pokłócił się z ichnią starszyzną czy może coś innego? No, coraz ciekawiej się robi i nie mogłem pozbyć się uczucia, że wszystkie te wydarzenia są powiązane, splątane w jeden kłębek. Wszystko to, co widziałem i w czym uczestniczyłem w ostatnim czasie, w tym zniknięcie Zielarza, nie mogło być po prostu zbiorem losowych wydarzeń. Zatem brat tej dziewczyny, niejaki Szulgin z renegatów, wysłał po nią oddział ludzi, a teraz bandytom potrzebna jest maść, żeby ukryć się w Lesie. Niby wszystko jasne, pozornie nic więcej w

tym nie ma... Tylko dlaczego Michaił wspominał przed śmiercią właśnie Zielarza?

Myśli uleciały z głowy, gdy zauważyłem, że coś poruszyło się na krawędzi dachu. Przemknęła już znajoma przezroczysta sylwetka, niczym odlana z płynnego szkła.

Pomidor stał teraz twarzą do stróżówki, ale nic nie zauważył. Blondyn za to aż podskoczył. Złapałem za wał, w tej chwili coś skoczyło z dachu, zaszeleściły liście... Blondyn wrzasnął, poleciał na ziemię, niewidoczne pazury rozcięły mu korpus od biodra po ramię, bryznęła krew, rozległ się skowyt bólu... Dziewczyna podniosła głowę, a Kuźma poderwał się i złapał za kałasza. Pomidor dopiero się odwracał, coś skoczyło cieniem z ziemi na dach, w tej samej chwili zadudniły wystrzały. Ot, jednak widać, że Kuźma swoje przeżył, niejedno widział i niejednego ustrzelił. Aż dziwne, że dał radę trafić w ledwo widoczną, wyciągniętą w skoku sylwetkę. Poleciały szkarłatne bryzgi, rozległ się ochryply ryk, zwierz okręcił się na dachu, przez krótką chwilę było go niemalże widać, ale tylko przez mgnienie oka – a potem skoczył z powrotem, śledzony lufą karabinu

myśliwego.

Pomyślałem sobie, że może to wcale nie leszy, a jakiś inny mutant albo podgatunek leszego. Myśl mignęła w głowie i zgasła, bo zaraz otworzył ogień Pomidor, ale w tej samej chwili mutant dosłownie rozpląnął się w powietrzu. Kałasznikow zamilkł, Kuźma rozkaszał się, zaczął zmieniać magazynek.

– Gdzie on jest?! Gdzie?! – Pomidor przypadł na jedno kolano, wodząc lufą z lewa na prawo.

Nagle leżące na wznak ciało Blondyna poruszyło się i popęzło po ziemi. Dziewczyna westchnęła gwałtownie, gdy jedna ręka Blondyna uniosła się i wyciągnęła do przodu, druga wlokła się za ciałem, głowa obijała się o ziemię. Nadgarstek wyciągniętej ręki wygięty pod nienaturalnym kątem, jak gdyby złamany, na naszych oczach powoli zamieniał się w krwawy strzęp... Niewidoczny mutant włókł go po ziemi, trzymając zębami!

– Artiom! Artiooom!!! – wydarł się Pomidor.

A ja nagle zrozumiałem, że klęcząc na ziemi, zbyt daleko wychyliłem się zza krzaka. Wał w rękach, kolba oparta o ramię, tłumik patrzył prosto w rozmazaną, płynącą przed

oczami sylwetkę, mającą przed przesuwanym się po ziemi ciałem... Nawet z trupem w zębach, niewidzialny mutant przemieszczał się bardzo sprawnie. Kuźma i Pomidor trzymali go tylko na muszce, już nie strzelając, za to dziewczyna patrzyła prosto na mnie.

Kiwnąłem jej, kładąc palec na ustach – a potem rozpląsałem się za krzakami, gdy ze stróżówki zaczęli wysypywać się bandyci. Wieprzu, niewiele myśląc, pociągnął w ślad za mutantem serią z kaemu, stwór wypuścił ciało, które bezwładnie upadło na ziemię – już po Artiomie-Blondynie – i znów zniknął. Tylko szlak czerwonych kropelek znaczył drogę, po której skoczył ku drzewom.

Z gęstwiny rozległo się ochryple wycie, któremu odpowiedziało inne, odleglejsze, głuche... Po kilku sekundach rozbrzmiało znów, tym razem bliżej – może to faktycznie był leszy, a teraz jego druga, mroczniejsza połowa spieszyła na pomoc tej świetlistej?

Rzeźnik warknął coś do Kuźmy, ten wymruczał odpowiedź, Halo złapał dziewczynę wpół, podniósł na nogi. Pomidor nachylił się nad Artiomem, pokręcił głową.

– Martwy.

Mutant odezwał się znowu. Tym razem wyraźnie było słychać, że jest za budynkiem stróżówki, na zajętych przez Las pasie zieleni.

– Zbieramy się – zarządził Rzeźnik. – Szybko!

Rozdział dziewiąty

Śledzenie otwarcie i ukradkiem



Długo szybko
zrozumiałem, że
długo tak nie dam
rady. Zbyt trudno było
posuwać się skrycie za
oddziałem uzbrojonych i
czujnych bojowników.
Tylko patrzeć, jak się
zmęcę i zacznę

popępniać głupie błędy Do końca dnia dam radę, ale dłużej – nie ma siły.

Chociaż trudny teren działał na moją korzyść; kilka kilometrów przed nami było rozległe trzęsawisko, już nawet teraz ziemia robiła się coraz bardziej miękka i wilgotna, co i rusz natykałem się na porośniętą trawą i krzakami nieduże pagórki, więc kryjówek

miałem pod dostatkiem. Szedłem od drzewa do drzewa, od krzewu do krzewu, ale nie było łatwo, bo oddział co chwilę stawał, wysyłał kogoś na zwiad, idący na szpicie często wdrapywali się na wzgórza i obserwowali teren, lustrując okolicę przez lornetkę. Prawda była taka, że wpaść mogłem w każdej chwili.

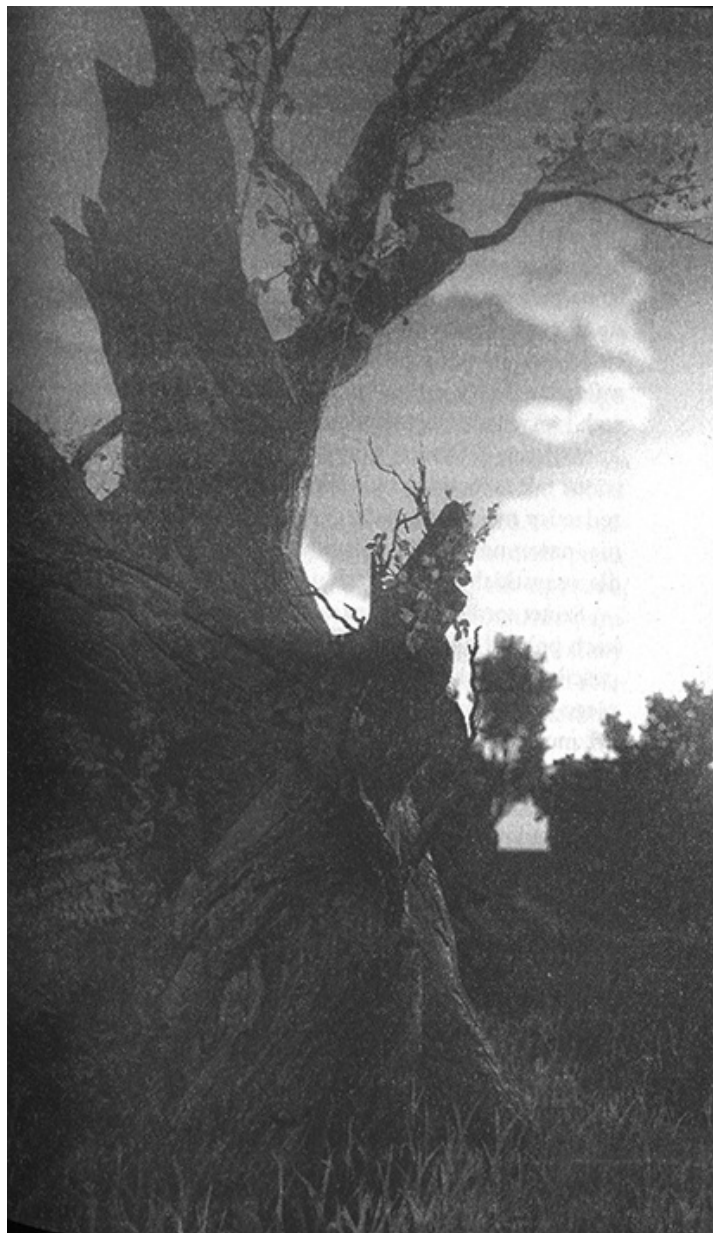
Blondyn odpadł, w oddziale zostało dziewięciu mężczyzn plus dziewczyna. Okazjonalnie obwoływali się, więc w końcu nauczyłem się ksywek wszystkich: Rzeźnik i Wieprzu, Ryba i Kuźma, Halo, Pomidor – jako żywo, gościu miał ksywę Keczup! – ponadto Szuter, Szary i Pawłusza. Ten ostatni trochę przypominał Kuźmę, ale szczecinę miał bardziej rudawą i był bardziej krępy. Z kolei Szuter był niskim, bystrym i szybkim typkiem, którego najczęściej wysyłali na zwiad.

Na jakiś czas zgubiłem oddział, który akurat zagłębił się w nieduży zagajnik. Zdecydowałem, że nie będę szedł prosto za nimi, bo głupio byłoby wpaść na tych, których próbuję niepostrzeżenie śledzić, więc ruszyłem dookoła. Obszedłszy gęstwinę, zorientowałem

się, że stoją jakieś dwadzieścia metrów przede mną... i walnąłem się jak długi na ziemię, zauważywszy ruch w koronie drzewa.

Szuter siedział na konarze i przez lornetkę lustrował drogę. Na całe szczęście podszedłem z boku, inaczej od razu by mnie zobaczył. Mój plecak sterczał garbem do góry, ukryć się trudno... Zwiadowca popatrzył jeszcze w jedną i w drugą stronę, w końcu zatrzymał się na jakimś punkcie w oddali. Próbuje wypatrzeć tych renegatów Szulgina, o których mówił Halo? I co to za renegaci? Odrodzeńcy, renegaci... Nie znam obecnego układu sił w Armii Odrodzenia, nie mieszkam z nimi kontaktów; bazują tam, dokąd nigdy się z Michałem nie zapuszczałem, nawet nie mam pojęcia, gdzie mogą mieć swoją kwaterę główną. Swoją drogą, to dość dziwne, bo o takim Czarnym Rynku czy Skraju to wszyscy wiedzą, a o tych cisza... Niezależnie od tego, że stanowią nielichą siłę, a gdyby chcieli na poważnie się chapnąć z koczownikami, to wcale nie jest pewne, czy bajkerzy mieliby łatwą przeprawę. Zdarza się oczywiście, że pojawiają się tu i tam nieduże oddziały żołnierzy, którzy otwarcie ścierają się z

pomniejszych bandami koczowników, walcząc o strefy wpływów. Żołnierze stają „na kwaterach” we wsiach i miasteczkach, ściągają z miejscowych „kontrybucje”... Otwarcie przy tym nie grabią i nie łupią, więc i tak zachowują się poprawniej od bajkerów. Odrodzeńcy mają surową dyscyplinę i łańcuch dowodzenia, nawet noszą jakieś mundury, chociaż oczywiście dla wszystkich rekrutów ich nie starcza.



Szuter sprawnie zlął na ziemię, niemalże w podskokach pobiegł do swoich. Energiczny chłopanio... Wpuściłem powoli powietrze. Cały ten czas patrzyłem na niego przez muszkę i szczerbinę, gdyby mnie zauważył, musiałbym mu odstrzelić łeb. Walnąć z wała, że tak pojadę kalamburem... A wtedy dupa błada, bo trzeba by uciekać, chować się i myśleć, co robić dalej.

Zwiadowca zamienił z Halo i Rzeźnikiem kilka słów, a potem oddział ruszył dalej.

Teren robił się coraz bardziej podmokły. Wyglądając zza kolejnej kępy krzaków, zauważyłem, że piechurzy skręcili w bok. Hm, co tam znowu? Wyjaśniło się dość szybko: anomalia. Wyglądała nieprzyjemnie i niebezpiecznie, jak gdyby na ziemię ktoś wylał cysternę kwasu, który wyżarł półtorametrowej głębokości dół. Na dnie zalegała na w pół spalona, pomieszana ze żrącą mazią breja, z której wystawało kilka nierównych słupów stwardniałej ziemi – czasami na takich kolumnach można było znaleźć wygenerowane przez anomalię artefakty.

Słychać było przytłumiony huk, w oczy i nos

już zaczynało szczypać... trzeba skręcić, nie ma rady. Dźwięk donosił się od strony słupów ziemi, które wibrowały niedostrzegalnie, stopniowo gromadząc przy tym energię drgań. To było najbardziej niebezpieczne, bo reagując na ruch w pobliżu, wpadały w dysonans i podrywały w powietrze chmurę żrącego pyłu. Sztachniesz się czymś takim i leżysz potem cały dzień plackiem, głowa pęka, rzygać się chce; a jak złapiesz za dużo, to w ogóle nie wstaniesz. Z drugiej strony, jeśli anomalii przez dłuższy czas nie niepokoić, to energia i tak się zbiera, w końcu pył wystrzeliwuje w górę i w promieniu paru-dziesięciu metrów wszystko, co żywe, ginie w straszny sposób. Potem jama znów się uspokaja, zaczyna zbierać siły, a szczęśliwy znalazca może próbować zebrać artefakty.

Akurat tu na najwyższym ze słupów coś leżało, więc zaryzykowałem i podszedłem bliżej, ale okazało się, że to tylko na wpół przeżarte przez opary ścierwo bagiennego mutanta, stwora przypominającego bękarta wydry i gigantycznej żaby – wielkie, wyłupiaste ślipia, pokryta kurzajkami zielonkawa skóra, na karku miękka, szara

szczecina. Do tego szponiaste łapy, skrzela i krótki ogon...

Wkrótce zbliżyłem się znów do oddziału, a niedługo potem na tle przedwieczornego nieba pojawił się zarys przedziwnej, wykrzywionej konstrukcji. Czyli bagna były tuż-tuż, na mokradła z marszu raczej nie pójda, więc teraz powinni zacząć rozbijać obóz.

Faktycznie, bandyci zatrzymali się zaraz obok przekrzywionej wieży. Gdy podkradłem się bliżej, zaczynały już pełgać dwa ogniska, więc skręciłem w bok, żeby podejść od strony budowli. W rzeczywistości był to stary słup linii wysokiego napięcia atakowany przez zmutowane drzewo. Jedna z dwóch nóg ażurowej konstrukcji odpadła i leżała na ziemi, całość przechyliła się mocno na bok, opleciona wijącymi się gałęziami i konarami.

Z jakiegoś powodu to drzewo wyrosło na zupełnym pustkowiu, a potem uschło – już od dawna nie było na nim ani jednego listka, mimo że pień u podstawy musiałoby obejmować chyba siedem osób, a grunt dokoła był dosłownie przeorany przez plątaninę korzeni. Pomiedzy twardymi, brązowymi zwojami ziały zapadliska i ciemne jamy, gdzie

śmigały drobne gryzonie, pełzały węże, wije i żuki przedziwnych gatunków, chyba niespotykanych nigdzie indziej. Kilka metrów nad ziemią pień skręcał gwałtownie w kierunku słupa elektrycznego, a potem rozdzielał się na mnóstwo konarów, niczym węże owijających się wokół stalowych dźwigarów i wsporników, część z nich wyginając, a inne łamiąc jak zapałki. Drzewo-olbrzym i słup stały splecione w uścisku niczym zapaśnicy.

Zdecydowałem, że z plecakiem nie ma co pchać się bliżej, więc zdjąłem go i razem z zawiniętymi artefaktami ukryłem w pobliskim wykrocie, przyrzuciłem gałęziami i poczołgałem się ku bandytom.

Odezwał się Rzeźnik:

– Jak się ściemni, to zasuway na drzewo. Warta dwie godziny, potem Wieprzu przejmuje.

Przesunąłem się obok szarej, wilgotnej jamy, na dnie której coś kręciło się, szeleszcząc. Wspiąłem na wystający z ziemi korzeń, wyjrzałem zza drzewa. Ogniska płonęły na całego, herszt bandy stał przed Szuterem.

– A niby dlaczego ja? – nastroszył się tamten. – Nie lubię tych drzew. Niby roślina, a jak żywa.

– Nie gadaj głupot, mały. Najpierw żresz, a potem na górę, myk!

– Nie no, ale czemu ja?

– Bo się dobrze wspinasz. – Rzeźnik odwrócił się tyłem.

– Ty no, ale słuchaj! – Szuter wytarł nos wierzchem ręki. – Sam se włącz, jak masz takie parcie, a ja se tu na dole posiedzę...

Trach! – pięść Rzeźnika wbiła mu się w twarz. Zupełnie jak wtedy na warsztacie, tutaj też nie zarejestrowałem ruchu, tylko Szuter nagle leżał na ziemi. Siedzący przy ognisku Keczup, Szary i Pawłusza poderwali się, łapiąc za broń, z namiotu wyjrzał Wieprzu, stojący przy związanej dziewczynie Halo odwrócił się na pięcie. Szuter zerwał się, szarpnął za pistolet w kaburze, krzyknął przeraźliwie: „Panie dowódco!”. Halo skoczył ku niemu, złapał za rękę, wykręcił, nie pozwalając wyciągnąć broni.

– Jego się słuchać, zrozumiano?! – wycedził, patrząc wściekle. – A nie, to oberwiesz jeszcze ode mnie!

Wzniósł pięść do uderzenia, żeby przydać wagi słowom. Gdy Szuter wtulił głowę w ramiona, Halo odwrócił się do pozostałych.

– Tak samo reszta! Rzeźnik teraz dowodzi, słuchać się go. Pytania? Nie słyszę! I tak ma być!

Puściwszy Szutera, wrócił do kobiety, przysiadł obok, zagadał, ale odwróciła się tyłem. Była ostrzyżona na krótkiego języka, minę miała ponurą.

Kuźma dorzucił gałęzi do ognia, Wieprzu i Ryba przynieśli kociołek, zawiesili nad ogniskiem. Ryba nalał wody z bidonu, sypnął kaszy. Odczołgałem się trochę do tyłu, ostrożnie podniosłem się, żeby lepiej widzieć. Szuter siadł przy drugim ognisku, zapalił papierosa. Woda zaczęła szumieć, rozszedł się zapach gotowanej gryki... Zaburczało mi w brzuchu. Jedzenie zostawiłem w plecaku. Mógłbym szybko wrócić, coś złapać na ząb i dalej obserwować, ale uznałem, że jeszcze wytrzymam.

Bandyci rozdzielili posiłek do misek, rozsiedli się dwiema grupami: Keczup, Szuter, Szary, Pawłusza, Wieprzu i Ryba przy dużym ognisku (obok siebie usadzili dziewczynę),

Rzeźnik, Halo i Kuźma przy drugim, mniejszym. Zazgrzytały łyżki, rozległo się mlaskanie i cmokanie... Przełknąłem ślinę. Poczekalem jeszcze trochę, oceniłem sytuację i zacząłem włączyć na drzewo.

Grube gałęzie wyginały się i skręcały, wijąc wokół żelaznych wsporników, czasami zawiązując niemalże supły. Wkroczyłem w zagmatwany drzewny labirynt, to przepelzając pomiędzy konarami, to znów zwisając na rękach, czasami przeskakując jak małpa. W końcu usadowiłem się w rozwidleniu dwóch masywnych gałęzi niemalże nad obozowiskiem. Wiał lekki wiaterek, dym z ognisk zwiewało na bok, więc wszystko widać było jak na dłoni. Gdybym chciał, mógłbym ich wystrzelać jak kaczki. Albo załatwić artefaktami. Co prawda zostały na dole, ale wnieść je tutaj to żaden problem. Tylko aktywować, zrzucić z góry – puf! I połowa bandytów z głowy. Resztę zdjąć by można z wała, i tak śpią...

...I gównie się dowiem od trupów, zostanę sam na sam ze swoimi pytaniami. Nie, jednak poczekam.

Bliżej mnie było ognisko, przy którym

siedzieli szeregowi żołnierze Armii Odrodzenia. Szuter sapał i fukał, nijak nie mogąc skrócić papierosa – pewnie jeszcze mu się ręce trzęsły po scysji z Rzeźnikiem. Pawłusza i Szary wsuwali kaszę, aż im się uszy trzęsły. Przemieściłem się po cichu na sąsiedni konar, przeczołgałem nad ognisko starszyny. Herszt bandytów rzucił pustą miskę w trawę, popatrzył z ukosa na siedzących w drugiej grupie i odezwał się półgłosem:

– Jak tam się ten twój major nazywa? Szulga?

– Szulgin – poprawił Halo.

– A ta, znaczy się, to jego siostra.

– Młodsza.

– No proszę... – mruknął Rzeźnik.

– A ty się nie boisz, że odrodzeńcy cały batalion wyślą, żeby ją odbić? – zapytał Kuźma.

Halo machnął ręką.

– A niby dlaczego? Przecież mówiłem, że Szulgin to renegat, tak ich tamci nazywają. On i jego ludzie odeszli z Armii i teraz walczą przeciwko swoim, więc i ten batalion to prędzej po niego niż dla niego.

– Czyli wychodzi, że Szulgin się wypiął na Armię, a ty potem się wypiąłeś na Szulgina – podsumował Rzeźnik.

– Coś w ten deseń. On przecież z tobą nawet gadać nie chciał, a ja od razu jak przyszedłeś, poczułem, że się kroi ciekawa sprawa.

– No i słusznie poczułeś. Ale dziewczyny nie ma co ze sobą ciągnąć. – Rzeźnik wyciągnął gałązkę, zastrugał nożem i zaczął nią dłubać sobie w zębach. – Zawadza tylko, a uciec może.

– Niech spróbuje, zobaczymy, czy biega szybciej od kuli. – Halo pokiwał głową. – A siostrzyczkę Szulgin kocha, swoim nie pozwoli strzelać. Nawet jeśli nas dopadną, zanim dotrzemy na miejsce, to przynajmniej będzie o czym negocjować. Poza tym co ci Alinka przeszkadza? Ty mi lepiej powiedz, kędy dalej idiemy.

– Chuj wie – mruknął Rzeźnik.

Halo podniósł głowę, zaskoczony.

– No coś ty. To nie wiesz?

– Artiom wiedział. Wiedział, co nie?

Artiom... czyli Blondyn, zabity przez mutanta w parku. Czyżby to o nim mówili?

– Ano fakt, wiedział – zgodził się Halo. – Po to przecież go wziąłem. Znalazłem gościa, ugadałem, żeby zaprowadził...

– A teraz go mutanty wpierdalają. I co, kto będzie prowadzić? Kierunek znam, ale to mało.

Halo pokazał kciukiem na Kuźmę.

– No a ten przecież tam w zasadzie już był...

– Aha, w zasadzie... – skrzywił się brodac, ostrożnie dotykając bandaży. – Ty wiesz, ile lat minęło? A nas tam wieźli w zamkniętym furgonie. Myślisz, że mapę nam dali?

– No dobra, ale to co dalej? – Dowódca byłych odrodzeńców chyba trochę panikował. – To po jaką cholere w ogóle taki kawał drogi tu szliśmy?

Rzeźnik splunął na ziemię.

– Szliśmy, bo znamy ogólny kierunek. Doszliśmy tutaj, do bagien, a dalej... Cholera, przez trzęsawisko są bezpieczne ścieżki, Artiom wiedział, jak przejść. On był przewodnikiem, chadzał tu już. A my tylko na macanego... Ty myślisz, że dlaczego czekamy, aż jasno się zrobi? I to wiedząc, że ci twoi podwójni renegaci gdzieś tu się kręcą? Tak

tobyśmy odsapnęli i od razu za Artiomem, jak po sznurku. Jak ktoś drogę zna, to i po ciemku przez bagna iść można.

– Dobra, dobra, ale to co dalej robimy?

– Z rana idziemy dalej. – Rzeźnik wzruszył ramionami. – Powoli i ostrożnie, innej opcji nie ma.

– Połowę ludzi na tych bagnach wytracimy!

– Nie trzeba było jedyne go, co znał drogę, wystawiać jak głupiego na warcie. Tym bardziej że chyba ślepy nie jesteś, sam widziałeś: Zielaar zniknął, tam się coś stało. Trzeba było Keczupowi do pary Szarego dać, niechby ich obydwu nawet zeżarło, w dupie to mam. Przewodnika miałeś pilnować, przy sobie trzymać, dopóki nie doprowadzi gdzie trzeba. Nieistotne, stało się i się nie odstanie. Rano pomyślimy, a ty teraz tego dowcipnisia zagon na drzewo, bo jak nie, to sam go wsadzę.

– Szuter! – warknął Halo. – Wypierdalaj na drzewo!

I oczy otwarte, nie spać mi tam! Jak usłyszę, że chrapiesz, to łeb rozwałę!

– A kiedy zmiana? – jęknął niewysoki szeregowy, wstając.

– Dowodzący mówił: dwie godziny.

Przekręciłem się na brzuchu, popełniłem z powrotem, żeby się przyciać i poczekać, aż Szuter rozłoży się, gdzie chce. Przy tym tłukła mi się w głowie myśl: trzeba zmienić plan. Tamci nie mają przewodnika. Potrzebny im przewodnik. A ja chciałem niezauważony pilnować bandytów, już teraz było to niełatwe, na bagnach byłoby to w zasadzie niewykonalne. Jeśli ruszę głową, to może jutro rano uda mi się za jednym zamachem rozwiązać obydwie problemy.



Bagienne wydry żywią się żabami i węzami i dokładnie tym zajmowała się ta, którą miałem teraz na muszce. Zdołała złapać tłustego bagiennego zaskrońca i wcinała go, leżąc sobie na wysepce pośrodku stawku i powoli przeżuując. Wyjątkowo paskudny stwór, ale na bezrybiu i wydra ryba, nic innego się nie trafiło.

Z tą myślą ściągnąłem język spustu.

Korzystałem z mojej śrutówki, a nie z wytłumionego wała z jednego prostego powodu: strzelbę było SŁYCHAĆ.

Huk strzału poniósł się echem ponad zasnutymi poranną mgłą bagnami. Wstawał dopiero świt, było dojmująco zimno, powietrze pełne wilgoci, z mlecznych oparów wyłaniały się sylwetki krzewów i omszałych drzew... Gdzieś daleko monotonnie krakał gawron, a teraz umilkł, spłoszony.

Kula trafiła tam, gdzie chciałem, czyli prosto w tłustą szyję. Świecąca łojem chropowata skóra pękła jak nadmuchana, bryznęła jasna, wodnista krew. Zwierz rzucił się w bok, wytrzeszczył ogromne, durne ślepia, stanął na krzywych łapach i padł na ziemię, ciało rzuciło się kilka razy, zadrżało jak kisiel na talerzyku. Strzeliłem jeszcze dwa razy w powietrze, płosząc stado ptaków. plan. Tamci nie mają przewodnika. Potrzebny im przewodnik. A ja chciałem niezauważony pilnować bandytów, już teraz było to niełatwe, na bagnach byłoby to w zasadzie niewykonalne. Jeśli ruszę głową, to może jutro rano uda mi się za jednym zamachem rozwiązać obydwie problemy.

No, teraz tamci już na pewno usłyszą i się pobudzą. Chociaż, wnosząc po dyscyplinie, którą egzekwował Rzeźnik, to nawet w tej

chwili czuwa pewnie co najmniej jeden wartownik. Jeżeli tak jest, to nie mógł nie usłyszeć strzałów.

Wyszedłem z krzaków, przewiesiłem strzelbę przez plecy i ruszyłem w bród ku wysepce. Wydra leżała tak, jak padła. W oczach jak spodki, zaciągniętych mętną błoną, odbijało się bagno. Do połowy zjedzony wąż wystawał z paszczy... Ot, paskudztwo! Nałożywszy rękawiczki, wyciągnąłem przeżutego gada, wyrzuciłem do wody, przyjrzałem się wydrze. Kawał zwierza, będzie ze dwanaście-piętnaście kilo. Lepiej by taką mniejszą, ale nie miałem czasu, żeby lazić po bagnach i wydziwiać.

Złapałem mutantą za tylne łapy, podniosłem, z ciężkim sapnięciem zarzuciłem na ramię. Poszedłem ku skrajowi bagna, w tę stronę, gdzie pomiędzy drzewami widać było majaczącą we mgle sylwetkę słupa linii wysokiego napięcia splecionego z martwym drzewem.

Wkrótce wydało mi się, że usłyszałem szeleszczące kroki; mgła zaczynała się rozwiewać, na chwilę poprawiła się widoczność – i dostrzegłem przed sobą trzy

sylwetki. Oni też na pewno mnie zauważyli, bo zniknęli jak zdmuchnięci. Od razu padnij i kryj się, nieźle chłopcy sobie radzą, refleks jeszcze służy. A ja szedłem dalej jak gdyby nigdy nic, nawet zacząłem gwizdać jakąś idiotyczną melodyjkę, ale potem doszedłem do wniosku, że nie ma co przesadzać, i zamilkłem.

– Stój! – zawołał na mnie ktoś z prawej strony. Aha, czyli się roztasowali, podczas gdy ja się bawiłem w słowika. Przeszedłem jeszcze kilka kroków, zwolniłem, stanąłem. Przedemną jednocześnie pojawiły się trzy postacie: Ryba z przodu, po bokach Szary i Szuter. Spięci, palce na spuście... Ryba miał minę, jakby najchętniej już od razu teraz posłał mi kulę i wrzucił do jakiegoś jeziora.

– O, witam! – odezwałem się. – Też na polowanko?

– A ty polujesz, tak? – uściślił Szuter.

– No pewnie. O! – Odwróciłem się plecami, żeby obejrzał sobie wydrę. – A co niby jeszcze miałbym tu robić?

Ryba otaksował mnie pustymi, pozbawionymi wyrazu oczami, pokazał podbródkiem:

– Odrzuć broń.

Wzruszyłem ramionami, puściłem wydrę, która upadła na ziemię, powoli odpiąłem „ogryzek”, zacząłem ściągać z pleców karabin. Tamci trzej powoli, krok za krokiem podchodzili ku mnie.

– Chłopaki, słuchajcie, tutaj strasznie mokro, szkoda broń packać. – Tupnąłem nogą, błocko chlupnęło. – O, patrzcie, tak zrobimy...

Wypiąłem i dwoma palcami wyjąłem z wała magazynek, wsunąłem do kieszeni.

– No i już. A wy weźcie moją broń i będzie git.

– Bierzcie – rzucił Ryba.

Szuter odebrał strzelbę, Szary karabin.

– Zwierzynkę mogę podnieść?

– Podnoś.

Znów zarzuciłem sobie na ramię wydrę, uśmiechnąłem się szeroko.

– No i co, gdzie teraz?

– Za mną. – Ryba odwrócił się i ruszył ku ich obozowi, pozostali dwaj ustawili się nieco za mną.

– Te, panie łowca – zagadnął Szuter – a po co ci wydra? Ja tam słyszałem, że są zupełnie bezużyteczne, nic się nie da z nimi zrobić.

– A dlaczego? Pewnie, że się da! –
zaoponowałem, robiąc minę dobrodusznego
chłopka. – Jakby się nie dało, to przecież bym
zwierzaka nie strzelał.

– No ale co niby? Sam przecież widziałem,
że skórę można zdjąć, ale jak wyschnie, to się
robi krucha, a potem to w ogóle pęka na
kawałki.

– To prawda, za darmo ludzie nie wezmą –
przytaknął Szary – Mięso też niejadalne
przecież.

– Mięso! – prychnąłem. – A kto tu o mięsie
mówi, panowie? Sadło! Ot, co się liczy! Nie
słyszeliście, moi mili, o sadle wydry bagiennej,
a od razu tylko krytykujecie! Sadło przecież
niezastąpione!

– No i co z nim niby, że takie niezastąpione?

– Co, co... Paliwo.

– Że co, zatankować można? – zdumiał się
Szuter.

– Zatankować! Ot, jaki mieszczuch...
Paliwo, bo się pali. Na rozpałkę. Sadło na
powietrzu twardnieje, potem na równe
kosteczki tniesz, dopóki jeszcze można,
zawijasz w pergamin i do plecaka, na drogę.
Potem jak ognisko rozpalić, to lepiej się

hajcuje jak suchy spirytus!

Zerknałem spod oka; chłopak słuchał z otwartymi ustami.

– Ech, panowie miastowi! – westchnałem i pokręciłem głową. – Ja wam powiem, że całe życie się człowiek uczy. Albo i dłużej, tak, tak... Jeśli noc na bagnach zastanie, a chrustu albo nie masz, albo mokre wszystko, to najpierw węża złapać albo żabę. Nabijasz na patyk i czekasz, jak wydra przyjdzie. Potem wydrę – bach! Skórę ściągnąć tylko, sadło zebrać, poczekać, aż powietrza złapie, i nawet od razu tak można podpalać. A takie świeże to jeszcze dłużej się pali, do rana wystarczy jak nic. To raz, a dwa, to pazury wydry. Też się przydają, bo...

– Pazury sproszkować – rzucił Ryba, nie oglądając się. – Maści się z nich robi.

– O, to, to, panie! – Podniosłem palec. – Towarzysz tutaj, widzę, bardziej obeznany. A dokąd idziemy tak zasadniczo, hę?

– A tutaj. – Szuter pokazał ręką. – Zasadniczo już jesteśmy.

W obozie u podnóża słupeczki przywitali mnie w najlepszym razie ozieble. Obszukali, odebrali wszystko, co było cokolwiek warte,

zdjęli kurtkę, potem rozłożyli ją przy ognisku i poukładali na niej wszystko mój dobytek.

Jeszcze zanim wybrałem się po wydrę, okręciłem lewitujący „onyks” bandażem i przymocowałem sobie na prawej kostce pod nogawką. Spodnie miałem szerokie, w ogóle lubię takie luźne, workowate ciuchy, które nie krępują ruchów, więc artefaktu prawie nie było widać. Bardzo dobrze, bo byłem pewien, że gdyby go znaleźli, to zostałbym bez „onyksu”, zbyt cenna to rzecz i Rzeźnik by go zwyczajnie zarekwirował. Żadna z tego skrytka, nosić coś na nodze, w końcu niejedyn tak nosi nóż albo nieduży pistolet, więc gdyby mieli mnie porządnie przeszukać, to znaleźliby od razu, ale w końcu po co przeszukiwać ciecioratego łowcę bagiennych wydr? Tak miałem nadzieję, że będą myśleć, i nie pomyliłem się.

Na lewej kostce z kolei przytwierdziłem sobie buteleczkę z miksturą. Dziennika Zielarza nie miałem gdzie schować, więc po prostu ułożyłem go na samym dnie plecaka. W końcu myśliwi i znajdowacze zawsze noszą ze sobą papier – a to na papierosy, a to na rozpałkę, a to w ogóle w celu wiadomym.

Zapisany bełkotem zeszyt nie powinien zwrócić na siebie niczyjej uwagi, więc najzwyczajniej w świecie położyłem go na samym dnie. Faktycznie, wyciągnęli wszystko ze środka, a na pogięty, poszarpany zeszyt nawet nie spojrzeli. Z kolei wisior po Michaile mógłby wywołać niezdrowe zaciekawienie, więc ukryłem go w bardziej przebiegłym miejscu – wsunąłem do kieszonki na wewnętrznej stronie paska, schowanej pomiędzy dwiema warstwami skóry. O ile nikt mi całego paska nie zabierze, to o jego bezpieczeństwo nie musiałem się niepokoić.

Stojąc tak przed bandytami, spojrzałem kątem oka na dziewczynę. Siedziała, trzymając się dłońmi za kolana, zawinięta w płaszcz, i patrzyła na mnie nieufnie spode łba.

– No i co? – Rzeźnik przegarnął leżące na kurtce rzeczy. – Coś za jeden?

– Myśliwy – odparłem. – Stas się nazywam.

Herszt bandytów obrzucił mnie ciężkim, krytycznym spojrzeniem. Chciał zapytać o coś jeszcze, ale uprzedził go Halo:

– Często ci się zdarza w tej okolicy polować?

– Cały czas. Sadło zbieram, po wioskach potem noszę. Wymieniam, to jest – na

jedzenie, na amunicję czy co tam jeszcze. No i pazury też. I węże się łapie...

– A z węzami co się robi? – skrzywił się Szuter. – Chyba ich nie jesz?

– No ba! To nie wydra trująca przecież, czemu by węża nie zjeść? Tylko trzeba go, rozumiesz...

– Na wydry polujesz – powtórzył Rzeźnik, patrząc mi prosto w oczy.

Halo podszedł bliżej, zajrzał mi w twarz.

– Nie, ja ciebie tu nie widywałem, kolego. Od dawna tutaj?

– Aha. Od dawna.

– A mieszkasz gdzie?

– A tak, wszędzie i nigdzie. – Pokazałem na słup. – Czasem tam, o, gdzie wy teraz, sobie stanę. Moje miejsce, że tak powiem, zajęliście. A czasami na bagnach gdzieś wypadnie albo do Gniłówki, jak się zdąży dojść.

– Chodzisz aż do Gniłówki? – zaciekawiał się Halo. – E, to dobrze...

– To co, bagna też znasz? – podszedł bliżej Kuźma.

– A jak! – Podniosłem rękę, wsunąłem do kieszeni. – Jak własną kieszeń. Każdą ścieżynkę tu się schodziło, pod każdym

drzewem lało.

Rzeźnik i Halo wymienili spojrzenia. Z twarzy bandyty, wiecznie chmurnej i posępnej, nie byłem w stanie nic wyczytać. Po raz pierwszy widziałem oprawcę Michaiła z bliska i za dnia, wcześniej się nie złożyło. Musiał mieć koło czterdziestu lat. Zarośnięty ciemną szczecina, oczy brązowe, cała twarz jakaś taka – no nie wiem, nieruchoma, jakby poszarzała. No i to spojrzenie: ponure, niewróżące nic dobrego, przy czym nie patrzył tak tylko na mnie, a chyba na cały świat.

– A was to dokąd w ogóle droga prowadzi, co, chłopcy? – zagadałem, rozglądając się po nich. – Tak se patrzę, panowie mundurowi chyba... Chociaż nie wszyscy.

– Nie twój mundur, nie twoja sprawa, zrozumiano? – Halo spiął się od razu.

– A pewnie, nie moja sprawa, rzeczywiście. To co, może byście mnie puścili, co? I każdy swoją drogą pójdzie.

– Dużo nabołów za sadło dają? – zapytał Rzeźnik.

– Zależy. Jak tę tutaj, o, dobrze sprawię – tknąłem leżącego mutantą czubkiem buta – to może tuzin do Toz-a dadzą. Jak dobrze

pójdzie, to zapalek dorzuca.

– Słabo.

Zauważyłem, jak intensywnie patrzy na mnie Ryba. W tych jego wodnistych oczach coś się pojawiło, jakiś ślad emocji... Rozpoznał mnie czy jak? Ścisnęło mnie w dołku. Nie ma mowy, nie mógłby mnie rozpoznać! Za dnia ani jeden z nich nie widział mnie z bliska, nocą też im nie pokazywałem twarzy. Więc co jest, czym się tak zaniepokoił? Chociaż Ryba nie powiedział ani słowa, tylko na mnie patrzył i tyle.

– Zarobić chcesz? – spytał Halo prosto z mostu.

Rzeźnik skrzywił się, strzelił w jego stronę oczami. Widać, że to on powinien proponować takie tematy.

– No, to zależy, ale zasadniczo tak – odpowiedziałem ostrożnie.

– Trzeba nas przeprowadzić przez bagna. Na drugą stronę.

– Hm. A po co?

– Nie twoja sprawa, buraku zmutowany. Ile byś chciał?

Uśmiechnąłem się, robiąc chytrą minę.

– Dobrzy ludzie na dobre sprawy grosza nie

żałują. No to... Pół setki nabojów do dwudziestki, połowę śrutem, a połowę pełnych. Rozumiecie, do strzelby. Jak nie ma, to mogę ruble wziąć, ale to złotem chętniej, żeby... Oj, co jest?!

Rzeźnik wyjął pistolet, odciągnął kurek i wycelował mi między oczy; chyba był to iż, ale trudno powiedzieć na pewno – obraz się rozmazuje, jak coś ma się zaraz przed sobą.

– Prowadzisz nas na drugą stronę. Dostaniesz pięćdziesiąt rubli.

Postarałem się wyglądać zarazem na zaskoczonego, przestraszonego i obrażonego.

– No, to jeśli tak się tu rozmawia... Moja strata, niech będzie za pięć dych. Ale ćwiarteczkę z tego z góry. Szefie, a wydrę to sprawimy, nie? To też przecież pieniądz.

– Spieszymy się, panie myśliwy. – Halo pokręcił głową. – Wydra nam po nic.

– Ha, wam wydra po nic, a mnie wydra po coś, prawda? No to w takim razie jakieś odszkodo-o... – Nie dokończyłem, bo Rzeźnik z zamachu rąbnął mnie rękojeścią pistoletu w ucho. Zatoczyłem się, prawie upadłem, skuliłem.

I obiecałem sobie w duchu, że gnoja zajebię

osobiście, własnymi rękami. I to tak, że będę stał i patrzył, jak życie odpływa z tych jego zimnych ślepi.

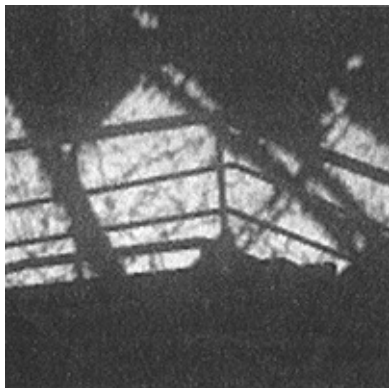
– Dość tych gadek! – wycedził bandyta. – Wydrę zostawiasz. Po pracy dostajesz pięćdziesiąt, żadnych z góry. Śniadanie jemy w marszu. Zbierać się, idziemy!

Z tymi słowami odwrócił się do mnie tyłem, a ja stałem tak z obrażoną miną, trzymając się za obolałe ucho, ale w duchu cieszyłem się jak dziecko. Teraz was mam!

I tylko jedno mnie martwiło: gdy Rzeźnik schował się w namiocie, dziewczyna cały czas patrzyła na mnie. I to patrzyła bardzo, ale to bardzo uważnie.

Rozdział dziesiąty

Spotkanie na bagnach



Gdybym naprawdę znał bagna tak dobrze, jak mówiłem, nie byłoby problemu. Natomiast byłem tu z Michałem raptem parę razy, więc pojęcie o terenie miałem w najlepszym

razie umiarkowane, zatem musiałem o wiele bardziej uważać: raz, żeby nie wleźć w jakieś paskudztwo, dwa, żeby nie zdradzić się przed tymi, którzy na swe nieszczęście wzięli mnie za przewodnika.

Uzbroiwszy się w sękaty kostur, szedłem na przędzie, dosłownie fizycznie czując na karku ciężkie spojrzenie Rzeźnika, który co i rusz wbijał mi wzrok między łopatki. Sprawa była jasna: nie wierzy bagiennemu przewodnikowi

o imieniu Stas. Nie wierzy i wierzyć nie będzie.

Niepokoił mnie jeszcze Ryba. Z jakiegoś powodu od pewnej chwili zaczął traktować mnie z agresywną podejrzliwością. Nawet ożywił się trochę, na jego śniętej twarzy pojawiły się jakieś dalekie echa emocji, a teraz bezustannie mnie obserwował, jak gdyby próbując przyłapać na kłamstwie albo kombinowaniu. Ja natomiast nie miałem pojęcia, co mogło go spłoszyć. Przecież ani mojej twarzy, ani głosu nie miał prawa znać! Więc o co chodziło?

Dźgnąłem kijem miękką kępkę trawy, ostrożnie postawiłem nogę, potem dołączyłem drugą, przeskoczyłem na splachetek niemalże suchej ziemi. Stałem na palcach, popatrzyłem przed siebie. Mgła rzedła, zaczynało być widać coś więcej niż tylko najbliższe otoczenie. Ruszyłem naprzód, oglądając się przez ramię: oddział wyciągnął się nierównym dwuszeregiem. Za mną szedł Szuter, za nim Rzeźnik i Kuźma, potem dziewczyna, którą zwali Alką, obok niej Halo. Ten ostatni w ogóle nie odstępował jej na krok, cały czas trzymając w zasięgu wzroku.

Z tyłu i nieco z boku szli Szary i Keczup, za nimi Ryba i Wieprzu, pochód zamykał mrukliwy Pawłusza.

– Ej, ty! Stas! – zawołał Halo, przechodząc ponad pnem zwalonego drzewa. – Już długo idziemy... Do Gniłówki daleko?

– No i co z tego, że długo? – Rozłożyłem ręce. – A tak, daleko jeszcze. To przecież bagna, tutaj z każdych stu metrów robi się pięć razy tyle.

– A na wieczór zajdziemy chociaż?

– Zajdziemy, ale trzeba będzie postój nieduży urządzić. Ja sam tobym doszedł, a tak się zrec chce, zaraz żołądek do pleców przyrośnie. Wy przecież w drodze nie będziecie jeść... Tu będzie takie miejsce trochę bardziej suche i twarde, tam na godzinę staniemy, a potem dalej.

– A to co, tutaj takie są, że sucho i twardo? – zdziwił się Szuter.

– Się zdarzają, ale nieczęsto. Tam postój, a potem już bez zatrzymania prosto na samą Gniłówkę. Tam przenocujemy.

– A stamtąd do granicy bagna ile? – odezwał się Rzeźnik.

– Ze dwie godzinki będzie. Wstaniemy

ranną zorzą i pójdziemy, tam już łatwiej będzie. Teraz tylko taki kawałek, że najgorsza topiel. Teraz będzie niewesoło, więc... – Zatrzymałem się, obejrzałem i krzyknąłem: – A równo mi tam iść! Ej, ty tam! Dużuś!

– Co? – burknął Wieprzu.

– Gówno w anomalię szło. Toż mówię ja, nie rozłazić się na boki! Za mną równo, parami! Ty co, nie rozumiesz?

– Rozumiem, rozumiem.

Ruszyłem dalej. Bagno ciągnęło się na pozór bez końca: szare i zielonkawe, blade, zamglone, na pierwszy rzut oka martwe. Ale tylko się tak wydawało, bo przecież naprawdę... Tutaj coś zbulgocze, tam zahuka we mgle, podniosą się z dna roje bąbelków, poruszy się wyrastająca z wody trawa. Coś się tam ukrywa w głębinach, przesuwa i pływa, śpi i żeruje. Bagno żyje swoim własnym, sekretnym życiem, o którym nie mamy pojęcia – i bardzo dobrze, niech tak pozostanie.

Trzykrotnie omijaliśmy anomalie. Raz trafił nam się „pęcherzyk gazowy”, bulgocące, żółtawe jezioro, już z daleka cuchnące amoniakiem, a dwa razy jakieś nieznanne mi

twory, podobne do chmurek błękitnawej waty cukrowej, pływające po powierzchni wody. Jedna taka chmurka była mniejsza, wielkości dorosłego dzika, a druga rozmiarem dorównywała samochodowi. Obydwie leżały na wodzie jak grube czapy z piany, podświetlane od środka błyskami wyładowań, a wokół nich rozchodziły się fale zakłóceń – jak po wodzie, ale tutaj drżało powietrze.

– Co za cholerstwo?! – zaniepokoił się Szuter, widząc nieznaną anomalię.

Nie miałem zielonego pojęcia, jak odpowiedzieć na to pytanie, ale jako że zawisło ono bez odpowiedzi w głuchej ciszy, to zrozumiałem, że reszta podziela jego niewiedzę. Chlapnąłem pierwsze, co ślina na język przyniosła:

– „Wata”.

– Że jak? – zapytał Halo raz jeszcze. – „Wata”?

– Aha, tak nazwali. „Bagienna wata”. Sami widzicie, że podobne.

– W życiu o takiej anomalii nie słyszałem – mruknął Rzeźnik.

– Bo się całkiem niedawno pojawiła. I nikt nie wie, jak bardzo jest niebezpieczna.

– Ej, jak to? – Szuter wznosił się na nowe wyżyny zdziwienia.

– Ano tak to. Myślisz, że co, ktokolwiek na tyle głupi jest, żeby blisko podejść? O, sam zobacz, jak się wokół niej powietrze marszczy, jakby...

– No widzę, widzę! Ale jak to tak, że powietrze się marszczy? A poza tym tak na wygląd to nie ma się co bać.

– Zuch chłopak, bystre masz oko. Tylko głupiś, jak się nie boisz.

– Halo, halo, ziemia do Szutera! – odezwał się z tyłu Szary. – Nie ma się co bać, skacz na główkę!

– Sam se skacz!

– No chyba że głupi jesteś. Ja na anomalie jestem uczulony.

– A ja na debili i ich debilne teksty.

– Zaraz tam podejść, jak ci wykurwię w dziąsło...! – uniósł się honorem Szary. – Zaraz zobaczysz, kto debil, a kto...

– Morda w kubek, obydwaj! – warknął Halo. – Stas, nadal nie wiem. Co ta twoja „wata” robi?

– Tego nikt nie wie. – Wzruszyłem ramionami. – Nikt nie sprawdzał, jakoś brak

chętnych. Ale jak za dużo hałasować, to „wata” zaczyna trochę puchnąć... Więc koniec tego gadania.

Faktycznie zamilkli, dzięki czemu nie musiałem się dłużej wic jak piskorz, żeby mnie nie dziabnęli w miękkie podbrzusze niewiedzy. Gdy przed nami pojawiła się druga (świeżo ochrzczona) „wata”, tym razem większa, nikt już nie próbował popisywać się ciętymi ripostami.

Szuter dogonił mnie, wyrównał krok. Był nawet ode mnie o głowę niższy i tak mi się zdało, że chyba też starszy, chociaż z racji wzrostu i pajacowatości wyglądał na młodszego.

– Ty tutaj na bagnie to nieźle ogarniasz, co, Stas? – odezwał się.

– Niezgorzej – odpowiedziałem lakonicznie, ale przypomniałem sobie, że mam grać doświadczonego chłopka-roztropka, skoro taka już mi się rola ułożyła, więc dodałem: – Ja tu już roczek się kręcę, każdy kąć złazić się zdążyło. A panów żołnierzy to skąd droga prowadzi?

Szuter rzucił okiem przez ramię, mruknął półgębkiem:

– A tak, z daleka.

Pewnie musiał Halo wcześniej im przykazać, żeby przed obcymi pary z gęby nie puszczać. Szutera jednak język świerzbił, więc niezadługo odezwał się znów, ale tym razem półgłosem, żeby inni nie słyszeli:

– My, tego... no, przecież sam już widzisz, nie? odrodzeńcy tak jakby.

– Pewnie, że widzę. A co tak daleko od swoich?

– A, no bo... A ty słyszałeś kiedyś o renegatach?

– Coś tam się o uszy obilo. Major jakiś tam... Szulga, Szulgin...?

– No, no. No i on, znaczy się, z dowódcą Armii się pożarł. Tak na poważnie, na noże poszło. A to połowy dowódca, u nas znany, operacje poważne prowadził. Ale ze sztabem się pokłócił, wziął swoich ludzi i poszedł precz. On uważa, że odrodzeńcy powinni działać aktywniej, okolicę sobie podporządkować, bronić swoich interesów... No, takie tam, polityczne sprawy, ja się tym nie interesuję.

– To panowie, rozumiem, jesteście oddziałem zwiadu od renegatów tego Szulgina?

– Nie. – Pokręcił głową. – Renegaci to oni, a my wychodzi, że dezercerzy. No i tak się teraz nazywamy. Nasz starszy, kapitan Halogen, był prawą ręką u majora Szulgina. Razem odeszli z Armii, pomysł, żeby swoje własne ugrupowanie założyć, był ich wspólny. No, przecież sam wiesz, że jest Czarny Rynek, są włóczędzy, Skraj, Armia... a oni chcieli kolejne stworzyć, Renegatów. No i... O, a ty czemu teraz skręcasz?

– A widzisz, jaki tam przed nami mech jest, jasny i gęsty? – Pokazałem palcem. – I trawa też taka soczysta?

– Ano...

– No to w takie miejsca na bagnach lepiej nie łązić, bo może tam być oko wodne pod spodem albo trzęsawisko. Tam jak cię złapie, to już nie puści.

– Ożeż ty... – sapnął Szuter. – To jak plac mocniejszego koloru jest, to tam niebezpiecznie? Zapamiętam... A o czym to ja – a, no tak! No i już po rozpadzie, jak założyliśmy oddzielny obóz, to zjawił się u nas ten cały Rzeźnik. Ja akurat wartę miałem, widziałem, jak go prowadzili do namiotu oficerskiego. Długo o czymś tam gadali, a jak

Rzeźnik wyszedł, to się zaczęli kłócić. I bluzgi poszły. Tak wyrozumiałem, że on coś zaproponował, a Szulginowi się nie spodobały warunki albo mu i sama propozycja nie podeszła, a za to naszemu dowódcy tak. Nocą nas Halo zawołał do siebie... No, ludzi z oddziału, a i to nie wszystkich, tylko tych, co znał, i zaproponował, że odejdziemy. Obiecał niemało, no i żeśmy poszli.

– Niemało obiecał, ale po czym? – zapytałem z głupia frant.

– Że niby co?

– No, że dostaniecie „niemało”, ale pewnie nie od razu, tylko po czymś, nie? No, w sensie przez bagno przejdziemy – i co, już wtedy?

– Aaa... Nie no, jeszcze nie! A co dalej, to mutant wie, ale bogaci będziemy wszyscy! Nie wiem, o co chodzi, ale do jakiegoś poważnego miejsca idziemy. A jak dojdziemy, to sam zobaczysz.

– Coś wątpię, żeby panowie Halo i Rzeźnik mnie chcieli do tego poważnego miejsca zabierać. Ja was przez bagno przeprowadzę, a potem powiedzą, jak zawsze: paszoł ty, przewodniku Stas, na cztery wiatry.

– No, może i tak być. Ale co zarobisz, to

twoje.

Miałem swe wątpliwości nawet co do tego, ale głośno nic nie powiedziałem.

Przed nami rozbłysła bladobłękitnym światłem kolejna „wata”, tym razem zupełnie malutka, wielkości piłki nożnej. Unosiła się na powierzchni wody, leciutko kołysząc i rozsiewając wokół ledwo zauważalne zmarszczki.

– Idziemy bokiem – rzuciłem przez ramię. – Za mną, ślad w ślad, ostrożnie tam!

Wyminąwszy anomalię, odwróciłem się do dezertera, który nadal trzymał się blisko, niemalże dysząc mi w kark.

– Słuchaj, a czemu ciebie tak wołają: Szuter? Dziwnie jakoś tak.

– Wołają to na psa – obruszył się. – A ludzie mają ksywy. Albo pseudonimy.

– Dobrze, niech będzie, że pseudonim. To co to znaczy: „Szuter”?

– A to mnie tak jeden młody u nas w obozie przezwał. Nie wiem dlaczego, ale się przyjęło. Tak się wcześniej podobno nazywały... no, zabawki.

– Jakie znów zabawki?

– No, gry komputerowe. Komputery jeszcze

pamiętasz, że były w ogóle?

– Pewnie, że pamiętam. Nawet teraz jeszcze są, nawet widziałem kilka, jak działają, do generatora były podpięte.

– No, być to są, ale nie ma już tego... Internetu. No i podobno takie gry były na komputery, że biegałeś i strzelałeś do ludzi. Nic, tylko strzelasz i biegasz. I tak je nazywali, „ferstperson szuter”, to po amerykańsku podobno.

– No a jaki związek?

– A taki, że ja dobrze strzelam. – Wypiął wątlą pierś.

– Uuu, to pan snajper?

– Nie, żaden tam snajper. Ale z tego, o! – poklepał swój karabinek M4 – pół magazynka mogę z niezłej odległości w jabłko wsadzić. Rękę mam pewną. A tak w ogóle, słuchaj... Dziwna sprawa – ciągnął zamyślnym tonem. – Bo popatrz, my tu tak biegamy i strzelamy, i to przecież życie, nie? Normalne, twarde, prawdziwe życie, od którego uciec nie możesz. No i mało komu się takie życie podoba, nie? No powiedz sam? No ale takie, cholera, nasze zasrane życie, i nic nie poradzisz. A przecież kiedyś, weź popatrz – ludzie bawili się w coś

takiego! W gry grali! Nudziło im się, rozumiesz, w normalnym świecie! Ot, jakie dziwne, nie?

Wzruszyłem ramionami i zapytałem:

– To co, przed Pandemią pewnie z bronią pracowałeś?

– Ja tego, no... hydraulikiem byłem – przyznał się. – Prawie. Technikum właśnie kończyłem.

Przez jakiś czas nie odzywał się, potem znów obejrzał, zachichotał w pięść. Zerknąłem w tył, zapytałem:

– Co tam znów?

Rzeźnik został z tyłu, za to Halo szedł razem z Aliną i coś jej tam klarował. Niby mimochodem położył jej rękę na ramieniu, ona strząsnęła jego dłoń, warknęła coś gniewnie. Halo spochmurniał.

– Nasz dowódca do Alki już dawno robi cielęce oczy. – Szuter zniżył głos niemalże do szeptu. – Już wcześniej się do niej podwalał, a ona go jak psa goniła. No, szans przecież u niej nie miał żadnych... Ty rozumiesz przecież, ona siostrą majora jest, nie? I też bojowa dziunia, nie ma co, braciszkowi pomagała, pilnowała zapasów, sprzętu i

furazu. No a Halo, jak się trafiła okazja, to ją zabrał z nami. Pożytku z niej żadnego, tylko zawadza, ale dowódca tak sobie klaruje, że teraz ją prędzej da radę sobie na kolanko posadzić. Chociaż, cholera wie, ona na niego ani patrzy... Stas, weź ty posłuchaj! Co to tam, krzyczy ktoś czy co...?

– Stać! – Podniosłem rękę.

Oddział zatrzymał się. Do tej pory szliśmy po relatywnie bezpiecznej części bagien, ale teraz zaczynały się trudniejsze kawałki. Przed nami stała ciemna, martwa woda, ponad którą wystawały wysepki rudo-zielonej trawy. Żeby przejść dalej, trzeba będzie skakać z jednej na drugą, mając jednocześnie nadzieję, że nie okaże się tylko pływającą kupą gałęzi. Takie miejsca nazywają utopiskami – idziesz sobie, wchodzisz na pozornie solidną wysepkę, porośniętą mchem, trawą i ewentualnie ozdobioną krzaczkiem, a tu chlup! I rozłazi się to wszystko pod nogami, a ty pod wodę. Smętny koniec.

Nastawiłem ucha.

– Niech mnie mutanty, ktoś się drze! – stwierdził Szuter. – Ale coś dziwnie jakoś tak... Śpiewa czy co?

– Głupiś! Kto by na bagnach śpiewał? – Szary nie chciał uwierzyć uszom.

– Cicho! – wtrąciłem się, próbując słuchać.

Rzeczywiście, skądś z przodu niósł się głos, ale czy był to krzyk, czy śpiew...? Nie byłem w stanie określić.

– Stas, słuchaj, a co to może być? – Szuter nijak nie mógł się uspokoić. – Przecież tu bagna dokoła, a ktoś sobie pieśni wyśpiewuje...

– Dobra, słuchać! – Podniosłem obie ręce. – Szutera biorę ze sobą, idziemy na zwiad. Odchodzimy na piętnaście metrów, za nami ruszają Kuźma i... a nie, Kuźma ranny. Ruszają za nami Szary i Ryba, będziecie nas trzymać na oku i kryć ogniem, jakby co. Jasne?

Szary popatrzył pytająco na przełożonego, tamten skinął przyzwalająco głową.

– Ryba, wykonać – odezwał się Rzeźnik.

Dodałem jeszcze:

– Tylko idźcie ostrożnie. Nawet jeśli nogę stawiać na niby twardą ziemię, to i tak uważać. Na początku nacisnąć, pomacać, potem delikatnie przenosić ciężar ciała. Ej, słuchacie mnie czy nie? Te, wygolony! Co ja

mówię?

– No słucham przecież – odpowiedział Szary. – Jasna sprawa, idziemy.

– Żadne „idziemy”, a robisz, co ci powiem. Wleziesz na utopisko, twój problem, nie mój. Reszta czeka na nas tutaj. Jak zobaczymy, co tam się dzieje, to kogoś przyślę z meldunkiem.

Niezadługo po wyjściu szepnąłem do idącego obok Szutera:

– Słuchaj, weź ty lżej idź czy co. Chlupoczesz jak hipopotam.

– Staram się – mruknął. – Ale twojego doświadczenia nie mam. A co to tam jest, ha? Weź posłuchaj, ktoś faktycznie śpiewa.

Śpiew rozlegał się coraz głośniej, w pewnej chwili ucichł, ale zrobiliśmy kilkanaście kroków i rozbrzmiał znowu. W lepszej ciszy błota męski, donośny głos wesoło, choć z lekką nutką hysterii, darł się w rytmie melodyjnego bluesa, i do tego po polsku:

– *Uśmiechnij się, kochanie... Nim powiesz pierwsze zdanie... Nim rękę mi podasz, nim ukłon mi oddasz... Uśmiechnij się, to wszystko... i... ej, co tam dalej było? – Chwila milczenia. – Za imię i nazwisko wystarczy... Gdy mnie muuuśnie twój uuuumieeee!!!*

Coś zachlupotało, głos umilkł. Wymieniliśmy z Szuterem spojrzenia. Ryba i Szary majaczyli z tyłu, podniosłem dłoń, dając im znać, żeby poczekali, a sam poszedłem dalej.

Wkrótce zobaczyłem rozległą kałużę, na środku której unosiła się wysepka, a w zasadzie wspomniane już wcześniej utopisko. Pośrodku utopiska z kolei była mniejsza kałuża, a pośrodku kałuży sterczała głowa. Głowa była dokumentnie wymazana białym, w czarnej twarzy świeciły tylko białka rozwartych przerażeniem oczu, ale sądząc po ogólnych wymiarach i okrągłości, reszta skrywającego się w trzęsawisku ciała należała do osoby bynajmniej nie anorektycznej. Nie widząc mnie nawet, głowa otworzyła usta i wydarła się:

– Uśmiechnij się, bo ładniej! Z uśmiechem to wypadnie! Jak ja się uśmiechaj! Znajomość ta niechaj!! Uśmiechem rozpocząę-taaa!! Wciąż będzie uśmiechnięęę-taaaa! Usmieeechnij się, uśmieeechnij się...!! O, taaaaaak!!!

Głowa zamilkła, zaczęła poruszać szczęką, jak gdyby coś przeżuwać.

Szczerze mówiąc, nie wyglądało mi to ani

na anomalię, ani na jakąś sprytną zasadzkę, ale nie spieszyłem się z podchodzeniem bliżej, woląc najpierw się rozejrzeć. Szuter natomiast oczywiście nie wytrzymał, zawołał: „E, gościu!” – a zanim zdążyłem go złapać za fraki, poszedł naprzód.

– Gościu, po cholere tam siedzisz? – Dezerter przykucnął na skraju wody.

– Aaa! Ludzie! – wydarła się głowa z ledwo słyszalnym akcentem. – Ludzie kochani! Jak ja na was czekałem, żebyście tylko wiedzieli!

– Właśnie na nas? – zapytałem, też podchodząc bliżej. Otaksowałem okolicę wzrokiem, ale nie było widać nic podejrzanego. Pomachałem naszej grupie z tyłu, pokazując, że mogą podejść.

– No, może nie dokładnie na was, koleżko sympatyczny, ale kogokolwiek, kto by mi pomógł stąd wyleźć. Weź no popatrz, tam, o tam, jest takie drzewko. Ledwo w pionie stoi, łatwo złamać do końca, gałęzi nie ma, więc nie trzeba ścinać. Bułka z masłem. Program, panie dzieju, jest taki, że łamiecie drzewko, podsuwacie do mnie... pomocne drzewo mi podajecie, hłe, hłe... a ja siup! I już jestem na brzegu!

Spod warstwy błota wyłoniła się pokryta czarną mazią ręka i pomachała.

– Szuter, wracaj do naszych – przykazałem, gdy podeszli Ryba z Szarym. – Opisz sytuację, powiedz, żeby tu przyszli.

Dezserter ruszył po naszym śladzie, głowa znów się odezwała:

– A, to dobrodziejów więcej, widzę. A co tu porabiacie ciekawego?

– A co ty tu robisz? Kąpiele błotne są dobre na korzonki, pijawki na ciśnienie, ale nie w tej ilości jedno i drugie.

Szary i Ryba milczeli ponuro, patrząc na gadającą głowę.

– Ano, tak sobie stoję tutaj... – bąknęła głowa.

– I długo tak stoisz?

– Oj, kawał czasu! Zapadło się, rozumiesz... A tutaj coś jest pod spodem, nie wiem, czy kawał jakiegoś pnia, czy kamień w mule leży, nie wiem. No i tak wyszło, że nogami się na nim oparłem i tak stoję. Stoję i stoję, już nóg nie czuję. Długo tak już nie pociągnę, zmęczone się w końcu, usiądę – i tyle, nawet nie będzie na czym nagrobka postawić i imienia wypisać.

– A co pisać, tak na wszelki wypadek? –

zainteresowałem się.

– Kaługa mnie zwał, a tak w ogóle to z domu Apolinary Borowski-Kaługin. Panowie wiedzą zapewne, że to z greki: apollymi, czyli niszczyć, rozrywać.

– Polak czy jak? – wtrącił się Szary. – Analipa... znaczy Kaługa, coś ty za jeden?

– Myśliwy naturalnie, któż by jeszcze?

– I co, na co tu polujesz? Na wydry też?

– Niece... – Głowa zaprzeczyła energicznie, rozpryskując kropelki błota. – Futro ichnie nazbyt kożuchem cuchnie, którego to zapachu nozdrza moje znieść nie mogą, hłe, hłe... Na jednorogi poluję, czasami też bagiennego rysia się zdarzy ustrzelić.

Głowa otworzyła usta i wypluła z siebie nieprzerwany potok słów. Wkrótce stało się jasne, że uwięziony w blocku człowiek był dokładnie tym, za kogo ja próbowałem się podawać przed bandy tami, z tą różnicą, że specjalizował się w bagiennych rysiach, czyli zwierzynie mocno niebezpiecznej. Jeżeli faktycznie pan Kaługa regularnie na nie polował i jak dotąd pozostawał wśród żywych, mówiło to niemało o jego umiejętnościach.

Kiedy przyszli pozostali, krótko

naszkicowałem sytuację. Kaługa słuchał naszej rozmowy, szeroko otwierając wyłupiaste jak u bagiennego stwora oczy i potakując co i rusz.

– Trzeba go wyciągnąć – podsumowałem. – Wieprzu, złap się za to drzewo.

– Stój – powiedział Rzeźnik i wielkolud zatrzymał się w pół kroku. – Niby po co?

– Jak to po co? – zdziwił się Kaługa ze swojego bagna. – W imię pomocy okazanej, że tak powiem, bratniej mniejszości polskojęzycznej.

– Żaden z ciebie brat.

– No więc daleki kuzyn! Kuzynowi, rodzinie dalszej, nawet tej, co tylko na święta przyjeżdża, też pomagać się godzi! O przykazaniach słyszałeś, krewniaku drogi? Co posiałeś, żać będziesz! Nie czyn drugiemu, co tobie niemiłe... Jak się nie obróci, baba się wywróci, jak dają, to brać, a biją, spierdalać! Pamiętać przecież trzeba, na to nam te przykazania Bóg ojciec dał, co zresztą pióro wieszczka zapisało: „Gdzie ojca nie masz, tam...”.

– Jest jeszcze jedenaste przykazanie, opcjonalne – przerwałem mu. – Nie gadaj za

dużo, bo kula w łeb.

– O, prawda, jako żywo! – przyświadczył Kaługa energicznie. – Racja, dość słów. No już, wyciągnijcie mnie panowie jak najszybciej.

Halo popatrzył pytająco na Rzeźnika, ten pokręcił głową.

– Nic nam po nim. Idziemy dalej, Stas, prowadzisz.

– Ejże, koleżkowie sympatyczni! – Pechowy myśliwy zaniepokoił się nie na żarty, ale umilkł, gdy Rzeźnik wyciągnął pistolet i wycelował. Chyba faktycznie zamierzał strzelić nieszczęśnikowi prosto w twarz, więc stanąłem mu na drodze:

– Poczekaj, nie można.

– Bo co? – Herszt bandytów popatrzył na mnie obojętnie.

– Bo nie wiemy, kogo albo co może tutaj wystrzał zaalarmować. W głębokich bagnach nie radzę hałasować bez sensu.

Rzeźnik opuścił broń, a ja znów przykucnąłem przed Kaługą.

– Więc jesteś bagiennym myśliwym. Doświadczonym?

– Czy doświadczonym?! Ha! Tuzin

mutantów ci w rzyć i jeden na dodatek, jestem bożyszczem tych trzęsawisk!

– Aha. No to niby jakim cudem tu utknąłeś?

– A no... bo to wszystko przez tamtych. Tych, co w Gniłówce siedzą.

– Kto niby w Gniłówce siedzi? – zaniepokoił się Halo natychmiast.

– A wzięli i rozłożyli się tam jacyś, a ja tam zanocować chciałem – wyrzucił z siebie pan Kaługa, słusznie sądząc, że udało mu się kogoś zaciekawić i kupić parę minut cennego czasu. – Ja podchodzę, rozumiecie, a tam patrzę, siedzą jacyś... I od razu dawaj, ognia do mnie! Co było robić, tyły podałem. No, nawet nie to, że tyły, a sromotny odwrót w nieładzie. Nocy nie przespałem, przesiedziałem na wysepce, bo tu jak zaśniesz, to można się nie obudzić. Jak człowiek sam nocą jest, to wydry podchodzą, próbują atakować... No i taki śnięty idę sobie dzisiaj, ledwo na oczy patrzę, no i nie zauważyłem, wlałem w utopisko.

– Ty nam o Gniłówce mów, co za ludzie? – powtórzył pytanie Rzeźnik.

– A licho ich wie. Ja tak tylko, z daleka widziałem... Ale tak na szybko, to chyba

Armia Odrodzenia. Ubranie wypisz, wymaluj, jak niektórzy u was. I chmara ich tam.

– Możliwe, że oddział od Szulgina – mruknął dowódca dezertarów. – Niedobrze.

– Niedobrze – przytaknałem. – Bo w Gniłówce spać mieliśmy. A teraz jak niby?

– A teraz bez noclegu, tylko naprzód. – Halo wzruszył ramionami.

– Nocą przez bagno iść? Nie ma szans, ja was nie poprowadzę. Powiem tak: tego tutaj trzeba wyciągnąć z błota. Trzeba, bo jeśli faktycznie jest myśliwym, a najwyraźniej jest, to bagno zna nie gorzej ode mnie. Drugi przewodnik nie zawadzi.

– No i po co?

– A po to, że sam nie poprowadzę, a we dwóch może nam się uda. Zresztą sam zrozumiałem, że z jednym już chodziliście. I co, jakoś go nie widzę tutaj? Zjadło go coś pewnie, co?

– Szuter ci pewnie opowiedział. Za długi ma jęzor.

– Co? Nie, ja tak, przypadkiem mi w ucho wpadło, jak ktoś mówił. Rano jeszcze, przy słupodrzewie, jak się pakowaliście. A gdyby coś ze mną się stało?

– Tylko uciekać nie próbuj, bo... – Halo pogroził mi pięścią.

– Uciekać? Wolne żarty, ja zainkasować chcę moje pięć dych. Nie o to chodzi, tu logika jest prosta: na bagnach wszystko się zdarzyć może, a dwóch przewodników lepszych jak jeden.

– Aha, jasne. Po prostu szkoda ci frajera i chcesz go ratować. Chociaż... Nie no, w sumie jakaś myśl w tym jest. Może i faktycznie się przyda.

Facet w błocie nastawił ucha. Halo spojrzął na Rzeźnika, ten zastanowił się, a potem powiedział głośno:

– Ej, ty tam! Albo cię tu zostawimy w cholere, albo wyciągniemy. Ale wtedy pomagasz temu tutaj dalej prowadzić oddział. Idziemy na drugą stronę bagna, dla ciebie pieniędzy nie będzie, tylko zreć damy. Jak przeprowadzisz, jesteś wolny jak wiatr.

– Spoko-loko, koleżko mój ty sympatyczny! – rozciągnął się w uśmiechu Kaługa, któremu już pewnie stało przed oczami sterczenie w tym utopisku do paskudnej śmierci. – Zgoda! Ja tu tylko, rozumiesz, w błocku cały jestem, warto by się przesuszyc, ogienek jakiś...

– Po drodze wyschniesz.

– Jasna sprawa! Bez dwóch zdań... Tylko, rozumiesz, strzelbę diabli wzięli, błoto wciągnęło...

– Dostaniesz giwerę.

– Eee, to siła i moc! No już, wyciągajcie mnie!

Rzeźnik kiwnął Wieprzowi, a ten podszedł do drzewka.

Na wyciągnięcie Kaługi z bagna potrzeba było raptem pięciu minut wspólnych wysiłków wielkoluda, Szutera i Szarego. Błoto cmoknęło niechętnie, wypuszczając niedoszłą ofiarę, która okazała się być niewysokim, ale zażywnym jegomościem o okrągłej twarzy i równie okrągłych oczach, nadających mu wyraz nieustającego zdumienia cudami świata.

– Puchatek – warknął Wieprzu, odrzucając drąg i patrząc na myśliwego krytycznie. – Jaka z ciebie Kaługa? Kubuś Puchatek, jak mi babcia miła!

– Kaługa, bo jestem Apolinary Borowski-Kaługin, po matce dwojga nazwisk – odparł ten z godnością, rozpinając ciężką od błota kurtkę i patrząc na bandytów znacząco. –

Apolinary z greckiego, „rozrywający”. Widzą panowie, ja z Lublina rodem, podróże zawodowe tu zaniósł i... No i potem się wszystko zaczęło, więc wracać nie było jak. No cóż, panowie, za ratunek w potrzebie dziękuję i kłaniam się pokornie, a dla organizatora całego przedsięwzięcia szczególnie ciepłe słowo i wyróżnienie z czerwonym paskiem.

Ściągnął przez głowę koszulę, rzucił obok kurtki na ziemię i zrobił krok ku mnie, otwierając kordialnie objęcia.

– Ej, co to, to nie! – Odsunąłem się, wyciągając ostrzegawczo palec. – Ja się z nieczystymi mężczyznami obejmować nie zamierzam, a ty coś za często o tym rozrywaniu wspominasz. Jak się umyjesz, to przyjdź... Chociaż nie, w sumie to lepiej nie.

– No cóż, to w takim razie chociaż rękę uścisknę. – Kaługa złapał moją dłoń, potrząsnął energicznie. Popatrzył na pozostałych. – No, koledzy sympatyczni, tuszę, że panowie się spieszą i nawet nie będzie czasu na krótkie pranie? No cóż, zatem pozwólcie, że brud tylko strząsnę i komu w drogę, temu czas.

Kaługa szybko przejął zadanie prowadzenia oddziału w swoje wypačkane błotem ręce. Nie da się zaprzeczyć, że doświadczeniem do pięć mu nie dorastałem, więc wkrótce moim głównym zmartwieniem stało się to, jak ukryć ten fakt przed całą resztą.

Trzeba było trochę zmienić kurs, jako że teraz celem nie była już Gniłówka, którą należało ominąć szerokim łukiem.

– W tamtym kierunku jak pójść, topiel straszna. – Idący obok mnie nowy przewodnik machnął ręką w prawo. – Pomiedzy topielą a Gniówką jest ścieżyna, wije się toto i zakręca, ledwo ją widać, ale jest. Po niej pójdziemy, mało kto wie, że można... Ale ty, Stas, pewnie wiesz?

– A nie, o tej nie słyszałem – odpowiedziałem na pozór beztrosko, czując, jak idący za nami Rzeźnik, Halo i Ryba wpatrują się w moją potylicę. – Ja to w ogóle za tym topieliskiem nie przepadam. Tam jest zbyt niebezpiecznie, staram się omijać.

– Mhm, fakt – zgodził się Kaługa. – Ogniki nad topielą wiszą... Widziałeś nocą?

– Tylko z daleka. Płyną tak po wodzie.

Zdziwił się.

– Widziałeś te ruchome? No patrz, a mnie tylko stojące się udawało. Ale i tak strach zdejmuje! I nie wiadomo, co to za lichy... Jak zaczyna świecić gdzieś tam, w głębinach, to aż ciarki przechodzą. krótkie pranie? No cóż, zatem pozwólcie, że brud tylko strząsnę i komu w drogę, temu czas!

– Torf może się palić – zaproponował nieśmiało Szuter zza pleców towarzyszy.

– Jaki znowu, włochata twoja leśna mać, torf! – oburzył się Kaługa. – Torf się tak nie pali! A i poza tym, torf by dym dawał... No, nieważne. Żaden torf w każdym razie. I ludzi jeszcze tam widziałem, ale strasznych, jak nie ludzi zupełnie. Pod wieczór jakoś tak było, mgła się ścięła, rozumiesz, a ja widzę, jak idą, w samym sercu topieli. Wysocy, chudzi tacy i wszyscy, jak jeden mąż, tacy sami. I nic na sobie nie mają, zupełnie...

– Goli czy jak? – zdziwił się Szuter. – Gołych facetów na bagnie widziałeś? Coś ty podejrzanym jesteś...

Kaługa zrobił nieokreślony gest ręką.

– No, może nie to, że nadzy, ale... Nie było

widać, potem we mgle zniknęli. Chodzi o to, że obok topieli trzeba bardzo ostrożnie. Kiedy już na ścieżkę wejdziemy, tę, co obok Gniłówki biegnie, to z jednej strony będzie wieś, a z drugiej od razu topiel. Szybko trzeba będzie iść, słyszałyście, dziewczynki? – Obejrzał się na idących za nami. – Spódnice zakasać i w podskokach tam... No bo rozumiem, panowie wybaczą śmiałość, ale z tymi z Gniłówki spotykać się nie chcecie? No właśnie. Widzę po minach, że nie.

– A na tej ścieżce nas nie będzie widać? – zapytał Halo.

– Widać być nie powinno, bo tam zawsze wisi mgła gęsta jak mleko. Stas, prawda?

– To drugi powód, dlaczego nie lubię tamtych okolic – potwierdziłem. – Mgła.

– Otóż to. O ile z pochodniami nie pójdziemy, a nie pójdziemy, to nas nie zauważą. Za to mogą usłyszeć, więc trzeba będzie po cichutku, na paluszkach. Teraz tu w ogóle bezludzie się zrobiło straszne, wcześniej co i rusz się kogoś spotykało, to znajdowaczy, to myśliwych... Tak, tak, pouciekali ludziska, jak się te nowe mutanty pojawiły. Widziałeś któregoś, Stas?

– Nie widziałem – przyznałem się.

– I bardzo dobrze! Z tych, co widzieli, mało kto przeżył przecież. W ogóle dzikie jakieś stwory, kto je tam wie... Dobrze, że się wtedy schować zdążyłem jeszcze, bo jak przeleciało koło mnie, to aż świsnęło. Ślepia im się świecą takim srebrzystym blaskiem, wyglądają jak ludziki takie maleńkie. Coś strasznego!

– Maleńkie ludziki? – powtórzyłem. – Karzełki jakieś czy co?

– Jak małe, to może Szuter? – zachichotał Szary z tyłu. – Patrząc, a tu stada dzikich Szuterów nocami zasuwiają...

– Zawrzyj ryj! – Niewysoki dezenter spąsowiał.

Rozległ się soczysty plaskacz, potem Szary achnął, jęknął, potem trzask uderzenia.

– Zostaw! – wrzasnął Halo, odwracając się.

Kaługa uśmiechnął się i puścił do mnie oko.

– Ej, panie myśliwy! – zawołał Rzeźnik.

Nie było wiadomo, do kogo się zwraca, więc obejrzelśmy się obaj. Herszt bandytów z jakiegoś powodu zatrzymał się, za nim stanęła cała reszta.

– Jeszcze raz opowiedz o nowych mutantach.

Kaługa wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kurtki zawiniętą w sreberko czekoladkę, która jakimś cudem nie zamokła, podczas gdy on zażywał relaksu w błotku, ułamał kawałek i zaczął gryźć, jednocześnie mówiąc:

– No przecież mówię właśnie. O tych srebrnookich – to takie, rozumiecie, autorskie określenie – nikt nic a nic nie wie. Tylko w ciemnościach się pojawiają. Zawsze pędzą dokądś całym tabunem, ale bez jednego dźwięku! Ani ryku, ani parsknięcia, nawet szelestu, nic! Na ludzi napadają, ale podobno nie zabijają, tylko porywają ze sobą, ale nie wiadomo po co...

– Dokąd? – Rzeźnik słuchał bardzo uważnie.

– A gdzieś o tam. – Myśliwy machnął ręką w stronę, w którą my też zdążaliśmy.

A ja patrzyłem kątem oka na bandytę. Co go tak nagle zainteresowało? Halo też coś podejrzenie zaciekawiony...

– No dobra, ale czemu stoimy? – odezwał się ten ostatni. – Skoro teraz nocami tu jakieś paskudztwo się kręci, to tym bardziej trzeba jak najszybciej minąć Gniłówkę.

– Spokojna głowa, miniemy – zapewnił Kaługa. – No, panienki, przebierać

nóżatkami! Żwawo, z uśmiechem i pieśnią na ustach!

W gęstniejących ciemnościach zatrzymaliśmy się na skraju większego kawałka stałego lądu, porośniętego wysoką trawą.

– Chata Wujka Szweda, tak się to nazywa. – Kaługa pokazał na drewnianą konstrukcję, stojącą pośrodku wysepki. – Taki jeden dziwak kiedyś tu mieszkał, pustelnik Szwed. W sensie nie to, że Szwed ze Szwecji, tylko tak go wołali. Przepadł gdzieś potem.

– Az tym domem to co? – zapytał Szuter. – Strych tylko został.

W półmroku drewniana chata faktycznie wyglądała cokolwiek dziwnie, dolną część zrębu jakby przeżarło kwasem, w ścianach ziały tak ogromne dziury, aż zdawało się, że pudełko strychu i dach stoją tylko na pokrzywionych podporach. W górnej części budowla była w zasadzie nienaruszona, tylko okna powybijane i parę dziur w krytym gontem daszku.

Kaługa wyjaśnił:

– Jak Szwed zniknął, tam się w środku

zrobił potężny „pęcherz kwasowy”, ale teraz już się uspokoiło. No dobra, to nieistotne, najważniejsze, że z poddasza dobrze widać topiel i samą Gniłówkę. Ona leży na takim jakby garbie, przewyższeniu... Zresztą zobaczycie. Chodźcie do chaty, dopóki jeszcze cokolwiek widać, tylko uwaga tam, bo to się ledwo trzyma. Maksimum we trzech można wejść, kto ze mną?

– Pójdę ja – odezwałem się. – Muszę zobaczyć, co i jak.

– No, i jeszcze do kompletu pan dowódca, i starczy. Dostyc, i tak się to wszystko tam trzęsie.

Okolicy tej nie znałem ani trochę. W życiu tu nie byłem. Dziś pierwszy raz słyszałem o topieli, nie mówiąc już o ścieżce. Szczerze mówiąc, w samej Gniłówce byłem raptem raz, a i to podchodziłem z zupełnie innej strony. Coraz trudniej było mi zachowywać pozory, już kilka razy w gadkach-szmatkach z obrotnym Kaługą o mały włos bym się wygadał. Jak na razie jeszcze się trzymałem, ale coraz częściej widziałem, że Ryba patrzy na mnie podejrzliwie, a i Rzeźnik gapił się nieufnie... chociaż on chyba nikomu nie ufał,

więc nie dziwota.

Wleźliśmy na poddasze po skrzypiącej drabinie, stanęliśmy we trzech przy dużej dziurze w ścianie.

– A teraz patrzcie – zaczął pokazywać przewodnik. – Tak to tutaj, rozumiecie, wygląda.

– Świeci się faktycznie – odezwał się Rzeźnik z nutką zaskoczenia w głosie. – I co, naprawdę nikt nie wie, co to za ogień w topieli?

Kaługa wieloznacznie uniósł palec wskazujący ku niebu.

– Oto zaiste wielka tajemnica.

Topiel ciągnęła się przed nami po prawej, tak jak mówił, zaś po lewej zaczynał się płaski pagórek, na którym stały jakieś trzy dziesiątki domków. W kilku z nich jakby paliło się światło, ale musiały to być odblaski ognisk, płonących wewnątrz zrujnowanych skorup.

Rzeczona topiel przypominała duże jezioro czarnej, gęstej mazi, na którym widać było mdłe światelka rozmywających się ogników. I nagle wydało mi się, że to moi starzy znajomi, migoczący, i że zaraz, lada chwila, zakręci mi

się w głowie, oczy przymkną... Tylko napadu wizji mi teraz brakowało! Ale przecież zawsze widywałem migoczących tylko w swojej głowie, oczyma duszy, a te światełka są tu i teraz, a więc istnieją w rzeczywistości!

Blade ogniki powoli płynęły przez bezmiar czerni, na naszych oczach dwa zlały się w jeden, potem jeszcze inny zamigotał i zgasł.

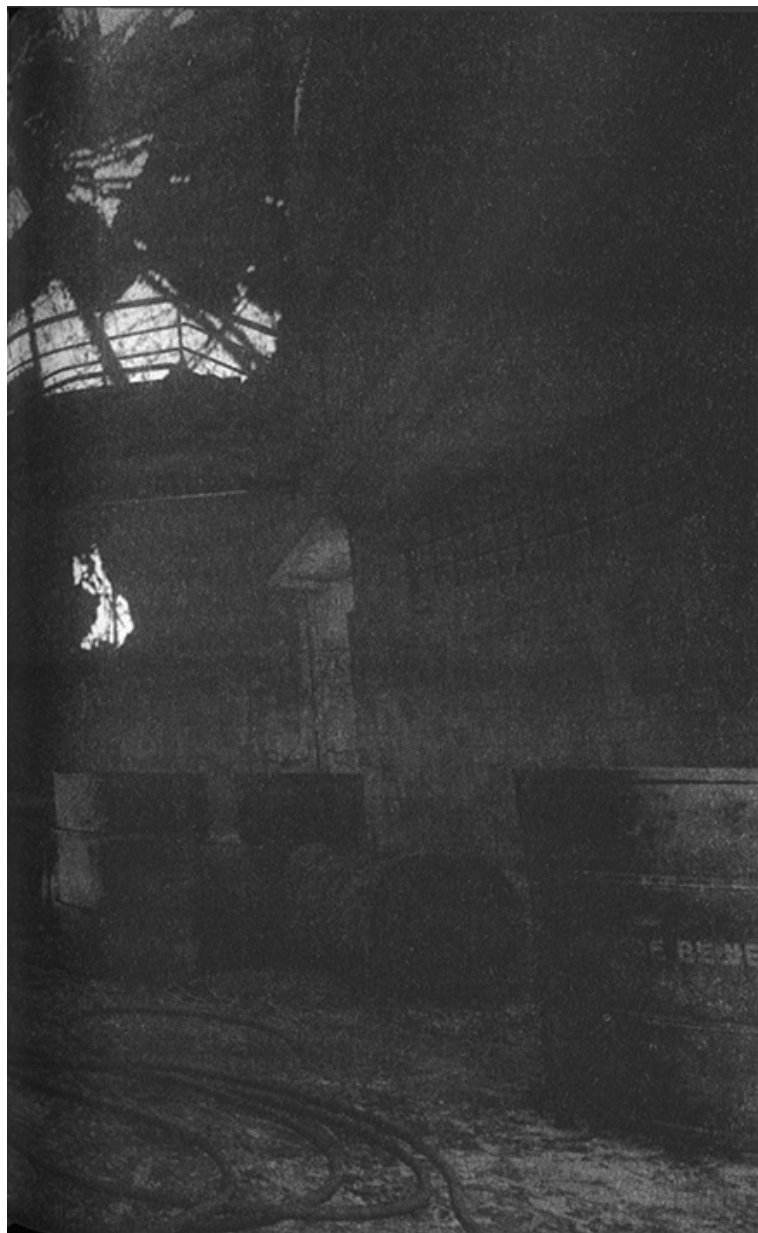
– Może to jakieś pływy w bagnie? – zaproponowałem nieśmiało. – Jakież substancje fosforyzujące...? Chociaż mało podobne do tego.

– Nie, zupełnie nie to – zgodził się Kaługa. – Ale faktycznie, popatrz tylko: masz rację, poruszają się! Jak tu wcześniej wlażłem i patrzyłem, to stały nieruchomo. I jak po ścieżce szedłem, też ani drgnęły, a czasami w ogóle ich nie było. A teraz płyną, niech to Las pochłonie! No dobrze, demonstruję i wyjaśniam: z Gniłówki nas raczej nie przyuważą. Ścieżka, widzicie? Tam biegnie przy stromiźnie zbocza, o tam, jak się górka kończy. Tam jest taki nawis ziemny, raz większy, raz mniejszy, ale półtora metra będzie. I ścieżka jest od razu pod nim. Tam mgła zawsze wisi, więc mało co widać, a

nawet te ognie światła nie dają, więc nawet jeśli z Gniłówki wystawili warty, to i tak się prześlizniemy. Byle nie hałasować.

– A jak ci się wydaje, ilu ich tam w Gniłówce może siedzieć? – mruknął Rzeźnik.

– No, tak jakby nie liczyłem, bo tamci od razu zaczęli strzelać. Ale sporo, ze dwudziestu jak obszył, a może i więcej. Czyli tak: schodzimy na dół i idziemy ścieżką, gęsiego, jak pisklaki za mamusią. Po lewej topiel, po prawej nawis, więc w prawo skręcić nie możesz, a w lewo nie chcesz, bo jak nogę złapie, to wciągnie po czubek głowy. Bywa tak, że trafi się tam płycizna, ale ostrzegam – nawet nie patrzeć w tamtym kierunku. Broń miejcie pod ręką, ale ty swoim wytłumacz, że strzelać tylko wtedy, jak zupełnie, ale to zupełnie nie będzie już wyjścia. Jeśli komuś się wyda, że coś w topieli zobaczy, to nie panikować, nie krzyczeć, nie podskakiwać, tylko iść dalej. Jedno mnie tylko niepokoi, panowie drodzy, czyli ta wasza pannica. Że nie po dobrej woli z wami poszła, to widać od razu, a ten kędzierzawy gapi się na nią jak cieleń na malowane wrota... A jeśli ona hałasu narobi, to co?



I w zasadzie jakby ktoś go usłyszał – na dole pod domkiem zaczął się hałas. Głuchy odgłos uderzenia, ktoś achnął, ktoś krzyknął, zatupały nogi...

– Łap ją!

– Stój!

Bach! – jeszcze jedno uderzenie. Trzask, po nim jęk...

Rzeźnik po raz kolejny wykazał się refleksem do pozazdroszczenia, rzucił się ku drabinie jako pierwszy, ja dopadłem chwilę po nim, za mną stukał obcasami Kaługa. Gdy zeskoczyłem na ziemię, do resztek chatki wpadł Wieprzu, wyrzucił z siebie:

– Uciekła, suka! Zajebała mu i...

– Któremu? – przerwał mu Rzeźnik.

Rozległy się stłumione przekleństwa, zajrzeliśmy do pomieszczenia obok: Szary i Pawłusza podnosili na nogi Halo, który trzymał się za głowę, między palcami łała mu się krew. Z sąsiedniej izby wyskoczyli pozostali, zaczęli świecić latarkami.

– To bladź cholerna! – zajęczał Halo. – Czym ona mnie... Deską jakąś, suka... Z gwoździem! Zapiardole!

– Kości nie przebiła? – zapytałem.

– Zamknij mordę, gajowy! Opatrunek lepiej zrób.

Rzeźnik skoczył na dwór, my za nim, zostawiając krwawiącego Halo. Było już zupełnie ciemno, na niebie wisiała połówka księżyca, migotały gwiazdy.

– Ona słyszała wasze rozmowy – odezwałem się. – Co najmniej część. I może wiedzieć... wróc: na pewno wie, że w Gniłówce siedzą ludzie, których wysłał jej brat, ten wasz cały Szulgin.

– Czyli pobiegła prosto do nich. – Rzeźnik spojrział w kierunku pagórka i wioski.

– Pół kilometra będzie, nie mniej – ocenił Kaługa. – Teren niebezpieczny, ale tak... no, relatywnie. Są gorsze kawałki, na ten przykład topiel. Chociaż pół kilometra bagien nocą, gdzie tam po drodze i anomalie, i zwierza pełno – to, kolego sympatyczny, nie space rek po bulwarze. A niech mnie panowie oświecą, czemu niepokoi was, że ta dama do Gniłówki pobiegła?

– Bo jak tam dobiegnie, to mamy wszyscy przegwizdane – wyjaśniłem.

– Podzielić się dwójkami – zakomenderował Rzeźnik. – Ryba i Wieprzu, Kuźma ze mną,

Kaługa i Stas. Dziewczynę znaleźć i przynieść tu, żywą albo martwą. Myśliwi, dla was za żywą po półsta rubli na głowę. Za martwą tyle samo, ale do podziału. Ale po cichu, żeby w Gniłówce nie słyszeli! Pamiętać, bo łeb ukręcę, jak hałasu narobicie! Koniec, ruszamy tyralierą na Gniłówkę. Pytania?

– Szefie, ja z nim pójdę – wskazał w moją stronę Ryba.

– A ty co niby? – zdziwił się Wieprzu.

– Po co? – zapytał Rzeźnik.

Śnięte oczy Ryby wpiły się we mnie, rzucił sennym głosem:

– A bo tak lepiej będzie. Dwóch myśliwych, obydwaj znają teren... Lepiej niech idą oddzielnie i nas prowadzą.

– Zgoda, idziecie razem, a Wieprzu z Kaługą. Naprzód, ruchy, ruchy!

Rozdział jedenasty

Noe, mgła i pościg



Ragna nocą. Tutaj się nie rozpędzisz, o nie. A jeszcze bardziej człowiek się denerwuje, kiedy idzie ramię w ramię z drabem, co do zamiarów którego ma uzasadnione

wątpliwości.

Niezależnie od tego jednak, szliśmy w miarę szybko. Całe szczęście, że noc była gwiazdzista, księżyc też robił, co mógł, więc było cokolwiek widać i bez latarek. A włączać światła nie mogliśmy, bo od razu zdradzilibyśmy swoją pozycję uciekinierce.

– Ładną masz broń – odezwał się półgłosem Ryba, kiedy wyminęliśmy rozłożystą kępę turzycy, zaglądając pod nią ze wszystkich

stron.

– Broń jak broń – mruknąłem.

Wylot lufy jego aksu i tłumik mojego wała patrzyły naprzód.

– Karabinek to schowaj – doradziłem. – Jakby co, to ja będę strzelać, bo mój cicho puknie, a twój na całe bagno będzie dudnić.

Ryba nic nie odpowiedział. Jakiś czas szliśmy w milczeniu, a potem znów się odezwał:

– Toz-a też masz niezgorszego. U nikogo więcej w okolicy takiego nie widziałem.

– No a ja u niejednego, i co?

– Daj obejrzeć. – Wyciągnął rozkazująco rękę, nawet nie odwracając się do mnie, jakby nie miał najmniejszych wątpliwości, że zrobię, co mi każe.

– Coś ci się na gadki po nocy zebrało! – parsknąłem. – Normalnie to dwóch słów do kupy nie powiesz, a tu nawijasz jak przekupka.

– Daj strzelbę do ręki – powtórzył Ryba.

– Do ręki to siurka swojego weź, obydwaj się ucieszycie. Komu popadnie swojej broni nie daję.

Opuścił rękę. Przemieszczaliśmy się szybko,

co jakiś czas podbiegając, więc chatka została daleko za nami, a reszty ludzi nie było widać, musieli rozciągnąć się na boki.

– Coś tam się przed nami świeci – powiedziałem. – Mdły blask, przy ziemi... trudno powiedzieć.

– Jebał pies dziewczynę. – Ryba nagle zwolnił kroku. – Jak ucieknie, to problem z głowy. Łatwiej będzie.

Zdziwiłem się szczerze:

– No coś ty? Słyszałeś przecież, co starszy powiedział: renegatów na nas ściągnie.

– Po nocy i na bagnach nawet nas nie będą szukać. A nawet jeśli, to zanim się ruszą, my zdążymy dojść do ścieżki i ich minąć. Rzeźnik myśli nie o tym, co powinien.

– A o czym niby powinien?

– O tym, że TOZ kalibru dwadzieścia ma taki charakterystyczny wystrzał. Zapada w pamięć, a ja niedawno taki nocą słyszałem.

Szedłem twardo dalej. Prawą stronę twarzy jak gdyby lodem mi ścięło pod nieustępliwym, martwym spojrzeniem idącego obok Ryby. Światło przed nami widać było nieco wyraźniej, ale nadal nie było wiadomo, co jest jego źródłem.

– Co tak milczysz, łowco?

– A co mam niby mówić? Nocą słyszałeś strzały, a co mnie to obchodzi? Nie przeszkadzaj...

– Słyszałem nocą, prawda. Wtedy, jak nocą na Czarnym Rynku jakiś gościu napadł na nasz obóz. Wtedy na słuch zrozumiałem, że to ktoś bije z małokalibrowego Toz-a. Zrozumiałem i wiem, łowco. A ty masz właśnie taką strzelbę. Tylko ty i nikt poza tobą w tej okolicy.

Odwróciłem się gwałtownie, jakby dopiero teraz dotarło do mnie, do czego Ryba pije, i wytrzeszczyłem na niego oczy.

– Że co?! Piątą klepkę zgubiłeś, jak w Lesie grzybki zbierałeś? Że niby co, ja napadłem na wasz obóz, a potem polazłem za wami i wprosiłem się na przewodnika? Ryba, przecież ty masz jakąś manię prześladowczą! Od miesiąca nosa poza bagno nie wyściubiłem, a waszą wesołą kompanię pierwszy raz na oczy widzę!

Ruszyłem dalej, nie dając mu odpowiedzieć, jak gdyby guzik mnie obchodziły jego podejrzenia i w ogóle sam Ryba.

– Poczekajżeż! – zawołał na mnie ze złością,

ale nawet się nie obejrzałem.

Wydało mi się, że w migoczącym przed nami blasku coś się przesunęło, jak gdyby prześliznął się cień, który potem zniknął, jakby zapadł się pod ziemię. Nadal nie mając pojęcia, co to takiego, przebiegłem po pniu zwalonego drzewa, zeskoczyłem, zrobiłem jeszcze kilka kroków i stanąłem na skraju biegnącego w kierunku Gniłówki jaru. Parów był głęboki, ale krótki, dno zarosło niedużymi krzewami, zbocza były niemalże pionowe, kamieniste i też zarośnięte chaszczami.

Na drugim końcu jaru przelewał się podświetlany błyskami wyładowań obłok niebieskawej, krystalicznej „bagiennej waty”, jak ją sam ochrzciłem. Różnił się od tych, na które trafialiśmy wcześniej: miał bardziej intensywny kolor, wręcz wpadający w neonowy, aż bolała od niego głowa. Nawet w półmroku widać było rozchodzące się dokoła fale zaburzeń rzeczywistości, wszystko w pobliżu anomalii drżało, falowało i rozciągało się, jak gdyby grożąc, że osnowa świata może w każdej chwili pęknąć.

Spojrzałem za krawędź dziury – czysto, nikogo nie widać, musiało mi się przywidzieć.

Z tyłu podszedł Ryba, więc nonszalancko zarzuciłem karabin na ramię, wyciągnąłem z kieszeni i zacząłem nakładać rękawiczki. Bandyta stanął obok mnie, odezwał się w przestrzeń:

– Rozgryzłem cię, twoja mać. Naprawdę jesteś myśliwym.

– No to żeś wymyślił! – prychnąłem.

– Ale nie z bagien. Ty jesteś ziomkiem tego starego, co się zjarał w naszym furgonie. I to ty podpaliłeś nasz transport. Stary pewnie już wcześniej zdechł, co?

– Brednie. – Udawałem, że wpatruję się intensywnie w dno jaru; obydwie rękawiczki przylegały już równo do dłoni. – Pierdolisz jak potłuczony w anomalii...

– Rzuć broń, łowco! – W głosie Ryby pojawiły się nutki samozadowolenia. – Rzeźnik niech zdecyduje, co z tobą dalej, a teraz rzuć broń!

Ustawił się w lepszej pozycji, po prawej ode mnie. Musiałem uderzyć lewą, z półobrotu – prawą tymczasem chwyciłem za nóż.

Chciałem trafić w szczękę, ale kolce ześliznęły się po uchu Ryby, który w ostatniej chwili zdążył się uchylić; zaczęły o

małżowinę... I w tym samym momencie pięść bandyty wbiła mi się w podbródek od dołu, poleciałem do tyłu, noga nie znalazła oparcia i runąłem w dół.

Poleciałem na łeb na szyję po zboczach, nóż wypadł mi z ręki, wał gdzieś się zgubił... Walnąłem o dno parowu, łamiąc krzaki, uderzyłem o coś plecami, przed oczami mi pociemniało – a potem nade mną wyrosła sylwetka Ryby, który skoczył na dół w ślad za mną. Przekręciłem wiszący na pasie „ogryzek”, krótka kolba oparła się o ziemię, lufa spojrziała ku górze... Dałem ognia.

To znaczy: nacisnąłem spust, ale nie stało się nic. Za to Ryba podskoczył ku mnie, szcękając rączką przeładowania kałasza, lufa spojrziała mi prosto w twarz.

Łupnęło, głowa Ryby odskoczyła w bok. Jego karabin charknął trzema kulami, które poderwały bryzgi ziemi o szerokość dłoni od mojej głowy. Za plecami bandyty coś się poruszyło, kolejny dźwięk głuchego uderzenia – i Ryba osunął się na ziemię.

Usiadłem, widząc, jak nad bandytą nachyliła się czyjaś sylwetka – dziewczyna! Alina przycisnęła kolanami jeszcze próbującego

ruszać się bandytę, wzniosła nad głową spory otoczek, wzięła zamach... Chrupnęło paskudnie.

– Las i jego mutanci! – Podniosłem się. – Dziewczyno, dość! Mózg ma na wierzchu, spokojnie, koleżanko! On już jest sztywny...!

Dziewczyna odrzuciła kamień, zaczęła gorączkowo szukać czegoś przy trupie. No tak, gdzieś tu upadł jego aksu. A ona gotowa była złapać broń i zastrzelić mnie ze strachu. Już złapała...

A wtedy anomalia, od której dzieliło nas nie więcej, jak dziesięć metrów, nagle bez ostrzeżenia wystrzeliła w naszym kierunku wijącą się mackę błękitnawego światła. Wewnątrz ramienia lśniły kryształowe nitki, z których utkana była sama „wata” – trzaskające, szumiące i strzelające iskrami, błyskające światłem, przez co cały twór zdawał się żyć własnym życiem.

Macka owinęła się wokół kostki Aliny, dziewczyna krzyknęła i upadła, wypuszczając karabin. Świetlisty pęd pociągnął ją po dnie jaru, a ja, niewiele myśląc, złapałem dziewczynę za rękę, próbując ratować – i pociągnęło też mnie! Trzeszczące nitki

naprężyły się, rozjarzyły światłem, iskierki zaczęły migać i biegać szybciej, a macka wcale nie rezygnowała! Złapałem wolną ręką leżącego obok Rybę, ale to też wiele nie pomogło, chociaż zwolniliśmy. No nie, moja piękna, nie mam zamiaru tak zginąć, pomyślałem i jednak puściłem rękę dziewczyny – ale nic się nie stało, bo teraz to ona trzymała mnie kurczowo, jak tonący przysłowiową brzytwę.

– Ratuj! – zawołała.

– Nie mogę! Puszczaj!

– Nie puszczę!

Rozejrzałem się, co by tu jeszcze złapać. Anomalia ciągnęła trzy ciała – z trudem, bo z trudem, ale jednak. Obydwie ręce zajęte. Puszczę Rybę – przyspieszy. Nie puszczę – i tak nas zezre. Do macki nie dam rady strzelić, nożem nie sięgnę, a nawet jeśli, to nie wiem, czy to coś da. Obłok zjadliwie błękitnego, pulsującego światła był coraz bliżej, chmura buczała i szumiała, rozpalala się coraz bardziej, migając i drżąc.

A gdyby tak...? Myśl pojawiła się niespodziewanie. Wypuściłem Rybę, macka od razu pociągnęła nas szybciej.

– Co ty robisz?! – zawyła Alina.

A ja podciągnąłem nogi, sięgnąłem pod nogawkę i zerwałem bandaż z „onyksem”. Szkoda go, oj, cholera, strasznie szkoda...! I nie wiedziałem, czy coś mi to da, ale do anomalii zostało raptem parę metrów, a innych pomysłów brakowało.

Byliśmy już dosłownie obok – kilka sekund i „wata” nas połknie – gdy ścisnąłem z całej siły mój kwitujący „onyks”, który najpierw zrobił się ciepły, a potem błyskawicznie gorący, i z zamachu rzuciłem bezcenny artefakt prosto w sam środek anomalii.

Artefakt wpadł w chmurę i zniknął. I nie stało się zupełnie nic.

– Jebana leśna, nie zadziało! – zawylem.

W miejscu, gdzie trafił „onyks”, została po jego wlocie nieduża czarna dziurka. A potem dookoła rozrosła się ciemniejsza, szara plama. Po chwili światełka wokół zamigotały i przygasły, powierzchnia „waty” zaczęła w oczach pokrywać się pęknięciami i osypywać płatkami do środka, cały obłok zadrżał wyraźnie, gdy dziura zaczęła rosnąć, budulec anomalii kruszył się i odpadał płatkami, coraz szybciej i szybciej... Ciche „pach!” – i cały

obłok wyparował w chmurce dymu, który zatrząsł się ostatni raz i rozmył w chłodnym powietrzu nocy.

A ciągnąca nas macka po prostu zamigotała i znikła.

Doszedłem do siebie jako pierwszy, poderwałem się i całym ciężarem przygniotłem dziewczynę do ziemi, siadając jej na brzuchu. Próbowła mnie uderzyć, ale złapałem ją za rękę, wykręciłem, nachyliłem się, chcąc coś powiedzieć.

– Puść! – wycharczała. – Puszczaj, nie słyszysz?! Idą tu przecież!

Ryba strzelał na dnie jaru, ale nie miałem wåtpliwości, że słyszało nas chyba pół bagna. Już teraz wydawało mi się, że słyszę trzask łamanych gałęzi i dalekie głosy.

– Puszczaj! – powtórzyła, rzucając się.

– Nie mogę! – wysyczałem. – Ty nas wydasz renegatom, a ja potrzebuję, żeby tamci przez bagna przeszli!

– Kim ty jesteś w ogóle?! Widziałam cię, to ty ich obserwowales w Miczurińsku!

Próbowałem ocenić sytuację. Jeśli ją puszcze, to dobiegnie do Gniłówki... Chociaż nie, teraz ją dogonią... ale jeśli jej się uda, to

opowie o nas renegatom, poda kierunek, w którym chcemy iść. Kaługa mówił, że tamtych jest dwa razy więcej, więc mogą nas wziąć w kleszcze, bo część ludzi wysłał na ścieżkę, którą mieliśmy pójść, a część do chatki. I wtedy koniec, mają nas jak na talerzu. Trzeba by już teraz, w tej chwili, wszystko rzucić w cholere, zniknąć na bagnach! Ale wtedy moją operację szlag trafi. Nie no, nie ma mowy, nie odpuszczę. Lepiej przeżyć jeden dzień i zdechnąć jako wilk, niż sto lat jako owca żreć zielsko.

Tamci rozumieli, że na dole ktoś jest, ale nie byli w stanie rozpoznać kto.

– To ja, Stas.

Podniosłem się, podałem rękę Alinie, ale ta odtrąciła ją i wstała sama.

– Mam tutaj babę – odezwałem się. – Puszczam ją na górę.

– Szybciej, w Gniłówce musieli słyszeć wystrzały. Kto strzelał? I gdzie jest Ryba?

– Wrąbał się do tego jaru. Ciemno jak w dupie, nie zauważył... Ja się z nią zacząłem szamotać, tu się ukryła, a Ryba nic, milczy, nawet nie wiem, co z nim. Może walnął w coś głową i go zamoczyło.

– Zabił się, myślisz? – odezwał się Kuźma.

– Nie wiem. On tam spadł, więc pewnie tam leży, a ja tę waszą Alkę trzymam.

Dziewczyna stała, milcząc, koło mnie, bynajmniej nie próbując uciekać. Dodałem:

– Słuchajcie, nic nie widać. Muszę ją na górę do was wysłać.

– Latarka mi zdechła – odezwał się znów Rzeźnik. – Kuźma, weź przyświeć, tylko na Gniłówkę się nie obracaj.

Zaświeciła się latarka, promień przesunął się po dnie jaru.

– Ryba tam leży, widzę – mruknął Kuźma.

– Nie rusza się... Ej, Ryba!

Herszt rozkazał:

– Złaz do niego na dół, żywo.

Kuźma zaoponował nieśmiało:

– Nie dam rady. Rana jeszcze... Jeśli krew znowu się rzuci, to będzie marnie.

– Dobra, ty świeć, a ja zejde.

Po zboczach posypały się kamienie, zaszeleściły krzaki.

– Ruszaj na górę – powiedziałem do Aliny. Dziewczyna milczała twardo, zaczęliśmy wchodzić na zbocze, wkrótce obok nas wyrósł Rzeźnik, który bez słowa huknął ją pięścią w

twarz. Alina rozciągnęła się jak długa na stromym skłonie, zaczęła zjeżdżać bezwładnie na dół. Załapałem ją pod ramiona, zawołałem wkurzony:

– No i po ki chuj?! Teraz ją nieść będę, tak?!

– Na górę! – Rzeźnik zeskoczył na dno parowu.

Zacząłem piąć się pod górę, wlokąc za sobą dziewczynę, której głowa majtała się bezwładnie, chociaż ona sama trochę przebierała nogami, usiłując mi pomóc, ale słabo kontaktując, co się w ogóle dzieje. Dała radę stanąć, ale i tak podtrzymawałem ją ramieniem. Na górze stał Kuźma, celując do nas z karabinu.

– I czego we mnie celujesz, mądralo zarośnięty ty?! – warknąłem. – Ja za was baby po bagnach łapię, a ten strażnika zgrywa!

– Rzeźnik, co tam? – zawołał Kuźma.

– Już po Rybie – rozległo się z dołu. – W kamień jebnął, głowa na pół. Co to za pukawki leżą?

– Wał mój tam został! – odezwałem się. – I po Rybie kałach. Mojego tam tylko nie zostaw, ej!

Rzeźnik wspinał się już z powrotem, gdy niedaleko odezwał się głos:

– Hejo, koleżkowie sympatyczni!

W naszą stronę szli Kaługa i Wieprzu.

– Cóż dobrego, panowie? – Kaługa stanął na skraju parowu, popatrzył z ciekawością na mnie i Alinę. – To u was strzelali? A tak w ogóle, to od strony Gniłówki ktoś tu idzie.

– Ruszamy z powrotem – zakomenderował Rzeźnik.

Gdy wróciliśmy do rozpadającej się chatynki, na spotkanie nam wyszedł Halo z karabinem na ramieniu. Głowę miał solidnie obandażowaną; uśmiechnął się paskudnie, gdy zobaczył pokaźnego sińca na twarzy dziewczyny.

– Gdzie twoi ludzie? – warknął Rzeźnik.

– Jak usłyszeliśmy strzały, wysłałem na poddasze, żeby podejście kryli. Co tu u was?

– Nic dobrego tu u nas, panie dzieju! – odezwał się Kaługa tonem, który nijak nie pasował do słów. – Rybka lubi pływać, chociaż jest nieżywa... Za to dzierlatkę waszą Stas złapał.

– A kto strzelał?

– Ryba wpadł w wykrot, przypadkiem

pocisnął – wyjaśniłem. – Łeb sobie o jakiś kamień rozwalił. Słuchajcie, ja to widzę tak: ci z Gniłówki wszystkimi siłami nie pójdą. No dobra, strzelał ktoś na bagnach, i co z tego? Różnie to bywa. Pewnie wyślą do jaru kilku swoich, żeby sprawdzili, co i jak; trzech, może czterech. Pójdą ostrożnie, no bo przecież wiedzą, jak rozumiem, że gdzieś tu możecie być.

– Czterech poślą – odezwał się Kuźma.

– Może i czterech. Teraz decyzja: albo tutaj na nich czekamy i wybijamy, potem szybkie odejście. To nam da trochę czasu... W Gniłówce będą czekać, aż wróci zwiad, w szczególności jeśli po cichu nam się uda, dopiero po jakimś czasie wyślą drugą grupę...

– Albo tak, że od razu palimy gumę i z buta do ścieżki – podłapał Kaługa. – Zwiad z Gniłówki przyjdzie, nikogo nie zobaczą, ale jak się rozejrzą, to wypatrzą nasze ślady. Na bagnie zawsze jakieś tropy zostaną, więc jeśli mają kogoś ogarniętego, to zauważy. A wtedy, koledzy sympatyczni, poleżą za nami. Mogą mieć łączność z dowódcą, jakieś łokitoki, a wtedy od razu zameldują, co i jak.

– Przy czym ci zwiadowcy będą tu lada

chwila – podsumowałem. – Więc decyzję trzeba podjąć już.

– Związać ją – rozkazał Rzeźnik, pokazując na Alinę, która doszła już mniej więcej do siebie.

Dziewczyna chciała, zdaje się, krzyknąć – zapewne w nadziei, że usłyszą ją idący od Gniłówki renegaci, ale Halo kopnął ją w brzuch i zgięła się tylko wpół. Dowódca dezertarów wykręcił jej rękę, zakrył usta dłonią i powłókł ku chatyńce.

Rzeźnik w tym czasie myślał, wpatrując się w ciemność, za której zasłoną leżała Gniłówka. W końcu zdecydował:

– Odchodzimy ku ścieżce. W chacie nikt nic nie zostawił? Sprawdzić jeszcze. Szary, Pawłusza! Szybko na dół! Halo...!

– Tak jest, przyjąłem! – rozległo się z chaty.
– Ręce skończę suce wiązać!

Po niecałej minucie szliśmy ku ścieżce – po jednej jej stronie rozłożyła się na pagórku Gniłówka, a po drugiej rozlała się topiel, w której głębinach mdło świeciły chłodne, blade ogniki.

Mgła była coraz gęstsza.

Pasek twardego gruntu miał nie więcej, jak metr szerokości, więc musieliśmy iść gęsiego: Kaługa prowadził, za nim Pawłusza, ja jako trzeci, a za mną Szuter; dalej niż jego plecak nie widziałem nic, ale podobno zamykać miał Wieprzu. Staraliśmy się nie hałasować, w zasadzie nie odzywaliśmy się – Kaługa ostrzegł, żeby mówić tylko wtedy, gdy bez tego inaczej się nie da. Mgła połykała dźwięki, do mnie dobiegały ledwie słyszalne kroki Szutera i ochryple, świszczące dyszenie Kuźmy z tyłu.

Ziemia po lewej od ścieżki podnosiła się coraz wyżej i wyżej, w końcu zarysował się płaski pagórek. Teraz szliśmy wzdłuż nierównego uskoku, sięgającego mniej więcej do ramienia. Z osuwiska sterczały korzenie, tu i ówdzie rosły nieduże krzaczki, czepiające się kłaczami nagiej gleby.

A po prawej była tafla topieli. Rzęsa wodna, czarna toń, wysepki i pływające badyle, miejscami oleiste, ciemniejsze plamy. Do tej pory wydawało mi się, że możliwość przejścia przez bagno i wodę oceniało się na podstawie roślinności – to znaczy, jeżeli ktoś nie zna się

na gatunkach i głębokości ich ukorzenia, to najlepiej trzymać się z dala od pustych placów. A tutaj w ogóle nic nie rosło! Tylko okazjonalny rachityczny krzew, wyrastający prosto z wody.

Kaługa obejrzał się przez ramię, rzucił półgłosem:

– Teraz wieś się zaczyna. Cicho!

Na tle rozgwieżdżonego nieba zamajaczyły sylwetki domów, srebrzysty blask niepełnego księżyca ślizgał się po ścianach i dachach. Chaty stały dość daleko od ścieżki, z niektórych okien lało się pomarańczowe światło płonących w środku ognisk.

Kaługa przyspieszył, pozostali też zaczęli wyciągać nogi. Zauważyłem czerwonawy punkcik na dachu jednego z domów, który rozjarzył się, potem zgasł, po chwili znów zamigał... Czyżby strażnik ćmił papierosa? Niedoświadczony w takim razie, papierosa trzeba trzymać ogienkiem do wnętrza dłoni i drugą zasłaniać...

– Cholerne miejsce – burknął Szuter z tyłu na tyle cicho, żebym usłyszał go tylko ja.

Jakiś czas temu zdawało mi się, że coś poczułem – na tyle lekko i nieznacznie, że nie

zwróciłem na to uwagi, złożyłem na karb wyobraźni. A teraz znów czułem, jak na nodze, konkretnie przy kostce, robi mi się ciepło. Dokładnie tam, gdzie miałem przywiązaną bandażem miksturę... Buteleczka się grzeje czy jak? I niby dlaczego? Nie był to palący żar, a właśnie ciepło, miękkie i wręcz przyjemne. Uderzyła mnie nieoczekiwana myśl: może stopniowe zmiany temperatury to reakcja mikstury na zbliżanie się czegoś z głębi bagien?

Na topiel starałem się nawet nie patrzeć. Mimo że we mgle i tak widać było niewiele, to znikający w mlecznym oparzę martwy, nieruchomy pejzaż nie napawał ani optymizmem, ani odwagą. Ścieżka wygięła się łukiem, omijając większy cypel, Kaługa przystanął, zerknął do tyłu, kiwnął głową i ruszył dalej, znikając za ziemnym występem. Ruszyliśmy za nim. Gdy mijałem zakręt, nad głową ledwo dosłyszalnie zatrzepotały błoniaste skrzydła, a Szuter mimowolnie achnął. We mgle zamigały ciemne, drobne sylwetki, przemykające nisko ponad naszymi głowami. Kaługa nie zmienił nawet tempa, schylił się tylko, przyciskając do boku wydany

mu przez Rzeźnika pistolet maszynowy. Osuwisko podniosło się stromą ścianą, domy znikły za krawędzią.

– Nietoperze! – Szuter nie wytrzymał. – Jak ja ich nie cierpię!

Odwróciłem się, rzuciłem przez ramię szeptem:

– Zamknij się!

Skradaliśmy się dalej, a nietoperze śmigały górą. Nieustannie bałem się, że któryś zapłacze się komuś we włosy, ten nie wytrzyma i krzyknie albo w ogóle wydrze się na całe gardło, ale na szczęście obyło się bez tego. Wkrótce zaniepokojone stadko latających ssaków zostało za nami.

Z ciemności przed nami wyłonił się zarys rozłożystego drzewa, rosnącego na samym skraju osuwiska. Coś było nie tak z jego konturami, ale nie byłem w stanie przyjrzeć się dokładnie, widziałem tylko czerń usianą kropkami gwiazd pomiędzy konarami. Ale... to zgrubienie tam... Czyżby coś siedziało na tamtej gałęzi?

Coś albo ktoś. A jeżeli to człowiek, który właśnie...

Nie dokończyłem myśli, bo w koronie

drzewa błysnął ogień wylotowy z lufy, huk wystrzału poniósł się echem ponad bagnami. Głowa biegnącego przede mną Pawłuszy wykwitła czarnym bryzgiem, bandyta poleciał na mnie jak bezwładna szmaciana kukła. Odepchnąłem go, poderwałem wał, krzyknąłem:

– Nad nami! Snajper na drzewie!

Pawłusza upadł, przeskoczyłem przez niego, z tyłu rzucił kurwą Szuter, który potknął się o ciało. Kaługa pociągnął serią, ktoś zaczął strzelać z tyłu, ja też dałem ognia w kierunku sylwetki. Drzewo zatrzeszczało, zaskrzypiało pod kulami, z krzykiem spadł z niego człowiek, ale ogień nie ustawał, korona na naszych oczach zaczęła rzednąć i maleć pod gradem kul.

– Dość! Stop, ryża wasza z Lasu mać! – darł się Kaługa, który opamiętał się jako pierwszy, a teraz wypuścił swoją broń, złożył dłonie przy ustach i krzyknął: – Nie strzelać!!!

– Wstrzymać ogień! – Potężny głos Rzeźnika wybił się ponad wystrzały, kanonada ucichła.

Kaługa wyrzucił z siebie jednym tchem:

– Renegaci warty wystawili! Za mną,

pilnować ścieżki! Biegiem!

Nie było sensu dalej zachowywać ciszy, więc przewodnik skoczył naprzód, a my za nim, waląc butami o ziemię. Za mną ktoś szczekał metalem – pewnie jakiś nadgorliwy zdążył wypruć w drzewo cały zapas i teraz zmieniał magazynek.

Byliśmy już za połową długości wioski, po lewej widać było ostatnie domy, gdy rozległy się stłumione przez mgłę krzyki.

– Słyszeli – rzucił w biegu Kaługa.

– Pewnie, że słyszeli! – parsknąłem.

– Trzeba przyjąć walkę! – krzyknął Szuter.

– Nie, nie, jeszcze możemy uciec! – zaprzeczył nasz przewodnik. – Nie zwalniać!

– Światła z tyłu! – zadudnił Wieprzu, który był w ekipie najwyższy, więc najlepiej widział wszystko, co działo się ponad osuwiskiem. – Latarki, kręcą się... Tutaj bieżą!

Zdawało się to niemożliwe, ale mgła jeszcze zgęstniała. Teraz z ledwością widziałem palce wyciągniętej przed siebie ręki.

– Włączyć latarki! – rozkazał Kaługa.

Wokół zamigotały światła. Ja po latarkę nawet nie sięgnąłem, bo w obłokach wilgoci promienie rozpraszały się błyskawicznie,

światło kłębiło się, płynęło nierównymi falami, więcej przeszkadzając, niż pomagając.

Biegliśmy. Mgła zniekształcała i tłumiała dźwięki, przez co ciężko było się orientować w terenie, wycucie kierunku głupiało, czasami nie wiedziałem, czy Szuter jest w ogóle za mną i jak daleko. A gdzie Kaługa? Coś ciemnego majaczy za mlecznobiałą zasłoną, podskakuje, rzuca się, zmienia formę i kształt, cienie wyciągają się i płyną, słychać głuchy trzask, ciężkie oddechy i skrzypienie skóry...

Potem daleko za nami rozległ się wystrzał, zaraz po nim drugi, nad głowami świsnęła samotna kula.

– Doganiają nas! – wychrypiał Szuter, jakby nie było to oczywiste.

Zauważyłem, że ściana osuwiska wciąż unosi się ku górze. Już teraz kryła mnie z głową, minimum dwa metry. Po prawej zaczęła się nizinka, więc teraz ścieżyna biegła po niskiej półce, oddzielającej pagórek Gniłówki od dolinki, w której leżała topiel.

Halo wrzasnął równie przenikliwie, co nieoczekiwanie:

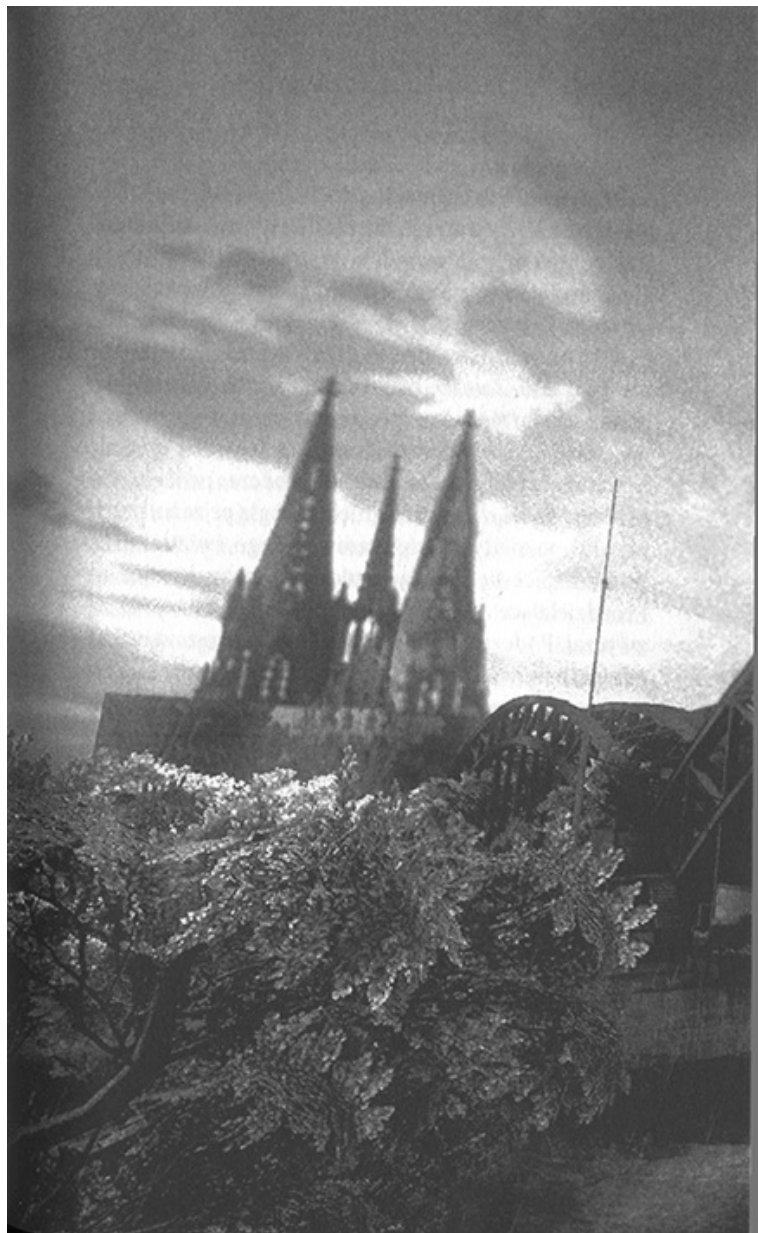
– Dokąd, suko?! Stój!!! Który jej dał nóż?!!

Stłumione chlupotanie oddalających się

kroków, wołanie Rzeźnika:

– Jebał mutant babę! Zginie w topieli!

Osuwisko zrobiło się jeszcze wyższe, dochodząc chyba już do prawie trzech metrów, tafla czarnej wody była dobry metr poniżej ścieżki, ledwo widoczna we mgle. Z tyłu znów dało się słyszeć strzały, które bynajmniej nie milkły, a tylko przybierały na sile.



– Blisko już są! – zasapał znów Wieprzu. – Biegną górą, zaraz będą nad nami! Szefie, co robić?!

– Naprzód!

– Dogonią nas i tak! Trzeba by...

A w tej chwili niemalże przestałem go słyszeć. Nie, bynajmniej Wieprzu nie zamilkł, cały czas dudnił coś z tyłu, ktoś mu odpowiadał, wystrzały nadal huczały, ale do mnie to wszystko ledwo docierało – bo zobaczyłem migoczących.

Atak uderzył znienacka. Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzało. Zawsze były takie czy inne oznaki, które nauczyłem się już rozpoznawać: szum w głowie, coś na kształt lekkiej wibracji skroni... A teraz nie było nic z tych rzeczy albo mi to umknęło podczas pościgu. Nakładając się na obraz zaciągniętego mgłą pejzażu, przed oczami pojawiły mi się plamy bladego światła, przemieszczające się i falujące, niczym ameby, łączące się i rozdzielające... Tym razem były o wiele bliżej niż zazwyczaj. Podczas napadów wizji widziałem zawsze Las gdzieś, hen, w oddali, a tym razem migoczący byli na wyciągnięcie ręki! I to nie w Lesie, ale tuż obok, po prawej,

w topieli!

Była jeszcze jedna różnica: nie przestałem widzieć otaczającej mnie rzeczywistości. Migotanie jak gdyby nałożyło się na nią, a ja mogłem nadal poruszać się, odczuwać świat i odbierać wrażenia zmysłami. Widziałem, jak przedziwne, migoczące istoty pełzną wzdłuż ścieżki, zbliżając się coraz bardziej. To znaczy, że one też nas ścigają? Czy może tylko mnie? A może to jedynie zbieg okoliczności?

Potknąłem się, niemalże upadłem, wyrzuciłem przed siebie ręce, wpadłem na biegnącego przede mną Kaługę.

– Uważaj! – warknął przewodnik w biegu.

– E, trzymaj pion! – Szuter złapał mnie za ramię.

Pobiegłem równiej. Niedobrze, bardzo niedobrze!

I tak przez mgłę mało co widać, a tu jeszcze napad omamów! Jak upadnę, to biegnący z tyłu zaczną na mnie wpadać, jedni zdołają przeskoczyć, ale ktoś na pewno nie da rady i rymsnie jak długi. Na ścieżce zrobi się zator, wtedy tamci nas dogonią i rozniosą na strzepy bezpośrednim ogniem. Trzeba się skoncentrować! Wyrównać krok, stłamsić

atak samą siłą woli! Otworzyłem szeroko oczy, zacisnąłem zęby – i w tej samej chwili nogą trafiłem na korzeń.

Albo na jakiś kamień. Albo na leżący konar. Bez różnicy. Dopiero potem dotarło do mnie, że ścieżynka musiała ostro zakręcić w lewo – a ja, zajęty utrzymaniem równowagi i walką z wizjami, pobiegłem prosto.

Pod nogami otworzyła się pustka, zamachałem rękami, wrzasnąłem i poleciałem w dół. Z bagna przede mną sterczał pniak, w który przyrznąłem głową. Trzasnęło, chlupnęło, zbulgotało, a potem dźwięki jakby ktoś nożem uciął, światło latarek przygasło. Zrobiło się ciemno i zupełnie cicho. Potem rozbłysło światło, popłynęło falami, gasnąc i rozjarzając się na przemian...

Co się dzieje? W uszach tylko szumi, jakby ktoś napchał w nie mokrej waty. Uświadomiłem sobie, że leżę na boku, a wilgotna, gęsta breja powoli ściąga mnie gdzieś. Nie na dół, w każdym razie; czyżby wzdłuż ścieżki szedł jakiś bagienny prąd? Ale dlaczego nic nie widzę? Od góry leje się blade światło księżyca, ale latarek nie widać. Gdzie podzieli się ludzie? Spróbowałem usiąść,

oparłem się rękami o dno, podniosłem na czworaka. Potrząsnąłem głową... i w końcu zrozumiałem, co się stało: od uderzenia w pniak musiałem stracić przytomność, pewnie na krótko, minutę, dwie – ale wystarczyło, żeby wszyscy zostawili mnie daleko z tyłu.

Strzały huczały gdzieś w oddali, dźwięki niosły się ponad wilgotną zasłoną mgły otulającej błoto, odbijały echem od ściany osuwiska, nakładając się na siebie i idąc w zupełnie innym kierunku... Kanonada zdawała się dochodzić ze wszystkich stron naraz.

Przebierając rękoma po miękkim, śliskim dnie, powoli obróciłem się dokoła – jak okiem sięgnąć, wszędzie tylko mgła. Mgła i błoto. I woda. I rzęsa. Ścieżka i pagórek powinny być... zaraz... tam. I to dość blisko, przecież nie mogło mnie pociągnąć daleko. Sprawdziłem ręką, czy mam jeszcze broń – jest, wał mocno wisiał na pasie, nie spadł tym razem. Zapadając się głęboko w muł, zacząłem brnąć w kierunku ścieżki. Nagle dno dosłownie usunęło mi się spod rąk, woda nakryła mnie z głową, rzuciłem się ku górze, kaszląc i prychnając, wyplułem brudną maź,

zaczepując powietrza szeroko rozwartymi ustami. Plecak pchał mnie w dół, z trudem przeczołgałem się jeszcze kilka metrów, ale ścieżki nie było widać! Nic, ani ścieżki, ani pagórka, zupełnie nic, tylko błocko. Leśna cholera, zgubiłem się! Zgubiłem się na bagnach!

Ilaste dno znów zaczęło zasysać dłonie, rzuciłem się w panice, zamachałem rękami, tylko pograżając się jeszcze bardziej; potem w desperacji poderwałem się, zerwałem z siebie plecak i rzuciłem byle dalej. Szkoda, aż się płakać chce, ale co zrobisz!? Koszula ciała bliższa, samo ciało to już w ogóle, niech sobie Las ten plecak weźmie, nawet razem z zapasami i apteczką! Na szczęście chociaż dziennik Zielaarza wcisnąłem wcześniej za pazuchę.

Pozbywszy się obciążenia, zdołałem najpierw podnieść się na kolana, potem wstać w ogóle... Głęboko było aż do pasa, niczego sobie. Po kilku chwiejnych krokach wyszedłem na jakiś twardszy kawałek dna, wznoszący się dalej ku niewielkiej kępie krzewów. Nie mając szczególnie alternatyw, poczłapałem ku niej.

Wysepka była od biedy na tyle duża, żeby na niej stanąć, ale za mała, żeby spróbować usiąść. Pośrodku wyrastało suche drzewko bez liści i gałęzi o pniu wygiętym niczym znak zapytania. Przytrzymałem się go ręką, złapałem za pas – nie ma! Nie ma mojej strzelby, tylko pasek smętnie wisi! Niech to Las pochłonie i zarośnie, zgubiłem! Ulubioną, ukochaną strzelbę zgubiłem! Wał został, trzeba będzie z niego strzelać, ale najpierw wodę wylać, rozebrać, wyczyścić... Ale mój toz, mój ukochany „ogryzek”...!

Dobra, panie myśliwy, tylko spokojnie. Dość lamentów. Okej, spadłem w błoto. Okej, straciłem przytomność, zgubiłem kierunek. Nie mam pojęcia, dokąd iść. Sprawdźmy, czy mamy radę się zorientować w kierunkach... Popatrzyłem w niebo: nad głową mgła była trochę rzadsza, widziałem plamę światła tam, gdzie wisiał księżyc. No dobrze, a w którym miejscu był, gdy bieглиśmy po ścieżce? Chyba nad prawym ramieniem, nieco z tyłu. Ale ścieżka wiła się i skręcała, więc to mi nic nie da. Za dnia według słońca bym dał radę, ale nocą we mgle na księżyc patrzeć – słaby pomysł.

No dobrze, więc co dalej? Na tej wysepce nie zostanę, bo jest zwyczajnie za mała... Przecież nie będę tu tkwił całą noc. Trzeba by znaleźć jakiś większy spłachetek twardego gruntu, żeby przynajmniej usiąść i plecy o coś oprzeć. Przeczekać noc, dotrwać do rana, żeby mgła się podniosła i było cokolwiek widać. Przecież nie mogłem odejść daleko od Gniłówki, za dnia się rozejrzę i wrócę na ścieżkę. To jest program minimum, a co dalej robić, to się pomyśli potem, teraz nie ma sensu.

Przy pomocy piły na tyłcu noża oderżnałem większość miękkiej tkanki u podstawy drzewka, ułamałem, odciąłem zagięty fragment. Wyszedł mi kostur, może i krzywy, ale lekki i długi. Obróciłem się na wysepce, sondując maź dokoła. W jednym miejscu było jakby płycej... Przysiadłem, zsunąłem nogę w wodę, zrobiłem ostrożny krok. Drugi, jeszcze jeden... No dobra, idziemy.

Cisza wisiała ponad bagnem niczym ogromna kopuła, rozlegało się w niej tylko chlupotanie i cmokanie moich własnych kroków, naruszające absolutny bezruch i milczenie. Bałem się myśleć, kto albo co może je usłyszeć. Czyje ślepie mogą mnie teraz

obserwować? Co może pełznąć albo płynąć ku moim nogom z milczących głębin bagiennej toni?

Panie myśliwy, uspokój się pan. Uspokój i myśl pozytywnie.

Przynajmniej spróbuj.

Dwa razy nakryło mnie niemalże aż po czubek głowy. Tłusta, czarna kasza robiła się coraz rzadsza, niedługo zamieniła się po prostu w brudną wodę, w której unosiła się mętna zawiesina, a ja przemieszczałem się powoli, ostrożnie, próbując przed każdym krokiem wymacać przed sobą chociażby kawałek twardszego dna. Jeżeli okazywało się, że nie ma na czym stanąć, to zatrzymywałem się, długo i systematycznie sprawdzając teren dokoła, by znaleźć miejsce na następny krok.

Gdy po raz kolejny nie zgruntowałem i poleciałem pod wodę z głową, nie udało mi się tak łatwo wyciągnąć powoli zapadającej się w muł nogi. Przypomniałem sobie, jak zachowywał się w podobnej sytuacji Michaił, próbując nie panikować, wyciągnąłem kostur przed sobą i podciągnąłem pod pierś. Potem przełożyłem go znów naprzód, szarpnięciem

wyciągnąłem nogę z błota, znów przesunąłem kostur... który nagle pękł z suchym trzaskiem. Leśna jego bagienka...! Gorączkowo zamachałem rękami i nogami, w końcu opamiętałem się i zacząłem płynąć.

Na całe szczęście dość szybko natrafiłem na wysepkę wśród utopiska, więc wyczołgałem się na miękką, niestabilną platformę. Czepiając się rękoma mchu, podciągnąłem się dalej, zaległem niczym na wilgotnym, chybotliwym materacu, który ledwo dosłyszalnie trzeszczał i ugiął się przy każdym moim oddechu. Wokół była tylko topiel. Topiel, noc i mgła. Gdzieś nade mną wisiała plama półksiężyca, gwiazd nie było widać.

Zaraz, zaraz – a co to za ruch tam, po lewej? Podniosłem głowę – i aż mnie zatkało. Ależ monstrum! Zamarłem, wstrzymałem oddech, gapiąc się na powoli brnącego przez bagno potwora.

Stwór był ogromny, czarny i garbaty. Wyglądało to, jak gdyby przez bagno brnął słoń, skryty aż po brzuch w błocie; widziałem tylko zarys sylwetki, a w przedniej części błyszcząca wąska szparka – jak przymrużone

oko. Czyli widziałem to coś z boku, drugie oko musiało być po przeciwnej stronie... Logiczne, no tak.

Las by to strzelił, logikę, myślenie, topiel, mgłę, błoto i tego mutanta na dodatek! Słonia nie słonia – bardziej zółwia chyba. Ciszę mąciło miarowe, ciężkie sapanie. Prący przez bagno mutant niczym lodołamacz nosem łamał drzewka i miażdżył pływające wysepki, roztrącając trzciny i krzewy. Patrzącego nań w przerażeniu człowieka zapewne nie widział albo zwyczajnie nie zwracał uwagi na coś tak drobnego.

Odczekałem kilka minut, aż ruchome wzgórze zniknie we mgle, potem postarałem się wyrównać oddech i zastanowiłem: co dalej? Spróbowałem przynajmniej podnieść się na łokciach i rozejrzeć, ale szybko zrezygnowałem z tego pomysłu i znów rozciągnąłem się plackiem. A gdyby tak przeczekać noc tutaj? Nie, chyba nic z tego, bo już czułem, jak chlupie mi pod brzuchem, a więc wysepka powoli, ale nieubłaganie pogrążała się w wodzie. Gdyby była minimalnie większa, to jeszcze jako tako by mnie utrzymała, ale mój materacyk był

niestety za mały. Jak zasnę, to obudzę się z płucami pełnymi wody. Trzeba pełznąć dalej, znaleźć sobie twardszą i bardziej stabilną miejscówkę.

Nie miałem pojęcia, która mogła być godzina, tu na bagnach odczucie czasu było równie zaburzone, jak zmysł orientacji. Jedyna dobra wiadomość to to, że gdy walnąłem głową przy upadku, to minął napad migotania... Chociaż nie, nadal kątem oka zauważałem świetliste plamy, ale za każdym razem gdy próbowałem zogniskować na nich wzrok, znikwały jak zaklęte. Równie dobrze mogły to być skutki lekkiego wstrząśnienia mózgu.

Tymczasem moja tratwa tonęła cał za całem. Pomacałem kostkę lewej nogi, gdzie tkwiła buteleczka z miksturą – znów była ciepła, jak wtedy, na ścieżce. Co jest, jakie też reakcje chemiczne mogą w niej zachodzić? Może faktycznie wyczuwa, że coś się zbliża?

Rozejrzałem się, zorientowałem, że przede mną majaczy coś ciemniejszego. Pagórek jakiś... Trzeba spróbować w tamtym kierunku.

Ostrożnie spełzłem z pływającej wysepki,

wyprostowałem się i powoli zacząłem brnąć dalej. Po kilkunastu krokach dno zaczęło się podnosić, wkrótce woda sięgała mi tylko po kolana... I pod nogami nie było już tak miękko. Czyżbym dochodził do skraju topieli? Coś mi się nie chciało wierzyć, za szybko jakoś. A może właśnie wlałem w samo czarne serce bagien? Do jakiegoś zapomnianego miejsca, gdzie nie było nikogo przede mną?

I jest tu jakieś podwyższenie albo archipelag wysepek...

No i pytanie: kto albo co może mieć tu swe leże?

Zrobiło się jaśniej – rozproszony, ledwo zauważalny poblask był widoczny gdzieś z przodu. Przetarłem oczy, myśląc, że znów mam zwidy, ale jednak nie – rzeczywiście widziałem światło. Nie miałem pojęcia, skąd mogło się brać, nie wyglądało to na ognisko, na latarki też nie...

Bagno potwornie męczyło, wysysało siły z mięśni. Marsz przez błoto był absolutnym koszmarem, gorszym nawet niż skryte podążanie śladem oddziału uzbrojonych i czujnych bandytów. Już byłem gotów zatrzymać się na chwilę, złapać oddech i

odpocząć, gdy usłyszałem chlupotanie kroków. Dłoń sama powędrowała ku rękojeści noża...

Przede mną widać było kilka niedużych wysepek, a na jednej z nich pojawiła się sylwetka jakiejś istoty, która najpierw przemieszczała się na czterech łapach, potem stanęła na dwóch, garbiąc się i pochylając do przodu. Musiała sięgać mi do piersi, porastała ją krótka szczecina, do tego miała wyciągnięty, wąski pysk...

I skórę, która zdawała się dymić – nad łbem i karkiem unosił się świecący opar. Ki czort?! Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

Stwór zauważył mnie, znów opadł na cztery łapy, fuknął i skoczył w moją stronę, zostawiając za sobą pasmo blednącego światła.

Zerwałem z ramienia karabin, w zasadzie wiedząc, że po prostu nie ma prawa odpalić, i tak pociągnąłem za spust... Nie stało się nic. Mutant wybił się do skoku, szeroko rozczapierzając łapy, wpadł prosto na mnie. Przed twarzą mignęła mi porośnięta futrem szczurza mordą z niemalże ludzkimi oczami, a potem potwór wbił zęby w mój lewy obojczyk.

Wrzasnąłem z bólu, wbiłem mu nóż w

brzuch, szarpnąłem ku górze, przekręciłem i wepchnąłem jeszcze głębiej, po samą rękojęść. Rana trysnęła światłem, podniósł się świetlisty opar, mutant wyrwał kawał mięsa z mojego barku, zgrzytnął kłębem o kość i odskoczył, przewracając się na grzbiet.

Bryznięła woda, zakołysała się rżęsa i trzciny. Upadłem na kolana, świat wokół płynął i falował, gwiazdy na niebie gasły, księżyc zamienił się w pokrzywioną, białą szramę. Dysząc ochryple i świszcząc przez zaciśnięte zęby, zdołałem wstać, zataczając się, pobrnałem przez błoto, byle dalej... Obejrzałem się: mutant próbował się podnieść, przebierając długimi łapskami. Przeszedłem kilka kroków, potem po prostu upadłem na twarz. Zacząłem się czołgać, żeby zwiększyć dystans między sobą a stworem, na wypadek gdyby ten jednak zebrał się w sobie i zechciał mnie dobić. Krew lała się z rozharatanego barku, rana pulsowała palącym bólem, jak gdyby ktoś dłubał w niej rozżarzoną pogrzebaczką. Było całkiem płytko, ale w moim obecnym stanie nawet tutaj mogłem się zachłysnąć i utopić.

Dotarłem w końcu do miejsca, gdzie wody

prawie nie było, przekręciłem się na plecy. Z trudem podciągnąłem nogę, zgrabiąłem palcami podkasałem nogawkę, chwyciłem pakiecik z „żywokostem”. Artefakt pewnie już wysechł i ledwo-ledwo działał, ale był w tej chwili jedyną rzeczą, jaka mogła mnie uratować, więc wcisnąłem go pod mokrą koszulę na ramieniu, przyłożyłem do rany. Aż zajęczałem od ciągnącego, dręczącego bólu, znów przekręciłem się na brzuch.

Leżałem na skraju płaskiej wyspy. Zwiastujący atak mutanta blask wzmógł się, jego źródło było zupełnie blisko. Takie ciepłe, spokojne, domowe światło. Jak gdyby gdzieś tu na trzęsawisku stała sobie chatynka z jarzącymi się oknami, a wewnątrz czekał nakryty stół... Bredzę. Myśli płyną swobodnie, bzdury wypływają z głębi umysłu. Światło skacze, zmienia się z czerwonego na zielone, okna chatynki nie mogą tak świecić. Może jakieś ognisko, ale skąd te odcienie dziwne? Weź się w garść! Trzeba wyczołgać się dalej, ściągnąć kurtkę, opatrzyć ranę. Ale jak, czym? Wszystko upaprane błotem, nie ma jak się umyć. Zarazki wnikną do rany... już pewnie wniknęły... a plecak i apteczka zostały

na dnie bagna. Koniec, panie myśliwy, koniec i kropka. Weź się tu położyć i zdechnij. Odpręż się, przestań walczyć. Śmierć stuka do drzwi już po raz drugi, pierwszy był tam, w kotłowni, już widziałeś raz ciepłe i dobre światło, leciałeś ku niemu, ale wtedy zjawił się Michaił. Złapał, wyciągnął. A teraz go nie ma. Nie pomoże ci nikt, sam sobie też już nie pomożesz.

Ale i tak czołgałem się naprzód. Otulony przez mrok świat był tylko czarnym tunelem, na którego końcu lśnił blado księżyc. Światło wołało, ciągnęło i wzywało, ale ja pełzłem we własnym kierunku, jeszcze o własnych siłach. Śmierć nachyliła się nade mną czarnym cieniem, szepcząc mi na ucho coś kojącego, obiecywała spokój, tłumaczyła bezsens walki... Ale ja czołgałem się naprzód. Ciągle naprzód.

Aż wreszcie zobaczyłem przed sobą źródło światła.

Wysokie krzewy stały tam półkolem, okalając schowaną pośród drzew polanę, w której centrum płonęło ognisko – płomień błyskały czerwienią i zielenią, wpadając w głęboki błękit. Zupełnie jakby ktoś palił

bagienne wodorosty, pomyślałem sobie. Ale przecież na bagnach nie ma wodorostów. A może są? I zapach jakiś dziwny, kwaśny i gorzki...

Przy ogniu siedziały dwie postacie, trzecia stała; patrzyli w moją stronę, jak gdyby spodziewając się mego pojawienia. Mikstura na nodze pulsowała gorącem.

Ubrani byli ni to w spódniczki, ni to przepaski biodrowe z gałązek i liści – ale nie byli to ludzie. Długoręcy i długonodzy, chudzi i eteryczni, wyglądali jak zbudowani z kijków, na które ktoś naciągnął bladą skórę. Długie palce u rąk, jak gałązki, oczy jak jeziora ciemnej wody, uszy jak liście, wysokie czoła... Nie byli nawet tyle straszni, co bardzo, ale to bardzo dziwni.

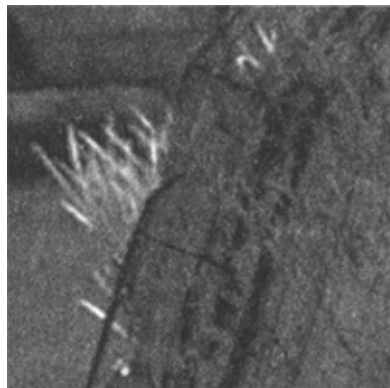
Stojąca postać ruszyła ku mnie długimi krokami, niczym brodzący po mokradle żuraw; małe, owalne stopy, ledwo widoczne palce u nóg bardziej kojarzyły się z jelenimi kopytami niż kończynami ludzi.

Leżałem na boku, przyciskając policzek do chłodnej ziemi, nie mając siły unieść głowy, tylko mrużąc oczy. Bagienna istota nachyliła się nade mną, spojrzała inteligentnymi,

bezgranicznie smutnymi oczami, sięgając
gdzieś do głębin duszy – a potem nie było już
nic.

Rozdział dwunasty

W kierunku Poligonu



Zniknął strach, ból i niepokój. Po prostu otworzyłem oczy i zobaczyłem nad sobą szarobłękitne niebo za snującymi się pasmami mgły. Nic mnie nie bolało. Nawet nie byłem głodny, tylko

trochę chciało się pić. Skąd taka błogość? Ostatnio los był dla mnie łaskawy, a teraz nagle tak mi dobrze...

Pod głową czułem coś miękkiego. Pod plecami też.

I ubranie suche... nie, zaraz, jakie ubranie? Miałem na sobie tylko bieliznę.

Z tą myślą przekręciłem się na bok; wspomnienia o wydarzeniach ubiegłej nocy powoli wypływały z odmętów nieświadomości.

Zniknął strach, ból i niepokój. Po prostu otworzyłem oczy i zobaczyłem nad sobą szarobłękitne niebo za snującymi się pasmami mgły. Nic mnie nie bolało. Nawet nie byłem głodny, tylko trochę chciało się pić.

Skąd.

Leżałem pośrodku niedużej polanki, okrążonej wysokimi zaroślami. Słońce wstało niedawno, ale było zaskakująco ciepło, jak na jesienny poranek. Cisza. Spokój. Pełna sielanka. Leżałem przykryty gęstym kocem uplecionym z liści i gałęzi, obok dogasało ognisko. Na wbitych nieopodal patykach wisiała moja kurtka i koszula, spodnie i buty. Ubranie może nie lśniło czystością, ale zdawało się nie-aż-tak-strasznie brudne, jak powinno, być po ostatnich biegach przełajowych.

Odrzuciłem na bok szeleszczący pled, zacząłem się podnosić, mając nadzieję, że tamta trójka nadal tu jest, że może śpią na podobnych posłaniach... Nie, polana była pusta. Bagienni ludzie odeszli.

Zniknęli bez śladu, ale wcześniej wyczyścili moje ciuchy, a mnie samego ułożyli przy ognisku. Obok ubrań leżał na ziemi wał, nóż

Michała i mój pas, obok na płaskim kamieniu był zszargany zeszyt Ziolarza, a na nim buteleczka z zieloną miksturą.

Zrobiłem krok, ale potem przypomniałem sobie o ranie – ba, o dwóch ranach! O tej na nodze, która już jako tako podleczyła się pod opatrunkiem i „żywokostem”, ale co z tą drugą? Przecież tam na wierzchu było żywe mięso...!

Popatrzyłem kątem oka na bark – pokrywała go równo rozsmarowana, lekko już podeschnięta warstwa zielonej kaszki. Wyglądało to na liście, korę i trawę, zmielone i sklezione jakimś płynem... Przeżute? Opatrunek wykonany przez bagiennego człowieka?

Ostrożnie podważyłem twardą warstwę paznokciem, spróbowałem unieść, ale nie było szans, przykleiło się na amen. Może lepiej nie ruszać? Przecież chyba działa, ręką mogę w zasadzie bez problemu poruszać, tylko ciągnie trochę skóra. I czuć lekkie otępienie. Jak to, dali radę jakimś antybiotykiem potraktować i przeciwbólowy miejscowo podać? Nie miałem wcale ochoty zrywać kompresu, bo byłoby to zwykłą głupotą. Czuję, że z raną jest na tyle

dobrze, na ile się da, goi się szybko, najlepiej nie ruszać.

Przysiadłem, popatrzyłem na drugi opatrunek na nodze. Po ranie została tylko wkleśła blizna – również zaklejona teraz zaschniętą roślinną kaszką. Nie ma co, nie ruszam. Mało to poważne, żeby znaleźć na sobie po nocy nie wiadomo co i tak po prostu zostawić; normalny człowiek powinien to zerwać, przemyć i zrobić po swojemu, lepiej, słuszniej i w ogóle, ale nie miałem po temu ani warunków, ani środków. Nic nie miałem. I w ogóle żaden ze mnie normalny człowiek. Normalni ludzie w takie miejsca nie trafiają.

Zostawiłem w spokoju to, na co nie mogłem wpłynąć, i zacząłem się ubierać. Ja tu sterczałem, a ludzie Rzeźnika z godziny na godzinę są coraz dalej. O ile żyją, rzecz jasna, bo mogli ich dorwać renegaci. No cóż, muszę działać planowo, tak jak uczył mnie Michaił. Ubrany? – to dobrze. Odzież jeszcze wilgotna, ale tak bardzo mi to nie przeszkadza, że aż dziwne. Skąd taki dobry nastrój? Papka na ranach musi mieć jeszcze inne właściwości, na pewno leczy i koi ból, może mózg też koi? Chociaż myśli się nie płaczą, wszystko jest

jasne i przejrzyste. A co tam z wisiosem, który schowałem w kieszonce na pasku? Wyciągnąłem, pstryknąłem, wyjąłem zafoliowany układ scalony – niby suchy, chyba w porządku. Zawiesiłem go na szyi, zająłem się przeglądem broni, potem dopiąłem pas, zawiesiłem nóż. No tak, już tylko jeden, drugi został w trzewiach świecącego mutanta. Przynajmniej obie rękawiczki ocalały.

Nie mogłem przestać myśleć o istotach, które widziałem tu nocą. Nie miałem pojęcia, kim mogły być, nie śmiałem nawet przypuszczać, czy są w jakiś sposób powiązane z migoczącymi. A może to właśnie byli moi migoczący? Dowodów oczywiście brak, poza tym była pewna niejasność: migoczących widziałem dotąd tylko w głębinie Lasu, a tu mamy bagna. Szkoda, że nie zostawili po sobie żadnych śladów.

Gdy skończyłem, usiadłem przy kamieniu, na którym leżał zaszyfrowany dziennik. Przerzuciłem stroniczkę, potem drugą... Nie wiedzieć czemu, ale miałem wrażenie, że ktoś go przeglądał. Ciekawe, czy bagienne istoty dały radę odczytać tę abrakadabrę Zielarza? A może w ogóle nie umieją czytać?

Przypomniałem sobie nachylające się nade mną ogromne, inteligentne oczy. Na pewno były bliższe ludziom niż zwierzętom.

Wsunąłem dziennik za pazuchę, buteleczkę z miksturą schowałem do kieszeni. Zauważyłem, że obok kamienia leżały jeszcze trzy pomarszczone bulwy i zwinięty rulon kory. Ho, ho, śniadanie mi zostawili? Nawet nie wiedziałem, czy to owoc, czy warzywo, najbardziej podobne do selera, ale dłuższe i dość miękkie. W brzuchu zaburczało, zdecydowałem, że warto zaryzykować, więc ostrożnie ugryzłem. Smak był... dziwny. Coś pośredniego pomiędzy czerwoną cebulą a jabłkiem. W sumie to niezłe, chociaż jak człowiek jest głodny, to i szyszki smakują. Pod skórką krył się żółtawy miąższ, a w środku była pusta przestrzeń wypełniona gęstym cierpkim sokiem, w którym pływał pojedynczy zielony orzeszek-pestka. Ciekawa rzecz, i podjąć można, i napić się od razu.

Zjadłem dwie bulwy, oblizalem palce; trzecią wraz z dwoma orzeszkami wcisnąłem do kieszeni. Zajrzałem do zwiniętego rulonu kory – w środku była zielonkawa kaszka, chyba ta sama, którą miałem nałożoną na

rany. Kolejny prezent od bagiennych? Powąchałem ostrożnie papkę, która ledwo wyczuwalnie pachniała kwiatami. Przyda się, a co...

Poprzez ścielącą się nad głową mgłę przebijało się bladym okręgiem słońce. Popatrzyłem w górę, okręciłem wokół własnej osi... Tak, wczoraj było w tym miejscu, szliśmy w tę stronę... Przecisnąłem się przez zarośla, obszedłem wysepkę. Mniej więcej w kierunku, w którym powinienem podążać, ciągnęły się żółtawe pasma piaskowych płycizn. Poprawiłem wał na ramieniu, sprawdziłem, czy nóż gładko wychodzi z pochwy. Pora ruszać, byle tylko nie nadzieć się drugi raz na szczuropodobnego mutanta.



Bagno prawie się już skończyło, teraz tylko z rzadka trafiały się podmokłe miejsca. Szedłem po gęstym burym dywanie z trawy i mchu, miękko sprężynującym przy każdym kroku, omijając kałuże i krzaki, głęboko wdychając rześkie, wilgotne powietrze jesieni.

Zatrzymałem się, widząc przed sobą drzewo; nawet nie zmutowane, zwykły dąb, o

koronie pokrytej ognistorudymi liśćmi, niczym zasypanej żarem. A pod drzewem stało jakichś dwóch gości. Przysłoniłem oczy dłonią: co oni tam tworzą?

Dwaj menele – ale tacy prawdziwi, wysezonowani, zmechaceni włóczędzy pokroju dziadygi, od którego na Czarnym Rynku wzięłem „grzechotkę” – kręcili się i przestępowali z nogi na nogę, wymieniając się półgłosem uwagami i gapiąc gdzieś w górę. Grubszy z nich miał na ramieniu plecak, chudszy i wyższy – dwururkę. W pewnej chwili schylił się, podniósł z ziemi kamień i cisnął nim w koronę drzewa.

Zamarli w bezruchu, obserwując i wyczekując. Kilka sekund było cicho, a potem skulili się w sobie, chcieli odskoczyć – nie zdążyli, kamień przyleciał z powrotem, huknął tego chudego w ramię. Dziad zapląsał pod drzewem, trąc rękę, wygrażając pięściami i klnąc... Zaczął ściągać strzelbę.

Liście były na tyle gęste, że nie widziałem, kto siedzi na górze, ale dało się odróżnić sylwetkę człowieka. A menele byli naprawdę zacięci, ot, jak szturmują pień... Zupełnie zapomnieli, że pilnować trzeba też pleców, a

więc mogłem sobie do nich po cichutku podejść. Jak to mawia nowa mądrość ludowa: jeśli ty nie skorzystasz z cudzego błędu, to na pewno zrobi to ktoś inny.

A ci dwaj stali do mnie idealnie tyłem, więc krok po kroku ruszyłem ku nim, trzymając wał lufą w dół. Gruby coś powiedział do chudego, pokiwał głową, jego współnik spuścił kurek i odstawił strzelbę pod drzewo. Gruby zsunął plecak na ziemię, złapał za konar i zaczął się wspinać. Jak na kogoś takiej budowy ciała, radził sobie jak małpa. Raz-dwa, raz-dwa, równe, pewne ruchy... Już prawie w całości skrył się w koronie drzewa, gdy nagle jego nogi zadygotały, trzasnęły gałęzie, a on zleciał niżej i zawisł na rękach. Wyglądało to tak, jakby mu ktoś z góry zasadził kopa, ale nie było nic widać!

A mimo to gruby nie spadł, podciągnął się, skoczył ku górze... zaszeleściły gałęzie, posypały się liście, drzewo zatrzęsło się – i ktoś spadł na dół jak worek kartofli. Zaraz za nim zeskoczył grubas, jego ofiara poderwała się, ale chudy podciął ją, popchnął na ziemię...

Ją! Niech to Las, ją! Nikogo innego, jak Alinę. Brudna, usmotruchana jak nieboskie

stworzenie, ale od razu ją poznałem, jako że byłem już zupełnie blisko.

– Kobita! Lasy i pola, kobita, żywa i prawdziwa! – zapał tryumfalnie chudy takim głosem, jakby od Pandemii ani jednej kobiety nie widział. – Fart! Zara będzie, ja ostatni raz...

– Czym jom! – zawołał gruby. – Czym, bo łucieknie!

– Sam trzymaj! Ja rozbieram!

– Czym babe! – gorączkował się gruby. – Ja, ja rozbierać bede! Ja jom z dzewa ściung, ja pierszy bede!

– Śmierdziele wy zasrane! – rozległ się wściekły głos Aliny.

Byłem już dosłownie za nimi, a tamci nie widzieli i nie słyszeli nic poza swoją zdobyczą. Dopadli do niej, niemalże całkowicie zakrywając ode mnie, widziałem tylko, jak dziewczyna kopie nogami i rzuca się. Grubas zasapał:

– Dawaj, dawaj, rozpiń, rozściung jom... Ty jej na głowę siadaj... A nie, lepsiej...

– „Lepsiej” to jeszcze inaczej zrobimy – odezwałem się, stając nad nimi. – Teraz obydwaj dostajecie w łeb i wypierdalacie stąd

na cztery wiatry. Plecak i strzelba zostają, za to wy żywi i cali, a to niemało.

– Coooo?! – Odwrócili się jak na komendę.

Zacząłem od chudego, który miałby bliżej do strzelby – przedpotopowego „jeżyka”, czyli IŻ-a 43 – gdy tylko zaczął się podnosić, rąbnąłem go kolbą przez łeb. Upadł na ziemię tak, jak stał, bez jęku nawet, wstrząśnienia mózgu nie będzie, ale krew się połała, aż miło.

Grubas okazał się szybszy, niż myślałem, bo zdążył wyciągnąć nóż, „pstryk!” – wyskoczyło ostrze składaka. Obróciłem karabin w rękę i huknąłem go kolbą na płask prosto w pysk, grubas nakrył się nogami, zalewając się krwią z nosa, który teraz przypominał rozgniecioną śliwkę.

– Aaaa.J – zawył.

Schyliłem się, wykręciłem mu rękę i wyłuskałem nóż, po czym poprawiłem jeszcze kopniakiem pod kolano; gruby zwinął się w kłębek bólu, chudy tymczasem próbował wstać...

Alina poderwała się, zapinając spodnie, w rozbiegu załadowała grubemu kopa w plecy. Ten wygiął się w drugą stronę, chciał zasłonić, dziewczyna poprawiła mu w ucho, potem

pięścią walnęła w przyciśniętą do rozbitego nosa dłoń, wbijając ją w jego własną twarz. Gruby zakwiczął z bólu, nie wiedząc, co zrobić. Chudy dał radę podnieść się na czworaki, Alina najpierw kopnęła go czubkiem buta idealnie między pośladki, potem poprawiła w zębra, szarpnęła za pas od naramiennej torby, przewróciła na ziemię. Złapała za stojącą pod drzewem strzelbę, wycelowała w leżącego...

– Dość, wystarczy. – Chwyciłem za lufę ręką, poderwałem ku górze.

– Zastrzelę psa! – Jej twarz płonęła, oczy ciskały błyskawice.

– Psa, nie da się zaprzeczyć. – Trzymałem lufę twardo, mimo że dziewczyna też słaba nie była. – Obydwaj to zawszone, parchate kundle. Nic więcej. Niech sobie żyją.

Dziewczyna głęboko odetchnęła raz i drugi. Wypuściłem broń, wiedząc, że już nie strzeli.

– Plecak na ziemię, to raz – zwróciłem się do grubego. – Podnoś koleżkę, to dwa. Wypierdalać stąd na cztery wiatry, to trzy. Macie sześćdziesiąt sekund forów, potem zaczynamy strzelać do celów ruchomych.

– Jedzenie! Zdechniemy bez żarcia! –

zaskamlał menel.

– Ale już! – Ruszyłem ku niemu, unosząc karabin.

Odskoczył, potknął się, zaczął ściągać szelki.

Po niespełna minucie obserwowaliśmy, jak dwaj niedoszli gwałciciele, kulejąc, znikają pomiędzy drzewami. Gdy skryły ich zarośla, dziewczyna odwróciła się do mnie i warknęła:

– Oszukałeś mnie.

– Niby kiedy?

– Sam się zastanów kiedy.

– Wyjaśnij. – Wzruszyłem ramionami.

Stała przede mną, trzymając na ramieniu strzelbę. Podparła się pod bok wolną ręką, sarknęła gniewnie, rozdymając nozdrza:

– W tamtym jarze obiecałeś, że mi pomożesz uciec! A nie pomogłeś!

– Nie pomogłem, boś sama se uciekła. Nie zdążyłem zwyczajnie... Co to za babskie fanaberie? Uciekłaś, to się ciesz, a nie focha strzelasz.

– Wcale nie strzelam focha! Po prostu...! – Jej głos nagle wzniósł się do dyszkantu, a potem znów zrobiła głęboki wdech i wydech, nagle oklapła jak przekłuty balon. Ramiona jej

opadły, zgarbiła się, zwiesiła głowę... Nagle stało się widoczne, jak strasznie musi być przerażona, zmęczona i samotna...

– No już, spokojnie, bojowniczo. – Zgarnąłem palcem toczącą się po jej policzku łzę, wytarłem o spodnie. – Jeszcze ci się makijaż rozmaże.

– Głodna jestem strasznie... – niemalże chlipnęła Alina i przysiadła nad plecakiem grubego.

Podczas gdy ona przekopywała zdobycz, obszedłem drzewo dookoła. Po dwóch menelach śladu już nawet nie było, wątpliwe, żeby chcieli próbować wracać i zasadzać się na nas – w końcu była nas dwójka, i to uzbrojona. Tamci raczej nocy nie przeżyją... Trudno. Był to wyłącznie ich prywatny, absolutnie nie dotyczący mnie problem. Współczucia czy żalu nie czułem żadnego; żałować można drapieżników, nie ścierwojadów.

Urwałem źdźbło trawy, przygryzłem zębami i oparłem się plecami o pień. Dąb rósł na skraju pustego skrawka terenu upstrzonego wądołami i jeziorkami, tu i ówdzie porosłego rzadkimi krzewami i młodziakiem. Niebo było

idealnie czyste, szaroniebieskie i przejrzyste. Przez chwilę po prostu tak stałem, oddychając zapachem ciężkiej, czarnej ziemi i suchych liści. Nade mną zaszeleściło, pojedynczy rudozółty liść z czerwonymi żyłkami jak naczynia krwionośne zleciał mi na ramię. Ramię, które wcale nie bolało, podobnie jak i noga – ot, cuda bagiennych ludzi i ich maści. A może nie tylko maści, może podali mi jeszcze coś, gdy tak leżałem? Powoli, głęboko odetchnąłem, przymknąłem oczy. Postąłem tak chwilę w chłodnej, spokojnej ciszy, potem strząsnąłem listek i poszedłem z powrotem.

Alina narzuciła na siebie starą wełnianą jesionkę jednego z meneli, wcześniej przywiązaną do plecaka. Niewiele tam było cennego poza tym... Zawinięty w szmatkę kawałek podejrzanie pachnącej słoniny, parę pokruszonych sucharów, ułamany nóż kuchenny, kilka ogórków małosolnych, papierowe zawiniątko z solą... Ponadto zawilgocone pudełko zapalek, wgięta manierka, resztką mydła i trzy naboje do „języka”. Dziewczyna rozłożyła to wszystko na pustym plecaku i usiadła na podkurczonych nogach. Gdy podszedłem,

właśnie usiłowała ułamanym nożykiem ściąć ze słoniny nadpsutą wierzchnią warstwę.

Usadowiłem się tak, żeby widzieć i bagna, i równinę. Położyłem pod ręką karabin. Zabrałem dziewczynie słoninę, wyciągnąłem swój nóż. Tymczasem ona odkręciła manierkę, powąchała, pociągnęła ostrożny łyk.

– Co tam? – zapytałem.

– Woda...

– To dobrze, już się bałem, że samogon. Daj łyka.

Przekazała mi manierkę, złapała za słoninę i suchary, zaczęła jeść, chrzęszcząc i łykając głośno.

– Wtedy, na ścieżce... Halo krzyczał, że masz nóż – przypomniało mi się. – Wydawało mu się czy faktycznie?

– Miałam – wymamrotała, plując okruszkami. – Potem się w bagnie zgubił.

– A skąd wzięłaś?

Zerknęła na mnie spode łba.

– Wasz przewodnik mi dał. Ten Polak.

– Kaługa? – zdziwiłem się.

– Aha. Taki sobie malutki nożyk. Jak wracaliśmy do chatki, wsunął mi do ręki. Potem tylko czekałam na dobry moment.

– Ale po co by... Hm. Pewnie mu się ciebie szkoda zrobiło.

– Nie mam pojęcia. Może po prostu porządny facet się trafił, jedyny z was wszystkich?

Zmilczałem. Skoro tak, to zuch z naszego Kaługi. Co tu dużo gadać, trafił jej się Polak jak z filmów o husarii, prawdziwy dżentelmen.

– A ty skąd się tu wzięłeś? – zapytała Alina, biorąc się za ogórki.

– Ze ścieżki spadłem.

Dziewczyna ugryzła kawałek, zaczęła z lubością przeżuwać.

– No upadłeś, i co? Powstań i dalej...

– Nie, musiałem o coś głową walnąć. Jak się ocknąłem, to tamtych już nie było. Jeżeli to faktycznie renegaci siedzieli w Gniłówce, ostro do nich strzelali... Zresztą większość widziałas sama.

– To fakt – zgodziła się. – Ale potem już na Gniłówkę nie mogłam trafić. Odeszłam od ścieżki, bałam się, że Halo i jego pajace będą mnie szukać. Szłam, szłam, no i się zgubiłam we mgle.

– No tak. Ta sama historia.

– Nom. Rano jakoś tu trafiłam, ledwo nogami już przebierałam, a tu ci dwaj żule... a potem ty.

Pomyślałem sobie, że wypadaloby mimo wszystko coś przegryźć, chociaż na samą czynność jedzenia zupełnie nie miałem ochoty; wziąłem suchara z ogórkiem, zacząłem gryźć małymi kawałkami. Alina najadła się, popiła wodą, potem przepłukała ręce i twarz, podała manierkę – a przy tym nasze palce zetknęły się mimo woli. Gwałtownie cofnęła rękę. Prychnąłem pogardliwie, dziewczyna się nabzdyczyła... a potem nagle zaczęła się śmiać. Popatrzyłem na nią szczerze zaskoczony; umorusana twarzyczka zmieniła się w mgnieniu oka, na policzkach i podbródku pojawiły się dołeczki... Alina przysunęła się bliżej, klepnęła mnie w plecy.

– Dopiero teraz do mnie dotarło, rozumiesz? Uciekłam! Uciekłam im, rozumiesz to? Koniec, nie ma ich... i Halo też nie ma. No, może i jest gdzieś tam, ale on jest tam, a ja tutaj. I nawet ty mi jednak pomogłeś, chociaż dopiero tu, przy drzewie. Kaługa tam, potem ty... Nie wszyscy na świecie to dranie. Są jeszcze porządni ludzie, co?

Pokręciłem głową.

– Wątpię, żeby można mnie było nazwać porządnym, koleżanko. Jestem wręcz pewien, że nie można. Słuchaj, strzelbę już sprawdziłaś? Nie? No to daj, ja szybciej. No nie bój, nie bój się, oddam przecież. I powiedz, co dalej będziesz robić?

– Umyć się muszę – oświadczyła. – To po pierwsze. Po drugie, wrócić do swoich. I tyle.

Zajęty bronią rzuciłem tylko mimochodem:

– Aha. A jakieś pomysły na to masz?

– Wodę znaleźć. Najlepiej gorącą. A potem iść. Tylko w którą stronę?

Oddałem jej „języka”, wyprostowałem się, przeciągnąłem, aż chrupnęło w plecach.

– Czystej wody tu nie znajdziesz. Nawet jeśli, to lodowatą, nawet nie letnią. Gdzie mogą być teraz ci, co w Gniłówce siedzieli – jeden Las wie. Nawet jeśli twoi renegaci nie dopadli Rzeźnika i Halo, ale ich nie zgubili po drodze, to powinni być, moim zdaniem, gdzieś... tam. – Machnąłem ręką w stronę pustej równiny. – Woda też, swoją drogą, może tam być, więc ja idę w tamtą stronę. Chcesz, to chodź ze mną.

Gdy drogę przeciął nam głęboki i długi rów wypełniony stęchlą wodą, znalazłem w krzakach kawałek kłody i zaimprovizowałem kładkę. Przeszedłem jako pierwszy, stanąłem na drugim brzegu, odwróciłem do czekającej po tamtej stronie Aliny.

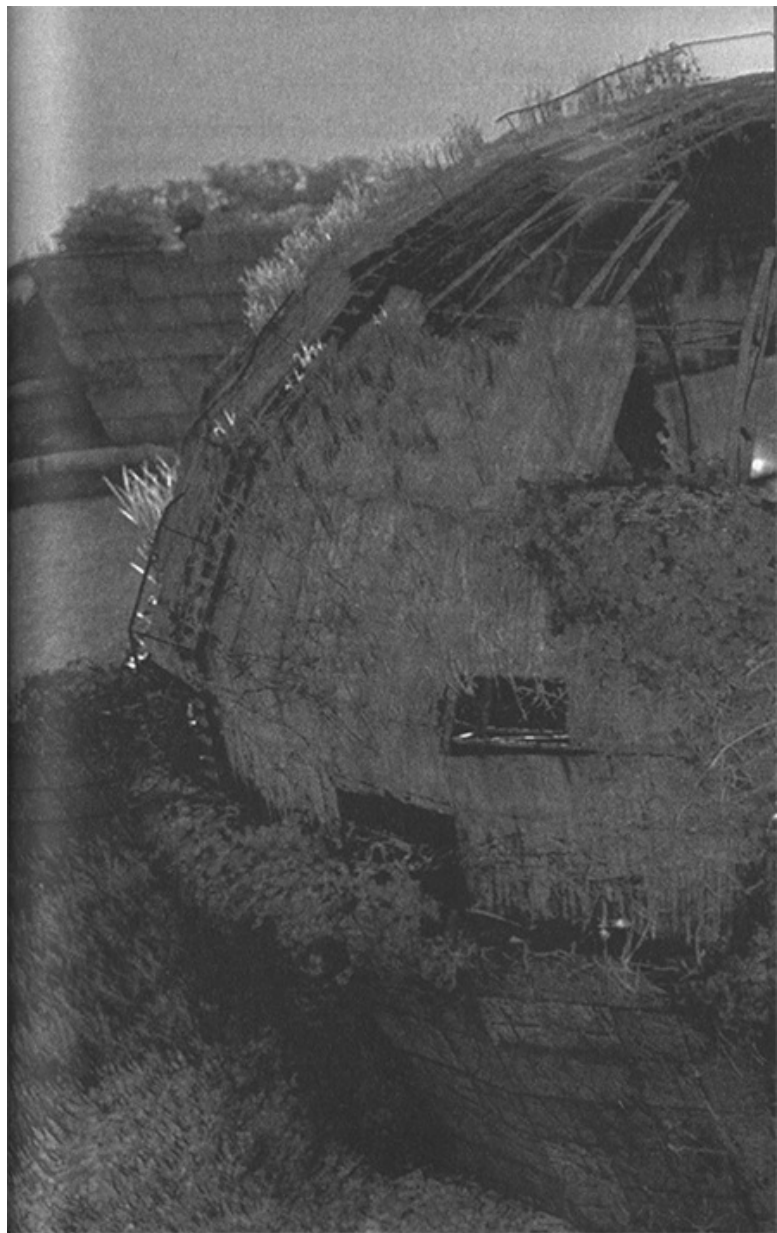
– A jesteś pewna, że główna baza Armii Odrodzenia jest gdzieś za pasmem Lasu?

– Na sto procent. Nie tak znów daleko, ale za Lasem na pewno.

– Ale jak w takim razie odrodzeńcy trafiają w tę okolicę? Co oni, jak skrajowcy po Lesie chodzą? No już, przechodź na tę stronę.

Dziewczyna weszła na kładkę, balansując szeroko rozstawionymi rękami i odpowiadając po drodze:

– Raczej nie. A jak się tu dostają, to nie wiem. Siedziałam wtedy w kabinie transportera, nic nie było widać. Może jakiś tunel podziemny mają albo w ogóle...



Kładka zatrzeszczała, zaczęła się wyginać i z miękkim trzaskiem przełamywać pośrodku; Alina przyspieszyła kroku, podbiegła, skoczyła naprzód, wyciągając ręce. Złapałem ją mocno i przyciągnąłem, gdy dwie połówki kłody zsunęły się na dno rowu. Staliśmy na samym skraju jamy, ona plecami do zbocza, ja twarzą do niej, przyciskając do siebie. Po krótkiej pauzie dziewczyna odchrząknęła.

– No... no dobra, puść – powiedziała. – Odsuń się trochę, mówię.

Zrobiłem krok w tył, wypuściłem ją z ramion, ona bujnęła się w tył, złapała mojego rękawa, zrobiła krok do przodu.

– Ale twój brat powinien znać drogę – zauważyłem, kontynuując przerwana rozmowę.

– Nic mi o tym nie mówił. Nasze stosunki są... służbowe. Jestem przy nim porucznikiem do zadań specjalnych.

Ruszyliśmy dalej. Płonący żółcią i czerwienią dąb rosnący na skraju bagien został daleko z tyłu, świecąc jasnym płomieniem na wyblakłym tle. A przed nami, na skraju równej połąci ziemi, majaczyły zarysy zabudowań, póki co jeszcze słabo

widocznych.

– Jeżeli wysłał ci taki duży oddział na ratunek, to chyba traktuje cię jako coś więcej niż tylko porucznika. – Pokręciłem głową. – Rzekłbym: jak rodzoną siostrę.

Zamyśliła się nad tymi słowami, przeciągnęła ręką po języku krótkich włosów.

– Ano, może i tak być. Las z nim, nie to jest teraz ważne. Słuchaj, nogi już mnie bołą. Może się zatrzymajmy czy idziemy dalej?

– Jeszcze wcześniej – zaproponowałem. – Musimy dojść do tamtych budynków. A o, tam z lewej, widzisz? Droga biegnie po nasypie. Kaługa coś wspominał o jakiejś drodze, na którą ścieżka z bagien ma wychodzić... Może to właśnie ta?

– Czyli trzeba iść szybciej.

Niezależnie od zmęczenia, Alina maszerowała szybko, pewnym krokiem. Dało się odczuć, że przyzwyczajona jest do forsownego wysiłku i sporo ćwiczy. Na moje liczne pytania odpowiadała normalnie, ale o samej Armii, jej bazach, strukturach i tego typu rzeczach milczała jak grób, a raz oświadczyła nawet:

– Nie mam pełnomocnictw do takich

rozmów. Lepiej w ogóle nie pytaj.

Dwukrotnie wystraszyliśmy stada gawronów, które poderwały się czarną chmarą i krążyły nam nad głowami, głośno kracząc. Jeżeli tylko w budynkach na skraju równiny byli ludzie, to zapewne wiedzieli już, że ktoś się zbliża, więc zdecydowałem, że najkrótszą drogą nie będziemy się pchać. Domy stały na pagórku, było tam coś na kształt podłużnego wału ziemnego – nie wiem, czy naturalnego, czy usypanego przez ludzi. Najlepszą drogą podejścia byłoby skrócić na północ, po cichu wspiąć się na wzgórze tam, gdzie rosły gęste krzewy, a potem podejść po szczycie ku budynkom. Właśnie otwierałem usta, żeby poinformować o moim planie, gdy Alina klasnęła w ręce i pobiegła gdzieś w bok.

– Hej! – zawołałem jej w ślad. – A ty dokąd?

Dziewczyna nie oglądała się nawet, cwałując ku sporemu zagłębieniu, w którym pobłyskiwał błękit. Woda, uświadomiłem sobie i ruszyłem za nią. Jeziorko. Skąd się tu wzięło?

Zbiornik wodny stał w niewielkim zagłębieniu o łagodnych, porośniętych trawą brzegach. Już z góry widać było, że woda jest

czysta – no, może do picia się nie nada, ale na dnie był piaseczek, a nie błotnista maź.

Gdy dobiegłem na miejsce, dziewczyna już się rozbierała. Zrzuciła plecak, ściągnęła śmierdzącą zulem jesionkę, podskoczyła na jednej nodze, zzuwając but. Za nim w trawę poleciał drugi, a ona już ściągała koszulę przez głowę. Pokazały się dobrze zbudowane, bez grama tłuszczu, plecy i ramiona... A-ha, rozumiem, że stanik jej niepotrzebny. Potem zajęła się spodniami...

Moją uwagę – no cóż, obowiązki – przykuło coś innego. W przeciwległym końcu niemalże idealnie owalnego jeziora zauważyłem „spirale”, jedną z tych anomalii, które naprawdę niełatwo wypatrzyć. Zielaar nazywał je „trąbami magnetycznymi”, bo podobno wewnątrz takiej anomalii dochodzi do zachwiania struktury naturalnego pola magnetycznego planety, w wyniku którego pojawiają się spiralnie rozchodzące się zaburzenia. Gdybym miał teraz przy sobie kompas, to wskazywałby zapewne nie północ, a właśnie tę spiralę, przy czym strzałka nieustannie podrygiwałaby nerwowo, a w centrum anomalii w ogóle zaczęłaby

wyczyniać niestworzone rzeczy. „Spiralę” zauważyłem, bo w miejscach, gdzie się rozkładają te twory, nigdy nie ma roślinności, a na brzegu jeziora widać było akurat taki goły, łysy plac.

Spojrzałem znów na Alinę, która rozebrała się już do rosołu, otworzyła plecak i wyciągnęła z niego ogryzek mydła. Wyprostowała się, wyzywająco spojrzała na mnie przez ramię.

– Anomalia tam jest. – Pokazałem palcem.

– No widzę, „spirala”. I co z tego?

– Przy samym brzegu stoi. Jeśli się w niej zbierze napięcie statyczne, to może być przebicie do wody.

– E tam! – Dziewczyna machnęła ręką, ruszyła po trawie, kołysząc biodrami. Zatrzymała się, nogą dotknęła wody, zaczęła wchodzić głębiej, podnosząc nieduże falki.

Pokręciłem głową, podszedłem ku anomalii. Nie miałem zamiaru się zanadto zbliżać, przystanąłem jakieś pięć metrów od niej. „Spiralę” było widać, chociaż słabo: ponad okrągłym placem gołej ziemi kręcił się ledwo widoczny wir, takie delikatne zaburzenie optyki, przypominające gigantyczną spiralę

dna. W trawie obok pobłyskiwało kilkanaście zespawanych w jedną kupę przedmiotów. Co my tam mamy...? Magazynek od karabinu chyba. Coś żelaznego, młotek zapewne, a tutaj z kolei coś tak bardzo stopione, że nie poznasz, co w środku. „Spirala” się postarała, nie ma co. Ludzie mówią, że nawet zupełnie normalne przedmioty, które wpadną w sferę jej oddziaływania, mogą przejawiać jakieś przedziwne właściwości. Natomiast żeby cokolwiek z takiej „spirali” wyciągnąć, potrzeba by mieć długi, zagięty na końcu bosak, i to najlepiej drewniany albo plastikowy – no bo przecież nie żelazny, prawda? A teraz nie było nawet skąd czegoś takiego zdobyć.

Gdy wróciłem, Alina stała plecami do brzegu po piersi w wodzie, dokoła niej rozpląwała się plama mydlin. Stałem przy plecaku, odezwałem się:

– Woda pewnie zimna. Ogniska ci nie będę palić, bo tutaj Las wie kto mógłby zauważyć dym.

Dziewczyna odwróciła się do mnie przodem, potrząsnęła głową.

– Daj spokój, ciepłutka jest. Tu muszą być

ciepłe źródła.

– Aha, jasne. Tylko się nie przezięb.

– No patrz, nie wierzy. Wejdz i sprawdź.

Dotknąłem wody palcami. Faktycznie, może nie bardzo ciepła, ale lodowata też nie. Zupełnie normalna, a przy takiej temperaturze powietrza jesienią powinna być sporo chłodniejsza. Rzeczywiście, coś ją musiało podgrzewać.

– No mówię, sprawdź – powtórzyła Alina.

– Niby jak?

– Wykąp się ze mną, Stas.

Po raz pierwszy zwróciła się do mnie po imieniu. Rozejrzałem się po obniżeniu terenu, popatrzyłem na otaczające nas pagórki. Gdy tu szliśmy, nikogo nie widziałem. Niby bezpiecznie... Ale i tak jakoś tak dziwnie, zostawić na brzegu broń. Może nie to, że dziwnie – raczej straszno. Bez broni będę jak nagi.

No bo faktycznie będę nagi.

Dziewczyna patrzyła na mnie wyczekująco. Zacząłem się rozbierać, ściągnąłem z szyi łańcuszek z wisiosem, wsunąłem do kieszeni spodni, złożyłem ubrania w kosteczkę, na samej górze położyłem dziennik Zielarza, na

nim odbezpieczony wał rękojeścią ku jezioru, żeby móc jakby co szybko go złapać. Wszedłem do wody; organizm dosłownie zjeżył się cały. Nieprzyzwyczajony jestem, żeby się tak kąpać na otwartym widoku, szczególnie jesienią... Ale woda rzeczywiście była ciepła, a przy samym dnie ledwo odczuwalnie obmywała stopy gorącym prądem. Zrobiłem kilka kroków, stanąłem na wprost Aliny. Popatrzyliśmy sobie w oczy. Dziewczyna uniosła rękę, powoli przeciągnęła resztką mydła po mojej piersi, spytała:

– Co to?

Popatrzyłem na pozólkłą, zeschniętą papkę na ramieniu.

– Kompres leczniczy. Wysechł już, trzeba by zdjąć.

– Mogę? – Dotknęła opatrunku.

– Próbuj.

Chlapnęła mi na ramię wodą, potem ostrożnie podważyła i oderwała roślinną papkę. Nie bolało, tylko skóra trochę pociągnęła; pod spodem została różowawa blizna w formie litery V. Palce dziewczyny lekko musnęły krawędzie, potem dłoń ześliznęła się niżej, w wodę. Zrobiłem krok ku

niej, objąłem ramieniem i przyciągnąłem, uniosłem tak, żeby mogła objąć mnie nogami w pasie.

– Poczekaj... – zamruczała. – Mydło utopimy...

– Wyrzuć na brzeg – powiedziałem, nachylając się.



– Zasnęliśmy! – Ktoś pchnął mnie w ramię. – Stas! Zasnęliśmy, a tam strzelają!

Kolejnych kilka ruchów wykonałem na autopilocie. Odepchnąłem leżące obok ciało, przeturlałem się w bok, łapiąc karabin, oparłem łokcie o ziemię, jedna noga podciągnięta, kolba dociśnięta do ramienia... Zdołałem rozkleić jedno oko. Cholerny świat! Gdzie, na jakiej wysokości, w którą stronę lufą leży broń – tak, zawsze pamiętam, nawet przez sen. A że obok mnie leży kobieta – zapomniałem. Nie to, że zapomniałem, praktycznie od razu się przypomniało, ale właśnie to „praktycznie”... A karabin jak przedłużenie ręki.

– Gdzie, kto strzela?!

– Chyba w tamtych budynkach. Patrz, ludzi

widać!

Ala też nie zdążyła narzucić na siebie koszuli, klęczała teraz na jednym kolanie, patrząc ku budynkom, które majaczyły na szczycie nasypu. Popatrzyłem na nią z nieklamana przyjemnością, potem uświadomiłem sobie, że też jestem nagi jak mnie Pan Bóg stworzył. I z bronią. Nie ma co, nieźle muszę wyglądać; znalazłem kiedyś taki kalendarz sprzed Pandemii, brrrr...

Po prostu zmorzył nas sen. Prawda taka, że oboje dostaliśmy w kość na bagnach, a ja przecież kilka ostatnich dni też miałem nielichych.

Rzeczywiście, ktoś strzelał, nawet było widać jak pomiędzy domami przebiegały figurki. Ale kto strzela? Kto biegnie? Nie wiadomo. Żeby lepiej się przyjrzeć, trzeba by wyleźć z niecki z jeziorkiem, bo teraz koronę wału ledwo było widać.

Zaczęliśmy się obydwój ubierać, szybko zebraliśmy rzeczy, wspięliśmy na zbocze i zalegliśmy na skraju. Planowałem poleżeć tak przynajmniej parę minut, rozejrzeć się, ale dziewczyna poderwała się jak oparzona.

– To nasi! – zawołała. – Chodź, biegniemy

do nich!

I pobiegła. Ja oczywiście ruszyłem za nią, ale chyba z nas dwojga miałem więcej wątpliwości. Dogoniłem, złapałem za ramię.

– „Nasi”, czyli kto, „twoi”? Renegaci?

– Tak! Chimka Prokopow mi tam mignął! To nasz sierżant, brat go często na zwiad wysyła!

Gdy dobiegliśmy do nasypu, stało się jasne, że nie wdrapiemy się tędy: zbyt stromo, a domy zaraz nad nami. Alina złożyła dłonie przy ustach, zawołała:

– To ja! Alina! Hej!

Na ułamek sekundy przed tym znów gruchnęły wystrzały, które już zdążyły się uspokoić. Potem zaterkotała długa seria, zapewne z kaemu... Machnąłem ręką w bok.

– Tam jest podejście, będzie łatwiej. No chodź! Tylko się nie spiesz, najpierw trzeba się rozeznać, kto i co.

Alina pobiegła i niebawem dotarliśmy do bardziej łagodnego zbocza. Kanonada wciąż trwała. Do kogo mogli strzelać renegaci? Jeżeli do ludzi Rzeźnika, to w moim interesie byłoby im pomóc. A moja towarzyszka, jakżeby inaczej, będzie próbowała wspierać

renegatów.

Zaczęliśmy gramolić się na górę, ale ona cały czas patrzyła na mnie z ukosa. W końcu odezwałem się:

– Dobra, jak dojdziemy na górę, to tam zdecydujemy, co zrobić, żebyśmy oboje...

Urwałem, próbując dobrać słowa, Alina dokończyła za mnie:

– Żeby żadnemu z nas nie został niesmak moralny.

– No coś w ten deseń – przytaknąłem.

Na górze okazało się, że sytuacja nie jest aż tak zaplątana, jak się spodziewałem: oddziału Rzeźnika na szczęście tu nie było. Wystrzały znów się urwały, tylko czasami sucho trzaskał pistolet. Przykucnęliśmy w krzakach, oceniając warunki.

Renegatów atakowało duże stado garbusów. Nie miałem pojęcia, że dziki zbijają się w aż takie stada, chociaż nie były podobne do tych, do których przywykłem, polując z Michałem – te miały jaśniejsze umaszczenie, na bokach i grzbietach ciemne pasma, dłuższe i smuklejsze szable.

Trudno było określić, jaką funkcję pełniły budynki: ani to baraki, ani obory, do chlewni

też niepodobne. Trzy długie, przysadziste hale ustawione w podkowę, na placu pośrodku renegaci pewnie rozłożyli obóz, tam też przycisnęły ich pasiaste mutanty. Teraz częściowo przetrzebione stado, w którym mimo to pozostawało jakieś dwie dziesiątki głów, kręciło się wokół zabudowań, dudniąc racicami.

– Czekaj, przysiądź na chwilę. – Położyłem Alinie rękę na ramieniu. – Poczekaj, mówię!

Dziewczyna ukucnęła, zwróciła ku mnie rozpaloną emocjami twarz.

– No, co tam?

– Nie pójdę tam.

– Dlaczego? Stas, nikt cię nie ruszy! Ja wszystko wyjaśnię i...

– Nie. Wyjaśnić możesz, a i tak mnie wezmą pod straż. Zaczną przesłuchiwać, dopytywać, co ja za jeden. Renegaci musieli poprzedniej nocy zgubić Rzeźnika we mgle, więc tamci odeszli dalej, na północny wschód. Ja muszę za nimi, dogonić ich. A ty, wychodzi, wrócisz zaraz do swoich.

– Miałam nadzieję, że my... – Zacięła się.

– Że co?

– Że pójdziesz ze mną. Zostaniesz.

Popatrzyłem na nią, przegarnąłem ręką krótkie włosy.

– Nie. Ale będę o tobie pamiętać.

Alina zacisnęła zęby i odwróciła się.

– Dobra – rzuciła oschle. – Ja o tobie też. Chyba.

Garbusy znów rzuciły się do ataku. Rozbryzgując racicami ziemię, wpadły na podwórzec, pędząc całym stadem, ale z dachu jednego z baraków podniósł się barczysty żołnierz z czarnymi kędziorami wyglądającymi spod czapki furazerki. W każdym ręku trzymał po karabinie, stanął teraz szeroko na nogach i zaczął z obydwu automatów naraz polewać mutanty ołowiem, krzycząc coś głośno pomiędzy seriami.

– To Chimka, Chimka Prokopowi – Alina podskoczyła z radości.

– Ano, niczego sobie mołojec – przytaknąłem.

– Stas, muszę iść... naprawdę. Powodzenia.

Nagle nachyliła się szybko, cmoknęła mnie w policzek, a potem skoczyła ku zabudowaniom, przyciskając do piersi strzelbę i krzycząc po drodze:

– Chimka! Chimka, to ja! Osłaniaj!

Poczekalem, az dziewczyna zniknie pomiedzy budynkami, odwróciłem się, ześliznąłem z pochyłości i pobiegłem jak najdalej. Gdy wystrzały przycichły, odwróciłem się plecami do pustkowia, przez które szliśmy wraz z Aliną, i szybkim truchtem ruszyłem na północny wschód.

Przedemną było coś widać. Na razie przypominało to tylko ciemną linię na horyzoncie, ale nawet stamtąd emanowało coś złowieszczy. Mimo że nie byłem w stanie dostrzec żadnych szczegółów, byłem niemalże pewien: to właśnie tam zdążają bandyci. To tam odnajdę odpowiedzi na dręczące mnie pytania.

Z każdym krokiem byłem coraz bliżej.



Część trzecia

WEKTOR ŚMIERCI

Rozdział trzynasty

Za wysokim murem



Ezegoś takiego jeszcze nie widziałem. Cały pas drzew mutantów, ogromna macka wyrzucona przez Lasu ku miejscu, w którym obecnie się znajdowałem – martwa!

Obrazek był uderzająco podobny do tego, co widziałem, wchodząc na bagna przy uschłym drzewie obejmującym słup linii napięcia... Ale tutaj było to o wiele, wiele większe i bardziej ponure.

Nie wiem, od której z oaz wyciągnęło się to pasmo – może wręcz od samego matecznika Lasu? Miałem już w najlepszym razie mętne pojęcie na temat tego, gdzie się znajduję.

Rząd martwych drzew stał oparty o wysoki,

szary mur. Złożona z betonowych prefabrykatów i spięta żelaznymi klamrami ściana szła, o ile mogłem się zorientować, po okręgu, opasując sporą połąć ziemi. Bramy nie było widać, chociaż musiała gdzieś jakaś być, ale na pewno nie z tej strony. A tutaj tylko ten mur i pociągnięta po jego szczycie kryta galeria ze strzelnicami, pod nim zwoje drutu kolczastego i zagięte w dół stalowe kolce.

Las jak gdyby wbił się w mur – i nie miałem śladu wątpliwości, że był to celowy, rozmyślny atak. Kilka drzew rosło niemalże przy samej ścianie, ich grube, podobne do węzowych splotów korzenie przeryły fundament pod ścianą, wysadzając kilka bloków betonu ku górze i stercząc teraz nad ziemią bezładną płataniną. Jedno z drzew, najpotężniejsze – większe nawet od tego, które poległo w zapasach ze słupem linii wysokiego napięcia, prawdziwy baobab mutant – rzuciło się całym swym ciężarem na mur, miażdżąc jego górną część. Pień wbił się w beton, pokryty teraz czarnymi liniami pęknięć, gałęzie baobabu niczym palce złapały za pudełko korytarza dla strażników, wplatając się w otwory ambrazur i wbijając w pokrycie dachu. Fragment ściany

wisiał szarym plastrem na powyginanych, rdzewiejących prętach zbrojenia.

Zadarłem głowę do góry, próbując ogarnąć całość. Żelbetowy mur biegł w obydwie strony, wyginając się ledwo dostrzegalnym łukiem, niebo ponad nim powoli ciemniało. Nie było ani grama wiatru, wszystko zamarło, liście wisiały nieruchomo w absolutnej ciszy. Nie miałem wątpliwości, że to właśnie tam podążył Rzeźnik i jego ludzie, a zatem i ja powinienem się tam dostać. Tylko że nie było bramy. Ani drzwi, ani nawet furtki, tylko ziejący na górze wyłom. Czyli trzeba będzie górą – jakoś dam radę, w końcu ostatnio laziłem po drzewie mutancie i jeszcze żyję.

Tylko te drzewa mi się wcale nie podobały. Można odnieść wrażenie, że ktoś je otruił.

Pomyślałem o tym, gdy z pewnym niepokojem zbliżyłem się do słoniowego pnia baobabu. Korę drzewa pokrywał delikatny, białawy nalot, coś jakby sucha pleśń. Z początku bałem się go choćby dotknąć, ale potem przejechałem palcem, popatrzyłem, powąchałem i zdmuchnąłem z opuszka. Nalot nie pokrywał całego drzewa, a tylko pewne jego części, przez co kora była pokryta

nierównymi plamami.

A poza tym miękka. Zrozumiałem to, gdy zacząłem się wspinać. Bez szczególnego trudu, chociaż u samej podstawy nie było nawet sęków, ale dałem radę wdrapać się po nierównej, pełnej pęknięć i występów korze. Przy czym wszystko to ugięło się pod palcami jak... jak guma. Przy słupie drzewo uschło i niemalże skamieniało, a tutaj miałem wrażenie, jakby baobab był... napęczniały? Jak od puchliny wodnej, jakby do środka przez korzenie wpompowano coś ohydneho. Dotarłem do pierwszych gałęzi, długo patrząc i wybierając dalszą drogę. Potem przeskoczyłem na pokręcony konar, ciągnący się na skos ku zrujnowanej ścianie.

Mogłem iść po nim jak po regularnej drodze, od czasu do czasu tylko musiałem schylać się i czołgać, gdy nisko nad nim przeplatały się inne gałęzie, ale dość szybko dotarłem na niezłą wysokość. I wszystko wokół było martwe, pogrążone w absolutnym bezruchu. Przypomniało mi się przeczytane gdzieś, kiedyś wyrażenie: „w uścisku śmierci”.

A potem nachyliłem się nad głębokim zadraśnięciem w korze. Podrapałem je

paznokciem, przypominając sobie, że widziałem już podobne niżej. Jak gdyby ktoś naciął drzewo nożem... albo pazurem? O, a tam jest kolejne. I jeszcze jedno. Coś musiało tędy biec, coś pazurzastego. Albo nawet dużo cosiów, całe stado. Nie byłem tu pierwszy.

Omijając kolejną plamę białego proszku, pomyślałem jeszcze o czymś: a może to ślady po truciznie, dzięki której obrońcy terytorium za betonowym murem walczyli z intruzją zbliżającego się Lasu? Od tamtej pory minęły całe lata, toksyna straciła pewnie moc, ale lepiej unikać z nią kontaktu. Albo wprowadzili jakiś związek chemiczny w glebę, albo rozpylili w powietrzu... Jeśli jest tak, jak mówił Zielarz, że Las jest powiązany ogromnym wspólnym systemem korzeniowym, to skażenie gruntu w jednym miejscu mogło doprowadzić do zniszczenia całkiem dużej połaci. Może właśnie o to chodziło, żeby trucizna przeniknęła dalej i zniszczyła cały masyw Lasu? Albo ta macka szła od jakiejś oazy, która też uschła, albo to sam Las odciął od siebie ten fragment, jak człowiek wycinający nowotworową narośl na palcu.

Ale to wszystko tylko domysły. A to, że doszedłem do Poligonu – to już fakt. Przecież cóż innego miałyby leżeć za potężnym betonowym murem, jak nie Poligon Śmierci? Ciekawe, czy Rzeźnik i jego ekipa dostali się już do środka. Jeśli tak, to czy szli tą samą drogą, czy znali inną?

Pode mną nie było już nawet widać ziemi, tylko martwy świat płataniny gałęzi. Konar już jakiś czas szedł mocno skosem do muru, a teraz wygiął się prosto ku niemu, więc przychyliłem się, przeszedłem pod kolejną gałęzią, która niczym szlaban zagradzała drogę, ruszyłem ku ścianie. Przed sobą zauważyłem dziwny pęcherz na konarze. Zdarzało mi się już takie widywać, ale były mniejsze. Czarna kora, niemalże idealnie gładka, bez pęknięć i zmarszczek, jak gdyby napięta. Już, już chciałem dotknąć, ale zmieniłem zdanie. Jakoś nie budziło to zaufania, coś... chorobowo wyglądało. Jak krwiał na czole albo dojrzały pryszcz – dopóki paluchem nie dotkniesz, nie boli. Ominąłem pęcherz bokiem, zrobiłem ze dwa kroki do muru... A zresztą, co mi tam. Odwróciłem się i końcówką tłumika ostrożnie tknąłem w

bąbel.

Pęcherz zakołysał się, lekko ugiął – i kora pękła z miękkim trzaskiem, jak nabrzmiały wrzód. Odskokczyłem do tyłu, pośliznąłem się na konarze, nieomal wypuszczając karabin z ręki.

Z pęknięcia pociekła kleista, czarna masa. Język płynu powoli wyciągał się w dół, zapachniało skisłą zgnilizną... Substancja przypominała roztopiony plastik albo smołę, wewnątrz było widać coś białego, drobne kuleczki – może to coś, co w formie pyłu zalegało na powierzchni? Dało się słyszeć głębokie, niczym spod ziemi, bulgotanie, potem równie stłumione westchnięcie; konar pode mną zatrzęsł się. Czarny jęzor robił się coraz gęstszy i gęstszy, ciągnął się coraz niżej, potem jego dolna część z miękkim plaśnięciem dotarła do gałęzi pod nami i zaczęła powoli, leniwie rozplýwać się po niej. Poderwałem się na równe nogi, czując ruch. Cały konar zakołysał się, tracąc twardość – jak nadmuchany balon, z którego ucieka powietrze! Czyżby całe drzewo w środku wypełnione było tylko tym czarnym, śmierdzącym paskudstwem?

Konar zaczął wyginać się w dół. Zarzuciłem karabin na ramię, puściłem się biegiem. Niech to leśna cholera, sam sobie przygodę narailem! Nie trzeba było tykać tego cholernego pęcherza, nie trzeba było, a teraz wszystko poleci w diabły! Drzewo drżało i wibrowało, baobab poruszył się cały. Rozległo się ciężkie, astmatyczne sapanie, pień zakołysał się, pomniejsze narośle też zaczęły pękać, z dziur chlusnęła przegniła maź. Jak ogromny pająk wstrzykujący w muchę jad, który rozkłada ofiarę od środka; tylko gdzie ten pająk...?!

A potem musiałem skoczyć. Dobrze, że chociaż drut kolczasty w tym miejscu był rozerwany przez gałęzie, betonowy daszek nad korytarzem przełamany na pół, część pokrycia przechyliła się pod ciężarem drzewa, więc wbiegłem po skośnej płycie na górę, pełznąc na czworakach... Zatrzymałem się i obejrzałem dopiero, gdy byłem dobre pięć metrów od wyrwy. Wyglądało na to, że zainicjowałem proces ostatecznej dekonstrukcji, cały baobab kołysał się i trzeszczał, z gałęzi lała się czarna maź, spływając po pniu, który wcale nie wydawał się już taki potężny i mocny. Drzewo pochyliło

się, oparło o ścianę; beton pod nogami
zajęczał, zaskrzypiał. Wytrzyma czy puści?
Żeby tylko nie zwałił się cały fragment...
Odszedłem jeszcze dalej na bok, dopiero
znajdując się w relatywnie bezpiecznej
odległości, odważyłem się zerknąć na
terytorium za żelbetowym murem.



Ściana ciągnęła się dużym kołem, jej przeciwległa strona zdawała się być zaledwie wąską kreską. Wewnątrz kręgu rosły drzewa, dużo drzew, ale nie był to Las. W taki sposób zarastają niegdyś zamieszkałe, ale od dawna porzucone miejsca. Roślinność przebiła się przez asfalt i beton, co poniektóre krzaki wyrastały już wewnątrz budynków, przez dziury w dachach sterczały gałęzie i liście. W przedwieczornym półmroku rozciągające się przede mną terytorium wyglądało jak połączenie bazy wojskowej i kompleksu naukowego. W oddali czerniał mniejszy okrąg, od którego rozchodziły się promieniście cztery drogi, a pomiędzy nimi wznosiły się budynki. Co to mogło być? I do tego stoi w samym centrum, jak główny obiekt... Szkoda, wielka szkoda, że nie miałem lornetki!

Od mojej strony budynków nie było. Niemalże od samego muru do czarnego kręgu ciągnął się długi, szeroki prostokąt, okolony własnym płotem – nieco niższym od zewnętrznego muru, ale i tak przynajmniej czterometrowym. Wewnątrz wydzielonego kawałka widać było nasypy ziemne i rzędy żelaznych słupów. Pomiedzy nimi ziały jamy,

stały kratownice i inne przedziwne konstrukcje. Wyglądało to jak poligon ćwiczebny... Może to właśnie ten? Mocno pompatyczna nazwa, Poligon Śmierci, a wygląda to jak nieco większy plac szkoleniowy dla żołnierzy. No, sporo większy. A te jamy to pewnie leje po detonacjach, no tak. I nawet widać wrak jakiejś maszyny, chyba czołg bez lufy. I tam jeszcze jeden, po drugiej stronie rowu.

Zmrużyłem oczy, bo wydało mi się, że dostrzegłem ruch na przeciwległym końcu poligonu. Faktycznie, ktoś tam idzie, i to nie sam, da się odróżnić kilka postaci. Zniknęli, ale dość szybko na ich miejscu zapaliły się punkciki latarek. Czyli mamy grupę ludzi po drugiej stronie poligonu. Czyżby moi klienci? Tak czy inaczej, pora złązić na dół.

Baobab znów zastygł w bezruchu – przechylony i wsparty o ścianę, niczym stary pijak. Część gałęzi zwiesiła się ku dołowi i pomarszczyła, pień też znacznie schudł, wszędzie zwisały jęzory czarnej smoły. Ściana przestała dygotać, więc wróciłem ostrożnie ku wyrwie, zajrzałem do korytarza, potem zwiesiłem nogi do dziury i ześliznąłem się do

środką, łapiąc za pręty zbrojeń. Zawisłem na rękach, oceniając sytuację, potem zeskoczyłem na podłogę.

Długi korytarz biegł w ciemność za mną i przede mną. Goły beton, jedna ściana w ogóle ślepa, w drugiej rząd prostokątów szczelin strzelniczych, pod najbliższą ambrazurą stała żelazna ławeczka. Ruszyłem wzdłuż korytarza, zgrzytając kawałkami betonu pod butami; hulały tu przeciągi, było wilgotno i nieprzyjemnie.

Po kilkunastu krokach natknąłem się na kości. Chyba ludzkie, porzrzucone po posadzce tak, jakby bawiły się nimi dzieci... Mocno nefajne dzieci, złowieszcze. Pod ławeczką leżała czaszka ze zmiażdżoną kością skroniową i głębokim zadrapaniem na czole. Jeszcze jedna kość leżała na samej ławce, dalej kilka obok strzelnicy. Jak gdyby przebiegł tędy jeden z tych mutantów, które zostawiły ślady pazurów na baobabie, rozrzucił szkielet, mimochodem uderzając czaszkę i odrzucając ją na bok... Nagle uderzyła mnie myśl – a może to wtedy nie był szkielet? Może mutant rzucił się na człowieka, rozerwał jeszcze żywego na strzępy, a

szczątki się rozłożyły?

Nie powiem, żeby mi się zrobiło weselej od tej myśli, więc sprawdziłem tylko, czy wał na pewno jest odbezpieczony. Ciemny, głuchy korytarz z szarzejącymi prostokątami ambrazur co dwadzieścia kroków ciągnął się i ciągnął, opisując długi łuk. Minąłem kolejną stertę kości i jeszcze dwa czerepy, z których jeden był nabity na wystający ze ściany kawałek pręta. Minąłem walające się na podłodze łuski, pośród których leżał pusty magazynek od kałasza. W końcu doszedłem do drzwi – w zasadzie do futryny, bo stalowe skrzydło coś wyrwało razem z zawiasami i odrzuciło w kąt.

Za drzwiami były schody, prowadzące w dół ceglanej studni krótkimi zygzakami. Ściany pokrywały ślady po kulach. Starając się nie potrącać leżących tu i ówdzie łusek, zszedłem na dół i przecisnąłem się przez drzwi, wiszące na jednym tylko zawiasie.

Zrobiło się już zupełnie ciemno, ale wiatr zdążył rozegnać chmury, więc przynajmniej coś widziałem w blasku księżyca. Obejrzałem się na mur i dobudowaną do niego wieżyczkę klatki schodowej; teoretycznie mógłbym tu

przesiedzieć noc, ale gdzieś tam na Poligonie ktoś się kręcił. Przez noc znów odejdą Las jeden wie dokąd... Czego mogą szukać bandyci – bo zakładałem, że to właśnie oni – wewnątrz kompleksu? Może magazynów wojskowych albo czegoś w ten deseń...? A może laboratorium. Albo warsztatów. Tak czy inaczej, musiałem ich dogonić, zanim Rzeźnik dotrze do celu.

Od podnóża muru w kierunku czarnego kręgu w centrum kompleksu szła spękana asfaltowa dróżka, zarośnięta po bokach drzewami i krzakami, pomiędzy którymi tu i ówdzie widniały dachy zabudowań. Musiała iść równo wzdłuż prostokąta wyznaczonego przez ogrodzenie Poligonu, i bardzo dobrze – nie będę musiał przez niego przechodzić, tylko obejdę dookoła i na przeciwległym końcu postaram się odnaleźć ludzi z latarkami. Chociaż mogli skrócić dosłownie w każdą stronę, pójść gdzie oczy poniosą... Ale nic to, damy sobie radę. Coś mi podpowiadało, że tutaj wszystkie drogi prowadzą do ciemnego okręgu w centrum ogrodzonego terytorium, więc i ta nigdzie indziej mnie nie poniesie. A zatem, jak nasi sławni dziadowie – wpięrod!

Szedłem skrajem drogi, żeby w razie konieczności dać od razu nura w krzaki. Tak jak przypuszczałem, asfalt ciągnął się równo z sięgającym wysokości drugiego piętra płotem Poligonu po prawej stronie. Mur od drogi oddzielał jeszcze zarosły burzanem rów i fragment trawiastego pobocza.

Po lewej miałem hangary i hale, zarośnięte gęstwiną krzaków. Księżyc świecił mi prosto w twarz, więc szedłem na niego niczym na światło latarni. Niedobrze tylko, że znów pojawiły się szybko płynące po niebie chmury, zerwał się wiatr, co wróżyło gwałtowne pogorszenie pogody.

W ogrodzeniu Poligonu pojawiła się dziura, z której wystawał pod kątem fragment potężnej stalowej maszyny na gąsienicach. Czołgiem z tamtej strony w płot wjechali? Nie, za małe, może beempe jakieś albo inny transporter. Hm, nadarza się okazja, więc może zajrzeć na Poligon, popatrzeć, jak to tam wygląda? No tak, tylko co tam takiego teraz zobaczę? Brudną wodę stojącą w rowach, pordzewiały drut kolczasty, pod którym

kiedyś czołgali się żołnierze, równoważnie i ścianki do przechodzenia, zetlałe worki z piaskiem. Nic ciekawego.

Minąłem już mniej więcej połowę długości Poligonu, więc zdecydowałem, że nie ma sensu teraz stawać przy wyrwie. Jak dojdę do miejsca, gdzie widziałem błyski latarek, to będę się rozglądać. Szkoda tylko, że przy takim świetle nie jestem w stanie dostrzec, co jest dalej przede mną, dokąd prowadzi asfalt. A może zakręca ostro w prawo i opasuje cały Poligon? Gdzieś daleko przed sobą widziałem na tle nieba zębatą, ciemniejszą linię, jakby rząd klonów albo topoli.

Po prawej kolejna dziura w murze, tym razem mniejsza, ziejąca nad samą ziemią, ale ja tylko szedłem dalej, przeliczając w myślach zapas amunicji. Magazynek prawie pełny, ale wypada sprawdzić, bo drugiego nie mam.

Ponad koronami drzew mignęła ciemniejsza sylwetka – i zaraz za nią druga, i trzecia. Unosiły się ponad drzewami, spadały i znikwały, a na ich miejscu pojawiały się kolejne. I kolejne, i jeszcze... Przystanąłem. Niezłe kangury, jeżeli tak sobie ponad drzewami skaczą! Chociaż nie, przecież to by

musiało być paręnaście metrów... A może za nimi jest ściana, więc włączą na nią i skaczą dalej, zawisając na gałęziach, zeskakują na dół i...

I biegną. Biegną prosto na mnie.

Jak tylko o tym pomyślałem, na drodze przede mną pojawiło się kilka rozmazanych cieni, przygaszonym blaskiem rozjarzyły się duże, okrągłe ślepia, zaczęły szybko przebierające po asfalcie łapy... Czy nogi?!

Nie miałem nawet pojęcia, co to za stwory, biegły to na czworaka, to podnosiły się na tylne łapy, osiągając wzrost... no, może dziesięcioletniego dzieciaka. I biegły wprost ku mnie!

Nawet nie próbowałem podnosić karabinu, bo przeciwko takiemu stadu nocą nic bym nie zwojował; od razu rzuciłem się w prawo, zeskoczyłem na dno rowu, przedarłem się przez zarośla łopianu, wdrapałem po drugim zboczach, zerknąłem przez ramię przy płocie – zobaczyli! Część stworów już biegła w tę stronę, oddzielając się od reszty stada. Do tego jeszcze księżyc znów zgasł, chowając się za grubą chmurą, więc widać było jeszcze mniej... Dokładnie w dziurze rósł krzak, więc

rzuciłem się na niego, przygniotłem całym ciężarem ciała, przeczołgałem się, łamiąc gałęzie. Zupełnie blisko za mną coś dyszało i sapało, nagle szarpnęło mnie w tył – zaczepiłem się! Zaczepiłem, ale szarpnąłem naprzód, materiał trzasnął, zdołałem się wyrwać. Naprzód, naprzód!

Za płotem poderwałem się na nogi, wskoczyłem na jakiś nasyp, pobiegłem z całych sił. Teren podnosił się nieco ku górze, rzuciłem okiem przez ramię, potem na wpeł odwróciłem się z karabinem – za mną świeciły błado trzy pary punkcików. Nie tylko świeciły, ale podskakiwały w ciemnościach i pędziły za mną... Dałem ognia pojedynczym, niemalże na pewno trafiając jednego ze stworów – były po prostu za blisko, żebym miał spudłować – ale poza trzaskiem wystrzału nie usłyszałem nic, ani skowytu, ani jęku, nic.

Wypadłem na ogrodzony z dwóch stron pomost, potem ułożone na podobieństwo kolejowych podkładów bierwiona na metrowej wysokości palach. Zeskoczyłem, pod nogami mlasnęła mokra ziemia, przykucnąłem i przyczałem się pod nawisem. Nade mną zastukały nieduże łapki, kilka mutantów

przeskoczyło z pomostu na bierwiona. Ledwo co je widziałem, słyszałem niewiele lepiej, biegły niemalże bezgłośnie... Chyba przebiegły dalej, zrobiło się zupełnie cicho – i tu znów zaświeciła para srebrnych ślepi.

Jeden ze stworów musiał się odwrócić, spojrzał prosto na mnie; zmełłem przekleństwo, chlapnąłem mu pojedynczym między oczy, zerwałem się i pobiegłem w lewo, mniej więcej tam, gdzie wcześniej widziałem ludzi. Obok mnie przelatywały jakieś konstrukcje z drewna i spawanych rur, potem niemalże wpadłem na makietę czołgu... Makietę czy działającą maszynę? Coś za mały na prawdziwy... Miniczołg przechylił się, wjechawszy gąsienicą w rów, lufa zaryła głęboko w ziemię.

Kilka srebrnookich stworków biegło za mną. Wieża czołgu była na wysokości moich oczu, widziałem zapraszająco otwarty właz. Schować się tam? Nie zmieszczę się, cholera, przecież to jest wielkości dużej zabawki!

Pobiegłem dalej, przeleciałem przez płytkie jeziorko, rozbryzgując na wszystkie strony wodę, przeskoczyłem przez betonową ściankę – i zawyłem, spadając do głębokiego rowu,

który nagle otworzył mi się pod nogami. Lasowi niech będą dzięki, że na dnie była miękka, gliniasta ziemia, ale i tak zaryłem w nią tak, że aż zęby mi zgrzytnęły, a kręgosłup zajęczał. Wyprostowałem się z jękiem, czując, jak nadwerżona szyja odzywa się tępym bólem. Odwróciłem się, wystawiając lufę ponad skrajem okopu, który sięgał mi akurat po pierś. Srebrnookie stworki biegły przez jezioro – to znaczy nie żadne jezioro, a płytki basen, w którym kiedyś czołgali się żołnierze. Woda pluskała i bryzgała, puściłem szeroką serię – i skończyła się amunicja.

Skuliłem się i popędziłem okopem, który skręcał i wił się, potem w prawo odszedł od niego blindaż, potem kolejny, jeszcze jeden... Cała sieć, leśna moja mać! Schyliłem się akurat, żeby nie huknąć głową w drewniany daszek, pobiegłem po zalegających na ziemi kościach. I znów rozwidlenie, zaraz po nim kolejne... Nad moją głową smyrgnęła sylwetka mutanta, błysnęły blade ślepie, stwór przeskoczył przez rów, wyhamował i rzucił się z powrotem, prosto za mną. Odwróciłem się w biegu, chlasnąłem nożem, klinga niby weszła w miękkie, ale coś

zazgrzytało – metal? chityna? Mutant upadł na ziemię, ale wcześniej zdążył złapać pazurami, szarpnął za pasek i wyrwał mi z dłoni karabin.

Co gorsza, sądząc po odgłosach, od razu potem poderwał się i ruszył za mną. Okop rozwidlał się na trzy odnogi, skoczyłem w tę po prawej, najwęższą. Sam nie wiem dlaczego, czysta intuicja. Z tyłu niósł się za mną tupot i stukot... Z tyłu, z lewej i prawej, z boków – jest ich mnóstwo, skaczą po całym labiryncie, szukają mnie!

Goniło mnie już kilka stworów. Kolejny zakręt, rozpędem przeleciałem obok otwartych drzwi do niskiej ziemianki czy może komórki... Zahamowałem, skoczyłem w tył, zanurkowałem szczupakiem do środka. Budka dwa na dwa metry, w rogu kości, zupełnie mały szkielet, obok leży jakieś żelastwo, w ścianie na wysokości ramienia sześć strzelnic. Metalowe, odsuwane na bok drzwi... Pociągnąłem z całej siły, szarpnąłem, kalecząc palce i ciągnąc za pordzewiały metal, zamknąłem. Ani zasuwy, nawet zamka, nic...

Zrobiło się zupełnie ciemno, serce waliło w piersi jak oszalałe. Przełknąłem, ale w ustach

miałem zupełnie sucho, język przywierał do podniebienia. Possałem zadrapanie na rękę... za drzwiami rozległy się kroki małych łapek, to mutanty biegną, skaczą, niosą się całym rojem przez noc – a potem zrobiło się cicho. Zupełnie cicho. Nie mogłem tego widzieć, ale głowę daję, że jeden stwór stanął tuż przed drzwiami i słuchał. Srebrne ślepia patrzą na metal... Uszy, których nawet nie mogę sobie wyobrazić, poruszają się i łowią każdy szmer. W linii prostej dzieliło nas nie więcej niż półtora metra. Półtora metra, w tym cal stali. A ja nie mam broni, poza nożem. Myśli miotały się w głowie jak wróble w klatce – co to za pancerne stwory? Owady jakiegoś? Insektoidy czy jak się to mówi...? Chociaż nie, wyglądało to prawie jak człowiek: dwie nogi, dwie ręce – a może cztery łapy? Odnóża? Korpus pokryty krótką sierścią, błyszczącą, a może pancerzem. W ciemności mało co widać... No właśnie, ciemność – nic nie widać, czarno zupełnie! W plecaku niby mam zapalki, ale były zawilgocone. Pewnie przeschły, ale nie będą się dobrze palić. Za to kawałek żelastwa, leżącego koło szkieletu, wydał mi się znajomy. Hm, jeśli wzrok nie płata mi figłów,

a w dodatku jeszcze okaże się, że będzie działać...

Serce stopniowo uspokajało się, podobnie jak nerwy. Za drzwiami było zupełnie cicho, w końcu doszedłem do wniosku, że musiało mi się wydawać, że nie ma tam żadnego mutanta, wszystkie pobiegły dalej – i wtedy za metalową płytą rozległ się ledwo słyszalny, cichy oddech. Adrenalina skoczyła w żyły, serce walnęło mocniej. Jest, jednak siedzi tam srebrnooka paskuda! Wie, draństwo jedne, że jestem w środku, będzie pilnować i nie odejdzie, nie odpuści, jeszcze i resztę ściągnie!

...

Zachlupotało cicho błotko, potem gdzieś dalej zaszeleściła sypiąca się ziemia... i zapadła cisza.

To był bodajże najdłuższy i najcichszy wydech mojego życia. Odszedł, mutantin syn. Teraz już na pewno odszedł. Zniknęło uczucie obecności za drzwiami, nie odczuwałem już napięcia psychicznego, które wcześniej zamieniało kolana w watę, a serce w tłok parowy. Kilka razy spróbowałem przełknąć kulę w gardle, odsunąłem się od drzwi. Przetarłem twarz ręką, usiadłem pod ścianą.

Pomacałem podłogę w pobliżu truposza, podniosłem antyczną akumulatorową latareczkę z ręcznym dynamem. No tak, nie pomyliłem się, wskakując do środka. Z początku bałem się sprawdzić, czy działa, poza tym dźwignia koła zamachowego mogła zaskrzypieć, a światło przez strzelnicę zauważyć ktoś... coś... na zewnątrz. Ale panowała taka straszna, dzwoniąca w uszach cisza, że w końcu przekonałem sam siebie, że skaczące stwory poszły sobie na dobre. Przysłoniłem reflektorek, nacisnąłem dźwignię.

Z początku w ogóle nie chciała drgnąć, potem posypała się rdza, żelastwo z cichym zgrzytem schowało się w korpus, sprężyna powoli, niechętnie odepchnęła rączkę z powrotem, nacisnąłem jeszcze raz, łapiąc rytm. Zgrzyt pisk, Zgrzyt pisk... Żaróweczka za pękniętym szkiełkiem powoli, niechętnie zaczęła się rozjarzać na pomarańczowo, a potem żółte, przyćmione światło zalało budkę. Wyciągnąłem przed siebie nogi, oparłem się wygodniej o ścianę. Poświeciłem na szkielet, skulony w rogu pod ścianą. Wygięty w łuk kręgosłup, wąska miednica, nogi, stopy,

wszystko zachowane nad podziw dobrze. Nieopodal czaszki leżał okrągły hełm.

Nie, nie mógł to być dzieciak – zbyt długie kości rąk, do kolan by sobie lekko sięgnął bez schylania. A może dziecko, tylko... zmienione? Zmutowane? Może w laboratoriach tego kompleksu prowadzili badania nad dziećmi, chcieli wyhodować żołnierzy? Takie nieduże maszyny do zabijania, bez uczuć, litości i współczucia...?

Nie, bzdura wierutna, paździerzową fantastyką śmierdzi. Nawet nie to, że fantastyką, w końcu tej mamy pod dostatkiem: sam Las, migoczący i cała reszta, ale zmutowane dzieci-żołnierze to już lekka przesada. Podniosłem się na kolana, podkręciłem latarkę, żeby lepiej przyjrzeć się samej czaszce i hełmowi.

Ha, tak jak sądziłem: to nie był człowiek. W każdym razie nie do końca człowiek. Zbyt duże oczodoły, wydatne łuki brwiowe, zbyt wysunięta do przodu szczęka, przez co cała twarzoczaszka wydawała się dziwnie skrzywiona. Starając się nie dotknąć czerepu, sięgnąłem po hełm, podniosłem, przekręciłem... Od środka na wyłożeniu był

wypalony znak: litera V przekreślona zygzakiem, pod nią rząd cyfr, jak numer seryjny. Przetarłem hełm łokciem, przymierzyłem – nie, za mały. Odłożyłem, popatrzyłem znów na szkielet.

Kim jesteś, do cholery?

Szkielet oczywiście milczał. Miałem wrażenie, że koścista ręka lada chwila drgnie, podniesie się, nienaturalnie długie palce zegną się, zostawiając tylko środkowy, a truposz pokaże mi tym międzynarodowym znakiem, co o mnie myśli.

– Mutant cię w kościste dupsko lizał – mruknąłem, podnosząc z podłogi nóż.

Wyrząłem przez strzelnicę, ale była prawie na poziomie gruntu, więc widziałem wyłącznie gęstą trawę. Cisza na zewnątrz, nic nie słyhać – pora wychodzić. Mimo że srebrne ślipia mogły się gdzieś tu czaić, bo ostatecznie poruszają się szybko i cicho, jak karaluchy, to miałem wrażenie, że na całym Poligonie zostałem sam. Nie było ich tu, uciekły – tylko dokąd? Przez ścianę, po pniu martwego baobabu, czepiając się pazurami kory, a potem na nocne polowanie...? A nad ranem wrócą, przywleką zdobycz, zeżrą w swoim legowisku?

Nie miałem wątpliwości, że to one napadły na żołnierza na murze, po którym zostały tylko rozrzucone kości. Ale gdzie mogą mieć leże? Bliżej serca kompleksu, w okolicach tego ciemnego okręgu, dziwnego obiektu centralnego? A zresztą, co do dziwności...

Popatrzyłem jeszcze raz na szkielet, trąciłem nogą kask. Nie no, ale przecież... to bez sensu! Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że ten miniaturowy szkielet należał do srebrnookiego mutanta – nawet nie wrażeniu, a niemalże pewności! Ale ten miał hełm, latarkę... Mutanty nie paradują w hełmach, są na to zbyt głupie. Chyba że te srebrzystookie stwory właśnie tutaj stworzono i hodowano, faktycznie na żołnierzy. No, relatywnie inteligentne istoty bojowe. Nauczono nosić sprzęt, zakładać hełmy, nawet używać broni. Przecież stał tam ten miniczółg... A sterowanie techniką to już całkowicie realny intelekt. Czółg niby mógł być atrapą, ale przecież hełm i latarka są zupełnie prawdziwe. Dlaczego zatem goniące mnie stwory nie przejawiały tej inteligencji, zachowując się jak zwykle zwierzęta? A może to jednak szkielet innej istoty?

Możliwe, że miałem rację. Załóżmy, że faktycznie przerabiano tu dzieci na żołnierzy. Nie wiem, traktowali je jakimś promieniowaniem, doprowadzali do regresu mózgu, rozwijając posłuszeństwo i agresję, robili operacje, wzmacniali mięśnie, wszczepy pod skórą, sterydy... Aha, już popłynąłem. Pewnie jeszcze robili to szaleni niemieccy naukowcy, chcący u nas, na Słowiańszczyźnie, odbudować Trzecią Rzeszę. Za dużo głupich filmów człowiek się naoglądał za młodu. Bzdury wierutne. Tutaj jednak coś się działo. Wszystko to dałoby się wyjaśnić, ale na razie wiem zwyczajnie zbyt mało.

Po raz kolejny wsłuchałem się w nocną ciszę, podszedłem do drzwi. Ostrożnie uchyliłem, potem wyjrzałem na zewnątrz. Księżyc to wyglądał zza chmur, to znów się chował, wiatr gnał obłoki po niebie. Po raz ostatni rzuciłem okiem na szkielet nieznanej istoty, ścisnąłem w ręku nóż i przyświecając sobie latarką, ruszyłem dalej okopem.



W ogrodzeniu przy zamkniętej na głucho bramie Poligonu były też mniejsze drzwiczki,

prowadzące do dyżurki. W środku nie było nic ciekawego, za to przez zakratowane okno zobaczyłem duży wyasfaltowany plac i trzy ciężarówki z żelaznymi skrzyniami ładunkowymi. Okna i szyby w kabinach zasłonięte stalową siatką, solidna rzecz... Pomiedzy nimi stała duża wojskowa terenówka, oczywiście podobnie jak jej większe koleżanki na wrośniętych w asfalt sflaczałych kołach. Pod samochodami rosła trawa, przez drzwi jednego z nich wyglądały pędy niedużego krzewu.

Nieco dalej widziałem odchodzącą od placu drogę z betonowych płyt. Bez broni palnej, tylko z nożem w ręku, czułem się nie to, że bezbronny – ale wręcz bezradny. Wyszedłem na zewnątrz, powoli poruszając nadgarstkiem i rozgrzewając dłoń, ruszyłem skrajem drogi, rozglądając się uważnie dokoła. Po lewej stronie za niewysoką siatką ciągnął się porośnięty trawą placyk – boisko? – po drugiej stały parterowe baraki, a potem zobaczyłem większy budynek z murowanym gankiem i wysokimi, zakratowanymi oknami. Administracja, dowództwo, budynek szefostwa? Trzeba by zajść do środka,

rozejrzeć się. Tak w ogóle to moja droga z prefabrykatów idzie w stronę okręgu w centrum kompleksu, czyli musi być jedną z tych czterech promienistych. Zobaczę, co znajdę w administracji, a jeśli srebrnookie dzieci-karaluchy się nie zjawią, to pójdę dalej.

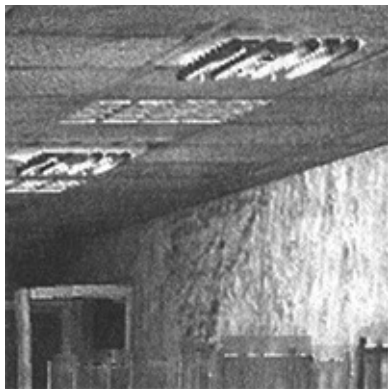
No tak, a gdzie ci z latarkami? Może mutanty ich dorwały? Ale wtedy by była strzelanina, krzyki, a nie słyszałem nic. No i pytanie: kogo tam widziałem? Oddział Rzeźnika i Halo czy kogoś jeszcze innego?

– Stój! – rozległo się od strony budynku. – Mam cię na muszce! Ręce do góry! I do drzwi idź, ale powoli!

Aha, czyli na jedno pytanie odpowiedź znalazła się sama: ten akurat głos znałem.

Rozdział czternasty

Srebrności



Powiedziałem, ręce do góry! – powtórzył

Wieprzu.

Dokładnie tak zrobiłem. Miałem już zamiar się przedstawić, ale Wieprzu dodał:

– Stój teraz, nie ruszaj się! Na krok się ruszysz, zastrzelę! Stój w miejscu, czekaj!

Aha, boi się, że jak podejść bliżej, to z okna z góry będzie mu niewygodnie strzelać, jakby co. No dobra, mogę i postać, poczekać.

Dało się słyszeć stłumione kroki, otworzyły się drzwi na dole, na ganek wyszli Szuter i Szary.

O ile ten drugi przyjął mój cudowny powrót zupełnie obojętnie, o tyle Szuter się ucieszył:

– A niech mnie, to ty! Jednak żyjesz... Powiem ci, nie spodziewałem się. Twardziel. Hej, to przecież Stas! Nasz myśliwy!

Rozległ się głos Rzeźnika:

– Tutaj go dajcie.

Weszliśmy do przestronnego holu ze schodami, na których zalegały jeszcze resztki dywanika, wspięliśmy się na piętro. Długi korytarz, szereg drewnianych drzwi... Szary popchnął jedno z nich, gestem pokazał: do środka.

Światło dawały trzy ustawione pionowo na stole latarki, oświetlając coś na kształt sali konferencyjnej – pod dalszą ścianą leżały zwalone na kupę krzesła, obok coś w rodzaju sceny z mównicą, stół prezydialny z ławkami, resztki zdjęć, godła na ścianach... Na jednej z ławek siedzieli Rzeźnik i Halo, przy jednym z okien stał Wieprzu, na parapecie drugiego leżał jego kaem. Gdy weszliśmy, Kaługa i Keczup wyglądali właśnie ostrożnie przez kraty, zabezpieczające drugie z okien. Pod ścianą siedział z zabandażowaną piersią Kuźma, trzymając na kolanach kałasza; błąd jak papier, widać było, że ledwo ciągnie. Jeśli szybko nie trafi przynajmniej do lazaretu, to

po nim. I dobrze.

– Stas! – zawołał nieustannie żujący coś Kaługa. – Dałeś radę! Kolego mój sympatyczny, jak ja się cieszę, że cię widzę!

Wytarł usta wierzchem dłoni, chciał coś powiedzieć, ale Rzeźnik uciszył go gestem. Herszt bandy wstał, stanął na skraju podwyższenia i zapytał, świdrując mnie wzrokiem:

– Gdzie się podziewałeś?

– Wypadłem z zakrętu na ścieżce.

– Co, jak wyścigówka? Wzięłeś i se wypadłeś?

– „Se”? – Uniosłem brwi. – Pod ostrzałem, we mgle, w biegu nie wiadomo dokąd i po co, na wąskiej ścieżce...? No nie no, wiesz co? Faktycznie, tak „se” pierdolnąłem w bagno, jakoś mnie ochota tak naszła. Do czego w ogóle pijesz, bo nie rozumiem?

– Faktycznie, tam był taki ostry zakręt – wtrącił nasz chrobry Polak. – Jak Stas zniknął, to akurat tam byliśmy, pamiętacie?

Rzeźnik jak gdyby nie usłyszał, wypytując dalej:

– Założmy. Co dalej?

– Dalej zablądziłem, twoja mać, na

bagnach. Wylazłem na wysepce jakiejś, mutant na mnie napadł, cholera wie, co to było.

– Alineczki naszej nie spotkałeś? – zapytał Halo.

– Tylko słyszałem krzyk we mgle. Pomocy wołała, nawet w tamtą stronę poszedłem, ale tam... No, krótko mówiąc, sam się ledwo wyratowałem, nie do baby mi było.

– Ech, szkoda dziewczyny! – Halo pokręcił głową.

– No i...? – ponaglił Rzeźnik. – Dalej!

– No, jak słońce wstało, to drogę znalazłem, a potem już prosto tutaj.

– Tutaj – czyli gdzie? – podniósł głos. – Skąd wiedziałeś, dokąd iść?

Zdziwiłem się:

– Jak niby „skąd”? Przecież cały czas szliście na północny wschód, biorąc lekko na wschód. Mnie tam wszystko jedno, i tak w tym kierunku przecież szedłem. Tam na początku taka pustosz była, potem równina... Jezioro tam było, to się umyłem, potem do jakiegoś muru doszedłem, to po drzewie się wspiałem. No, po gałęzi drzewa mutanta, tam takie jedno wielgaśne wyrosło, przy samej

ścianie. Nawet ja takiego jeszcze nie widziałem. I tyle.

– A tamte z oczami srebrnymi widziałeś? – znowu wtrącił się nieokiełznany Kaługa, wkładając do ust kawałek czarnej czekolady.

– No ba! – przytaknąłem. – Ależ paskudy! Akurat koło dziury byłem, przy płocie, tym, co strzelnicę odgradza czy jak to tam... no, poligon ćwiczebny. A one na mnie, huzia! No to ja w tę dziurę – myk! Potem przesiedziałem w jakiejś ziemiance, aż se poszły.

– My też tutaj przez nie trafiliśmy – wyjaśnił Kaługa. – Szliśmy sobie ulicą, aż tu nagle tamte się pojawiają. Chłopcy już się do broni rwali, ale im wytłumaczyłem, że lepiej się schować.

– Wystrzelać je trzeba było – burknął Wieprzu od okna. – Co do jednego by się położyło na otwartym terenie. Już lepiej na ulicy z mutantami się strzelać, niż tutaj siedzieć jak szczury.

– Szczury siedzą w norach i piwnicach – słusznie zauważył Kaługa. – A my tutaj jak biali ludzie w pomieszczeniach wentylowanych kulturalnie siedzimy.

Zdawało się, że Rzeźnik jest mniej lub

bardziej zadowolony z odpowiedzi. De facto nie kłamałem... Splunął na podłogę, rzucił kolejne pytanie:

– Kogo po drodze widziałeś?

– Może tych na przykład, co nas przy Gniłówce napadli? – dodał Halo.

– Nikogo nie widziałem. – Wzruszyłem ramionami. – Słuchajcie, weźcie mi lepiej jakąś giwerę dajcie. Nóż mi tylko został.

– Masz. – Halo pokazał głową na siedzącego pod ścianą Kuźmę. – Z niego i tak żaden teraz pożytek.

Zdawało się, że tamten śpi, ale na te słowa uchylił oczy, mruknął:

– Automatu nie oddam.

– No weźcie no... cokolwiek.

Kuźma sięgnął do kieszeni, podał mi makarowa. Taki złom... No ale darowanemu mutantowi w zęby nie zaglądataj, wziąłem pistolet, wyciągnąłem magazynek, sprawdziłem: sześć kulek.

– Masz zapas?

Kuźma znów przymknął oczy, ignorując mnie zupełnie. Przeszedłem się po sali, zatrzymałem przy stercie mebli, odwróciłem:

– No dobra, to co dalej? Siedzimy tu,

czekamy... a potem?

– Jak dla mnie, to możesz już się stąd zbierać i nie wracać – odezwał się Halo. – Twoja robota skończona. Po co w ogóle za nami laźles?

– No, a moje pisiont rubelków? Jak skończona, to rozliczyć się wypada.

– Daj mu – powiedział Rzeźnik. – Rozlicz nas.

Kuźma, nie otwierając oczu, dodał:

– Dychę potrać za pistolet.

– Dziesięć rubli za takie starzywo? – oburzyłem się. – Siedem, nie więcej.

Halo zaczął grzebać w torbie, tymczasem Kaługa rozejrzał się pytająco.

– Koledzy, czy mam rozumieć, że ja też mogę już ruszyć w swoją stronę? No bo rozumiecie zapewne, że wtedy was tutaj... zaraz, ilu...

– Siedmiu – odpowiedział Szuter.

– Otóż to! Siedmiu za ledwie zostanie, przy czym jeden w stanie, że tak powiem, dysfunkcyjnym. Czyli sześciu i pół. Nawet i jedna trzecia. Myślicie, panowie, że bez nas dacie radę i naprawdę nie jesteśmy już potrzebni?

Halo i Rzeźnik wymienili spojrzenia. W tej sytuacji dwóch zbrojnych by im na pewno nie zaszkodziło. Byłem przekonany, że zaproponują nam, żebyśmy zostali, już nawet zacząłem oceniać, ile sobie za to krzyknąć, żeby wpasować się w rolę interesownego chłopka z błotka, ale Rzeźnik uciął krótko:

– Nie jesteście, spadajcie.

Halo jakby tylko na to czekał, bo zaczął przekładać z ręki do ręki monety.

Czyli muszą być naprawdę niedaleko celu, skoro Rzeźnik jest pewny, że nie będziemy już konieczni. Powstaje zatem pytanie: czy pozwolą nam odejść? Kaługa i ja doskonale wiedzieliśmy, dokąd zdążali bandyci. Może nie znamy konkretów, ale byliśmy w miejscu, gdzie rzeczony cel się znajduje. Szybko otaksowałem salę wzrokiem; tutaj raczej strzelaniny nie będą wszczynać, bo obydwaj mamy broń, stoimy po dwóch stronach pomieszczenia, blisko ludzi Rzeźnika. Jeżeli otworzyć teraz ogień, to w przeciągu kilku sekund większość obecnych będzie martwa albo ranna. Ale jak wyjdziemy z budynku – nic prostszego, jak wypuścić nas na otwarty teren i rozwalić z okna.

Ja nie miałem zamiaru bynajmniej odchodzić zbyt daleko... ale mogą pójść z nami i zwyczajnie strzelić w plecy w wyjściu.

– Łap! – Halo rzucił mi nieduży przedmiot. Złapałem sztabkę złota w locie, zważyłem w rękę. Pocmokałem, udając, że się zastanawiam, kiwnąłem:

– Styknie.

– O tym miejscu ani pary z gęby! – pogroził palcem Halo. – Słyszeli, gajowi? Ostrzegam lojalnie, powiecie komuś, to łeb odstrzele.

– Ależ gdzie tam, kolego sympatyczny! – Kaługa rozłożył ręce. – Będę milczał jak ryba bez pyska! Słowa ze mnie przemocą nie wyciągniesz. No, przecież sam wiesz, nie? To co, Stas, idziemy, co? Ty od tamtej strony szedłeś, jak ta wieżyczka jest przy murze? No, to może tam nockę spędzimy, a potem...

– A ja to tak myślę, że lepiej będzie nocą stąd dalej odejść – odparłem.

Ruszyliśmy ku drzwiom, a ja widziałem, że Rzeźnik nas obserwuje spode łba. Nie ma szans, żywymi nas nie wypuści. Jak tylko wyjdziemy z budynku, trzeba dać dyla w prawo, schować się w krzakach przy hangarze, a Kaługę jakoś ostrzec, że tamci

nas chcą wykończyć. Albo może już to do niego dotarło? Z jego nalanej twarzy pokerzysty z wytrzeszczonymi oczami nie szło nic wyczytać. No tak, więc trzeba będzie przyczaić się pomiędzy hangarami, a potem improwizować. Najlepiej odczekać, niech tamci myślą, że daliśmy nogę, potem pójść za nimi, żeby w końcu określić konkretnie, dokąd idą. Co prawda i tak podejrzewałem, że będzie to czarny krąg w centrum kompleksu, powiem więcej: nawet miałem swoje przypuszczenia co do tego kręgu. A jeśli miałem rację... No, to niezła podróż się rysuje!

Byliśmy już z Kaługą w drzwiach, gdy nagle w oknie, przy którym stał Wieprzu, pojawiła się sylwetka, błysnęły srebrne ślepia...

– Aaaa, kurwa maaać! – wrzasnął wielkolud, złapał za karabin i pociągnął serią. Mutanta dosłownie zdmuchnęło z parapetu. – Uwaga, jest ich więcej! Do środka leżą!

Halo poderwał się gwałtownie, Rzeźnik zeskoczył z podwyższenia, Kuźma zaczął przebierać nogami, próbując się podnieść. Szuter i Kecup, którzy zdążyli odejść od drugiego okna, runęli z powrotem, przepychając się i klnąc. Kecup przypadkiem

tracił nogą latarki, jedna trzasnęła i zgasła, druga potoczyła się gdzieś, kręcąc i rzucając zwariowane cienie na ściany.

– Po ścianach! – ryknął Wieprzu, wychylając się ze swym kaemem przez okno i prując wzdłuż muru. – Po ścianach włącz!

Coś pojawiło się w oknie dokładnie nad nim, po czym wielkoluda wyrwało z pomieszczenia jak korek z butelki. Stuknęła o futrynę kolba karabinu, zatrzepotały nogi w wielkich butach i Wieprzu zniknął.

Coś wpadło do środka, skoczyło wprost na latarki, gasząc kolejną i jeszcze dalej popychając tę kopniętą wcześniej. Światło zatańczyło, zamigało, aż zaboląły oczy... Uderzyłem w drzwi barkiem, wypadłem na korytarz.

Echo niosło po całym budynku odgłosy strzałów i krzyki. Coś uderzyło w ścianę sali, rozległ się stłumiony skowyt, nagle znów odezwał się karabin Wieprza, ale innym tonem, z oddali... Z zewnątrz! Ale jak to, spadł z piętra – i przeżył?! Przecież ewidentnie wali z kaemu, i to poza budynkiem!

W trzech susach dopadłem szerokich

schodów, biegnących w górę i w dół. Za mną huknęły drzwi, korytarz wypełniły odgłosy strzelaniny, wrzaski i przekleństwa, potem ktoś zawył wysokim głosem, ale nie byłem w stanie określić kto.

Karabin ucichł. Gdy dobiegłem do półpiętra, nade mną mignęły ślepie, przeskoczył cień... Popędziłem w dół, już teraz rozumiejąc, że nie zdążę wybiec z holu, bo mnie dorwie! Zatupały czyjeś nogi, ktoś jeszcze biegł za mną, ale nie miałem czasu patrzeć, bo mutant skoczył z poręczy, nie trafił, potoczył się w dół po stopniach, poderwał. Do drzwi było zbyt daleko, a ten stwór jest już na dole. Dopadnie mnie jak nic! Złapałem się słupka na końcu poręczy, zawinałem ostro w bok, skacząc w ciemny trójkąt pod schodami, w którym w locie dostrzegłem jaśniejszy prostokąt drzwi. Byle nie były zamknięte! Ostatnio przynajmniej z drzwiami mam szczęście, chociaż brakowało mi go w innych sprawach!

Były otwarte. Wpadłem w nie z pełnym impetem, poleciałem dalej, mutant odbił się od futryny i wpadł na mnie z tyłu. W ostatniej chwili zarejestrowałem cień, strzeliłem przez ramię, huknęło – musiałem trafić, bo odgłos

był głuchy, ale mutant nie krzyknął, nie zawył, nawet nie zwolnił, skoczył na mnie, złapał długimi łapami. Poleciałem na ziemię, przetoczyłem się, siedzący na mnie stwór, nawet nie biorąc zamachu, uderzył pięścią prosto w twarz. Niech to sto leśnych diabłów, co to za mutant, co boksować się umie...?!

Ostry niczym brzytwa szpon rozdarł mi policzek, bryznęła krew. Jedną rękę przyciskał mi do boku stwór swoim kościstym kolanem, druga była wolna, więc uderzyłem go – raz! drugi! Sięgnąłem po nóż, nie mając szczególnej nadziei, że zdążę, bo był za nisko, na udzie, stwór rzucił się i wił. Ogromne, owalne oczy świeciły niczym rtęć, a pośrodku widać było malutkie, czarne źrenice...

Zaterkotał pistolet maszynowy. Źrenice mutantą rozszerzyły się, najpierw przyjmując rozmiar monety pięciokopiejkowej, potem żelaznego rubla... Stwór osunął się mordą prosto na moją twarz, po jego plecach i łbie ciekła lepka, gorąca jucha.

– Panie bracie, żyjesz?! – Ktoś szarpnięciem ściągnął ze mnie to monstrum, odwłókł do tyłu i wyrzucił na korytarz, potem huknęły zatrzaszkiwane drzwi.

Zapaliła się latareczka w ręku Kaługi, który poświęcił na mnie; plułem, prychałem i wycierałem z twarzy krew mutanta rękawem. Rozcięty policzek szczypał niemiłosiernie. Światło zatańczyło po pomieszczeniu, wyciągając z mroku ustawione przy ścianach stelaże, trzy stoły, zasłaną papierami podłogę, zeszyty, dzienniki i teczki.

– Drzwi zamknij! – wychrypiałem. Nie trzeba było się odzywać, z policzka poleciała strugą krew, niemalże czułem, jak bokiem ucieka mi z ust powietrze. Kaługa zaświecił ku wejściu. Na drzwiach nie było rygla, zamiast tego duży, centralny zamek.

– Oho-ho, tutaj sztaby w futrynę idą! Żeby tylko... chciało... – Wsadził latarkę w zęby, zaczął czymś kręcić, potem głucho szczęknął metal. – Eureka! Teraz będziemy tu siedzieć jak dzin w butelce... Oj, napiłbym się, swoją drogą, dobrego dzinu. Trzy kule mi zostały, jedna wolna, po jednej dla każdego z nas... Co u ciebie?

Przykucnął koło mnie, poświęcił na twarz. Mlasnął językiem, pokręcił głową.

– Aj, aj. Złą nowinę mam, panie bracie: facjatę ci mutant popsuł. Zaszyć by się zdało, i

to szybko.

– Wiem – wymamrotałem przez zęby, wsunąłem rękę do jednej kieszeni, do drugiej. Rękawiczki są, nawet mydło jest, a gdzie mój podarek od bagiennych ludzi? Zgubiłem czy co... nie mógł przecież... Jest!

Wyciągnąłem zawiniątko z kory, otworzyłem, zamoczyłem palec w roślinnej mazi, która na szczęście jeszcze nie wyschła. Nabrałem głęboko powietrza, zacisnąłem oczy. Przeciągnąłem palcem po ranie.

Z początku nie czułem nic. Potem takie wrażenie, jakby do rozciętej twarzy ktoś przyłożył mi ssawkę. Długą, cienką, lodowato zimną. Przyłożył na całą długość rany i docisnął.

– Ej, co robisz, koleżko? – zainteresował się Kaługa.

Milczałem, zaciskając zęby. Chłód wzrastał się, narastał do granic wytrzymałości i dalej, skórę na policzku ściągnęło, włosy na głowie zaczęły mi stawać dęba, zakreśliło mnie w nosie, potwornie miałem ochotę kichnąć, ale powstrzymywałem się z całej siły, bo wiedziałem, że jak teraz kichnę, to twarz mi pęknie aż do samego ucha... A potem chłód

zaczął ustępować, a razem z nim zniknął ból. I nagle – nic nie bolało! Ale jak to? Nic a nic, czy to możliwe?

Rozległy się kroki, pod powiekami zatańczyły jaśniejsze plamy światła – to Kaługa wstał i odszedł, świecąc sobie latarką. Wkrótce zza moich pleców rozległ się jego głos:

– Dobra, trudno: nie chcesz, nie mów. Ale tak rozumiem, że to jakaś maść superhipermagiczna, tak? Z artefaktów? Czy w ogóle z ziół z głębin Lasu? Słyszałem, rozumiesz, że na Skraju takie umieją warzyć.

Otworzyłem oczy, mrugnąłem kilka razy, otarłem łzy. Wystrzały były o wiele cichsze niż wcześniej i jakoś bardziej tak... rytmiczne. Jak gdyby ludzie zabarykowali się gdzieś – może w innym pomieszczeniu, gdzie wszystkie okna są zakratowane, a może w ogóle w składzie jakimś – i stamtąd planowo, bez pośpiechu strzelają do próbujących podejść stworów. Podniosłem się z podłogi, ścisnąłem głowę rękami.

– Gdzie jesteście?

Kaługa nie odpowiedział, zajęty wyciąganiem jedna po drugiej szuflad ze

stojących pod ścianą biurka. Gdy się odezwałem, policzek zabolął nieznacznie; lepiej będzie teraz oszczędzać słowa i nie bawić się w nadmierną mimikę twarzy. Sięgnąłem za pazuchę. Od całego tego biegania zeszyt Ziellarza spadł mi aż w majtki, więc wyciągnąłem go stamtąd ostrożnie, żeby nie porwać, zwinąłem w rulon i schowałem do kieszeni. Rzemykiem by obwiązać albo sznurówką... Podszedłem do wiszącego na ścianie lusterka, zawołałem do Kaługi:

– Panie Polak, poświeć pan!

Ten skierował na mnie światło latarki. Popatrzyłem na swoje odbicie w wiszącym nad żółtawą umywalką brudnym lustrze. Przypomniało mi się powiedzonko, że rzekomo jak cię widzą, tak cię piszą. No, lepiej się tego nie da ująć: mocno zszargany przez życie, wychudły włóczęga o zapadniętych policzkach i podkrążonych oczach. Brudny, nie pamiętam jak od dawna nieogolony. Oczy błyszczą lekkim szaleństwem i deprivacją snu, do tego ciemnozielona maziara na policzku... Kaszka z bagien przynajmniej dobrze tamowała krew, bo już się nie lało, ale szyję i kurtkę miałem czerwoną. Przetarłem czoło, przegarnąłem

włosy, zebrałem ślinę i splunąłem krwawą plwociną w odpływ. Odwróciłem się do Kaługi, przysłaniając oczy od światła, i powtórzyłem:

– Co to za miejsce?

– Ano, panie bracie – odpowiedział Kaługa, rozglądając się w zadumie. – Jak się nietrudno koledze sympatycznemu domyślić, jesteście w archiwum. A jeżeli tak jest, a jestem pewien, że właśnie tak jest... no, wystarczy na stelaże spojrzeć... to w takim razie pojawia się realna szansa, żeby w końcu się chociaż trochę zorientować, dokąd też nas leśne licho zaniósł.



– Wrzuć na luz, kolego po fachu – doradził Kaługa. – Życie jest krótkie i pełne zasadzek, więc warto przeżyć je w spokoju i radości.

Przechadzałem się po archiwum szybkim krokiem, co i rusz spoglądając na zamknięte drzwi. Co też może się za nimi dziać? Już dobrą godzinę panowała zupełna cisza. Kto wziął górę? Mutanty załatwiły ludzi czy jednak ludziom się udało? Po tym jak ścichła kanonada, długi czas jeszcze słychać było pojedyncze wystrzały. Wydawało mi się, że

echo niesie je z drugiego końca budynku, ale z za zamkniętych drzwi archiwum ciężko było cokolwiek stwierdzić na pewno. Rzeźnik – co z nim, żyje? Jeśli tak, to czy nadal jest tutaj, czy też zbliża się już do ostatniego przystanku na swej drodze? Wypadałoby wyjść, ale strach. Kałudze zostały trzy naboje, mnie o jeden więcej.

Myśliwy znacząco podniósł palec ku sufitowi archiwum.

– Zaprawdę, zaprawdę, powiadam ci, Stas: trzeba umieć się zrelaksować w dowolnej sytuacji. I mówię ci to teraz nie ja, prosty myśliwy pan Kaługa, ale to mądrość wieków przemawia złotymi usty memi. Jest czas na pracę, a jest i czas na luzik. Czas na luzik właśnie ogłaszam za rozpoczęty, odliczanie dwie godziny, start. W ramach pierwszego etapu luziku – wyżera. Sroga wyżera. No już, panie bracie, wyciągaj żelazne rezerwy, bo oto nastąpiła godzina najczarniejsza z czarnych!

Z tymi słowami Kaługa rozwiązał celofanową torebkę, którą wyciągnął z kieszeni na udzie, i rozwinął leżącą w niej gazetę. Okazało się, że miał tam kawałek czarnego chleba i pół pętka pachnącej dymem

wędzonej kiełbasy.

A potem zaczął wyciągać z niezliczonych kieszonek i schowków inne torebki i zawiniątka. Podszedłem do stołu, żeby lepiej widzieć otwierające się przede mną kulinarne misterium. Ot, obrotny Polaczek! Nawet to, że Kaługa nie tak dawno przesiedział pół dnia w błocie, nie uszczupliło jego rezerw, jako że w zasadzie wszystko było pieczołowicie pozawijane w co najmniej jedną foliową torebkę, część jeszcze dodatkowo chroniły woreczki strunowe i folia. Skubany, całą tę drogę taszczył na sobie pół spiżarni?! No, daje nieźle! Wkrótce na stole obok chleba i kiełbasy pojawiła się nieduża flaszka-małpeczka, kilka małosolnych ogóreczków, mocno pomarszczonych, ale dorodnych, połec wędzonej szynki, zielony pieprz, żelazna solniczka w kształcie czerepu mutanta, w której sól sypała się z tuzina małych oczodołów, do tego torba orzechów, tabliczka ciemnej czekolady w sreberku i połówka dużej, soczystej cebuli, na sam widok której pociekła mi ślinka.

– No, widzę, że kolega siedzi i zawija w sreberko... – wycodziłem przez zęby, starając

się nie poruszać mięśniami i nie niepokoić świeżej rany.

– Przewrotny zawsze ubezpieczony – pokiwał radośnie Kaługa. – A ja, kolego sympatyczny, lubię sobie co nieco w drodze przegryźć. Tu coś złapię, potem kilometr przejdę, to znów coś chapnę... No więc, rozumiesz, musi pod ręką być, żeby czasu nie tracić. A szanowny kolega, jak rozumiem, klepie żywieniową biedę?

Rozłożyłem smętnie ręce, ale potem mruknąłem:

– A chociaż, czekaj... – I wyciągnąłem z kieszeni bulwę.

– A cóż to za cudo? Pierwsze widzę i się dziwuję... Warzywo czy owoc, bo szczerze mówiąc, nie wiem?

– Sam nie mam pojęcia.

Kaługa przysiadł półdupkiem na skraju biurka, sięgnął po podarowane mi przez bagiennych ludzi owoco-warzywo, pokręcił w rękę, powąchał.

– Kolega jest pewien, że to jadalne?

Rozsiadłem się na rozeschniętym krześle.

– Dwa już takie zjadłem i żyję. Nawet nieźle smakuje. Szybko syci, żołądka nie rozwała.

– Hm. A jak ci w ręce wpadło?

– A tak, przypadkiem.

– I rzekł Bóg do Adama: płodów z drzewa zmutowanego nie jedz, bo skutkuje to wieloma zabawnymi dolegliwościami – oświadczył myśliwy z poważną miną. – To co, na pół?

– Czyń honory – przyzwoliłem.

Położył bulwę na stole, wyciągnął nóż, przymierzył, żeby jednym ruchem przeciąć na dwoje, ale powstrzymałem go:

– Nie tak. Sok wyleci, daj.

Wytarłem mój nóż o spodnie, ostrożnie uciałem końcówkę bulwy – hm, bulwa, czyli jednak warzywo? – wydrążyłem dziurkę, pociągnąłem łyka i podałem Kałudze.

– Wypij resztę, potem możesz przeciąć. Tam jeszcze w środku jakby orzeszek jest, nie wiem, co z nim zrobić. Już dwa takie mam w kieszeni, trzeba by jakiemuś botanikowi dać do badań.

– Warzywa mają pestki, nie orzechy – poprawił mnie Kaługa i przyssał się do bulwy. Cmoknął, zamruczał, pokiwał głową, wyssał resztkę... Potem przekroił owocowarzywo na pół, jedną połówkę przesunął w moim

kierunku, a drugą ugryzł i zaczął przeżuwać.
Jego pyzata twarz przyjęła wyraz zadumy.



– Jako potomek długiego rodu sommelierów rzecz muszę... interesujący smak. Bogaty bukiet, ciekawe nuty... zabawne... hm, hm, ciekawe... Taaak. – Przełknął, pod warstwą tłuszczu na szyi przesunęła się grdyka. – Zaiste, ta przekąska zaostrzyła mi apetyt. Przystąpmy zatem do części zasadniczej uczty. Smacznego.

No, jedzenie szło mi średnio, jako że z aktywnym przeżuwaniami miałem problem, więc zjadłem ledwo-ledwo, a czerstwego chleba nawet nie ruszyłem, bo widać było, że wysechł na podeszwę. Kaługa natomiast wciągał wszystko jak odkurzacz. Popiłem wodą z manierki, odchyliłem się na krześle i po raz nie wiem który zerknąłem na drzwi. Oj, trzeba by iść, trzeba... Ale i posiedzieć tu nie zawadzi. Ryzyko to nie żadna odwaga, a głupota. W sensie – głupotą jest po prostu podejmowanie ryzyka, którego wcześniej się nie przeliczy. A teraz czas działał na naszą korzyść, więc w archiwum jeszcze trochę posiedzimy, mimo że chciałoby się już teraz otworzyć drzwi i popędzić na poszukiwanie Rzeźnika. O ile, rzecz jasna, było jeszcze kogo szukać.

Kaługa kulturalnie odbeknął, przykrywając kokieteryjnie usta ręką, po czym zaczął zawijać resztki naszego pikniku z powrotem w kolejne warstwy folijek.

Rozejrzałem się po pomieszczeniu. Na biurkach i podłodze zalegała ogromna ilość dokumentów. Jakiś czas poświęciliśmy na przejrzanie ułamka procenta z nich, przekopaliśmy szuflady, sprawdziliśmy segregatory, ale w sumie nie natrafiliśmy na nic ciekawego. W większości były to listy personelu, wykazy przychodów i rozchodów, porywające dokumenty typu kp, kw i fv, protokoły dostaw materiałów, wyżywienia dla stołówki, konserw, kaszy, makaronu, oleju słonecznikowego, chleba... I sążniste listy chemikaliów, wyposażenia laboratoriów i sprzętu elektronicznego. Nazwiska, imiona, numery ewidencyjne, słowem – przerażająco nudna księgowość, finanse i zarządzanie, niemówiące kompletnie nic o przeznaczeniu całego kompleksu. Zatem suma informacji wyłącznie potwierdziła to, co i tak było widać na pierwszy rzut oka: tak, drogi Watsonie, jesteśmy w wojskowej bazie naukowej. Ale czym zajmowali się ongiś służący tu ludzie,

poza tym, że jedli, spali i wydalali, zmieniali buty i bieliznę oraz zużywali potworne ilości benzyny i ropy, generalnie napędzając maszynę wojskowej biurokracji i papierologii – nie było wiadomo. Chociaż jedna z notatek przykuła moją uwagę, jako że dotyczyła „kwaterunku obiektów doświadczalnych”. Pomimo celowego uprzedmiotowienia słowo „kwaterunek” używane jest w stosunku do... – no właśnie.

Wiele z papierów było oznaczonych tą samą pieczęcią. Jakkolwiek tusz wyblakł, a latarka ledwo bzdziła, to daliśmy radę odcyfrować: KIB0-3.

– Kibo... Kiiibo... Kibooo... – powtarzał i tak, i owak Kaługa. – Co to, do tuzina i jednego mutanta, ma być? Może coś z „Komendą”, skoro to wojsko?

– Aha, że niby wku? A dalej co?

– No, tego... – Poruszał ustami. – Komenda Inicjatyw... Branych... Nie, poczekaj chwilę. Komenda... Internet. Instagram. Ikebana. Iiiinkluzja... Ischemia. O, już mam! Komenda Instalowania Bezwstydných...

– Oblechów – dokończyłem.

– Nie, nie, jakich oblechów! – Zamachał

rękoma. – Żarty na bok, to poważna sprawa!

– No właśnie widzę.

– Bardzo poważna!

– Więc jak, powiadasz? Internet, Instagram i bezwstydnym? – Pokiwałem głową. – Aż się boję pytać, panie Kaługa, kim pan był przed Pandemią. A tak w ogóle... no nie wiem, Kaługa, ile ty masz lat? Ode mnie raczej dużo starszy nie jesteś, więc powinienem zapytać: co studiowałaś?

– Programowanie – westchnął. – Już w zawodzie pracowałem, jak wszystko szlag trafił. Jestem, że tak powiem... no, wcześniej zacząłem. Tylko bez tych głupich uśmiezków proszę! Jak miałem czternaście lat, to już napisałem pierwszy pełnowymiarowy program. Potem jeszcze kilka, trochę skryptów... Część nawet się nieźle sprzedała. Teraz to funta kłaków niewarte, a wtedy, że tak powiem, talent miałem w palcach. Wyobraź sobie, nawet Google do mnie pisało! Ej, mówiłem przecież, że powaga... Nawet byłem na pierwszym etapie rozmów selekcyjnych. Ech. To se ne vrati, pane Havranek... Przeminięło, że tak powiem, z bombami. A co do tego kibo – zabij, nie wiem.

O! Hej, słyszałeś? Albo mi się zdawało, albo znów ktoś strzelał?

– Nic nie słyszę...

– Nie? No trudno. Ściany grube, drzwi w ogóle pancerne, dźwięk słabo się niesie. A mutanty tamte to cichociemne koleżki, panie dzieju. Jeśli nawet po holu łążą, żaden z nas nawet nie usłyszy...

– Wyłącznie dlatego jeszcze tu siedzimy – warknąłem.

Niestety, wychodziło na to, że żaden z nas nie przyjrzał się porządnie mutantowi, który prawie mnie pochłastał przy drzwiach. Myśliwy mówił, że widział tylko coś włochatego, ale nie za bardzo. Całkiem spore, ale nie za duże. Jak rozumiecie, na wiele mi się taka diagnoza nie przydała.

– Temu, co skakał, to wsadziłem trzy kule prosto w potylicę – pochwalił się, gdy rozmowa zeszła na ten temat. – Więc, panie dzieju, trup powinien zaraz przy drzwiach leżeć... No chyba się z taką dziurą nie odczołgał, co?! Więc posiedzimy tu jeszcze trochę, panie kolego, a jak się upewnimy, że w budynku jest pusto, to wyjdziemy i sobie na niego popatrzymy na spokojnie. W końcu

przynajmniej się zobaczy, co to za jeden i z czym go jeść.

Zamyśliłem się nad tym wszystkim... i aż podskoczyłem, gdy Kaługa wypalił:

– Kryzysowy Instytut!

– Jezu...! Nie drzyj się. Że co?

– Mówię przecież: ten skrót, kibo. Kryzysowy Instytut... tylko jeszcze by to B... Co by pasować mogło? Pomóż, no pomóż!...

– Badania – rzuciłem.

– Że jak? Weź usta otwieraj, kolego sympatyczny, bo nie rozumiem.

– Badań... Instytut Badań...

– To znaczy, że kibo to Kryzysowy Instytut Badań... Orga...

– Milcz. – Podniosłem rękę. – Ani słowa więcej.

– No wiesz co...? – skrzywił się z urazą. – „Organicznych” chciałem powiedzieć. Kryzysowy Instytut Badań Organicznych.

– Nie, chyba nie kryzysowy jednak, coś innego musi być. Ale „Instytut Badań” na sto procent. Chociaż to O... Też mi to nie pasuje.

– A zauważ, że na pieczęci stoi właśnie kibo-3 – dodał Kaługa. – To znaczy, że jesteśmy na trzecim obiekcie tego typu. A ile

ich było? Kto wie, kto wie... Może cała masa. Stas, posłuchaj, a jak ty się w ogóle w tę kołomyję wplątałeś?

– Wzięli mnie na przewodnika, bo co?

– Ależ jasne, oczywiście. A mnie na lokaja i francuską pokojówkę. Kolego sympatyczny, no przecież patrzyłem i na ciebie, i na nich! Myślisz, że oko nie widzi, jak na nich czasem spojrzysz? A raz już jak Rzeźnik plecami do ciebie stanął, to tak mu spojrzalesz w potylicę, że... brrr! Jakbyś mu gotów był mózg łyżeczką wydłubać.

– Słusznie, dobrze, że przypominasz – odbiłem piłeczkę. – A dziewczynie nóż po co dałeś?

Wywalił na mnie te swoje wielkie gały.

– A ty skąd wiesz?

– Ano stąd, że ją jednak spotkałem na bagnie. Razem stamtąd wyszliśmy, potem renegaci się napatoczyli, więc ona do swoich poszła, a ja tutaj.

– Czyli renegaci gdzieś niedaleko są?

– No, relatywnie niedaleko. Mogą wpaść w gości, jeśli o to pytasz.

– Dokładnie o to. A nóż... Nóż jej dałem, bo mi się szkoda dziewczyny zrobiło. Trafiała w

łapska tych rozbójników spod ciemnej gwiazdy, rozumiesz, jak kurczątko między lisy. A co, masz coś przeciw?

– Ależ, gdzieżbym śmiał. Uciekła dzięki tobie, i bardzo dobrze.

Kaługa parsknął, pokręcił głową.

– Ot, jak gładko rozmowę na inny tor przeniosłeś, kolego. A ja będę do swego ciągnął, rozumiesz, więc powtórzę: żaden z ciebie zwykły przewodnik, to ja już czuję w kościach. Więc może jednak powiedz, co i jak u was, he?

Kaługa był przydatny jako sojusznik. W ogóle był, jak to ujęła Alina... porządnym człowiekiem. No, może trochę zbyt gadatliwym i egzaltowanym, ale na pewno porządnym. Może i nawet godnym zaufania. Do tego jeszcze to, że akurat obydwaj tu siedzimy...

– Rzeźnik i jego ludzie zabili mojego towarzysza, Michaiła – powiedziałem. – Torturowali go. Chcieli coś z niego wyciągnąć. Przed samą śmiercią prawie dałem radę go uratować... Prawie. Umarł, ale zdążył powiedzieć mi o jakimś Poligonie Śmierci. Tak myślę teraz, że to musiał być ten, który

mijaliśmy. Widziałeś na pewno, z miniaturowym czołgiem. Po śmierci Michaiła bandyci szli tutaj, jak po sznurku, bo on jeszcze przed Pandemią był jakoś z tym kibo powiązany. Tak mi się w każdym razie wydaje. Poszedłem za nimi, żeby wyjaśnić... i się zemścić. Po drodze spotkali się z Halo i jego żołnierzami, potem szedłem za nimi.

– Zaraz, zaraz. Przecież byłeś ich przewodnikiem?

– Wkręciłem się na krzywy ryj przy skraju bagna. Ciężko było za nimi iść, więc zdecydowałem, że jak nie tak, to inaczej... Wydrę prawie im pod nosem odstrzeliłem, no i zrobiłem z siebie bagiennego myśliwego.

– Siła i moc! – zachwycił się Kaługa. – Jak w powieści sensacyjnej. A ja, popatrz sam, kolego sympatyczny, nie mam takich opowieści awanturniczych. Ot, faktycznie jestem myśliwym i po trosze znajdowaczem, bo artefakty zbieram. I szukam ciągle, rozumiesz, żeby było nowe. Inne, nieznanne. Nietypowe. A marzenie mam takie, żeby znaleźć Główny Artefakt.

– A to co znowu?

– No, taka teoria robocza. Popatrz: musi być

gdzieś na świecie Główny Artefakt. Taki supermegauniwersalny. Który może wszystko to, co robią te małe, i jeszcze więcej.

– Nie no, weź poczekaj. – Podrapałem się po policzku, który zaczynał boleć od gadania. – Właściwości dowolnego artefaktu po jego włączeniu są stałe i niezmiennie, dopóki się nie zepsuje... no, nie rozładuje. Więc ten twój Główny Artefakt to co, jednocześnie miałby i dźwięki tłumić, i promieniowanie wyciągać, i krew tamować, i metabolizm przyspieszać, i wszystko to naraz? Nie za grubo trochę? A jeśli, na ten przykład, nie chcę tłumić pola elektromagnetycznego, tylko ranę wyleczyć, to co – i tak mi popsuje całą elektronikę?

– Czepiasz się kazuistyki, kolego sympatyczny. Ja myślę, że można będzie nim sterować. Jedną funkcję zainicjować, inną podregulować, wygasić... No bo jak się przeważnie artefakt aktywuje, co? Ścisnąć trzeba. A ten Główny Artefakt trzeba będzie i ścisnąć, i pogłaskać, i tu palcem przejechać, i posmyrać, a on będzie robił to, co chcemy.

– Oj, panie informatyk, znów się zagalopowałeś. Co to, artefakt jak kobieta? Nie, coś głupoty gadasz.

– Głupoty albo i nie głupoty, a i tak twierdę, że gdzieś tam istnieje Główny Artefakt. I jestem więcej niż pewien, że skrajowcy będą o nim wiedzieć, więc już dłuższy czas się do nich wybieram. I wybieram się tak, i wybieram, i zawsze coś po drodze wypadnie.

Podniosłem się, przeciągnąłem, zrobiłem kilka przysiadów, poruszałem ramionami. Raz jeszcze ostrożnie dotknąłem policzka.

– No, chyba pora się ruszyć – powiedział Kaługa. – Świt już blisko, a latarka ledwo ciągnie.

– Sporo jeszcze jest do przejrzenia – zaoponowałem. – Nie wszystkie teczki obejrzelśmy, jeszcze masa papierów. Też bym wolał już, ale... No dobra, zaraz pójdziemy, daj tylko światło, jeszcze popatrzę tutaj.

Zacząłem jeden za drugim wyciągać segregatory, przeglądać i rzucać pod nogi. Dokumenty, wykazy, teczki osobowe ze zdjęciami, coś jakby wyciągi z akt: urodzony, paragraf, dwa życiorysu, stopień, funkcja... W większości mężczyźni, młodzi i aktywni, sierżanci, porucznicy, majorzy... nawet jeden generał mi mignął. Segregatorów było siedem,

w każdym po kilkanaście teczek; przejrzałem naprędce wszystkie, w końcu z westchnieniem upuściłem na podłogę ostatnią. Odwróciłem się do stołu.

– Już, oczy nasyciłeś? – zapytał Kaługa. – To idziemy.

– Tak – skwitowałem cokolwiek zawiedziony. – Nie ma sensu tu dłużej siedzieć.

Zrobiłem krok do tyłu, zaczępiłem o jedną z teczek podeszwą, zerknąłem w dół – do połowy wysunęła się z niej kartka z dopiętą fotografią. Zamrugąłem. Schyliłem się. Wyciągnąłem dokument z teczki. Wprost na mnie patrzyła znajoma twarz. Młodsza o jakieś piętnaście lat, ogolona, fryzura z przedziałkiem... Ale to był on.

– Eee... co jest? – nieśmiało zapytał Kaługa.

Położyłem kartkę na stół, skierowałem latarkę na tekst.

Michaił Władimirowicz Topol. Urodzony 1965. Pułkownik. Dowodzący służbę bezpieczeństwa KiBO-3...

– No? – Kaługa zajrzał mi w oczy. – Co jest, ducha tam zobaczyłeś?

– To on – wychrypiałem.

– Co? Kto?

– Mój towarzysz.

– Że ten tutaj? Znaczy czekaj, ten, którego bandyci zakatowali, przez którego za nimi idziesz?

– Ten sam. Tutaj służył. Tak myślałem, nie miałem dowodów... Służył tu przed Pandemią!

– No i co?

– Jeden z bandytów, Kuźma, był konwojentem. Ochroniarzem, wozili tutaj skazańców. Ale po co? Co tu z nimi robili? Badania, eksperymenty jakieś czy co?

– Nooo... A może przywozili ich tutaj na Poligon jako przynętę dla tych bojowych mutantów. No, dla tych „obiektów doświadczalnych”, o których tam wcześniej pisało? Jako sparingpartnerów... Gładiatorów na arenie! – zaproponował Kaługa.

Przeciągnąłem ręką po twarzy, westchnąłem głęboko. Odezwałem się powoli, spokojnie:

– Dobrze, od początku, dużymi literami. Przywozili tu więźniów. Tutaj prowadzili nad nimi jakieś eksperymenty. Może faktycznie wykorzystywali jako mięso armatnie dla mutantów, chociaż to nie takie hop-siup, w

końcu więzień to nie rzecz, nie można go tak po prostu wziąć i zarznąć w sekretnym laboratorium. Wszystko by trzeba uładzić, w papierach zapisać, dostać na to kupę dokumentów... Zresztą nie o tym mowa przecież. Mój i Michaiła wspólny znajomy, Sigizmund z Czarnego Rynku, mówił, że kilka lat przed Pandemią Michaił jakby pod ziemię się zapadł. Po prostu zniknął. Sigizmund też był żołnierzem, wcześniej się znali. Czyli mój towarzysz trafił tutaj, służył na tym sekretnym obiekcie, zamaskowanym jako zwyczajna baza jakich wiele. Michaił zajmował się lokalną ochroną i bezpieczeństwem, a Kuźma, który był konwojentem, tutaj się z nim spotkał.

Zacząłem rozpinać pasek.

– Ejże, wstrzymaj konie, kolego. Wiem o tobie sporo, ale żeby aż tak...? – odsunął się Kaługa.

Wyjąłem pasek ze spodni, otworzyłem kieszonkę, wyciągnąłem wisior na łańcuszku i pokazałem mu zalany plastikiem układ scalony.

– Ach, więc to o to chodzi... Nie, poczekaj, Stas. O co chodzi?

– Dostałem to od Michaiła. Nie tyle dostałem, ile przekazał mi to... pośrednio. To klucz, klucz do czegoś tutaj, w tym kibo. Miejsca, instalacji, obiektu – nie wiem. Do tego miejsca, do którego chce dotrzeć Rzeźnik, tylko on nie będzie miał czym otworzyć. Ba, nawet nie będzie wiedział, że czegoś nie ma. To znaczy, że nawet jeśli tam trafi, to nie wejdzie. Chyba.

– No właśnie, „chyba”. Coś za dużo rzeczy naraz zakładasz, kolego sympatyczny. To może być klucz od czegokolwiek, i to nawet klucz w znaczeniu przenośnym. Niekoniecznie musi coś otwierać, niekoniecznie nawet drzwi. Może sejf. Albo odpala jakiś system elektroniczny.

– No, tu masz rację, ale tak jeszcze myślę, że wszystko to się wiąże z tym ciemnym kręgiem pośrodku kompleksu.

– Taką nazwę mu dałeś – ciemny krąg? Ładne, poetyckie. Ale faktycznie, jak pomyśleć, to tak w samym centrum...

– No więc wiem, co myślisz, i ja tak samo myślę. Dojdziemy tam i wtedy się okaże. Chyba że dalej nie idziesz?

Spojrzałem na niego, po raz pierwszy

zastanowiwszy się nad tym, że zasadniczo to Kaługa powinien mieć wszystkie te wydarzenia i historie... no, wiecie gdzie.

Tak czy inaczej, nie powinno go to obchodzić na tyle, żeby chciał położyć tu głowę. Wszystko już teraz było mocno ryzykowne, ale prawdziwy ogień pójdzie dopiero niedługo.

– Kaługa, weź mnie teraz uważnie posłuchaj – powiedziałem. – Po pierwsze: Rzeźnik mógł już zginąć, ale mógł i przeżyć. Sam, albo i nie sam... Dopóki się nie dowiemy, będę zakładać, że żyje. Po drugie, jeśli żyje, to idzie do tego miejsca w sercu kompleksu. A pewnie już w ogóle doszedł. Po trzecie, tam jest coś schowane, i to nie byle co. A po czwarte, będzie tam niebezpiecznie. Ostro niebezpiecznie. Podsumowując: wcale nie musisz tam iść.

– Co to znaczy, że nie muszę? Panu koledze to się wydaje, że co, taką szansę przegapię?

– Ja bym na twoim miejscu przegapił. Po co ci szansa, jak już nie żyjesz...

Kaługa wytrzeszczył na mnie oczy; było widać, że walczy z myślami, przestępując z nogi na nogę. W końcu wyszarpnął z kieszeni resztkę czekolady, w ostatniej chwili zdarł

sreberko, wepchnął do ust, zaczął nerwowo gryźć i przeżuwać. Potem odezwał się:

– O nie, panie bracie. Tak się nie godzi. Wyciągnąłeś mnie z niezłego bagna... hłe, hłe, ale mi się powiedziało zgrabnie... No więc, wyciągnąłeś mnie, a żeby nie ty, to tamci by mnie zostawili, żebym tam zdechł. Poza tym ciekaw jestem jak jasny piorun! Jak teraz odejdę, to potem do końca życia będę się gryźć, że mogłem pójść i zobaczyć, co tam jest. Wyschnę, rozumiesz, jak ten patyk, schudnę za bardzo. A to niezdrowo tak chudnąć. Tak więc, kolego sympatyczny, idziemy razem.

Spojrzałem jeszcze raz na leżącą na stole kartę ze zdjęciem. Bez słowa podniosłem, złożyłem na dwoje, wsunąłem do kieszeni. Wyciągnąłem nóż i ruszyłem ku drzwiom.

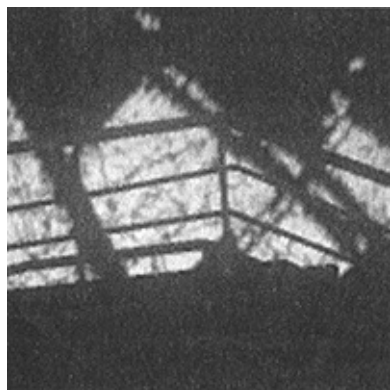
Stanęliśmy po obu stronach z bronią w ręku. Kiwnąłem Kałudze, ten odblokował zamek; zgrzytnęły żelazne sztaby, popchnąłem drzwi barkiem, wyskoczyłem na zewnątrz.

Chłodne, blade światło poranka ledwo sięgało tutaj z głównego holu.

Trup mutantą zniknął.

Rozdział piętnasty

W sercu kompleksu



Nie podoba mi się to miejsce. A może spróbujemy obejść? – zaproponował Kaługa, gdy przykucnęliśmy za przewróconym na bok wojskowym dzipem. – Weź tylko popatrz,

panie bracie, jaka przestrzeń otwarta przed nami.

– Taak... A po prawej lądowiska dla śmigłowców, tam też nas jak na dłoni widać. – Pokręciłem głową. – A po lewej tamta jama. Ani w tę, ani we w tę nie pójdziesz. To znaczy da się, ale za daleko. Co to za jama w ogóle?

Kaługa pociągnął nosem, wzdrygnął się z zimna.

– Nie wiem. Wygląda, jakby bomba spadła,

a pod ziemią była pusta przestrzeń. Pewnie podziemie jakieś...

No i się zawaliło. Chociaż i bez bomby mogło, ale jakiś powód był.

Pokazałem przed siebie:

– Obiekt centralny jest tam. Widzisz, dalej, za placykiem, droga idzie po okręgu? Ja jeszcze z muru patrzyłem: tam jest kilka budynków i ten ciemny krąg pośrodku. Jestem pewien, że Rzeźnik tam już doszedł.

– No, to świetnie, panie bracie, ale spacerkiem pójść przez ten plac to mocno wątpliwa sprawa. W kościach czuję, mówię ci, że wątpliwa!

– Pewnie. Jeśli ktoś urządzi zasadzkę, to dokładnie tam.

– O, o, weź popatrz tylko. – Wskazał w kierunku hałdy żelaznych beczek, zrzuconych na skraju placu niedaleko od jamy, wokół której wznosiły się poharatane przez wybuch plastry asfaltu. Jedna z beczek odtoczyła się i leżała na boku nieco bliżej nas. – Dokładnie tam bym się przyczaił, gdybym sam chciał kogoś z zasadzki ustrzelić. No i co? Jak teraz?

– Trzeba by z góry popatrzeć. – Pokazałem na ceglaną wieżyczkę sterczącą z krzaków

pomiędzy lądowiskami. – Wygląda to na wieżę kontroli lotów. Gdyby Rzeźnik miał snajpera, to tam by go usadził. Ale ani snajpera, ani karabinu wyborowego nie ma. Więc mam nadzieję, że nikt tam nie leży.

– Wieprza mogli tam posadzić z jego karabinem.

– Wieprzu to ma karabin maszynowy, nie snajperski, z takiej odległości to człowiek strzela, a Las kule nosi. A poza tym Wieprza musieliby tam chyba dźwigiem podnieść, o ile w ogóle jeszcze żyje.

– Uważaj, przecież pod budynkiem go nie było. I karabinu też nie było.

– Za to była wielka, mokra krwawa plama. I granat... – Poklepałem leżącą w kieszeni kurtki „cytrynkę”. – Mówię ci i powtarzam: nie ma już Wieprza.

– No dobrze, dobrze. Ale po co o tej wieży w ogóle mówisz?

– Bo ty tu teraz posiedzisz, a ja się wdrapię na górę. Popatrzę, rozejrzę się, zdecyduję, co i jak.

Kaługa obrócił się, usiadł, oparł plecami o podwozie. Popatrzył na mnie i odezwał się niepokojąco jak na niego poważnym głosem:

– A bierzesz pod uwagę, panie bracie, że jeśli Rzeźnik jeszcze żyje i ma fory, to im dłużej tu sterczymy, tym więcej on da radę zrobić? Tym trudniej będzie go potem dorwać, bo nie wiem ani ja, ani ty, co tam takiego znajdzie, a wtedy...

– Dobra, dobra, już starczy! – przerwałem mu, naciągając rękawiczki. – Już mi tu nie prorokuj, rozumiem sytuację nie gorzej od ciebie. A ty masz pojęcie, jak mnie nosi z nerwów? Biec by trzeba, gonić ich, a my tu siedzimy jak... Nieważne. Postaram się jak najszybciej.

– Ale jak dotrzesz do wieżyczki?

– Tam, za tamtymi ruinami, potem przez krzaki. Ty się nie wysuwaj i siedź tu, broń miej na podorędziu. Jasne?

Pokiwał tylko głową.

Już miałem zamiar ruszać, ale popatrzyłem na Polaka myśliwego. Nigdy nie szło mi specjalnie dobrze mówienie tego, co myślę, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę cieplejsze słowa. Więc po prostu pchnąłem go pięścią w ramię, uśmiechnąłem się:

– Tak w ogóle to... dzięki, że jednak pomagasz.

– Ależ bynajmniej, powoduje mną czysta ciekawość, a nie altruizm – zaproponował.

– Nieistotne, ważne jest, że ze mną poszedłeś. Słuchaj, jeśli zobaczysz... albo zorientujesz się, że dostałem kulkę – zrywaj się stąd.

– No jeszcze czego, tuzin i jeden mutant w zad! – mruknął Kaługa. – Hm, hm... Spróbuję. No już, leć!

Do wieży nie było daleko, ale musiałem obejść ją łukiem i chować się po drodze, więc parę minut zeszło. Czołgałem się w trawie, nade mną po szarym niebie pędziły przelewające się chmury, zrobiło się już zupełnie jasno. I dobrze, i źle – łatwiej mnie wypatrzeć, ale i ja coś widzę, więc nie ryzykuję, że przetnę sobie rękę do kości o leżące wokół odłamki szkła i metalu. Jedna ze ścian wieży częściowo się osunęła, zablokowała wejście, ale znalazłem żelazną drabinkę pożarową, zacząłem się po niej wspinać. Będąc przy krawędzi dachu, wyciągnąłem pistolet, przygarbiłem się na czwartym od góry szczyblu, wczekałem chwilę – i skoczyłem ku górze, wystawiając przed sobą broń. Pusto, na okrągłym daszku

nie było nikogo. Przepeliłem na jego przeciwległy koniec, wyrzałem ostrożnie. Wiał porywisty, zimny wiatr, postawiłem kołnierz, schowałem głowę w ramiona.

Ze szczytu wieży widać było jak na dłoni spory kawałek terenu. Tam biegła ciemna szrama wykopu, na którego dnie błyskał metal... rury czy co? Chyba rury, ale coś podejrzanie grube. Po drugiej stronie placyku widziałem równe kwadraty lądowisk, dalej trzy stojące obok siebie hangary i szeroki, ciemny krąg za nimi. Nie tyle krąg, co okrągłą dziurę, otwór w ziemi, tunel, prowadzący – no właśnie, dokąd? No cóż, dowiem się wkrótce. Otwór był w połowie zakryty przez żelazną płytę, na jej skraju wznosiło się podobne do wyciągarki rusztowanie.

A przy nim kręciły się dwie figurki. Machinalnie podniosłem się na łokciach, żeby lepiej się przyjrzeć, ale od razu przypadłem do dachu – tego by jeszcze brakowało, żeby mnie wypatrzyli! Przysłoniłem oczy dłonią od wiatru i słońca, po raz kolejny zakląłem w myślach, że nie jestem dalekowidzem. I lornetka... Lornetkę się nosi w pokrowcu! Na ramieniu! A nie w bocznej kieszeni plecaka, bo

tak wygodniej... I skąd mam teraz wiedzieć, co to za jedni tam stoją? I co robią? Ludki chodziły wokół konstrukcji, zbliżały się, coś robiły i odsuwały...

Jednym z tych dwóch był Rzeźnik. Nie, nie miałem szansy go rozpoznać z tej odległości, ale czułem, jak to mawiał Kaługa, w kościach: to on. A ten drugi? Oj, trzeba by tam iść, i to jak najszybciej!

Przyjrzałem się hałdzie żelaznych beczek: nie było tam nikogo. Innego miejsca na zasadzkę stąd nie widziałem. Skoro tak, to można było iść dalej, w zasadzie to biec, wtedy w przeciągu kilku krótkich minut dopadniemy do silosu.

O tym, że ciemny krąg mógł być silosem raketowym, pomyślałem na samym początku, jeszcze gdy przełaziłem przez zewnętrzny mur. A teraz pojawiła się kolejna koncepcja: sądząc po odsuniętej do połowy płycie i dziwnej konstrukcji na niej, miałem przed sobą były silos. „Były” w tym znaczeniu, że pewnie jeszcze przed Pandemią wyciągnięto stamtąd raketę, o ile kiedykolwiek jakaś w nim była, a kibo-3 i sam szyb pełniły zgoła inne funkcje.

Zacząłem już wycofywać się rakiem, gdy coś błysnęło na skraju wyrwanej w asfalcie jamy. Przyjrzałem się uważniej, wcisnąłem w nasmołowany dach... Do tej dziury miałem o wiele bliżej niż do silosu, więc przyczajonych w załomach asfaltowego rumowiska trzech bandytów zidentyfikowałem bez problemu. Leśna cholera, trzech! Co oni, wszyscy przeżyli, odparli atak mutantów, nic im się nie stało? Kryjąc ogniem podejścia, dali radę przenieść się do innego pomieszczenia, tam się zabarykadowali i przeczekali?

Kuźma, Szuter i Szary leżeli głowami dokładnie w tę stronę, gdzie za przekreślonym dżipem chował się Kaługa. Polaka stąd nie widziałem, pozostawało mieć nadzieję, że wciąż tam siedzi, że nie spękał i nie uciekł... Bo wyglądało na to, że będzie mi teraz mocno potrzebny.

Plan dalszych działań pojawił się w zasadzie od razu. Tych trzech cwaniaków usadowiło się tak, że mieli pod ogniem cały placyk, miejsce wybrali też w zasadzie dobre... W zasadzie, bo i tak skwasili strasznie, nie wysyłając wartownika na wieżę kontroli lotów. Taki ludek nie tylko kontrolowałby podejście, ale i

odstrzeliliby w razie konieczności innego cwaniaka, który by próbował na taką wieżę wleźć. To znaczy mnie. Wychyliłby się za krawędź, gdy włąziłem po drabinie, i strzeliliby mi prosto w dekiel. Albo zrzucił na głowę coś ciężkiego. A potem pomachał do pozostałych dwóch: hej, chłopaki, goście idą.

Teraz dzięki ich nieostrożności pojawiła się szansa. Raz jeszcze popatrzyłem na teren, wróciłem do drabinki i zszedłem na dół, szybciotko wróciłem do Kaługi, który powitał mnie napiętym milczeniem. Tylko jego szczęka poruszała się rytmicznie – myśliwy jak zwykle coś żarł.

– Trzech – rzuciłem krótko. – Nie za beczkami, a przy jamie siedzą. Między asfaltem się przyczaili.

– Kto? – spytał.

– Kuźma, Szary i Szuter.

– No i...

– No i jeszcze dwóch przy silosie. To znaczy przy ciemnym kręgu, bo to tak naprawdę silos rakietowy. Do połowy zasłonięty, stoi tam jakaś maszyna, pewnie winda. Kręci się tam tych dwóch właśnie.

Kaługa dożuł, przełknął, odcharknął i

splunął.

– No i co robimy, Stas? Mówiłem ci, panie bracie, że mam trzy kulki. Ty lepszy, bo aż cztery. Mutantowi na pośmiewisko.

– Wystarczy. Ty kawałek się podczołgaj wzdłuż placyku, a potem bliżej do tej jamy. Dalej w lewo odbij, tam jest ta beczka pojedyncza. Za nią się przyczaisz. Ja w tym czasie wrócę do wieży i od tamtej strony ich podejde, ale bokiem. A ty oddasz strzały odciągające uwagę.

– Ależ, towarzyszu Kim Dzong II, wszystkie trzy? – prychnął niewesoło Kaługa. – Czy tylko dwa, a ostatnią kulkę dla siebie zostawić?

– Wystarczy raz. Potem odczekaj i jeszcze raz, tylko zza beczki nie wyglądaj! Tamci powinni się zainteresować tobą, a ja wtedy zdążę do nich się przekraść. Może nie do końca, ale wystarczająco blisko.

– Wystarczająco blisko do czego?

– Do rzutu, Kaługa. Niby co innego mogę zrobić?

– A-haa! – załapał ideę. – I sądzisz, że to ma być ten dobry plan?

– Nie jest najlepszy, ale to jedyne, co

możemy teraz zrobić, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę czas i masę innych okoliczności. Nie wiem, co tamci dwaj robią przy silosie, ale nie podoba mi się to. Wiesz, co masz zrobić?

– Jasno i dokładnie.

– Przygotowany duchowo?

– Do ciężkich mutantów, nie! Nie jestem gotowy i nie będę! Jak można być gotowym na coś takiego? Ale zrobię co trzeba.

– No to zasuwasz.

Ta sama droga po raz trzeci – tym razem poszło mi szybciej. Zostawiłem za sobą wieżę kontroli lotów, wyjrzałem z drugiej strony, ale schowałem się błyskawicznie. Przecież tamci trzej mogą mnie teraz po prostu zobaczyć, a ja nie widziałem ich ani kawałka, bo byli ode mnie niżej, siedzieli w jamie na skraju dziury. Chociaż wydawało mi się, że wystającą spomiędzy kawałków asfaltu głowę widziałem. Bez brody, czyli Szuter albo Szary. Przykucnąłem przy murku, postukałem chwytem makarowa w kolano. Dotknąłem skorupy granatu w kieszeni. Ile jeszcze może się czołgać pan Kaługa? Byle tylko tłustą dupę nisko trzymał, bo mu ją odstrzelą. Chociaż nie, przecież jest doświadczonym... nawet jeśli

nie partyzantem, to myśliwym na pewno. Nieważne, że jest byłym programistą, w końcu wszyscy, którzy urodziliśmy się przed Pandemią, jesteśmy byli. Ja jestem byłym uczniem, a w nowym świecie, świecie tych, co przeżyli, nauczyłem się rzeczy, o których wcześniej nie miałem pojęcia. Jeśli Kaługa przeżył na bagnach, to też swoje umie.

Huknął strzał. Oczekałem jeszcze trochę... Popatrzyłem sobie w niebo, na pędzące po nieboskłonie chmurki, tak bardzo odległe i obojętne na nasze ludzkie sprawy. Zaczerpnąłem haust świeżego, porannego powietrza, położyłem się na brzuchu i poczołgałem ku czającym się w zasadzce wrogom.

Nad skrajem sterczącego ku górze asfaltowego płatu pojawiła się głowa. Potem druga. Obydwie patrzyły w kierunku samotnej beczki. Robiłem łokciami i kolanami, starając się nie sapać. Byle tylko w moją stronę nie patrzyli, byle tylko... Bach! – Kaługa po raz kolejny dał ognia. Jedna z głów schowała się, druga – brodata – nawet nie poruszyła. Znów pojawiła się pierwsza, błysnęła oksydowana stal, zaterkotał

karabinek. Kule zadudniły o beczkę, ta bujnęła się i potoczyła w tył. A tam za nią przecież jest Kaługa! Popelzłem jeszcze szybciej, łokcie już wyły bólem, ale jeszcze za daleko, nie sięgnę!

Beczka nagle zatrzymała się – oparła o skulonego za nią myśliwego. A nasz Polak miał tylko jedną kulkę...

Tym razem wyrzały wszystkie trzy głowy. Gdyby narysować linie, po których biegł nasz wzrok, to byłyby pod kątem prostym: oni patrzą na Kaługę, ja na nich z boku... Zbliżam się, oni mnie nie widzą. Na razie nie widzą.

Kuźma obrócił się do mnie tyłem, usłyszałem słowa, zbyt odległe i ciche, żeby cokolwiek zrozumieć. Kuźma tam najbardziej doświadczony, niestety wie, co robić, ja na jego miejscu... Otóż to! Doskonale ocenił sytuację, wydał słuszny rozkaz.

Szuter wyskoczył z jamy, podbiegł dwa kroki i walnął się na ziemię. Słusznie, dwóch kryje ogniem, trzeci podchodzi do przeciwnika. Zaczął się czołgać, choć wolniej ode mnie. Za beczką nie było widać ruchu, ale Szary i tak puścił krótką serię nad głową kolegi, żeby niewidoczny wróg nie próbował

wyść. Niedobrze, niedobrze! Szuter doczołga się do beczki i rozwali Kaługę ogniem na wprost, a jeszcze się podzielili! Liczyłem na to, że będą wszyscy trzej w tym samym miejscu.

Trzeba było działać, i to już. Za kilka sekund będzie za późno.

Poderwałem się na kolana, wyszarpnąłem granat, wyrwałem zawleczkę i puściłem łyżkę. Dwie głowy naraz odwróciły się w moim kierunku, machnąłem ręką, „cytrynka” poleciała wysokim lobem... Spojrzały na mnie lufy dwóch karabinów, upadłem na twarz, przykrywając głowę rękami. Kałasz odezwał się jako pierwszy, kule zagwizdały mi nad plecami...

Huknęło, w uszach zadzwoniło, ziemia zadrżała. W głowie szum, stukają lecące z nieba odłamki. Coś uderza mnie w plecy, ale leżę bez ruchu. Czekam jeszcze kilka sekund, unoszę głowę.

Zrzucam z ramienia kawałek betonu, podnoszę pistolet obiema rękami i celuję tam, gdzie detonował granat. W powietrzu wisi pył, ale nic się nie porusza. Dwóch głów nie widać. Szuter leży tak, jak upadł. Leży i jęczy.

Poderwałem się, trzymając pistolet przed

sobą, skoczyłem naprzód, wołając:

– Kaługa!

Beczka poruszyła się, myśliwy najpierw wyjrzał, potem wyskoczył i też pobiegł.

Wskoczyłem na krawędź jamy, gotów strzelać, ale zobaczyłem ciała... nie było już do czego. Rzut idealny, granat musiał eksplodować dokładnie pomiędzy Kuźmą i Szarym. A to, co z nimi zrobił...

Z boku ktoś głośno zajęczał, potem zazgrzytał beton. W dwóch długich susach dopadłem do Szutera, nogą kopnąłem na bok jego karabin, odsunąłem się, trzymając go na muszce. Dezerter przekreślił się na plecy – twarz miał szarą jak popiół, ale krwi nie było widać. Obok mnie przeleciał Kaługa, dobiegł do jamy, zajrzał.

– Tuzin... i jeden... mutant... – sapnął, zakrywając usta ręką i powstrzymując odruch wymiotny. Mimo to nie pogardził wyciągniętym z dołu, wymazanym krwią i strzępami ciała kałaszem, dopiero potem wrócił ku nam. Podniósł z ziemi karabinek Szutera.

– Słuchaj... nie... – zajęczał dezerter, spróbował usiąść, ale nie dał rady, znów

osunął się na asfalt.

Wycelowałem mu między oczy. Palec lekko ściągnął spust – trzeba go dobić, dobić i biec dalej! Kaługa stanął obok, popatrzył na mnie, na niego.

– Stas... – wychrypiał Szuter.

Opuściłem pistolet. Podeszedłem do rannego, obszukałem na szybko, wyciągnąłem z ładownicy dwa zapasowe magazynki. Nachyliłem się.

– Ilu zostało?

Potrząsnął głową, pokazał na uszy. Powtórzyłem głośniej:

– Ilu was zostało?!

– Halo jeszcze... – zamruczał Szuter słabym głosem. – I wasz... szef...

– Nic ci nie będzie – powiedziałem, odsuwając się. – Poleż, dojdź do siebie, potem wypierdalaj.

Odwróciłem się do Kaługi, ten kiwnął krótko. Wzięłem od niego kałasza, już w biegu rzuciłem:

– Przy silosie na pewno słyszeli wybuch. Przebieraj nogami, panie Polak!

Przebiegliśmy przez plac, potem wpadliśmy na wyłożoną betonowymi płytami kolistą

drogę, minęliśmy trzy hangary i wreszcie zobaczyliśmy przed sobą gardziel silosu raketowego.

Na skraju żelaznej płyty, do połowy zakrywającej silos, stał trójnóg z krótkim wysięgnikiem, na lince wisiała kabina wielkości niedużej windy.

– Wyciągarka! – warknąłem. – Las by to zabrał, oczywiście!

Przy podstawie trójnogu widać było mechanizm silnika z kołem do przełożenia linki, sam mechanizm i bęben umocowane pomiędzy solidnymi podporami. Zatrzymaliśmy się w pół kroku, patrząc na urządzenie. Wiatr wył w szczelinach i świszczął wokół krawędzi płyty.

– Nikogo nie widać... – zaczął Kaługa. – A nie, czekaj, jest i Halo. Ot, jak się rusza, widziałeś? Pewnie słyszał i strzały, i detonację, ale coś mocno zajęty jest, że w tę stronę nie patrzy.

Przerwałem mu:

– Ruszamy, przebieżkami po kolei, jeden kryje drugiego. Odsuń się, nie stój w jednej linii ognia. Gotów?

– W żadnym wypadku, ale dam radę.

– No to już, zanim tamten się obejrzy.

Pobiegłem, przyciskając policzek do kolby. Halo faktycznie na razie nas nie widział, nachylił się nad obudową silnika, objął rękoma, zdjął z trudem. Zaraz, to znaczy, że cały ten czas stali tutaj i bujali się z naprawą jakiejś usterki? Czy też przyczyna tkwiła gdzie indziej? Halo odniósł pokrywę na bok, postawił przy jednym ze wsporników, wrócił do maszyny. Gdzie może być Rzeźnik, dlaczego go nie widać? Biegłem, starając się jak najdelikatniej stawiać nogi i nie spuszczać Halo z celownika, tamten grzebał w silniku, co i rusz rzucając zaniepokojone spojrzenia na boki, ale na razie nas nie widział, szedłem mu dokładnie za plecami.

Przebyłem połowę dystansu, przyklęknąłem, pokazałem ręką: naprzód! Zerknięcie przez ramię, wszystko gra, Kaługa biegnie kawałek z prawej, broń przy ramieniu, celuje w podnośnik... Znów spojrzałem na Halo. Skończywszy z silnikiem, szybko podszedł do skrzynki z panelem sterowania, złapał za dźwignię. Gdzie Rzeźnik? Gdzie może być?

I wtedy do mnie dotarło! Dokładnie w tej

samej chwili Halo przerzucił wajchę, otwarty silnik głośno zaterkotał, zatrząsł się... Mignął mi przebiegający Kaługa, Halo przekreślił jakąś gałkę, silnik zawarczał głośniej, koła zaczęły obracać się ze zgrzytem, linka najpierw podciągnęła klatkę, a potem, gdy ta zawisała nad otchłanią silosu, powoli zaczęła opuszczać ją za krawędź stalowej płyty.

Dopiero potem stojący wewnątrz klatki podnośnika człowiek, którego sylwetkę ledwo zauważyłem pomiędzy prętami, dostrzegł też mnie i Kaługę.

Rzeźnik zareagował błyskawicznie – błysnął ogień wystrzału, warkoczący silnik zagłuszył huk. Biegnący po prawej Kaługa szarpnął się, jak gdyby wpadł na niewidzialną przeszkodę, padł jak długi na metal.

Klatka zniknęła w otworze, Halo odwrócił się. Dałem dwa razy ognia pojedynczym, rzuciłem się na ziemię, strzeliłem jeszcze raz. Nie słyszałem, czy on też strzelił, ale kula skrzesała iskry dosłownie przed moim nosem, druga brzęknęła o płytę nieopodal. Przerzuciłem skrzydełko bezpiecznika, dałem krótką serię, zacząłem czołgać się naprzód.

Przywódca dezertarów leżał oparty o

podnośnik, przebierając nieporadnie szeroko rozrzuconymi nogami. Kaługa nie dawał znaku życia. A bęben cały czas kręcił się i kręcił, klatka zjeżdżała coraz niżej... Halo uniósł głowę, zaczął podnosić pistolet – przeturlałem się w bok, podniosłem na kolano, wsadziłem w niego jeszcze trzy kule. Ręka z pistoletem opadła, głowa zwiesiła się na pierś, na kurtce zaczęły rosnać ciemne plamy.

Poderwałem się, skoczyłem ku Kałudze, który leżał twarzą do dołu na płycie. Złapałem za ramię, chcąc przekręcić na plecy, ale Polak wydarł się:

– Aaa, kurwa, ja pierdołę, co, do chuja, robisz?!!

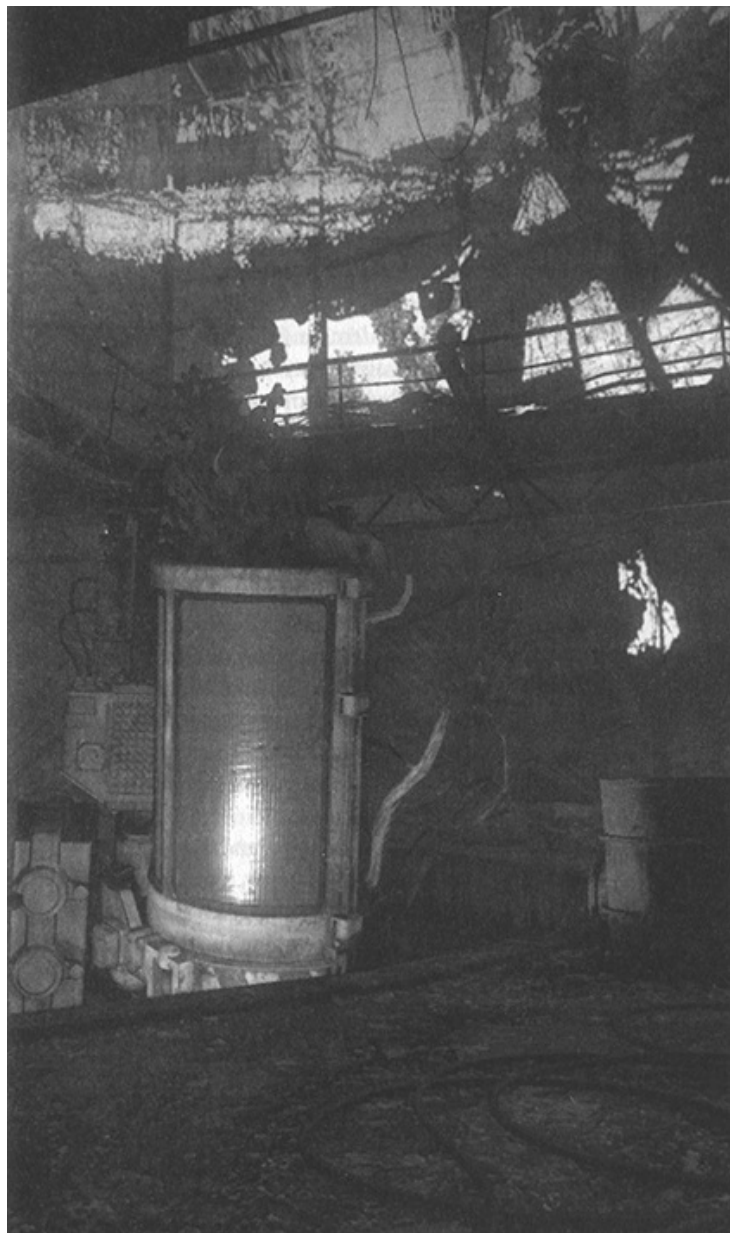
Odskoczyłem. Myśliwy jęknął, przekręcił się o własnych siłach. Okazało się, że w ramieniu, za które złapałem, utkwiała kula Rzeźnika.

– O rany, przepraszam... – zacząłem.

– Zgłupiałeś, cholera jasna, zupełnie?!! – wściekał się dalej Kaługa. – Patrz lepiej, za co łapiesz! Leżę sobie tutaj, rozumiesz, panie bracie, kulturalnie, dochodzę do siebie, a tu nagle przylatuje jakiś Ruski, i cap mnie za moje delikatne, polskie ramię swoją chamską, czerwoną łapą!! O cholera, aż popuściłem...

– Wstawaj – rzuciłem tylko i pobiegłem dalej.

Halo już nie stanowił zagrożenia, co było widać na pierwszy rzut oka, więc od razu podbiegłem do skraju płyty. Druga połowa szybu zasłonięta była kratownicą z prętów grubości mojego nadgarstka, pomiędzy którymi widniały nieduże otwory, tylko w jednym miejscu zostawiono większy prześwit, w którym teraz zniknęła linka wyciągarki. Widziałem na dole klatkę windy, powoli pełznącą w dół tej ogromnej studni.



Szyb wzmocniony był żelaznymi obejmami, które z kolei łączyły mniejsze pionowe tregry. W ścianach pomiędzy nimi widać było otwory, jak gdyby nory albo dziury gołębnika... Były ich tam setki, tysiące! A co znajdowało się w środku, zrozumiałem, gdy w ciemnościach błysnęły srebrne punkciki. Błysnęły i zgasły, ale więcej nie trzeba było. Aż mnie zatkało, nachyliłem się nizej. Stałem ponad gigantycznym, ogromnym ulem, bo inaczej się tego nie dało nazwać, a pode mną musiały gnieździć się całe zastępy srebrzystookich mutantów. Gigantyczny ul właśnie po to celowo i z rozmysłem zbudowano. W idealnej ciszy i półmroku starego silosu raketowego siedzą tam, śpią, może nawet się rozmnażają, wychodząc na żer tylko nocą...

Zauważyłem jeszcze, że dach zjeżdżającej powoli w dół windy nie był siatkowy, a pełny, z blachy. Z góry wyglądało to jak matowo pobłyskujący kwadrat, który niemal niezauważalnie malał w oczach – a na kwadracie był rysunek. Litera V przekreślona zygzakiem. Tylko że po raz pierwszy popatrzyłem na to nie jak na zygzak, a na literę – V i Z. Pierwsze to Wektor, a drugie?

Bęben podnośnika obracał się, skrzypiąc przeciągle, linka cały czas się rozwijała. Trzeba zatrzymać kabinę, nie to, że zatrzymać – podnieść! Chociaż niepokoiła mnie jedna rzecz, bo razem z linką na dół szedł gruby kabel elektryczny w solidnym, żelaznym oplocie. Po co do tej małej klatki podpinali prąd?

Odwrociłem się, raz jeszcze omiotłem spojrzeniem pole boju. Halo siedział tak, jak padł, patrzył w pustkę niewidzącymi oczami. Kaługa, zdając się nie zważać na przenikliwie wiejący wiatr, rozebrał się do pasa i opatrywał ranę przy pomocy apteczki, którą wygrzebał z plecaka po jeszcze ciepłym trupie.

– No i co tam? – zapytał, gdy podszedłem bliżej.

– A cuda-dziwy. – Popatrzyłem na konsolę sterowania. Dźwignia i dwa przyciski, czerwony i czarny. Nacisnąłem czarny – nic. Czerwony – w mechanizmie coś zaskrzypiało, maszyna drgnęła, i nic więcej. Nie mając wyboru, przełożyłem wajchę... i znów nie stało się nic.

Kaługa przyciskał do ramienia szmatkę nasączoną czymś mocno śmierdzącym i

obserwował moje poczynania. Wdusiłem jeszcze parę razy czerwony przycisk, ale nie wydarzyło się nic nowego, więc mruknąłem:

– Nie wiem, co zrobili, ale nie jestem w stanie tego wyłączyć. Musi mieć oddzielny panel, pewnie stamtąd Rzeźnik może sterować, a tutaj jest tylko wtórny... no, pomocniczy.

– Linkę urznij.

Wyciągnąłem nóż... I schowałem z powrotem do pochwy. Nie reagując na pytające spojrzenie Kaługi, pochyliłem się nad apteczką.

– Daj, pomogę ci. Co my tutaj...

Zdecydowaliśmy, że na razie nie będziemy wyciągać kuli, wyczyściliśmy tylko ranę i nałożyliśmy apteczką.

Myśliwy był blady jak ściana, trzęsło go od utraty krwi, więc ściągnąłem z Halo kurtkę i narzuciłem mu na ramiona. Podczas gdy ja odciągałem na bok nieboszczyka, Kaługa usiadł przy silniku, żeby chociaż minimalnie się rozgrzać i schować od wiatru.

Coś znów szczęknęło w mechanizmie, silnik zaterkotał, zadrżał i zgasł. Koła zwolniły i zatrzymały się. Bęben stanął. W zapadłej

ciszy tylko wiatr świszczwał ponuro.

– O-ho, przystanek końcowy! – odezwał się Kaługa. – Stacja silos, proszę wysiadać. Ciekawe, co też tam jest na dole?

– Laboratorium. – Jeden po drugim ładowałem naboje do magazynka. – Z góry słabo widać, ale coś tam jest. Bunkier.

– Kolego sympatyczny, jaki bunkier? Jakie laboratorium? Tam na dole są tylko mechanizmy odpalające, przewody, kanały do odprowadzania spalin... Czy co tam jest na dnie silosów startowych...

– Nie. To było wcześniej, ale dawno musieli zdemontować i wywieźć. Teraz tam na dole mieszkają mutanty w ścianach. Te twoje, srebrnookie. Cały gołębnik tam mają.

– Ojjoj! – rzekł Kaługa. – Słuchaj, a one tu do nas nie wyleżą aby...? Chyba że... No tak, światła nie lubią. Słuchaj, to całkiem możliwe, że – jest sobie taka substancja, rodopsyna. Barwnik światłoczuły, krótko mówiąc, dno oka jest tym pokryte. Czytałem kiedyś jeszcze w Internecie, że koty i inne nocne zwierzęta mają świecące się oczy właśnie dzięki tej rodopsynie. No, tylko się wydaje, że się świecą, bo tej rodopsyny jest na tyle dużo, że

światło odbija. Nadążasz?

– Do czego zmierzasz?

– A sam już chyba wiesz, panie bracie: przecież tym mutantom się oczy świecą jak reflektory! To znaczy, że nocą muszą widzieć lepiej niż my obydwaj razem wzięci w dzień.

– Co dało się zauważyć.

– No tak, ale tak sobie myślę: może ci, co te stwory projektowali czy tam wyhodowali, nie wzięli pod uwagę efektu ubocznego? To znaczy, że w świetle dnia te mutanty są w zasadzie ślepe? Albo, nie wiem, hodowali je jako takich nocnych łowców, rozumiesz, dywersantów-zwiadowców. Mutaspecnaz taki, przecież biegają w ogóle jak duchy! Chociaż, jak na zwiadowców, to głupawe trochę są... Ale tak czuję, panie bracie, że coś jest z tymi mutantami dziwnego. Że jeszcze czegoś o nich nie wiemy, czegoś ważnego. Kluczowego wręcz. Co powiesz, Stas? Mało się odzywasz coś, co ty o tym sądzisz?

– A ja sądzę, że się wkrótce dowiemy. – Podczas gdy on trajkotał, ja skończyłem z karabinem i zarzuciłem go na plecy. Powiesiłem na pasie kaburę z pistoletem po Halo, naciągnąłem rękawiczki. Poklepałem

wierzchnią stronę prawej dłoni – jest. Pod tkaniną było tam zgrubienie, którego nie było na lewej rękawiczce. Fajne takie zgrubienie, przyjemne. Drugi sekrecik moich rękawiczek.

– To dlatego nie chciałeś liny ciąć – domyślił się Kaługa. – No dobrze, w dół jeszcze po linie dasz radę, a wracać co, nie masz zamiaru? Aha, masz nadzieję, że winda zadziała. Hm. I rękawiczki masz nie za bardzo do takiego zejścia.

– Dobre rękawiczki! – oburzyłem się.

– No tak, tak, świetne. Tylko paluszki z nich wystają. Zanim zjedziesz po żelaznej linie, to zostaną gołe kosteczki. Po pierwsze, wodę utlenioną weź ze sobą, po drugie, tam w apteczce pełno bandaży jest, chociaż ręce obwiąż.

Nie mogąc odmówić mu racji, dokładnie tak zrobiłem: pocięliśmy bandaż na kawałki, którymi okręciłem palce. Kaługa pomógł mi zawiązać węzły, pokiwał głową.

– Zawsze to jakaś ochrona.

– Możesz na mnie poczekać, ale możesz też się wycofać – powiedziałem. – Jeśli dasz radę dogonić Szutera, to i jemu, i tobie nie zaszkodzi. To porządny chłopak, trochę głupi,

ale dobry. Owiniesz go sobie wokół palca.

Kaługa uśmiechnął się słabo, przymknął oczy. Wyglądał naprawdę parszywie... Wyciągnął z kieszeni resztkę czekolady (kolejną!), z drugiej paczkę orzeszków, zaczął po kolei wrzucać je sobie do ust, przeżuwając z zamkniętymi oczami.

– No to powodzenia, panie bracie – wymemlał.

– Ty uważaj, nie zemdlej mi tutaj.

– Nie bój się, kolego sympatyczny, nie jestem dziewczynką. Posiedzę sobie trochę, a potem pomyślę, co tu dalej ze swoim życiem robić. A tak swoją drogą... – Uchylił jedno oko. – Ranę na ryju ci wygoiło jak ta lala. Pełny odlot, powiedziałbym. Tamta paciaja wyschła, odpadła sama... Nawet nie zauważyłeś pewnie. I skórę w miarę równo zebrało... Kopsniesz przepis po wszystkim?

Nie odpowiedziałem. Kaługa zamknął oko, zaczął przeżuwać kolejny orzeszek. Poprawiłem przypiętą do paska latarkę, która się Halo raczej już nie przyda, oszczędłem wyciąg dookoła. Wyciągnąłem zza pazuchy dziennik Zielaarza i buteleczkę z miksturą, upewniłem się, że Kaługa nie patrzy, i

wsunąłem je pod jedną z podpór.

Potem wszedłem na kratownicę, przeszedłem ku dziurze, w której znikiała linka, stanąłem na skraju otchłani. Czubki butów wisiały ponad czarną studnią szybu, którego dna nawet nie było widać. Prawda, że nie było to takie znów ogromne, ale wrażenie robiło... przytłaczające. Dobrze, że się chociaż wysokości nie boję; masy innych rzeczy się boję, niektórych nawet panicznie, a akurat wysokość na odwrót, nawet lubię. Pociąga mnie, oczarowuje. Ciekawe, czy mutanty śpią za dnia w tych swoich katakumbach? W końcu gdzieś spać muszą...

Lina była stara i zajeżdżona, w wielu miejscach żyły popękały i porwały się, wszędzie sterczały ostre druty. Uniosłem rękę, poruszałem palcami, sprawdzając, czy bandaż nie przeszkadza za bardzo. Rozprostowałem, zacisnąłem, aż chrupnęły kości.

– No, kochane, nie dajcie plamy – powiedziałem do rękawiczek.

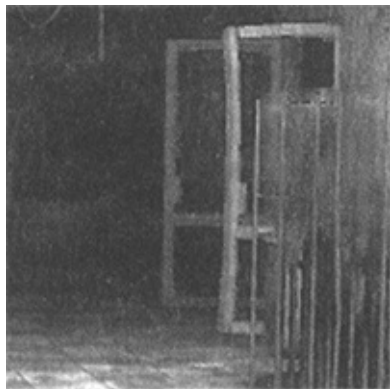
A potem przechyliłem się naprzód i złapałem liny. Zawisłem najpierw na rękach, potem objąłem nogami. Lina powinna pod

ciężarem klatki i własnym być naprężona jak struna, a mimo to czuć było lekki luz. No tak, kiedy klatka już dojechała na dół, bęben jeszcze chwilę się kręcił. No cóż, nawet łatwiej będzie schodzić.

Przekładając ręce, zacząłem schodzić w dół. Ostatni raz popatrzyłem na żelazną płytę, potem półokrąg nieba nad moją głową przecięły kwadraty kratownicy. Schodziłem do starego silosu rakiety balistycznej, powoli zbliżając się do swego celu.

Rozdział szesnasty

Tajemnica silesu



Poziome obejmy dzieliły szyb na piętra, czy może poziomy; naliczyłem ich siedem. Do każdej z nich doczepione były ogromne panele pełne halogenowych reflektorów. Strach

pomyśleć, co by się stało, gdyby włączyć wszystkie naraz. A jeszcze nocą... słup światła dotarłby chyba do chmur.

Niczym pająk po nitce powoli, bezgłośnie zsuwałem się na dół. Dopiero gdy nad głową zostało mi już sześć pięter z siedmiu, zostałem zauważony. Aż dziwne, że srebrnookie stwory nie przejmowały się, gdy wcześniej jechała obok nich klatka windy. Tak czy inaczej, Rzeźnik miał więcej szczęścia.

A ja nie.

Nogi ciągnęły już potwornie, a ramion nie czułem w ogóle. Po bandażach zostały tylko poszarpane gałgany, z palców lała się krew, wewnętrzną stronę dłoni jakby ktoś wsadził w ogień... Oczy natomiast przywykły do ciemności, którą rozjarzało tylko słabe, mdłe światło wpadające przez otwór u szczytu silosu. Tak jak przypuszczałem, cały sprzęt okołorakietowy dawno już zdemontowano, pocięto i wywieziono. Pod nogami widziałem klatkę windy z uchylonymi drzwiczkami, stojącą na żelaznym płacyku na szczycie okrągłego bunkra. Przysadzisty, żelbetowy walec zajmował większą część dna silosu, jego lekko pochyłe ściany oddzielało od krawędzi sztolni zaledwie kilka metrów. Poza okrągłym lądowiskiem dla windy na dachu nie było nic. Krawędź dachu otaczała barierka, po dwóch stronach widać było w niej wąskie furtki, a za nimi ciągi schodów w dół.

Pozwoliłem sobie na chwilę słabości i pomyślałem, że dotrę na dół bez przygód, gdy w ciemnej jamie ponad ostatnią obejmą zasrebrzyły się dwa owale oczu.

Mutant wyjrzał na zewnątrz, kilka sekund

obserwował mnie uważnie, a potem zniknął jak zdmuchnięty. Zacząłem zsuwać się szybciej, mimo że palce zamieniły się już w żywe mięso... Stwór pojawił się znów – i nagle, w mgnieniu oka, ze wszystkich naraz otworów w ścianach silosu wyjrzały czarne sylwetki, zamigotały setki zwierciadlanych oczu.

Jakim cudem się porozumiewają? – zdziwiłem się po raz kolejny. Przecież ten pierwszy nie wydał z siebie żadnego dźwięku, a nagle wszystkie zaczęły wyłazić! Może wykorzystują ultradźwięki, jak nietoperze? Albo, cholera, feromony? Albo coś w ogóle innego...

Szyb nappełnił się mutantami, które zaczęły rozłazić się po ścianach, skakać po żelaznych tregrach, wspinać po obejmach; co poniektóre skakały na stelaże reflektorów, których całe grona zwisały z potężnych wsporników. Jeden z mutantów przykucnął na samym skraju takiego wysięgnika, wyciągnął po mnie łapę, gdy akurat przesuwałem się obok... Nawet teraz nie widziałem go dokładnie, zobaczyłem tylko długie, chude łapsko i uzbrojone w szpony krótkie palce.

A potem stwór skoczył.

Zawisłem na jednym ręku, ścisnąłem linę kolanami i wyszarpnąłem z kabury pistolet. Echo wystrzałów poniosło się zwielokrotnionym przez betonowe ściany echem, błyski na ułamki sekund rozjaśniły ciemną studnię. Stwór uderzył o linę wyżej, spadł na mnie i machając łapami, poleciał w dół. Mało brakowało, a sam bym zleciał. Ześliznąłem się kawałek, czując, jak stalowe druty tną mi rękę, zakołysałem się na linie, usiłując celować w dół. Na dłoń jakby ktoś bryznął mi kwasem.

Mutant spadł na klatkę windy, stoczył się na dach bunkra, poderwał i popędził w bok. Dałem ognia trzy razy, stwór podskoczył na krawędzi dachu, uderzył o ścianę i ześlizgnął się w ciemną szczelinę.

To ostatecznie rozwścieczyć musiało jego pobratymców, jak gdyby wszyscy mieszkańcy podziemnego ula nagle zrozumieli, co się stało. Na wysięgnikach i tregrach zapanował prawdziwy chaos. Cienie zaczęły miotać się i skakać po ścianach, a wyglądało to absolutnie przerażająco, bo podobnie jak i wcześniej wszystko odbywało się w absolutnej ciszy,

słyszeć było tylko kłapanie łap, zgrzyt pazurów, uderzenia i szelesty, ale nie było ani wizgu, ani ryku... Skąd mogły wiedzieć, że ich kuzyn zginął? Kaługa coś mówił o jakiejś kluczowej specyfice, której jeszcze nie znamy – może właśnie w tym sęk?

Schodząc coraz szybciej, uświadomiłem sobie, że dach bunkra też jest nietypowy – wyglądał niczym wielka stalowa przysłona, płyty zachodziły na siebie spiralnie... To znaczy, że może się otwierać, a do środka można dostać się też tędy?

Klatka windy stała dokładnie w centrum kręgu. W końcu zeskoczyłem, moje buty huknęły o metal, upadłem na bok i dopiero wtedy pozwoliłem sobie na wrzaśnięcie z bólu – musiałem, po prostu musiałem, tak z głębi serca, z całych płuc. Po prostu musiałem, żeby wyrzucić z siebie część potwornego bólu w lewej ręce. Rękawiczka była w strzępach, lina pocięła mi ciało chyba do kości. Mój krzyk odbił się od ścian studni, niosąc ku górze. Wyobraziłem sobie, jak podrywa się ze strachu nieszczęsny Kaługa. Chyba że posłuchał dobrej rady i wziął nogi za pas.

Nie było czasu uzalać się nad sobą, bo

błyskająca ślepiami fala mutantów spływała w dół po ścianach silosu. Poderwałem się, skoczyłem ku furtce w ogrodzeniu na skraju dachu. Jeśli schodów są dwa ciągi, to drzwi do środka też będzie dwoje, więc jedno mogą, mogą być otwarte. Albo i jedno, i drugie są zamknięte. Rzeźnika tu nie widać, czyli zdołał wejść. Jeśli wszedł i zamknął od środka...

Jeszcze biegnąc, zacząłem strzelać do kłębiących się na ścianie potworów, po schodach bardziej spadłem, niż zbiegłem, chowając się w wąską przestrzeń pomiędzy ścianą bunkra i szybu. Do środka prowadziły żelazne drzwi, zamiast klamki była dźwignia. Szarpnąłem – zamknięte!

Zaraz nade mną zaplaskały łapy, dźwięki zlewały się w jeden przerażający szelest – to mutanty spadały, niczym deszcz, z belek najniższego poziomu na żelbetowy dach bunkra.

Zaraz obok drzwi widniał metalowy prostokąt, w którym świeciła się czerwona dioda obok wąskiej, ciemnej szczeliny. Zerwałem z szyi wisior od Michaiła, wyciągnąłem plastik z obwodem scalonym, wetknąłem w szczelinę.

Bzzz – klik! Czerwona dioda zgasła, zapaliła się zielona. W ścianie zgrzytnęło, dźwignia sama opadła na dół. Popchnąłem ciężkie drzwi, wpadłem do środka, gdy na dno szybu zeskoczył pierwszy stwór. Wsunąłem w szczelinę między skrzydłem a framugą lufę karabinu, puściłem krótką serię i wyrwałem kałusza; drzwi zamknęły się, szczęknął mechanizm zamka. Zrobiło się zupełnie ciemno i cicho.

Rzeźnik mógł się tu na mnie czaić. Zamarłem, wstrzymałem oddech, słysząc tylko paniczne bicie serca. Absolutna, pełna, grobowa cisza.

Myśli gnały same: jakim cudem wszedł do środka? Przecież nie powinien być mieć klucza... Czyli drzwi były otwarte, a on po prostu wszedł i zamknął? A może nie zamknął, może wszedł drugimi. No i co? Myślał, że nie pójde za nim, nie dam rady, że mutanty mnie dopadną? Jeśli tak, to mógł pójść dalej, a nie urządzić zasadzki.

Zrobiłem kilka kroków w bok, żeby zejść z najbardziej oczywistej linii ognia, oparłem się ramieniem o ścianę. Prawą ręką wyciągnąłem z kieszeni buteleczkę wody utlenionej, zębami

odkręciłem, polałem na lewą dłoń... Woda utleniona zasyczała, ja też zasyczałem z bólu. Zagryzłem wargi, powoli ściągnąłem uszkodzoną rękawiczkę. Żegnaj, rękawisiu... Nie, nie, żadne żegnaj, a do zobaczenia, przecież cię połatam, zaszyję! Słowo pioniera! Wsunąłem ją do kieszeni, wylałem na rękę resztkę wody. Prawej zdejmować nie będę, jeszcze się na rękę przyda. Zawinałem łańcuszek klucza elektronicznego dokoła nadgarstka i wpuściłem w rękaw, zacząłem ściągać resztki bandażu z palców. Och, cholera, niełatwo będzie ciągnąć za spust. Albo nóż trzymać. Albo pistolet.

Ciemność była absolutna i przytłaczająca. Nie zdążyłem nic zobaczyć, wlatując tu z zewnątrz, zauważyłem tylko ściany biegnącego dalej korytarza. Latarki na pasie nie włączałem, bo przecież Rzeźnik mógł być dosłownie gdziekolwiek i czekać... Ale też nie dam rady bez światła. Odpiąłem latareczkę, zaciskając zęby, przełożyłem do lewej ręki, w prawą wziąłem karabin, kolbę ściskając pod pachą. Odsunąłem lewą rękę jak najdalej od siebie i wcisnąłem przycisk.

Promień światła przeciął mrok, oświetlając

korytarz. Jeśli mój przeciwnik tu jest, to w pierwszym odruchu strzeli w źródło światła albo powyżej niego, a ja będę z boku, będę miał szansę odpowiedzieć ogniem, widząc, skąd strzelał...

Ale nie wydarzyło się nic. No cóż, wygląda na to, że nikt na mnie nie czeka. Albo i czeka, ale gdzieś dalej.

Korytarz nie był długi, kończył się futryną, ale bez drzwi. Złapałem karabin nieco wygodniej, przyświecając latarką, ruszyłem w tamtą stronę. Za przejściem był jeszcze jeden korytarz, biegnący po okręgu; no tak, architektura promienista na planie koła. W ścianie widniał szereg zamkniętych drzwi, więc popchnąłem jedno: zamknięte. Drugie: zamknięte... Pomyślałem, że najpierw obejdę całość, a przynajmniej ten poziom.

Co do tego, że jest coś głębiej, nie miałem cienia wątpliwości.

Trzecie drzwi były uchylone: super, składzik, w nim stare regały, wiadra i mopy. Nieciekawe, dalej...

A dalej było już lepiej, bo za czwartymi drzwiami natknąłem się na duże pomieszczenie, w pewnym sensie

przypominające mi laboratorium Ziellarza w jego domku. A w zasadzie na odwrót: to laboratorium Ziellarza było daleką, żalną imitacją tego. Było tu wszystko, co w laboratorium potrzebne: żelazne stoły, retorty, kolby, palniki, plastikowe stelaże i panele, pudła... Na jednym zauważyłem tabliczkę z napisem: „Mikroskop kwantowy MIKRON-C13T-01”. W półmroku białe szafki, za przeszklonymi drzwiczkami stały karne rzędkie stojaków i probówek, w nich różnokolorowe płyny, podpisane i ponumerowane buteleczki i flaszki z korkami. Przeszedłem się po pomieszczeniu, światło latarki prześliznęło się po schematach i diagramach na ścianie, po martwych panelach monitorów i komputerów, potem padło na nieduży stolik, na którym leżała sarta papierów, przyciśniętych z góry kolbą.

Na ścianie wisiała tablica – starego typu, jeszcze czarna. Na półeczce leżały kawałki kredy, a na tablicy było coś narysowane. Podeszedłem bliżej...

Rysunek białą kredą. Garbaty samochodzik, jakby dziecko rysowało, od niego strzałki do

trzech ludzików, biegnących na czworaka. Każdy ma parę dużych, owalnych oczu, od każdego kilka mniejszych strzałek do większych grup podobnych ludków.

Owalne oczy, tak? Żadne ludziki, raczej mutanciki. Odsunąłem się, patrząc na rysunek. Pod spodem był przekreślony napis:

Mobilne Centrum Dowodzenia – dowódcy – fajterzy

A poniżej nabazgrane niewyraźnie, jakby w nerwach:

Chwilowo porażka przy tworzeniu kaskadowego systemu dowodzenia!

Kropką dla wykrzyknika był wciśnięty w tablicę, rozmazany i rozkruszony kawałek kredy, jak gdyby autor zaklął przy tym socyzście. Od serca tak, bez ogródek, żaląc się światu na własną niedolę.

– Faj-te-rzy – przesyłabizowałem jeszcze na głos, próbując smaku słowa. – Fajterzy. No cóż, nie wysilił się ktoś przy nazwie dla was, srebrzystoocy...

Poza tym tablica była pusta, więc przenieśliem wzrok na stojący obok stolik. Tuż nad nim wisiała zakurzona fotografia, z której uśmiechali się do mnie ludzie w białych

kitlach. Wziąłem latarkę w zęby, podniosłem pękatą kolbę laboratoryjną, na której dnie białą resztki szarawego proszku, żeby móc wyciągnąć spod spodu papiery. Na pierwszym został odcisnięty okrągły, rozmazany ślad... Poza tym blankiet firmowy, ramka, stopka, na górze napis kibo-3, poniżej tekst:

Lista związków chemicznych niezbędnych dla eksperymentu kluczowego dla programu wzmocnienia funkcji kognitywnych biologicznych obiektów doświadczalnych kategorii „fajter”. Robocza data przeprowadzenia: 16 kwietnia 2014 r.

Niżej była długa kolumna nazw typu „izacetam”, „fenotropyl-M” i „glecja nootropiczna”, zaś poniżej widniał podpis:

Dyrektor laboratorium Wektor Kompleksu Inżynierii Biologiczno-Organicznej I.S.Łogin

Światło zadrzało, zatańczyło po dokumencie, palce same z siebie zmięły kartkę. Odruchowa, niekontrolowana reakcja. Na krótką chwilę świat mi umknął, jakbym zapadł się w ogromną, czarną czeluść.

Stanisław Igoriewicz. Tak się nazywam.

Moim ojcem był Igor. Igor Siergiejewicz. Jestem Stas Login, syn Igora Logina.

I.S. Logina.

Powoli, nieskończenie powoli podniosłem wzrok na fotografię w ramce. Osiem osób: trzy kobiety, zupełnie młoda dziewczyna, dwóch na oko trzydziestoletnich mężczyzn, jeden postawny, lekko siwiejący i w środku grupy – jeszcze jeden, wysoki, ze skupionym wyrazem twarzy.

Znajomej twarzy.

Teraz już ledwo-ledwo znajomej, jak przez mgłę. Ale mimo to jeszcze widocznej we wspomnieniach.

Białe kitle... I ogromne – chociaż to raczej ja byłem wtedy mały – pomieszczenia. Masa przeróżnych ciekawych szkiełek, uśmiechnięci ludzie... I ojciec, prowadzący mnie gdzieś za rękę. Radość, ciekawość. Potem lekkie uklucie strachu: po co miałem się rozebrać, dlaczego kładę mnie na stole? Ale przecież tata jest silny i dobry, zawsze mówi prawdę i nie kłamie, i... i podchodzi do mnie, na twarzy ma białą maseczkę, a w ręku strzykawkę. A ja się boję, naprawdę się boję, bo strzykawka jest ogromna i metalowa, a w środku jest coś gęstego, chyba tata nie chce mi TYM zrobić zastrzyku? A on mówi coś spokojnym głosem,

prosi, żebym się nie bał... Obok stoją inni, też mają maseczki, nie widzę twarzy... Tata tłumaczy, że to dla mojego dobra, nachyla się, ogromna strzykawka z błyszczącą igłą jest tak strasznie, strasznie blisko...

Chrzęst i brzęk szkła. Ze zdziwieniem popatrzyłem na swoją własną rękę – ścisnąłem kolbę tak mocno, że okrągliła część pękła, została tylko szyjka.

Ten dobrze zbudowany, siwiejący, po lewej stronie od ojca – to Michaił. Michaił Topol, który tu służył. Razem z Igorem Loginem. Może się znali? Byli przyjaciółmi? Możliwe. Czy kiedyś tu byłem, w tym miejscu? Albo w jakimś podobnym? Nie pamiętam bazy, nie pamiętam zjazdu w czeluść szybu, nic z tych rzeczy... Ale przecież klatka podnośnika nie musi być jedyną drogą. Jakoś musieli transportować sprzęt, wybudować bunkier... Musi istnieć inna droga. Ale nie pamiętałem, i tak nie pamiętałem! Tylko białe kitle i maseczki, tylko strzykawkę z długą igłą w rękach człowieka, któremu ufałem tak, jak tylko dziecko potrafi. Ufałem, a on mnie oszukał, zdradził, zadał ból... Przecież potem, po zastrzyku, przyszedł potworny, nieludzki

ból, to też pamiętam, nadeszły przedziwne obrazy i wizje, głuche głosy, szepty w ciemnościach, i migoczące sylwetki, i...

MIGOCZĄCE.

Dotarło do mnie, że ściskam zębami latarkę coraz mocniej, jeszcze trochę, a zacznie pękać szkliwo... Wdech, wydech, jeszcze jeden. Nie wiesz wszystkiego, Stas. Ojciec coś z tobą zrobił – ale wcale nie jest powiedziane, że coś złego. Może próbował ci pomóc w przeddzień katastrofy? To znaczy – że wiedział o niej? Na fotografii stoją obok siebie, Michaił i on. Musieli się dobrze znać, potem ojciec gdzieś wyjechał, bo gdy zaczęła się Pandemia, nie było go z nami. Ale w jakiś sposób musiał przekazać mu prośbę: iść do naszego miasta, znaleźć mnie. Pomóc. Właśnie dlatego Michaił zjawiał się w tej kotłowni. A gdzie może być mój ojciec teraz? Czy w ogóle żyje? Może jest gdzieś tutaj, na terenie otoczonej przez Las bazy? Ale jeśli tak, to dlaczego nigdy się nie spotkaliśmy? A jeśli zginął, to dlaczego Michaił nie zająknął się o tym wszystkim ani słowem? Strzegł mnie, chciał uchronić przed niebezpieczeństwem? Ale jakim? Przecież sam mogę się obronić... Chcę się dowiedzieć!

A potem coś przesunęło się w ciemności za mną. Nie usłyszałem nic, ale odczułem poruszenie za plecami, rzuciłem się w dół, wciąż ściskając latarkę zębami.

Dwie rzeczy wydarzyły się jednocześnie.

Huknął strzał, kula uderzyła w fotografię; brzęknęło szkło, a na miejscu twarzy mojego ojca została tylko poszarpana dziura.

W pomieszczeniu zapłonęło światło.

Przygaszony, czerwonawy w odcieniu blask lał się ze sferycznego panelu na suficie.

Kroki rozległy się, gdy ja już przetaczałem się na bok, szorując o posadzkę karabinem; kule wyrwały fragmenty tynku w ścianie pod stołem. Przekręciłem się na kolanach, wyrzuciłem w przód rękę, w której wciąż ściskałem szyjkę kolby, ostrym szkłem rozorałem twarz skaczącego ku mnie Rzeźnika, który podbiegł, chcąc rozwalić mi głowę strzałem z bliska, ale nie zdążył.

Bandyta odskoczył do tyłu, jego policzek pod samym okiem przecinała teraz czerwona, nierówna linia. Wyplułem latarkę i rzuciłem się w prawo, schowałem za żelaznym stołem, dałem ognia pod nim, mając nadzieję trafić w nogi, ale nie zdążyłem, bo Rzeźnik wskoczył z

powrotem w wejście do korytarza. Stał za rogiem, wystawił lufę karabinu i pociągnął długą serią na oślep.

Huk, trzask i brzęk wypełniły laboratorium, poleciało szkło, pękały kolby i retorty, zasypując wszystko wokół okruciami szkła, w upiornie czerwonym świetle podobnymi do bryzgów krwi. Plastikowa obudowa mikroskopu szarpnęła się od uderzeń kul i eksplodowała, poleciały na wszystkie strony elektroniczne bebechy, kable i obwody scalone, drzwi szafki pokryły się przestrzelinami, zajęczały głucho... A potem zapadła cisza, gdy skończyły się naboje.

Czekałem na stłumiony zgrzyt i szcęknięcie zmienianego magazynka, ale zamiast tego w korytarzu rozbrzmiały oddalające się pospiesznie kroki. Hejże, nie ma amunicji? Poderwałem się, złapałem toczącą po podłodze latarkę i popędziłem ku drzwiom. Dokąd mógł pobiec bandyta? Korytarz przecież idzie po okręgu, nie ma sensu uciekać! Pobiegłem więc w drugą stronę, naprzeciw Rzeźnikowi, gotów dać ognia. Kroki niemalże ucichły, potem rozległy się głośniejsz – i znów cisza... Korytarz wyginał

się łukiem, obok mnie migały zamknięte drzwi, aż w końcu po prawej otworzyła się jeszcze jedna odnoga.

Zajrzałem ostrożnie za róg, zobaczyłem kolejny skład, gabinet czy też laboratorium – centralne pomieszczenie bunkra, okrągłe, z wysokim rozsuwanym sklepieniem.

Pośrodku sali była ogromna, wyłożona stalowymi płytami spiralna pochylnia, tak wielka, że można by zjechać po niej samochodem... Z dołu niosło się dudnienie butów o metal, to Rzeźnik zbiegał coraz niżej.

Popędziłem za nim, ale zahamowałem na chwilę przy uchylonych drzwiach po drugiej stronie okrągłego pomieszczenia. Za nimi też paliły się czerwone lampy, w pokoiku stały żelazne szafki pełne przycisków i dźwigni, każda z nich opatrzona była tabliczką: „Brama nr 1”, „Brama nr 2”, „Zasilanie Laboratorium Próbek Biologicznych”, „Rezerwowe zasilanie mechanizmu windy”, „Zasilanie wrót górnych”... Szafki buczały cicho.

Omiotłem to tylko wzrokiem, pobiegłem za Rzeźnikiem.

Pochylnia ciągnęła się wewnątrz betonowej

studni, bunkier zdawał się być nasadzony na nią, jak korek od szampana na butelkę. Co to za czerwone światło?! Bandyta musiał włączyć jakąś rezerwę albo pod szybem jest gorące źródło, które od lat ładuje akumulatory dla laboratorium Wektor...

Nieistotne! Dalej, szybciej! Plan jest prosty: dogonić Rzeźnika, powalić, związać, przesłuchać, wycisnąć z niego wszystko, co wie, wykończyć i wracać. Tylko – czy powie mi cokolwiek nowego? Kuźma opowiadał mi o kompleksie i Michaille Topolu, który kiedyś szefował tutejszej ochronie. Rzeźnik zdecydował, że dojdzie tutaj da mu jakąś korzyść... ale jaką? Poza tym nic to nie wnosi... Chyba że – chyba że nadal jest coś, co wie tylko on?

Tupot nóg przede mną ucichł. Zwolniłem, wyrównałem krok. Minąłem jeszcze dwa nabiegi spirali, po czym przygiąłem się, przeszedłem ku ścianie i wodząc karabinem z lewa na prawo, zacząłem oglądać salę, którą kończyła się pochylnia. Salę to dużo powiedziane – w betonowym pudełku nie było nic, tylko stalowe wrota na przeciwległej ścianie. Głęboko wpuszczone skrzydło

blokowały trzy żelazne sztaby.

A gdzie podział się Rzeźnik?

Wyprostowałem się i powoli ruszyłem naprzód. Wszędzie to samo czerwone światło, tylko panel świetlny i wrota. A obok nich podobny do poprzedniego stalowy kwadrat i szczelina na klucz. I nic, nic poza tym. Przecież nie zapadł się pod ziemię, więc gdzie jest? No co, jest już po drugiej stronie? Otworzył, zamknął, i to wszystko bez dźwięku? Bzdura, przecież nie mógł...

Nie mógł stąd wyjść.

Uświadomiłem sobie, że kilka razy mijałem wpuszczone w ścianę żelazne szafki, zapewne dające dostęp do pomieszczeń technicznych, wentylacji, elektryczności. Jeżeli Rzeźnik zdążył do takiej wleźć, a potem poczekać, aż...

Cios w potylicę niemalże wyrwał mnie z butów. Potem przyszedł kolejny, pomiędzy łopatki, jeszcze jeden, w nerki. Napastnik wykręcił mi ręce za plecami, zerwał karabin z ramienia, wyszarpnął pistolet z kabury. Próbowałem się przekręcić, ale spadł na mnie cały huragan kopniaków... Świat popłynął, zakółsał się, w uszach zahuczało.

– Jak dostałeś się do schronu? – Głos

zabrzmiął niczym z daleka.

Poczułem, jak mnie obszukują czyjeś ręce, nade mną pojawiła się ponura, szara twarz. Na policzku widziałem ranę, krew lała się po twarzy, ale Rzeźnik zdawał się tego nie zauważać. Mówił powoli, zimnym, wypranym z emocji głosem, jak gdyby nie do mnie, a raczej w przestrzeń:

– Jak zjechałem na dół, to drzwi były zamknięte, ale nie zablokowane. Mutantów w środku więc nie było, ale ja wszedłem i zablokowałem. A ty i tak jakoś się dostałeś do środka. Jak? Coś musisz mieć, jakiś klucz. Tam zamka kodowego nie było, tylko szpara na kartę, jak tutaj. Klucz... karta, co? Gdzie ją masz?

Prawa rękawiczka cały czas trzymała się na ręku, ale nie mogłem do niej sięgnąć, żeby wyciągnąć to, co skrywała kieszonka na wierzchniej stronie dłoni. Leżałem jak szmaciana lalka, Rzeźnik wisiał nade mną...

– Gdzie karta, łowco? Chyba że to coś innego? I powiedz mi jeszcze, po co tu przyszedłeś? Po serum? Po fajterów? Chan mówił, że zawładnie całą okolicą, kiedy przejmie bojowe mutanty z Wektora... A to

co...?

Zerwał z mojego nadgarstka łańcuszek, popatrzył na wisior, który do tej pory chowałem w rękawie.

– Logotyp tutejszy, ale na klucz nie wygląda – warknął, a potem z wisiora z cichym pstryknięciem wysunęła się plastikowa karta. Rzeźnik popatrzył na nią, pokiwał głową. – Aaa, no tak. Tym drzwi otworzyłeś, co?

Nagle przed moją twarzą pojawił się pistolet, ale bandyta nie strzelił, tylko odmienionym głosem wycharczał:

– A to co ma być?!

Świat dookoła jeszcze wirował i podrygiwał, ledwo mogłem odetchnąć, serce skakało nierówno. Zmrużyłem oczy, zobaczyłem, że bandyta trzyma w ręku dobrze mi znany nóż.

– To kosa Gończego! Skąd ją masz?!

– Nie – zachrypiałem. – Michaiła nóż...

– Że kogo? Jakiego znów... A, tego starego!

Szara twarz drgnęła, wykute z kamienia rysy poruszyły się w grymasie zaskoczenia i wściekłości.

– Jesteś tego starego partnerem! On ci dał klucz do schronu... Ty mojego krewniaka zabiłeś!

Mówiąc to, Rzeźnik stanął wprost nade mną w rozkroku, a ja kopnąłem go szpicem buta w krocze.

W zasadzie to chciałem kopnąć. Rzeźnik ścisnął kolana, więząc moją nogę jak w imadle, potem pochylił się gwałtownie, opuszczając pięść, która niczym tłok silnika ciężarówki wbiła mi się w brzuch, przeszła przez mięśnie i wnętrzności, wbiła je razem z kręgosłupem w betonową posadzkę. Dosłownie rozmazało mnie, rozsmarowało po betonie. Z płuc uciekło mi całe powietrze, przed oczami zrobiło się ciemno...

Potem znowu zrobiło się jaśniej, zrozumiałem, że Rzeźnik ciągnie mnie dokąś za kołnierz twarzą w dół. Głowa i plecy wyżej, czubki butów skrobią o posadzkę.

– Zobaczmy, co jest w środku? – Głos Rzeźnika donosił się dosłownie jak z drugiego końca planety. – Wiesz co, mnie łatwiej idzie zabijanie niż gadki. Ale teraz nie mogę ci po prostu łba ukreć. Nie mogę, bo teraz to musisz wszystko zobaczyć, zrozumieć, co cię ominęło. A potem zdechniesz.

Coś zahuczało, zasyczał metal... Zmrużyłem oczy, zdołałem zobaczyć, jak żelazne sztaby

wjeżdżają w podłogę, a same wrota zaczynają odjeżdżać w bok. Rzeźnik ruszył dalej, wciągnął mnie do dużego pomieszczenia, zalanego bladoczerwonym światłem. Na suficie pięć paneli, ale palił się tylko ten jeden, awaryjny... Garaż, czy może warsztat? Albo jedno, albo drugie... W głowie zaczęło się przejaśniać, chociaż ręce ledwo czułem. Lewa ręka powoli popęzła ku prawej, dałem radę złapać się za nadgarstek. Palce ścisnęły kawałek rzemyczka przyczepionego do wszytego na wierzchniej stronie rękawiczki suwaka.

Pośrodku garażu stał wóz terenowy: transporter gąsienicowy z wystającą, matowoczną kabiną i garbatym korpusem. Właz wejścia był otwarty, a na burcie bieleły się litery: MCD-1. Przypomni mi się rysunek na tablicy w laboratorium, garbatego samochodzika i biegnące obok niego figurki mutantów, MCD – Mobilne Centrum Dowodzenia. To stąd można było sterować fajterami. Srebrnookimi. Tymi samymi mutantami, które od razu dowiedziały się o śmierci swego pobratymca, jak gdyby odebrały jeden i ten sam sygnał...

Otóż to. Kluczowa cecha, której istnienie przewidywał Kaługa. Mogłem się wcześniej domyślić.

Stały tu stelaże i regały z narzędziami, obrabiarki i tokarki, leżały przesiąknięte olejem szmaty, skrzynie, pudła z częściami zapasowymi... Na kilkunastu zestawionych razem stołach ciągnęła się gąsienica, na łańcuchu wyciągarki pod ścianą wisiał nowiutki, nieużywany silnik. W oddalonej ścianie widać było wrota, podobne do tych, przez które tu trafiliśmy. Rzeźnik poderwał mnie do góry, szarpnięciem podniósł na kolana.

– Patrz – powiedział i podsunął mi pod nos malutką, żółtą ampulkę, miękką i elastyczną, jak gdyby zrobioną z galaretki.

– Co... co to? – Z trudem uformowałem słowa na rozbitych wargach.

– Serum. To tym karmili fajterów. Metabolizm przyspiesza kilka razy, mięśnie rosną same, reakcja... Myślisz, że ja skąd takie mądre słowa znam, co? Przy Chanie się nasłuchiłem, jak jeszcze za jego psa robiłem. Chan o tym miejscu dobrze wie, szcza po nogach, żeby tu wejść. Kuźma potem tego

dziada twojego przypadkiem zobaczył... Słuchaj, szczyłu, ja ciebie ot, tak po prostu nie zabiję. Najpierw wezmę serum, bo chcę wiedzieć, co będę mógł ci zrobić. Podoba mi się zabijanie, rozumiesz?

– Nie zabijesz – wycedziłem, patrząc w podłogę.

– Co ty tam skamlesz, szczyłu? Że niby dlaczego?

– Bo mam nóż – szepnąłem, poderwałem głowę i wbiłem mu w oko malutki, ostry nożyk, który wyciągnąłem z kieszonki w prawej rękawiczce.

Podskoczyłem, uderzyłem głową w podbródek Rzeźnika, odrzucając go od siebie. Zdążyłem dźgnąć go jeszcze dwa razy – w szyję i w ramię – zanim on, przycisnąwszy dłonią wypływające oko, zaczął strzelać chaotycznie z mojego karabinu. Skoczyłem w bok, ale on widział mnie drugim okiem, obrócił się za mną... A transporter był dokładnie między nami. Gdyby był to model kołowy, to rzuciłbym się pod niego, przeturlał i wyleciał po drugiej stronie, ale przez gąsienicę nie przelezę, więc rzuciłem się w otwarte drzwiczki kabiny. Kule zabębniły o

pancerz, pociągnąłem włąz za sobą – zamknął się opornie, z cichym szumem pneumatyki.

Szkoło wydawało się czarne tylko z zewnątrz, z tej strony wszystko było świetnie widać. Rzeźnik jeszcze kilka razy strzelił w kierunku transportera, a potem odrzucił karabin, upadł na ziemię i oparł się głową o podłogę, zgarbił, zakołysał z boku na bok.

Usiadłem w fotelu, popatrzyłem na kabinę. Wszędzie plastik, ukośne panele ustawione w podkowę, nieduża owalna kierownica. Przyciski, przełączniki, potencjometry... Ale nic, co by z grubsza chociaż przypominało stacyjkę. Chyba że... Pomacałem kolumnę kierownicy, palce natknęły się na przełącznik. Pstryknąłem – nie było dźwięku rozrusznika ani szarpnięcia, ale pod podłogą coś zamruczało, panel rozjarzył się światelkami.

Spojrzałem znów na zewnątrz – Rzeźnik wciąż klęczał, jedną ręką zakrywając krwawiący oczodół, a drugą podniósł do twarzy i zrobił ruch, jak gdyby wrzucił coś do ust. Odrzucił głowę w tył, zaczął upadać na plecy, ale zdołał utrzymać równowagę, potem zerwał z siebie kurtkę i koszulę, uśmiechnął się niczym szaleniec i pokazał na mnie

palcem, jak gdyby mógł cokolwiek zobaczyć przez szkło. Jego twarz wykrzywił grymas cierpienia; spróbował podnieść się na nogi, ale upadł, zaczął rzucać się niczym w ataku epilepsji, ręce i nogi miały się bezładnie, łokcie i pięty biły o ziemię, nawet przez szybę usłyszałem wrzaski i jęki. Piersz Rzeźnika rozdymała się, jakby coś miało zaraz wyskoczyć mu przez zebra...

Znów przyjrzałem się konsoli sterowania. Dwa monitory, pod każdym przycisk... Wcisnąłem obydwa, monitory rozbłysły światłem, pojawił się obraz pełen ciemnoczerwonych cieni. Co to takiego...? Aha, to fragment garażu po prawej, gdzie stały skrzynki ze złomem, a to chyba miejsce za wozem... Tak, a tu są drugie wrota! Przekręciłem się, przypadkiem zaczepiłem rękawem o jakąś dźwigienkę; za mną zaszumiało, rozsunała się ściana za fotelem kierowcy.

Pośrodku przedziału, zajmującego większą część cielska transportera, stał fotel z podniesioną nad nim półsferą – coś jak stacjonarna suszarka u fryzjera. Jeśli usiąść, to można opuścić sobie to coś na głowę. W

suficie ponad fotelem widać było metalowy krąg, w który wchodziły ciągnące się od półsfery kable. Obok na ścianie ekran i konsola, wskaźniki, masa przycisków i krzeselko.

Przez szkło kabiny widziałem, jak Rzeźnik pełźnie na czworaka, potykając się i rzucając głową; twarzy nie widziałem, więc znów przeniosłem wzrok na monitory.

Pomyślmy: mutanty, to znaczy fajterzy, są kontrolowane zdalnie. Może każdy ma wszczepiony w czaszkę mikrochip? Operator siedzi sobie tutaj, w mcd, na fotelu i – przekazuje rozkazy myślą? Hm... No tak, korpus jest garbaty pewnie dlatego, że w środku musi stać jakiś promiennik. Radar mentalny? Nadajnik fal mózgowych? Garb się uchyla i to wyjeżdża na górę.

Po drugie: transporter może po pochylni wyjechać na górę, tylko co potem? Dach bunkra-laboratorium otwiera się i stamtąd sterujemy mutantami. Pewnie tak robiono tylko wtedy, gdy stwory znajdowały się w silosie: eksperymentowali z nimi, sprawdzali mobilność, ustawiali szeregami na tych żelaznych grzędach, kazali salutować... A jeśli

trzeba było zagonić je na Poligon, to transporter wyjeżdżał przez drugie wrota, podjeżdżał z zewnątrz do krawędzi studni i stamtąd operator przejmował kontrolę nad rojem srebrnookich. Tą samą drogą pewnie też chodzili ludzie, bo przecież nie jeździli windą pomiędzy mutantami, to musiała być tylko opcja dla techników czy kogo tam.



No i sami fajterzy. Najbardziej niesamowita część i dręczące pytanie: jak bardzo skomplikowane rozkazy mogli wykonywać? Czy tylko przez hurmem w zadanym przez operatora kierunku, siekając na strzępy wszystko, co popadnie, czy też byli – są – zdolni do działań taktycznych?

W tej samej chwili Rzeźnik podniósł się. Stał dokładnie przed kabiną, wyprostował się i popatrzył na mnie. Postawił jeden chwiejny krok, drugi... i upadł na twarz. Aż podskoczyłem, gdy zobaczyłem, co stało się dalej.

Otóż bandyta nie upadł, bo wystawił przed siebie jedną rękę, która plasnęła o podłogę, ugięła się, przyjmując na siebie cały ciężar niemałego ciała – i wyprostowała, niczym tłok. Bandyta opierał się o posadzkę tylko czubkami butów i jedną ręką, nie dotykając jej nawet fragmentem ubrania... Niech ktoś z was spróbuje taką sztuczkę zrobić: taktyczny pad w przód na lewą rękę!

Rzeźnik ugiął ramię, potem wyprostował szybko, odepchnął się od podłogi i wrócił do pionu. Zamrugalem w osłupieniu – ależ facet daje czadu! Co to ma być, serum zaczyna

działać? Po raz kolejny Rzeźnik popatrzył na mnie jedynym okiem; zamiast drugiego była tylko krwawa jama... ale tym razem jego wzrok był pusty. Obojętny. Odwrócił się w bok, podszedł do leżącego na ziemi karabinu. Schylił się, podniósł. Wycelował i dał ognia dwa razy prosto w kabinę, zostawiając na pancernym szkłe białe ślady. Opuścił karabin i po prostu otworzył dłoń, pozwalając, żeby bezużyteczna broń stuknęła o podłogę.

Rzuciłem się do panelu sterowania. Jak się tym czymś steruje? Do czego ta wajcha służy...? A ta?! Nie będąc w stanie znaleźć niczego, co przypominałoby dźwignię zmiany biegów albo chociaż sprzęgło, złapałem za kierownicę i pociągnąłem do siebie. Transporter ryknął silnikiem, rzucił się szarpnięciem w tył, cisnęło mną na konsolę. Podniosłem się, wycierając krew z nosa, popatrzyłem na monitory – a gdzie Rzeźnik?!

Jest – widziałem go przez szybę, stał poza zasięgiem kamer. Szedł prosto na mnie, prosto na transporter, a jego chód, sposób poruszania się... Przecież nie mógł zmienić się fizycznie przez te kilka sekund, ale miałem wręcz wrażenie, że pod jego ciężkimi,

miarowymi krokami wręcz ugina się podłoga. Stał przy maszynie, szeroko rozłożył ręce i przykucnął, łapiąc za róg pancerza.

– Pojebało cię od tego serum do końca?! – wrzasnąłem do niego przez szybę. Przecież nie mógł chyba próbować podnieść ważącego kilka ton transportera! Ludzkie mięśnie i kości nie wytrzymają takiego obciążenia, nie ma...

Nie muszę mówić, jak bardzo byłem przerażony, gdy maszyna jęknęła i poruszyła się. Poruszyła się – ale nic więcej zrobić nie dał rady.

Wypuścił transporter, odwrócił się i nagle odbiegł. Z miejsca, w którym przed chwilą jeszcze stał, przemieścił się ku ścianie garażu... no, jeśli nie w mgnieniu oka, to bardzo szybko. Jakies trzy razy szybciej od wyćwiczonego, umiającego porządnie biegać sportowca. Złapał pełną żelaznego złomu skrzynię, podniósł, pobiegł z powrotem, minimalnie tylko wolniej.

Stanąwszy przed frontem wozu, uniósł skrzynię, której ja nawet nie dałbym rady oderwać od podłogi, z zamachu wyrznął w kabinę. Kant żelaznego pudła grzmotnął w szkło, transporter zakołysał się. Rzeźnik

zaczął uderzać raz za razem, miarowo i systematycznie, próbując walić w jedno i to samo miejsce. Szyba pokryła się śladami, potem pobiegły po niej nitki pęknięć, najpierw nieduże, potem coraz dłuższe i wyraźniejsze, łączące się i zamieniające w całą pajęczynę. Mocarz się znalazł, mutancja jego mać! W bezsilnej złości huknąłem pięścią w kierownicę, prosto w owalne zgrubienie pośrodku.

Transporter szarpnął się i ruszył naprzód.

Tuzin i jeden mutant! Co za chory umysł zaprojektował maszynę, w której wrzuca się bieg do przodu tym, co powinno być klaksonem?! Złapałem za kierownicę, Rzeźnik upadł, kabina wciągnęła go pod siebie, pancerny korpus zazgrzytał, zajęczała gnąca się blacha. Skręciłem kierownicę, próbując wcelować w otwarte drzwi ku pochylni. Szkoda, że nie da się tego niedorobionego supermana rozjechać, ale korpus jest zbyt wysoko zawieszony... Rzuciłem okiem na monitor tylnej kamery – bandyta przez chwilę leżał na podłodze jak placek, ale zaraz poderwał się, w dwóch susach dogonił wóz i zniknął. Wskoczył na pancierz, bydlak!

Mało brakowało, a przyrznąłbym burtą w skraj uchylonych wrót, ale w ostatniej chwili zdążyłem skontrolować do lewej. Transporter przeleciał przez betonowe pudełko przedSIONKA, wpadł na spiralną pochylnię. Skręciłem kierownicę, trzymając ją w tej samej pozycji, potem zwróciłem uwagę na niedużą dźwigienkę przy kolumnie kierownicy. Przesunąłem ją, delikatnie rozluźniłem palce, podniosłem ręce... Tak jest, autopilot; spirala jest równa na całej wysokości, gąsienice kręcą się same, wjeżdżamy na górę.

Coś głucho zadzwoniło z tyłu, popatrzyłem na monitor, ale nikogo nie widziałem. Mimo woli zerknąłem na otwarty przedział garbu, znad którego donosiły się odgłosy uderzeń. To cholernik leśny, wlaźł na górę i próbuje gołymi rękoma rwać stalowy pancerz. Niech cię licha leśne, nakoksowany sadysto!

Minęliśmy już jedną trzecią spirali, gdy miałem w zasadzie gotowy plan działań. Nie, nie, nic z tych rzeczy – nie miałem zamiaru siadać na fotel operatora i bawić się w dowodzenie armią mutantów. Tego byle kto pewnie zrobić nie potrafi, trzeba by się szkolić

i próbować, a przecież nie na darmo przy panelu jest krzeselko dla drugiego operatora. Sam, bez przygotowania nic nie zwalczę, prędzej Rzeźnik przebije się do środka i faktycznie ukręci mi łeb razem z tą suszarką. Plan był inny, ale ziały w nim dwie ogromne, poszarpane dziury: kwestia sprawności systemów mechanicznych i możliwe interpretacje tabliczki z napisem „Zasilanie wrót górnych”.

Transporter podskoczył, wjeżdżając do centralnego pomieszczenia bunkra. Odłączyłem autopilota, przekręciłem kierownicę... Z tyłu zgrzytnęła rwąca się blacha – cholera leśna, Rzeźnik faktycznie gotów się zaraz tu dostać. Podniosłem się w fotelu, próbując dojrzeć w półmroku to, czego szukałem wzrokiem na zewnątrz; słabo widać, słabo, a tu precyzja potrzebna! Jechaliśmy prosto na ścianę z ciemnym prostokątem drzwi, maszyna pędziła naprawdę szybko, ale Rzeźnik był jeszcze szybszy, więc jeśli nie trafię... Ostro skręciłem kołem sterowym, maszyną zarzuciło na betonowej podłodze. Walnąłem w przycisk wyłączenia silnika, zazgrzytały blokujące się gąsienice, wóz

okręcił się o ćwierć obrotu wokół własnej osi, sunąc bokiem po posadzce. Szarpnąłem dźwignię otwierania drzwi, które posłusznie uchyliły się na zawiasach hydraulicznych tylko po to, by po chwili ulec zmiżdżeniu na harmonijkę pomiędzy burtą transportera a betonową ścianą bunkra. Zasycało uciekające powietrze, przekręciłem włącznik silnika, coś zgrzytnęło, jęknęło... Maszyna zatrzęsała się i zgasła.

Nie udało się wyliczyć idealnie, ale wyrwane drzwiczki i tak do połowy pokrywały się z otworem przejścia do pomieszczenia z żelaznymi szafami od elektryczności. Wyskoczyłem z kabiny, precyzyjnie się przez wąską szczelinę, wpadłem do rozdzielni prądu. Gdzie ta dźwignia, gdzie?!

„Zasilanie wrót górnych”. Nie mogło to być nic innego, jak tylko żelazna przysłona na szczycie bunkra. Mam nadzieję... Płynnym ruchem pociągnąłem dźwignię w dół, mechanizm szcęknął, przytrzymując ją w tym położeniu. Zapaliła się lampka – to dopiero początek. Pod lampką były dwa przyciski, pod każdym tabliczka ze strzałkami: <—> i —><— Otwieranie i

zamykanie, tak? Nacisnąłem ten pierwszy...

Światelko zamigało, ale poza tym nie stało się nic. Skoczyłem z powrotem do kabiny transportera, ale stąd też nie było widać. Zdziałało? Udało się?

Przeciągły, piszczący zgrzyt rozległ się w niemalże idealnej ciszy. Nie był wcale głośny, wręcz ledwo dosłyszalny, ale... złowieszczy. Obląłem się zimnym potem, gardło jakby ktoś mi ścisnął kleszczami. Obróciłem się powoli w fotelu, wiedząc i tak, co zaraz zobaczę.

Rzeźnik stał przy kabinie i patrzył na mnie. W świetle lamp awaryjnych jego nieruchoma twarz zdawała się być ponurą, groteskową ciemnoczerwoną maską. Jeden oczodół ział czarną dziurą, drugie oko patrzyło na mnie badawczo. Podniósł ręce i znów przeciągnął po szkle palcami zagiętymi jak szpony. Nie mógł przecież widzieć mnie przez lustrzaną powierzchnię, ale nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że nadal patrzy mi prosto w oczy. W dolnej części twarzy-maski otworzyła się ciemna szczelina ust, Rzeźnik powiedział coś. Zapewne, że nie mam dokąd dalej uciekać. Że zaraz mnie dorwie. Że rozerwie gołymi rękami, wypije krew i zje moje oczy na deser.

A potem po jego twarzy przemknął wyraz zaskoczenia. Podniósł głowę i spojrzał w górę, jak gdyby coś usłyszał. Znów popatrzył na mnie. Mogło mi się tylko wydawać, ale jego do tej pory kamienna twarz jakby zmiękła, w martwych oczach błysnął... niepokój? Może strach? Oparłem się o panel sterowania, podsunąłem pięść z wyprostowanym środkowym palcem prosto przed jego twarz.

– To za Michaiła – wycedziłem.

Chwilę po tym do wnętrza laboratorium przez otwartą zasłonę dachu zeskoczył pierwszy fajter.



Zaryzykowałem wyjście z transportera dopiero po kilku godzinach, przez który to czas nawet się zdrzemnąłem.

Otworzyłem drugie drzwi, wyjrzałem na zewnątrz... Pachniało krwią. Pomieszczenie wyglądało jak rzeźnia z delirycznego filmu grozy, ale spodziewałem się tego, co zobaczyłem. Częściowo nawet już widziałem z wnętrza pancерnej kabiny. Na samym początku kilka razy zebrało mnie na wymioty, ale żołądek od dawna miałem już pusty.

Fajterzy naprawdę pokazali klasę. Rzeźnik zresztą też, muszę przyznać. Co poniektóre mutanty po prostu rozrywał na kawałki, innym przebijał i otwierał klatki piersiowe gołymi rękami, kolejnym miażdżył jedną dłonią czaszki... Dzięki nowo nabytej nieludzkiej sile był do czegoś takiego zdolny – a mimo to nawet on nie poradził sobie z całą falą mutantów. Serum nie zamieniło go w nadczłowieka, nie uczyniło nieśmiertelnym, tylko dało siłę i szybkość. W dodatku pewnie jedynie tymczasowo. Cudów nie ma, nie jest możliwe, żeby raz podana dziesięciogramowa kapsułka raz na zawsze przestroiliła organizm, umożliwiając zrównoważone procesy biochemiczne. Finału tej epickiej bitwy nie widziałem, jako że przeniosła się ona na dach bunkra, skąd przez jakiś czas spadały tylko krwawym deszczem ochłapy. Rzeźnik musiał próbować się przebić na górę...

Szybko zrozumiałem, że wydostać się nie będzie łatwo. Dach pomieszczenia w zasadzie zniknął, została tylko wąska kładka dookoła, nad głową widziałem okrąg światła wysoko, wysoko w górze i klatkę windy, wiszącą w powietrzu. Wcześniej opierała się o zasunięty

dach, a teraz po prostu wisiała jakieś trzy metry nad podłogą.

Było cicho. Mutanty najwyraźniej wróciły do swoich nor, aby lizać rany po walce z nadspodziewanie silnym przeciwnikiem. Zapewnie zabrały ze sobą też jego ciało – czy to w całości, czy w kawałkach. Zaniepokojone, i tak już pewnie rozdrażnione stwory mogły w każdej chwili mnie usłyszeć, więc trzeba było zrobić wszystko minimalnym nakładem środków; zamykanie dachu nie wchodziło w rachubę. I musiałem się spieszyć, nie daj Las gdyby któryś z nich umyślił sobie tu wrócić...

Z dotarciem do klatki wyrobiłem się w piętnaście minut, które spędziłem, miotając się w czerwonym półmroku, brodząc po kostki we krwi i wnętrznościach, które miłosiernie skrywały czarne, nieruchome cienie; zapach śmierci drażnił nozdrza, w uszach dzwoniła cisza. W końcu znalazłem w jakimś kącie aluminiową drabinkę, wciągnąłem ją i rozstawiłem na transporterze.

Gdy wlałem na ostatni szczebel, znalazłem się na wysokości klatki, ale nie do końca obok niej, jako że transporter stał przy ścianie bunkra. Jakiś czas siedziałem na niej w pozie

greckiego myśliciela, aż wreszcie pomyślałem sobie coś bardzo brzydkiego i pochyliłem się naprzód. Drabinka przechyliła się ku klatce, ja odepchnąłem się nogami i skoczyłem, złapałem za pręty i zawisłem w powietrzu.

Klatka windy zakołysała się powoli, leniwie. Gdyby drabina walnęła o podłogę, to huk i brzęk obudziłyby chyba wszystkie śpiące w gołębniku studni mutanty, ale upadła tylko na pokryty flakami beton z miękkim „plask!”.



Podciągnąłem się na rękach, zaciskając zęby od potwornego bólu w pociętych do żywego mięsa dłoniach. Wspiąłem się na ściankę klatki, potem przesunąłem ku wejściu, wczółgałem do środka... Przy jednej ze ścianek był prymitywny panel z przyciskami. Trzymając zmasakrowaną lewą dłoń pod pachą, popatrzyłem chwilę na guziki i przyciski, potem po prostu zacząłem naciskać je po kolei.

Gdzieś daleko i wysoko coś zaterkotało. Lina skrzypnęła, podłoga bujnęła się, klatka zaczęła powoli pełznąć ku górze. Pokiwałem głową, nie mając sił stać, usiadłem, zwiesiłem

nogi pomiędzy prętami. A co. Oparłem się czołem o zimne rury, usiłując nie myśleć o tym, jak niehumanitarnie boli mnie pulsujące cierpieniem ręce.

W połowie drogi zauważyłem, że z jednej z poziomych belek, przy której ciemniał otwór dużej nory, zwisają jakieś podłużne tłumoki. Ciała...? Kto mógł tam być – Wieprzu, Ketchup? Może jeszcze jacyś inni ludzie, których nawet nie znałem? Gdzieś pomiędzy nimi mógł też wisieć trup Rzeźnika.

W dziurze błysnęły dwie kropki, potem zgasły, otworzyły się znów, tym razem większe i wyraźniejsze. Serce mi stanęło. Owalne oczy poruszyły się, mutant wysunął się z dziury, przysiadł na wsporniku z reflektorami, patrząc na klatkę. Winda jechała ku górze, ja patrzyłem na niego, a on na mnie... Gdy byłem już dużo wyżej, ślepia zgasły. Mutant odwrócił się, przelazł po tregrze i schował się z powrotem w swoim legowisku.

Światło dnia lało się z góry coraz mocniej, wylot tunelu rósł w oczach, aż w końcu klatka przejechała pomiędzy prętami kratownicy. Wyskoczyłem na zewnątrz, podszedłem do

panelu silnika, ale zgrzytnął zatrzask, winda zatrzymała się, mimo że silnik nadal grzechotał i turkotał, chodząc na jałowym biegu.

Padał deszcz. Z szaroburomlaczego bezmiaru chmur leciały małe, kłujące zimnem krople, krawędź przykrywającej szyb płyty rozmywała się we mgle. Dobrze, że przynajmniej już nie wiało... Usiłując ocenić upływ czasu, wyjąłem spod wyciągarki dziennik Zielaarza i miksturę, schowałem do kieszeni. Musiała być jakaś czwarta, może piąta po południu. Zaraz zrobi się ciemno, więc nie ma co tu po próżnicy sterczeć, bo tylko patrzeć, jak fajterzy zaczną wyłazić na górę. A ja znów nie miałem bronii poza nożykiem, który jakimś cudem nie wypadł mi z ręki po tym, jak wydłubałem Rzeźnikowi oko.

No tak, na domiar złego Kaługa zniknął. Co prawda miałem taką smutną pewność, że myśliwy na mnie nie poczeka, ale... i tak ukłuła mnie szpila zawodu. Ale czego niby się spodziewałem? He? Wszyscy ludzie są tacy sami, każdy myśli tylko o sobie. Las z nim, poradzę sobie!

Wyłączyłem ze złością wciąż terkoczący silnik. Zrobiło się strasznie cicho. Powietrze stało nieruchomo, krople bezdźwięcznie leciały przez mgiełkę, w której zastygła ciemniejsza sylwetka trójnogiej wyciągarki. Nad starym silosem zawisła absolutna, przytłaczająca cisza. Popatrzyłem na swoje ręce. Jeśli w najbliższym czasie jakoś ich nie opatrzę, to zaczną się paskudne problemy. Nie miałem jednak ani lekarstw, ani sprzętu, ani broni. Nic. Nie wiem, jedyne, co mi pozostaje, to wychleptać z zagłębień maszyny tyle wilgoci, ile się tam zebrało, a potem po prostu iść, dokąd oczy poniosą.

Zbierałem się już do odejścia, gdy mój wzrok padł na leżący nieopodal kształt osłony silnika, pod którym zostawiłem leżącego ранego Kaługę. Teraz było tam pusto. Ale chyba nie do końca. Coś błysnęło...

Sięgnąłem ręką i wyciągnąłem ćwierć tabliczki czekolady w sreberku. Obok była jeszcze manierka, pod którą leżał świstek papieru, teraz zupełnie rozmiękły od wilgoci. Manierka zabulgotała przyjemnie, więc odkręciłem ją i przyssałem się do szyjki, potem wcisnąłem sobie do ust całą czekoladę

naraz... W końcu popatrzyłem na kartkę, na której widniał rysunek ołówkiem: zakreskowany okrąg, obok trzy prostokąty, od okręgu do środkowego strzałka.

A poniżej nagryzmołone z błędem:

Jestem w changarze. Przychodź.



– No, panie bracie, historia naprawdę niesamowita, ale fantastyki w tym nie widzę ani za grosz. – Kaługa zawiesił kociołek nad ogniskiem, krzywiąc się z bólu w rannym ramieniu. – Znaczący się takiej, żebym miał ci nie uwierzyć. Możesz o tym nie wiedzieć, kolego sympatyczny, ale pierwszy interfejs z poleceniami wydawanymi w myślach pojawił się jeszcze przed Pandemią. Prościutki, rzecz jasna, ale zawsze: siedzi sobie koleżka przed monitorem, na głowie ma taką obręcz, co ściąga informacje bezpośrednio z neuronów, a na monitorze ludzik. Tamten sobie wyobraża, że unosi lewą rękę, i ludzik unosi lewą. Myśli o prawej, a ludzik prawą. Na sieci filmiki z takich doświadczeń oglądałem i czytałem o nich sporo, nawet tego roku, jak się Pandemia zaczęła, to miała wyjść pierwsza gra pod ten

sprzęt, „Psychotenis” się nazywała. W sieci pomykałem w to na otwartych beta-testach... No więc myślę, że rozumiesz: każda nasza myśl, zamiar, życzenie to impulsy elektryczne w głowie. Jeśli masz odpowiedni sprzęt, to możesz to odczytać. Nic magicznego, czysta technologia.

Kaługa czekał na mnie w jednym z trzech hangarów nieopodal szybu. Stamtąd od razu przenieśliśmy się na obrzeża kompleksu, gdzie rozłożyliśmy się w niewiele mniejszej hali – ot, takim sobie żelaznym pudle, częściowo zasłoniętym przez stok wzgórza, do którego weszliśmy przez dziurę wielkości traktora w jednym z rogów. Rozłożyliśmy się tam pomiędzy dwiema sporymi hałdami ziemi, bramę do hali zablokowaliśmy, więc teraz mieliśmy kontrolę nad jedynym wejściem. Podczas gdy ja – wedle słów Kaługi – „zwiedzałem park tematyczny”, on pokręcił się trochę po okolicy. Najwyraźniej niespokojny duch nie pozwalał mu długo usiedzieć na miejscu, dzięki czemu mieliśmy teraz dwa NATO-wskie karabinki, swojskiego kałacha i po pistolecie. I pół pudełka naboju wszelkiej maści i kalibru.

Póллеżeliśmy sobie każdy na swojej hałdzie, broń na podorędziu, zapasów było nawet-nawet... Na dworze szumiał deszcz, u nas trzaskało ognisko, w kociołku bulgotała deszczówka: Kaługa znalazł również w rzeczach po Szarym calusieńką paczkę herbaty Królowa Brazylii i oświadczył zupełnie poważnie, że ma zamiar „zacnie się nią spać”.

– Możemy tutaj noc przesiedzieć – odezwał się. – Ja teraz nigdzie daleko i tak nie dam rady... Ale potem trzeba, za blisko stąd do studni z mutantami.

– Ale przynajmniej, o ile się nie mylę, nie leży na ich zwyczajowym szlaku – zaoponował myśliwy, wgrzając się w twarde plaster suszonej wołowiny. – Od silosu one lecą jak po sznurku do tamtej ceglanej wieżyczki ze schodami, po ścianie i dalej w dół po drzewach...

– Możliwe, ale skąd wiesz, że to jedyny szlak? I tak, i tak niebezpiecznie tutaj. Ty rób, jak chcesz, ja jutro się zmywam.

– Jutro idziemy jak najdalej – zgodził się Kaługa, macając ostrożnie ramię. – Boli... Ale kulę wyjęliśmy przynajmniej. A jak twoje

rączki delikatne?

Niemrawo poruszałem pociemniałymi od gencjany palcami. Lewy nadgarstek ściągał mocno zawiązany bandaż.

– No, nie powiem, że lepiej... znośnie.

– Strzelać możesz?

– Ba. Jeśli nie będzie wyboru, to bardzo się postaram móc.

– Mhm... Słuchaj, a tytoniu nie masz? Ajj... Ja w ogóle to nie palę, ale czasem bym zajarał... No cóż, pora esencji siorbnać.

Rozlaliśmy do kubków gorącą, niemalże czarną herbatę, zaś Kaługa, niezdolny do dłuższego milczenia, perorował dalej:

– A słyszałeś, panie bracie, opowieść o tym Osadniku, który odnalazł Eden? Nie? Opowiadał mi to jeden znajomy znajdownacz, niejaki Dimka. No to posłuchaj: był sobie Osadnik ze Skraju, ale odszedł stamtąd, żeby Edenu szukać. Poszedł w Las, bez broni, bez niczego, tylko z jednym jedynym amuletem i kilkoma artefaktami. Różnie mówią: jedni twierdzą, że miał „żywokost” i „sprężynę”, inni jeszcze, że „grzechotkę”, ale to nieistotne. Długo chodził nasz Osadnik, tak go będziemy nazywać, po Lesie, spał na gołej ziemi. Nie

wiadomo, jak i czym się żywił, ale podobno nawet liście i korę już się jeść nauczył. I koniec końców wyszedł na polanę – ogromną taką, a piękną nie do opisania. Trawy takiej jak tam, panie bracie, soczystej, gęstej i zielonej, nigdzie na świecie nie znajdziesz, a woda w strumieniu tam taka czysta była, że co łyka upijesz, to jeden dzień wieku ci ubywa! Nie od razu zrozumiał Osadnik, że znalazł legendarny Eden! – Kaługa mówił coraz to bardziej podniosłym tonem w miarę, jak sam się nakręcał. – Ale tutaj nagle niebo pociemniało i zaczął się Sztorm, bo nie spodobało się Lasowi, że ktoś wszedł do Edenu. Okazało się jednak, że Osadnik nasz nie tylko, panie bracie, przeżył, ale i nauczył się jednej bardzo ważnej rzeczy: nauczył się wyczuwać, kiedy Sztorm się zbierał. Po tym już mieszkał w Edenie ponad rok, ale w końcu zachciało mu się opowiedzieć ludziom o swoim znalezisku i zaprowadzić ich ze sobą do tej... no, polany obiecanej. Kiedy wyszedł z Edenu i ruszył na Skraj, to podobno sam Las rozstępował się przed nim, pokazując drogę do domu. I był już prawie, prawie na miejscu, gdy napadli na niego koczownicy – i nasz

Osadnik, który nie zginął od pazurów zwierza, przeżył Sztorm i znalazł Eden, zginął od kulki dzikusa na motocyklu! Ale gdy ostatnie tchnienie uleciało z jego ust, Las wściekł się takim Sztorem, jakiego nikt wcześniej ani później nie widział. Setki, tysiące ludzi w całej okolicy poginęły... A po śmierci Osadnika wszystko, co było o Edenie wiadomo, przepadło. Tylko jego duch ponoć po dziś dzień błąka się po Lesie, i teraz spotkanie z nim to zawsze dobry znak. Nie tylko pomaga on swoim, ale też jeśli go zobaczysz, to wiedz – nadchodzi Sztorm! Osadnik stał się legendą, bohaterem dla innych skrajowców na wiek wieków... Ot i tak było.

– A co cię tak naszło? – spytałem.

– Ano bo ja, widzisz, cały czas o tym Skraju myślę... Ech, dobra. Nieistotne. A ty jak sądzisz, Stas, istnieje gdzieś Eden? No, takie miejsce gdzieś w największej głuszy Lasu, gdzie nie ma drzew, a życie jest łatwe i, no... przyjemne?

– Ja o takich rzeczach nie myślę.

– No więc pomyśl, pomyśl, panie bracie! Czasami to dobrze nawet dla najbardziej, ekhem, przyziemnego człowieka, żeby

pomyśleć nie tylko o tym chlebie powszednim, ale też o... – Kaługa poruszył palcami w powietrzu – o sprawach wysokich.

Nic nie odpowiedziałem. Mgła rzedła, przez dziurę widać było stok wzgórza, za to deszcz jeszcze się wzmógł – jednostajny szum rozlegał się na całym terenie KIB0-3.

Położyłem plecak pod głowę, przymknąłem oczy, patrząc spod lekko uchylonych powiek na Kaługę. Opowiedziałem mu wszystko o laboratorium, o fajterach, o sterowaniu myślami, o Mobilnym Centrum Dowodzenia – ale nie zająknąłem się słowem o swoich wspomnieniach. Ani o dzienniku Zielarza i buteleczce z zieloną miksturą. Sam nie wiedziałem, co z tym wszystkim robić. Nie rozumiałem, dokąd, jak iść dalej. Jasne było jedno: musiałem szukać ojca. Jeżeli ojciec nie żył, to przynajmniej informacji o nim, śladów jego działalności. Ale gdzie, jak? Z kim o tym rozmawiać, dokąd iść? Nie było nawet śladu wskazówki.

A deszcz padał i padał. Wypiliśmy esencję, podjedliśmy, a gdy ściemniało zupełnie, położyliśmy w dziurze kilka kawałków blachy Nikogo to nie zatrzyma, ale narobi hałasu

przy próbie wejścia. Uzgodniliśmy, że Kaługa bierze pierwszą wartę i obudzi mnie za trzy godziny.

Oczywiście nie obudził. Dopiero nad ranem obudziłem się do wtóru jego nucenia:

– Uśmiechnij się, kochanie... Nim powiesz pierwsze zdanie... Nim rękę mi podasz, nim ukłon mi oddasz... Uśmiechnij się, to wszystko... Za imię i nazwisko wystarczy... Gdy mnie musisz twój uśmiech!

Otworzyłem oczy, poderwałem się. Rozebrany do pasa myśliwy z zabandażowanym ramieniem klęczał przed nasadzonym na kawałek rury odłamkiem lustra. Nadąwszy policzki, Kaługa wytrzeszczał oczy i golił się przy pomocy noża.

Przestało padać, na dworze było jasno, cicho i mokro. I niemalże ciepło.

Zjedliśmy śniadanie, a potem Kaługa zapytał:

– Dokąd ruszasz dalej?

– Nie mam na razie pojęcia – przyznałem się. – Mam cel, ale zupełny brak planu. Nie wiem, od czego zacząć. Muszę pomyśleć.

– A ja, panie bracie, na północny zachód ruszę.

– Do obozów włóczęgów? Tam ich jest sporo.

– Nie. Jeszcze dalej.

Popatrzył na mnie wyczekująco. Jako że nie odegrałem swojej roli i nie zapytałem, Kaługa westchnął i oznajmił:

– Tak, tak, tak. Nie dziw się, ale ja na Skraj pójde. Tam po drodze będą dwie wyspy Lasu, pomiędzy nimi się prześliznę i dalej...

– A po co?

– Bo mam, rozumiesz, dość już bagien. Tam się pokręcę, mówią, że nietypowe artefakty się tam trafiają. I zwierz się zdarzy, jakiego nigdzie indziej nie uświadczysz.

– A do samego Skraju myślisz zajrzeć?

– Nie, do osiedla jakoś nie ciągnie... Chociaż nie wiem. Nie za bardzo jakoś skrajowców lubię, niby nic mi złego nie zrobili, ale jakoś się nie mogę przekonać. Ale myślę sobie tak cały czas, rozumiesz: a może to oni skrywają tajemnicę Głównego Artefaktu, wiedzą, gdzie go szukać? Skrajowcy i inni tacy... no, religijni. Kto wie, może się do niego modlą, jak do bożyszcza?

Kaługa pokiwał głową.

– A tak w ogóle, to czy jest, czy go nie ma... to tak naprawdę nieistotne.

– Jeśli nieistotne, to po co tam idziesz?

– Zrozum, panie bracie... – westchnął. – Tymi, co nie mają dużego celu w życiu, zawsze będą się wysługiwać ci, którzy sobie duży cel znaleźli. A ja nie chcę, żeby się mną ktoś wysługiwał. Dlatego też mam swój duży cel: znaleźć Główny Artefakt. To takie... marzenie. Głupie marzenie, powiesz? A wcale że nie. Nie jest głupie, bo je mam, więc dzięki niemu nigdy nie stanę się takim, jak Rzeźnik i jego koleżkowie niesympatyczni. Więc tak czy inaczej pójdę w kierunku Skraju i będę szukać.

Jeszcze przed kolejnym wieczorem pożegnaliśmy się. Podzieliliśmy się bronią i zapasami, uścisnęliśmy ręce. Kaługa na pożegnanie obrzucił mnie od stóp do głów spojrzeniem i skonstatował:

– Coś mi mówi, że jest nam pisane się jeszcze spotkać. Świat to małe miejsce, a odkąd przyszedł Las, jeszcze się skurczył... Jestem pewien, że nasze drogi się skrzyżują.

– Też tak myślę – zgodziłem się.

Klepnął mnie w ramię, potem nagle wyciągnął z kieszeni tabliczkę czekolady. Szczerze mówiąc, byłem przekonany, że

ostatnią zjadł przedwczoraj. Nie miałem pojęcia, skąd ciągle ją bierze... Przełamał na pół, podał mi jedną część.

– Pogryź se, panie bracie, jak będziesz miał humor parszywy. Czekolada uspokaja i wspomaga wydzielanie endorfiny. Hormonu, rozumiesz, szczęścia.

Nigdy nie byłem towarzyskim typem. Nawet gdy siedziałem ze znajomkami w którejś z mordowni Czarnego Rynku, czy nawet z Michałem przy ognisku – zawsze jakaś część mnie była nieustannie spięta i obserwowała wydarzenia z boku. Przez to Stas Login był zdeklarowanym samotnikiem. Nie wiem, jakie słowa należało wygłosić w takiej sytuacji. Po prostu schowałem czekoladę do kieszeni, mruknąłem:

– Dzięki, Kaługa. Do zobaczenia i szerokiej drogi nam obydwu.

– Nie martw się, każdy do swego celu dojdzie. – Uśmiechnął się. – Jak to mawiają, na mutantów siedmiu odpowiedzi zawsze jedna: kulka.

Potem lekko szturchnął mnie pięścią w ramię, kiwnął głową i odszedł, nucąc pod nosem.

Rozdział siedemnasty

Samotnik



Trzy dni kręciłem się po okolicy bez celu. Jadłem.

Spałem. Zmieniałem opatrunki na rękach. Powoli odzyskiwałem siły. Udało mi się ustrzelić zająca i kuropatwę, znalazłem

w pozostałościach kopczyków przy porzuconej farmie kilka kartofli, więc ugotowałem sobie polewkę. Przez ten czas nie spotkałem zupełnie nikogo.

A rano trzeciego dnia mnie olśniło. Obudziłem się – i wiedziałem. Pewnie dużo myślałem o tym wszystkim, próbując jakoś połączyć wydarzenia, szczegóły i na pozór nieistotne błahostki. Okazało się, że we śnie mózg dokończył to, z czym nie mogłem

poradzić sobie na jawie.

Wyciągnąłem z plecaka dziennik Zielarza, złapałem ogryzek ołówka, który dał mi jeszcze w hangarze Kaługa. Otworzyłem, przejrzałem kilka stron. Jest... jest... jest... Na pierwszej stronie pozostało trochę miejsca na górze, więc zacząłem pisać tam trzęsącą się ręką, poruszając ustami jak uczeń:

Być... może... Szaman... ma... rację... a Skraj... to... broń... Lasu... jego... pasywna... obrona...

Jest! Mam! Szyfr był tak naprawdę dziecinnie prosty, taka klasyczna obrona przed ciekawskimi. Nie ma na świecie tak znów wielu miłośników rebusów i krzyżówek... a już na pewno nie po Pandemii. Zielarz nie chciał, żeby byle kto mógł odcyfrować jego dziennik; gdyby zeszyt miał wpaść w brudne łapska jakiegoś koczownika albo włóczęgi, ten z trudem przesylabizowałby dwie linijki abrakadabry, podrapał się po głowie i wykorzystał papier do zgoła innego celu. Nawet nie domyśliwszy się, że trzeba po prostu przesunąć alfabet o jedną literę do przodu! Pierwsze trzy słowa na stronie, od której zacząłem, wyglądały tak:

Czd nóżę Śżąnąń...

A oznaczały:

Być może Szaman...

Zasada absolutnie prosta: jedna litera w przód, a tam, gdzie mamy „ż” – po prostu zostawiamy „ż”, bo widać, że dalej nasz szyfrant nie miał już dokąd przesuwać. To „Śżąnąń” naprowadziło mnie na ślad, bo zawsze było pisane z dużej litery i przewijało się naprawdę gęsto. Widać, że ten Szaman musiał być dla Zielarza nie byle kim.

Do wieczora siedziałem i tłumaczyłem jak w gorączce, łamiąc sobie głowę i język, wściekając się sam na siebie i na Zielarza, bełkocząc pod nosem litery... W końcu pomylił mi się cały alfabet, więc polazłem do pustej szopy pośrodku pola trawy, wypisałem węglem drzewnym wszystkie litery na ścianie i położyłem się spać z bólem głowy, a kolejnego ranka wziąłem się za pracę ze zdwojoną siłą.

Kartek w zeszycie była niespełna trzecia część. Wielu brakowało, czyjaś bezlitosna ręka obeszła się brutalnie z częścią notatek, wyrywając strony w całości. Duża część tego, co odczytałem – głównie opisów doświadczeń –

i tak była dla mnie niezrozumiała.

Ale sporo też się dowiedziałem.

Zielarz przybył do Mieczysławowa-2 z osiedla na Skraju. Dokładnie z tego, ku któremu ruszył kilka dni temu mój tymczasowy towarzysz, polski myśliwy Kaługa. Wcześniej Zielarz wiele lat żył na Skraju, przy czym był tam nie zwykłym skrajowcem, a jednym z ichnich starszych! A odszedł właśnie przez – nie wiem, czy dzięki, czy z winy – człowieka, którego w swym dzienniku nazywał Szamanem. Kiedyś jakieś słowa Szamana musiały zrobić na nim ogromne wrażenie: Zmienił moje spojrzenie na Las, na cały nasz niewiarygodny Świat – głosił zaszyfrowany dziennik.

Tekst był pełen aluzji. Nieistotnych na pierwszy rzut oka szczegółów. Niedopowiedzeń. Lakonicznych, to znów nadmiernie opisowych odniesień. Opisów tego, co ten Szaman robił, jak przedziwnie się zachowywał. I wszystko to stopniowo, kawałek po kawałku, zaczęło układać się w całość, aż w końcu na trzeci dzień po rozpoczęciu dzieła podniosłem znad dziennika czerwone, zapuchnięte oczy, bo zrozumiałem.

Szaman był moim ojcem.

Znali się, właśnie dlatego Michaił wspomniał o Ziellarzu przed śmiercią. Ale w odróżnieniu od tego pierwszego Ziellarz nie znał mojego ojca przed Pandemią, spotkali się dopiero na Skraju, kilka lat po katastrofie. Jakiś czas później były skrajowiec stracił z moim ojcem kontakt, jak gdyby tamten zniknął – i od tamtej pory Ziellarz nie ustawał w wysiłkach, aby go odnaleźć.

W dzienniku były jeszcze fragmentaryczne informacje o miksturach. Autor zapisków nazywał je tak samo, jak było to zapisane na plakacie w jego domku: Ciemnowid, Mutagon i Antylas. Wkrótce pojąłem też, że mikstury stworzył Szaman, a konieczne były po to, żeby...

A dalej nie było strony. Ostatnią, urwaną w połowie kartkę pokrywała ciemna plama, z trudem dało się odcyfrować słowa, którymi kończył się tekst. Zdążyłem już przyzwyczać się do przedziwnego szyfru, część słów rozumiałem z marszu, inne zdążyłem poznać wzrokowo i nauczyć się, więc od razu odcyfrowałem dwa ostatnie, szepnąłem sam do siebie:

– Poznać Las...

Cofnąłem się jedną stroną, przeczytałem raz jeszcze. Mikstury mojego ojca, te same, które dużo, dużo później zdołał częściowo odtworzyć Zielarz na podstawie otrzymanych ongiś od Szamana wskazówek, należało podać samemu sobie po kolei. Wstrzyknąć. Trzy mikstury, trzy zastrzyki. Nie więcej niż trzy centymetry sześciennie każdej, w odstępie co najmniej miesiąca, bo w przeciwnym razie ryzykowało się, jak to ujął autor, „utratę swego człowieczeństwa na zawsze”.



Wykorzystawszy te trzy mikstury, można będzie dotrzeć do jakiegoś „Głuszolesia”, ale w tekście nigdzie nie było słowa wyjaśnienia, czym to Głuszolesie miałyby być. Tak czy inaczej, zdawało się to być głównym celem Zielarza, który po utracie kontaktu z Szamanem i odejściu ze Skraju kilka lat usiłował odtworzyć mikstury, aby tam dotrzeć. Zielarz był chyba gotów oddać sporo, żeby odnieść sukces, a pierwsza z mikstur, Ciemnowid, miała być też pierwszym krokiem na tej drodze.

Na przedostatniej stroniczce było też o niej kilka słów więcej. Zastrzyk miał rzekomo uczynić człowieka niezauważalnym dla większej części mieszkających w Lesie owadów, które nie postrzegałyby go już jako zagrożenia. Ponadto miał dawać jakiś dziwny efekt poboczny, którego istotę zawierała sama już nazwa, jakkolwiek konkrety Zielarz przemilczał. Jak rozumiem, dwie pozostałe mikstury były opisane na brakujących kartach dziennika.

Nie zauważyłem, aby widmo Zielarza snuło się po Miczurińsku-2. Byli tam inni mieszkańcy wioski, ale nie on. Czy mogło to

znaczyć, że były skrajowiec przeżył? Jeśli tak, to gdzie go szukać? Mógł przecież wrócić na Skraj; innych poszlak dla poszukiwań zwyczajnie nie miałem.

Teraz musiałem znaleźć Zielarza. Za wszelką cenę.

Dlatego też nie minął nawet dzień, odkąd zakończyłem odszyfrowywanie dziennika, gdy podjąłem decyzję. Siedziałem sobie akurat w kabinie starego samochodu, który stał pośrodku resztek gruntowej drogi, zupełnie rozmięklej teraz od lejącego już kilka godzin deszczu. Po raz nie wiem który patrzyłem na kartę osobową z biografią i zdjęciem Michaiła Topola – gdy nagle myśl o tym, że pora ruszać, uderzyła mnie z pełną mocą i w jednej chwili zawładnęła całym jestestwem.

Jednocześnie, jak na zamówienie, deszcz osłabł i wkrótce w ogóle ustał.

– Idę dalej, Michaił – zwróciłem się do poźółkłej ze starości fotografii. – Wcześniej jakoś się nie złożyło, żebyśmy się pożegnali. Cały czas czułem się tak, jakbyś był przy mnie. Ale teraz dokonałem zemsty. Wszyscy ci, którzy cię zamęczyli, nie żyją. Dlatego też – żegnaj, stary druhu.

Zostawiłem kartę na siedzeniu, wyszedłem z samochodu i zamknąłem drzwi. Ruszyłem przed siebie, nie oglądając się.

Kolejne czterdzieści osiem godzin wykorzystałem na przygotowania, zebranie zapasów i temu podobne sprawy. Ręce praktycznie się wygoiły, o ranie na ramieniu zdążyłem dawno zapomnieć. Noga? Jaka noga...?

Minęło równo czternaście dni od chwili, gdy złapałem się liny niknącej w czeluściach starego silosu raketowego. Czternaście dni rozmyślań i pełnej samotności. Ranek dnia piętnastego zastał mnie gotowego do drogi na północny zachód. Przede mną leżała rzeka, potem obozowiska włóczęgów i dwie potężne wyspy Lasu. Liczyłem, że na przebycie tej drogi potrzebować będę jakiegoś tygodnia.

Gdzieś daleko w szarej, wilgotnej mgle jesiennego poranka budził się do życia Skraj.

Koniec

Spis treści

Część pierwsza

BARBAŻYŃCY NOWYCH CZASÓW

O ludziach i mutantach

Czarny Rynek

Niespokojna noc

O ludziach i bydłakach

Sam przeciw wszystkim

Na tropie

Część druga

TRZY MIKSTURY DLA GŁUSZOLESIA

Miasto i Las

O duchach i tajnych przejściach

Śledzenie otwarcie

Spotkanie na bagnach

Noe, mgła i pościg

W kierunku Poligonu

Część trzecia

WEKTOR ŚMIERCI

Za wysokim murem

Srebrnoocy

W sercu kompleksu

Tajemnica silosu

Samotnik

COPYRIGHT © Vostok Games, Survarium Inc., 2014
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2014
COPYRIGHT © FOR TRANSLATION BY Michał Gołkowski, 2014
COPYRIGHT FOR ILLUSTRATIONS BY © Vostok Games, Survarium Inc., 2014

TYTUŁ ORYGINAŁU ОАРН НЗ асса

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-024-9

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT OKŁADKI black gear Paweł Zaręba

REDAKCJA Ewa Białołęcka

KOREKTA Agnieszka Pawlikowska

SKŁAD Dariusz Nowakowski

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatkiazki.pl

ZAMÓWIENIA HURTOWE



Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl

WYDAWCA

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka



fabryka słów

DRUK I OPRAWA OPOLGRAF S.A. www.opolgraf.com.pl

ANDRIEJ LEWICKI



foto © Dąb Elżbieta 2

Dzieciństwo spędził w Czarnobylu. Po katastrofie zdarzało mu się wielokrotnie odwiedzać teren Zony, nocując w porzuconych wsiach i miasteczkach, ukrywając się przed patrolującą Strefę ukraińską milicją. Właśnie to doświadczenie

zaowocowało w trakcie pracy nad tworzeniem scenariuszy do gry „S.T.A.L.K.E.R. – Zew Prypeci” i jego obecnej działalności w projekcie Survarium.

Pisarz chętnie sięga po książki Lema i Sienkiewicza, ogląda filmy noir z lat 40. i 50. oraz słucha czarnego bluesa i starego dobrego

rocka.

Najlepiej czuje się w górach z laptopem i termosem kawy, pisząc kolejny rozdział książki.